

JEFF VANDERMEER

FINCH

Finch

PRZEŁOŻYŁ ROBERT WALIŚ



*Dla Ann
oraz Zbuntowanych Aniołów:
Victorii Blake
Johna Coultharta
Johna Klimy
Tessy Kum
Dave'a Larsena
Michaela Moorcocka
Michaela Philipsa
Cat Rambo
Matta Staggsa*

„Gdy coś ci dają, zastanów się dlaczego.

Gdy jesteś im wdzięczny za rzeczy,

które i tak powinny być twoje, zastanów się dlaczego”.

- Błękitna Dama, spikerka radiowa buntowników

PONIEDZIAŁEK

Przesłuchujący: Co wtedy widziałeś?

Finch: Nic. Niczego nie było widać.

P: Zła odpowiedź,

[wycie, krzyki i szloch]

P: Czy kiedykolwiek wcześniej spotkałeś Błękitną Damę?

F: Nie, ale ją słyszałem.

P: Gdzie?

F: W radiu, a niby, kurwa, gdzie?

[zniekształcony komentarz, niezrozumiały]

F: To jej głos. Dociera spod ziemi. Tak mówią ludzie.

P: A więc co widziałeś, Finch?

F: Tylko gwiazdy. Gwiazdy. Była noc.

P: Mogę zadawać ci to samo pytanie całymi godzinami.

F: Chciałeś, żebym przyznał, że ją widziałem. Przecież już powiedziałem, że tak było!

Niech cię szlag, powiedziałem.

P: Nie ma żadnej Błękitnej Damy. To tylko propagandowy mit buntowników.

F: Widziałem ją. Na wzgórzu. Pod gwiazdami.

P: I co ta zjawą do ciebie powiedziała, Finch? Co powiedziała twoja wizja?

1

Finch, przed drzwiami mieszkania, zdyszany po szybkim pokonaniu pięciu ciągów schodów. Wiadomość, którą przyniósł z posterunku, już umiera mu w dłoni. Czerwona smuga na wiotkim kółku zielonego grzybowego papieru, który kilka minut wcześniej skręcił się i zwilgotniał. Teraz musi tylko przejść przez drzwi oznaczone symbolem szarych kapeluszy.

Aleja Manzikerta numer 239, mieszkanie 525.

Przekroczenie progu to akt woli. Zawsze. Sięgnął po broń, po czym zmienił zdanie. Niektóre dni są gorsze od innych.

Nagle wspomnienie jego partnera, Wyte'a, który powiedział mu, że się sprzedał, na co Finch odrzekł: „Nie mam na ten temat zdania”. Napisy na ścianie w jednym z miejsc zbrodni: *Każdy jest kolaborantem. Każdy jest buntownikiem*. Prawda zawarta w obu stwierdzeniach.

Gałka na drzwiach, zimna, ale ziarnista. Z lewej strony szorstka od jasnego zielonego grzyba.

Poci się pod kurtką, przez koszulę. Buty ciężą na nogach.

Zawsze w punkcie bez odwrotu, a jednak wraca.

Nie jestem detektywem. Nie jestem detektywem.

* * *

W środku wysoki blady mężczyzna ubrany na czarno stał w połowie korytarza i wpatrywał się w drzwi. Za nim mroczny pokój. Podniszczone łóżko. Pościel niewyraźnie bieląca się w cieniu. Chyba nikt tam nie spał od miesiący. Zakurzona podłoga. Nawet zanim zaczął się spotykać z Sintrą, jego mieszkanie nie wyglądało tak źle.

Stronnik odwrócił się i zauważył Fincha.

- W tamtym pokoju niczego nie ma, Finch. Wszystko jest tutaj. - Wskazał drzwi. Wydobywało się zza nich światło, w którym skóra Stronnika połyskiwała w miejscach opanowanych przez malutkie zarodniki. Niesamowite lewe oko zdobiło posępną twarz. Bezustannie drgało. Poruszało się pod dziwnymi kątami. Źrenica jak niebieskie światło na dnie ciemnej studni. Grzybowy blask.

- Kim pan jest? - spytał Finch.

Stronnik zmarszczył brwi.

- Jestem...

Finch minął mężczyznę, nie słuchając odpowiedzi, z przyjemnością uderzając go ramieniem w pierś. Stronnik wszedł za nim, roztaczając wokół siebie słodką woń gnijącego mięsa.

Wszystko było złote, spokojne, niepoznawalne.

Oczy Fincha przyzwyczyły się do światła wpadającego przez duże okno i wtedy zobaczył: salon, kuchnia. Sofa. Dwa drewniane krzesła. Mały stół, pusty wazon z motywem róży. Dwa ciała leżące na dywaniku obok sofy. Mężczyzna i szary kapelusz pozbawiony nóg.

Szef Fincha, Heretyk, stał na tle okna. Miał na sobie typową szarą szatę i kapelusz. Finch nigdy nie poznał prawdziwego imienia stwora. Seria mlaśnieć i gwizdów brzmiała jak „hekleretikalik”, więc Finch nazywał go „Heretykiem”. Bardzo rzadko widywał go w ciągu dnia.

- Finch - odezwał się Heretyk. - Gdzie jest Wyte? - Wilgotne dźwięki wydobywające się z jego krtani, które miały uchodzić za mowę, drażniły większość ludzi. Finch bardzo się starał udawać, że słyszy końcówki wszystkich wyrazów. Nauczył się tej sztuki w bólach.

- Wyte nie mógł przyjść. Jest zajęty.

Heretyk zmierzył go wzrokiem. W jego spojrzeniu kryło się pytanie. Finch odwrócił spojrzenie, unikając płynnych zielonych źrenic oraz żółci w miejscu, w którym powinna być biel. Wyte od dawna chorował. Finch wiedział na co, lecz wolał udawać, że nie wie. Nie chciał rozmawiać o tym z Heretykiem.

- Jak wygląda sytuacja? - spytał.

Heretyk się uśmiechnął: rzędy igiełek osadzonych w twarzy nieco przypominającej wgnieciony pysk rekina. Finch nie wiedział, czy to blaszki, czy zęby, ale wydawało się, że lekko drżą i oddychają. Wyte mówił, że kiedyś widział tam małe stworzenia. Za każdym razem nowy koszmar. Kolejne spotkanie, które będzie nawiedzało Fincha we śnie.

- Dwa ciała - odparł Heretyk.

- Dwa ciała?

- Dokładnie mówiąc, półtora - odezwał się Stronnik za plecami Fincha. Heretyk się roześmiał. Przypominało to odgłos wydawany przez duszonego psa.

- Czy ofiary tutaj mieszkały? - spytał Finch, choć już znał odpowiedź.

- Nie - odrzekł Stronnik. - Nie mieszkały.

Finch na chwilę odwrócił się ku Stronnikowi, po czym ponownie popatrzył na Heretyka.

Heretyk spojrział na Stronnika, a ten zamilkł i zaczął snuć się po salonie, robiąc zdjęcia

okiem.

- Nikt tutaj nie mieszkał - wyjaśnił Heretyk. - Według naszych dokumentów nikt nie mieszka tu już od ponad roku.

- Ciekawe - odparł Finch. Wcale go to nie ciekawiło. Nic go nie ciekawiło. Był zaniepokojony. Zwłaszcza tym, że Stronnik czuł się na tyle pewnie, by odpowiadać na pytania kierowane do Heretyka.

Zasłony wyblakły od słońca. Rozdarcia na sofie przypominały rany zadane nożem. Wazon wyglądał tak, jakby ktoś rozpalił w nim niewielki ogień. Rekwizyty sceniczne dla dwóch zgonów.

Czy to istotne, że okno jest otwarte? Z jakiegoś powodu nie chciał pytać, czy to jeden z nich je otworzył. Świeże powietrze z nutką słonego zapachu znad zatoki.

- Kto to zgłosił? - spytał Finch.

- W tym miejscu nastąpiło wyładowanie energii - odpowiedział Heretyk. - Poczuliśmy je. Potem kamery-spory to potwierdziły.

Wyładowanie energii? Jakiego rodzaju?

Finch próbował sobie wyobrazić rzędy żywych odbiorników ukrytych pod ziemią, długie na wiele mil, jeśli plotki były prawdziwe. Usiłujących przetwarzać tryliony obrazów z całego miasta. Czy to możliwe, by nadały? Oto nadzieja każdego obywatela.

- Czy znacie... źródło? - spytał Finch. Nie był pewien, czy rozumie, o czym mówi Heretyk.

- Nie ma już po nim śladu. W mieszkaniu jest zimno. Są tylko te ciała.

„W czym może mi to pomóc?“, chciał zapytać.

Finch zazwyczaj prowadził dochodzenia w sprawie kradzieży, awantur domowych, nielegalnych zgromadzeń. Czasami przyglądał się działalności buntowników, ale gdy było trzeba, przekazywał śledztwo w ręce Stronników. Teraz chciał się upewnić, że nie musi tego robić. Dla dobra wszystkich.

Jeśli morderstwa, to tylko typowe. Zabójstwa w afekcie. Odwety. Tym razem sytuacja wyglądała inaczej. Jeśli to w ogóle morderstwo.

- Czy ktoś mieszka w sąsiednich mieszkaniach?

- Już nie - odpowiedział Stronnik. - Wszyscy się wynieśli, co ciekawe wkrótce po tym, jak ta dwójka... przybyła.

- Co oznacza, że wydali jakiś dźwięk. - Albo dźwięki.

- Gdy skończymy tutaj, przesłucham wszystkich, którzy pozostali w budynku - rzekł Stronnik.

Cóż to będzie dla nich za przyjemność.

A jednak Finch nie zgłosił się do tego zadania. Jeszcze nie. Może potem. To niewiele gorsze od domokrażnych przesłuchań w nieprzyjaznych miejscach. Wielu ludzi uważa, że jego zawód nie powinien istnieć.

- Co o tym myślisz, Finch? - spytał Heretyk z figlarną nutką w głosie. Delikatną, ale wystarczającą, by wychwycić niuans.

Myślę, że wszedłem tutaj dopiero kilka minut temu.

Ciała leżały jedno przy drugim obok sofy.

Finch zmarszczył brwi.

- Nigdy nie widziałem czegoś takiego.

Człowiek leżał na boku i wyciągał lewą dłoń ku dłoni szarego kapelusza. Szary kapelusz leżał twarzą do dołu z rękami rozłożonymi prostopadle do tułowia.

- To mógł być cudzoziemiec. Sądząc po ubraniu.

Mężczyzna miał czterdzieści pięć lub pięćdziesiąt lat, ciemnokasztanowe włosy, ciemne brwi oraz brodę, która najwyraźniej składała się z grzybowych kosmyków. To nie było nietypowe. W przeciwieństwie do jego ubrania. Miał na sobie niebieską koszulę, która dawno wyszła z mody. Dziwne obcisłe długie spodnie. Brudne czarne buty.

- Nie pochodził z miasta - orzekł Heretyk. Jego intonacja ponownie zirytowała Fincha. Stwierdził fakt czy pytał?

Co mu chodzi po głowie?

Finch przykucnął obok ciała. Wyjął swój bezużyteczny długopis i bezużyteczny notatnik. Stronnik pochylił się nad nim, by zrobić zdjęcie.

Martwy szary kapelusz wyglądał tak samo jak każdy z jego pobratymców. Nie licząc jednego wyraźnego braku.

- Nie wiem, co spowodowało obrażenia u drugiej ofiary, proszę pana. Nie wiem, co się stało z jego nogami.

- Kiedy się dowiemy, będziemy równie powściągliwi - odrzekł Heretyk.

Odsłonięty przekrój poprzeczny ciała rozciętego niemal dokładnie w pasie zafascynował Fincha. Prawie się zapominając, dźgnął tkanekę długopisem.

Cięcie było tak czyste, tak precyzyjne, że nie dostrzegł żadnego rozdarcia. Żadnego krwotoku. Widział warstwy. Szarą. Żółtą. Zieloną. Ciemnoczerwony rdzeń. (Nie odważył się spytać: „Czy zawsze jest tak ciemny, czy dopiero po śmierci?"). Wewnątrz rdzenia zauważył zarys organów.

- Czy to... normalne? - spytał Finch Heretyka.

- Normalne?

- Chodzi mi o brak krwi, proszę pana - odparł Finch.

Finch wiedział, że szare kapelusze krwawią. Krew nie wypływała z nich strumieniem ani dużymi kroplami, nawet w przypadku głębokiego zranienia, lecz kapała jak woda z nieszczelnego kranu. Rany klute goiły się niemal natychmiast. Zabicie szarego kapelusza wymagało wiele czasu i cierpliwości.

- Nie, to nie jest normalne. - Wilgotne ciało Heretyka znalazło się tuż przy nim. Jego zapach kojarzył się ze śmieciami i palonym szkłem. Przyprawiał Fincha o mdłości.

- Nic z tego nie jest normalne - wtrącił Stronnik, ale został zignorowany.

Finch podniósł wzrok na Heretyka. Z tej perspektywy widział blade podgardle na długiej szyi.

- Czy pan wie, kim... - Finch się zawahał. Szare kapelusze nie lubiły być nazywane „szarymi kapeluszeniami”, ale on nie potrafił wymówić słowa, którego same używały. *Farseneeni czy fanaarcensiti?* Stronnik krążył wokół nich, robiąc zdjęcia grzybowym okiem.

- Czy pan wie, kim on był? - spytał w końcu Finch, wskazując martwego szarego kapelusza.

Heretyk wydał z siebie taki odgłos, jakby coś pękło.

- Nie. Nie jest nam znany. Nie potrafimy go zobaczyć. - Finch rozumiał, że nie chodzi o zwykłe patrzenie przez okno.

- Czy próbowaliście...? - Nie potrafił dokończyć tego zdania. Było zbyt absurdalne. A zarazem przerażające. Czy próbowaliście zjeść trochę jego ciała, by odczytać wspomnienia?

Heretyk wystarczająco długo obracał się wśród ludzi, by odgadnąć, co Finch ma na myśli.

- Owszem. Nie odczytaliśmy niczego sensownego.

Finch na chwilę się rozluźnił. Zapomniał, że Heretyk może posłać jego, Sintrę i wszystkich, których zna, do obozów pracy.

- Skoro wy nie potrafiliście tego odcyfrować, to jak ja mam to zrobić? Nagle zeszytniał. Richard Dorn, dobry glina, zadawał Heretykowi zbyt wiele pytań. Umierał dziewięć miesięcy. W tym przypadku strzał w głowę. Szary kapelusz tylko odrzekł:

- Może tobie bardziej się poszczęści dzięki świeżemu spojrzeniu. Heretyk wyciągnął spod szaty woreczek i go otworzył. Finch podniósł się i stanął z boku, podczas gdy szary kapelusz posypywał oba ciała drobnym zielonym proszkiem. Finch mógłby to zrobić samemu, wykorzystując swój zapas, ale Heretykowi sprawiało to przyjemność. Z jakiegoś powodu.

- Wiesz, co robić - powiedział Heretyk.

Z czasem z głów obu ofiar wyłonią się bulwy pamięci. Czy aby *fanaarcensiti* zbyttnio nie polegają na tym, co dla nich wygodne? Tylko grzyby, żadnych autopsji. Chociaż i tak brakuje specjalistów, którzy mogliby je przeprowadzać.

Finch ponownie poczuł mdłości.

- Ale ja jeszcze nigdy. Nie jestem szarym kapeluszem. To znaczy, nie należę do pana ludu.

- My nie gryziemy. - Niezwykłe oblicze przeciął jeszcze szerszy uśmiech. Znow rozległ się śmiech, tym razem gorszy.

Finch również się roześmiał, słabo.

- Zapisz wszystko, czego doświadczysz, niezależnie od tego, czy to zrozumiesz.

Na szczęście, Heretyk odwrócił wzrok.

- Szary kapelusz i człowiek. Zginęli w taki sposób. Musimy wszystkiego się dowiedzieć.

- Tak jest - odrzekł Finch, krzywiąc się.

Wyglądało na to, że Heretyk wziął to skrzywienie ust za uśmiech. Idąc do drzwi, poklepał Fincha po łokciu. Finch zadrżał. Szary kapelusz przypominał w dotyku mokre martwe liście, pozszywane i wypchane mięsem.

- Rano czekam na raport - rzekł Heretyk. - A potem na kolejne, Finch. - Znow ten śmiech.

Wreszcie odszedł. Połknęły go cienie w korytarzu, drzwi mieszkania otworzyły się i zamknęły.

Finch słyszał swój oddech. Płytki. Gwałtowne paniczne bębnienie serca. Motyle mrugnięcia Stronnika, który wciąż robił zdjęcia.

Wziął wdech. Drugi. Zamknął oczy.

Słoneczny dzień nad rzeką. Piknik z lunchem. Drzewo rzucające cień. Długa, chłodna trawa. Z Sintrą.

2

Żadnych widocznych ran postrzałowych ani klutych. Żadnych tatuaży ani innych wzorów. Stękając z wysiłku, Finch na chwilę odwrócił mężczyznę, który wydawał się cięższy niż powinien. Ciepła skóra, twarde ciało. Widząc ułożenie rąk, Finch podejrzewał, że są złamane. Przebarwienie na krawędzi ust. Zasnęta krew? Kiedy skończył, mężczyzna wrócił do poprzedniej pozycji, jakby spoczywał tak od stu lat.

Nie było sensu oglądać szarego kapelusza. Na ich skórze nie pozostawały żadne ślady, oparzenia ani rany klute. Wszystko się zasklepiało. Poza tym, przyczyna śmierci była oczywista. Czyż nie? Jednakże Finch nie chciał zakładać morderstwa. Na razie.

Z czterech „morderstw”, które wydarzyły się w jego sektorze w minionym roku, dwa okazały się samobójstwami, a jedno zgonem z naturalnych przyczyn. Czwartą sprawę rozwiązano w ciągu jednego dnia.

Co innego zniknięcia.

Wstał. Popatrzył na układ ciała. Coś w nim było. Zupełnie jakby pozowali. Jakby ktoś ich ułożył. No i jeszcze szyja mężczyzny, na wpół ukryta pod kołnierzykiem koszuli. Czy kark został... skręcony? Trudno było cokolwiek stwierdzić w przypadku szarego kapelusza. Miał niemożliwie długą, gładką szarą szyję. (Czy to oznacza, że Heretyk jest stary, a ten tutaj młody?). Również wykręcona.

Finch zerknął na stary, uginający się sufit. Mniej więcej dziesięć stóp.

- Wygląda to tak - powiedział - jakby obaj spadli. Czy właśnie ten odgłos usłyszeli sąsiedzi?

- Pierwsze ujęcie z kamery-sporo pokazuje ich na podłodze - odezwał się Stronnik.

Finch zupełnie o nim zapomniał.

Odwrócił się i popatrzył na Stronnika. Ten odwzajemnił spojrzenie. Przy każdym mrugnięciu robił Finchowi zdjęcie.

- Mógłbym...

- Co? - odparł Stronnik. - Co mógłbyś?

Mógłbym wyrwać ci to oko gołymi rękami. Ta myśl go zaskoczyła.

- Wiesz co myślę? - rzekł Stronnik.

Finch stłumił irytację. Starał się pamiętać, że każdy ze Stronników ma nie więcej niż

sześć lat. Zbuntowana młodzież, nieważne w jakim wieku. Wszyscy naturalnie bladzi. Albo uczynieni bladymi. Ludzie, którzy otrzymali grzybowe zastrzyki i którym się to spodobało, niech Truff ma ich w opiece. Czuli adrenalinowego kopa dzięki wzmocnionemu zmysłowi wzroku. Ulepszonemu za pomocą grzybowych narkotyków generowanych wewnątrz oka. Pompowanych do mózgu. W pewnym sensie oko przez cały czas spoglądało do ich wnętrza.

Nigdy się nie dowiem, co myślisz. Nawet za milion lat.

- Zgłosiłeś się na ochotnika - powiedział Finch, wskazując oko Stronnika. - To cię czyni szalonym. Dlatego nie zależy mi na poznaniu twojej opinii.

Stronnik zachichotał.

- Już to wszystko słyszałem. A ty nigdy się nie dowiesz, co tracisz... Ale oto, co myślę, niezależnie od tego, czy cię to interesuje. Ten mężczyzna tak naprawdę nie był człowiekiem. Nie w pełni. Akurat ja wiem, o czym mówię, czyż nie? I coś poszło nie tak. Być może oni nie zginęli tutaj, ale zostali... czy ja wiem... przeniesieni.

Finch obdarzył Stronnika długim spojrzeniem, po czym ponownie przyklęknął obok ciała mężczyzny. Druga część wypowiedzi Stronnika miała mniej sensu od pierwszej.

- Po prostu wykonuj swoją pracę. Ja się zajmę swoją.

Stronnik zamilkł. Poczul się dotknięty? Uwiódł go jakiś nowy obiekt do sfotografowania?

Fincha naprawdę to nie obchodziło. Coś przyciągnęło jego uwagę. Dwa palce lewej dłoni mężczyzny. Zaciśnięte. Pod paznokciami brud albo piasek. Finch uklęknął, pochylił się i podniósł dłoń trupa. Jej ciepłota go zaskoczyła, zielone spory już przenikały do wnętrza ciała. Odgiął palce. Zobaczył pognieciony kawałek papieru. Jego puls na chwilę przyśpieszył.

Zabrał papier. Puścił palce. Ręka opadła. Zasłonił kartkę swoim ciałem przed wzrokiem Stronnika.

Zwyczajny papier, nie grzybowy. Stary i poplamiony. Wyrwany z książki? Rozwinął go. Dwa słowa pośpiesznie zapisane czarnym atramentem: *Nie zaginie*. A poniżej jakiś bełkot, który wyglądał jak *bellum omnium contra omnes*. To całość czy część jakiejś dłuższej wiadomości?

Zdecydowanie wyrwany z książki. Na odwrocie wydrukowany fragment zdania: „może przynieść przyszłość, gdy przeszłość jest tak niejednoznaczna” oraz symbol, który wydał się Finchowi znajomy. Nie wiedział jednak, skąd mógłby go znać.



Schował karteczkę w bucie, zanim Stronnik zdążył zarejestrować, że Finch coś

znalazł. Wstał. Wyjął rękawiczki z kieszeni kurtki i je włożył. Otworzył woreczek przy pasie.

Heretyk zapomniał o środku konserwującym, ale obwiniałby Fincha, gdyby nie dopilnowano tego obowiązku. Zwłoki nie przetrwają długo. Przed upływem czterdziestu ośmiu godzin już się nimi oddycha, gdy spory dopełnią dzieła.

Ostrożnie posypał oba trupy błękitnym proszkiem. Tym razem nie były to spory, ale małe zarodniki. Proszek przypominał zapachem dym z obozów na południu. Albo to obozy pachniały jak proszek. Wkładanie rękawiczek było bezcelowe, biorąc pod uwagę setki grzybowych toksyn i eksperymentów, które wypuszczono do atmosfery. Miliony latających kamer-spór. A jednak to zrobił.

Błękit zmieszany z zielenią. Zieleń zniknęła na jego oczach, skolonizowana przez błękit. Teraz obydwa ciała się nie rozłożą. Pozostaną w tym stanie, dopóki Finch nie wróci, by odczytać ich wspomnienia.

- ...I wiem, że nie chcesz zjeść ich wspomnień - odezwał się Stronnik za plecami Fincha. Triumfował.

Finch odbiegł myślami tak daleko, że przegapił pierwszą część jego wypowiedzi.

- To wszystko? - Miał ochotę się roześmiać.

Czy rozmawiali tak między sobą w koszarach obok obozów, gdzie szare kapelusze przetrzymywały ich w charakterze broni? Skąd wylewali się każdego dnia i każdej nocy jak czarne mrówki. Obserwatorzy, a zarazem ochroniarze.

- Boisz się zmiany - rzekł Stronnik. - Tego, że zostaniesz zmieniony. Dlatego mnie nienawidzisz.

Finch gwałtownie obrócił się w kuckach, kładąc dłoń na pistolecie. Popatrzył Stronnikowi w skażone oczy.

- To wszystko? - powtórzył. - Czy już skończyłeś robić zdjęcia?

Nie są potrzebne umiejętności, gdy każde mrugnięcie zapisuje obraz. Nie ma godności w bezustannym podglądactwie. To zdrada przeciwko własnemu rodzajowi. „To wypacza twoją prywatność” - powiedział kiedyś Wyte, zupełnie jakby coś o tym wiedział. „Stale jesteś zajęty. Nie chciałbym żyć w taki sposób”. A jednak Wyte teraz tak żył. Podobnie Finch. W pewnym sensie.

- Ja nigdy nie kończę - odparł Stronnik. - A jeśli zbroiłś coś w przeszłości, to powinieneś się martwić. Pewnego dnia oni przeanalizują wszystkie nagrania. Może cię znajdą.

Najzabawniejsze jest to, Stronniku, że Heretyk już zna moją przeszłość. Przynajmniej jej większość. I gównie go ona obchodzi. To nie nim się przejmuję.

Chciał to powiedzieć, ale się powstrzymał. Rozpiął kaburę. Grzybowy pistolet drżał jak żywa istota. Mokry. Ociekający. Bezużyteczny przeciwko szarym kapeluszm. Bardzo użyteczny przeciwko Stronnikowi. Wciąż jesteś człowiekiem, choćbyś nie wiem jak dobrze udawał.

- Wypierdalaj stąd.

- Widzę wszystko - odparł Stronnik. - Wszystko.

- Tak - rzekł Finch - ale to nieuniknione, prawda?

Stronnik wbił wzrok w Fincha. Wydawało się, że chce coś powiedzieć. Ugryzł się w język, mocno. Wyszedł na korytarz i zatrzasnął za sobą drzwi. Zostawiając Fincha samego ze zwłokami.

* * *

Teraz Finch widzi kruchość, którą nadała im śmierć. Dostrzega słabość. Widzi, że światło wykorzystuje ich w taki sam sposób jak jego. Podchodzi do okna. Spogląda na zniszczone oblicze Ambergris.

Niech to szlag, sześć lat i już niczego nie rozpoznaję.

Surowa błękitna zatoka, do której krwawi rzeka Moth. Wycięta w nicości. Pierwszą rzeczą, którą zrobiły szare kapelusze po Powstaniu, było zalanie Ambergris i zabicie tysięcy ludzi. Teraz miasto, poprzecinane kanałami, przypomina ciało topielca. Częściowo zbielełe, częściowo opuchnięte. Metal i kamień pełnią rolę mięsa. Niektóre miejsca wystają z wody, inne ledwie dotykają powierzchni.

Na pierwszym planie stoi rusztowanie otaczające dwie wysokie wieże, które budują szare kapelusze. Prowizoryczny most pontonowy prowadzi na sztuczną wyspę otaczającą podnóże budowli. Rusztowanie wznosi się na dwadzieścia stóp ponad najwyższą wieżę. Trudno ocenić, czy budowa dobiega końca, czy będzie trwała jeszcze sto lat. Olbrzymie masy zielonych grzybów tkwią na wierzchołkach. Sprawiają, że wieże wyglądają jakby były włochate, porośnięte futrem, zbudowane z krwi i kości. Zapach przywodzący na myśl olej, trociny i smażące się mięso. O zmroku każdego dnia szare kapelusze prowadzą robotników z obozów położonych na południe od miasta. Przez całą noc rozlegają się odgłosy walenia młotami i budowania. Szmaragdowe światła poruszają się jak powolne gwiazdy. Krzyczą ranni i karani. Za co? Nikt nie wie. Wzdłuż brzegu zatoki monstrualne grzybowe katedry pną się w górę pod osłoną ciemności, zastępując starą, znajomą architekturę. Krajobraz miasta przypomina poszarpaną ranę.

Dwadzieścia lat wojny domowej. Sześć lat szarych kapeluszy.

Po lewej stronie, na południowym zachodzie: smugi tłustego szarego dymu ponad odległym barwnym widowiskiem, jakie stanowi Kosa, wyspa zbudowana z połączonych łodzi. Nora szpiegów. Schronienie desperatów i wyjętych spod prawa.

Poza Kosą sylwetki dwóch mieszkalnych kopuł zakrywających obozy dla internowanych. Przesłonięte przez dym, ukryte przez gruzy. Zbudowane nad doliną domów. Zbudowane na szczątkach wojskowych fabryk, które niegdyś pozwoliły dwóm wielkim spółkom handlowym, Domowi Hoegbottona oraz najeźdźcom - Domowi Frankwrithe'a i Lewdena - śnić o imperium i zniszczyć się nawzajem. A przy okazji także miasto. Finch walczył w oddziałach Hoegbottona. Dawno temu.

Pomiędzy kopułami ognisty zielony blask i minarety Dzielnicy Religijnej, gdzie mieszkają niedobitki rdzennych plemion. Adaptują się. Trudzą. Skazane na zagładę. Finch widzi odsłonięty krater na szczycie Katedry Truffidiańskiej. Roztrzaskana. Wszystkie modlitwy uwolnione. Nic nie pozostało.

Po prawej stronie, na północnym brzegu: Strefa Hoegbottona i Frankwrithe'a. Olbrzymie kosmyki czerwono-pomarańczowego grzyba przecinają skały ciągnące się wzdłuż wody. Zielona mgiełka przesłania widok na to, co mogło pozostać na północnym brzegu. Sześć lat temu SHF ograniczała się do północnej części Ambergris: była dzika, owszem, ale nieskażona. Potem, pod wpływem ustawicznych ataków szarych kapeluszy, armia buntowników wycofała się na obecnie zajmowane pozycje. Zabrali ze sobą tyle ciężkiego opancerzenia, amunicji i dział, nie wspominając o dwudziestu tysiącach żołnierzy, że Finchowi trudno uwierzyć, by to wszystko mogło po prostu zniknąć albo rozpaść się w proch. A jednak wygląda na to, że tak się stało. Ludzie weszli, a szare kapelusze utworzyły wokół nich Strefę. Tylko tak zwana Błękitna Dama, która dowodziła buntownikami, oraz kilku jej żołnierzy wymknęli się z pułapki.

Kiedyś SHF rozrastała się każdego dnia. Obecnie przestała rosnąć i zajmuje powierzchnię mniej więcej dziesięciu mil kwadratowych. Niemal wszyscy mieszkańcy mogą ją zobaczyć. Ale to nic nie daje. „Czy buntownicy powrócą?“, pyta każdy, nawet teraz. Kiedy wiatr dziwacznie wieje - zmieniając kierunek bez powodu - duże cząsteczki połyskujące pomarańczowo, fioletowo i niebiesko dryfują z północy ponad zatoką do Ambergris. Nawet szare kapelusze nie wchodzą do SHF, chyba że z czyjegoś upoważnienia. Teoria głosi, że pozwalają, by niedobitki buntowników włóczyły się w toksycznej grzybowej zupie. To niemal jak kolejny obóz, bez płotów i strażników.

Tylko że z SHF nikt nie wychodzi.

Za wieżami, za zatoką, drugi brzeg rzeki Moth. Odległy. Nieosiągalny. Jeszcze dalej,

choć Finch ich nie widzi, a jedynie wyczuwa: wschodnie rubieże imperium Kalifa, Wspólnota Stockton na południu, Protektorat Morrow na północy. Pomędzy nimi a Finchem: strefy bezpieczeństwa. Blokady. Ustawiają je sąsiednie kraje. Wszystkie trzy równie zdeterminowane jak szare kapelusze, by nikt nie wydostał się z Ambergris. Choć jednocześnie wysyłają swych szpiegów, którzy wykradają tajemnice miasta.

Finch odwraca się od okna. Czuje smutek, chłód i lęk. Zwłaszcza patrząc na wieże. Co się stanie, gdy szare kapelusze dokończą budowę?

Taki widok może doprowadzić człowieka do szaleństwa.

3

„Kiedy przyjdzie czas, prawda, Finch?”.

Z powrotem na posterunku, gdzie kiedyś mieściła się główna siedziba Hoegbottona i Synów. Wysokie sufity. Ślady złotych liści i mozaiki. Niewyraźny blask wpadający przez rzędy małych okrągłych okien w obu ścianach. Udręczone światło, które nigdy nie pozwala się zorientować, jaka jest pogoda. Czasami wczesnym rankiem i późnym popołudniem muszą korzystać ze starych latarni. Żyrandole już dawno zerwano.

Z powrotem przy swoim biurku razem z innymi detektywami. Smród grzybowej zgnilizny wydobywający się z wąskiego zielonego dywanu biegnącego środkiem od drzwi wejściowych. Tylna część pomieszczenia skryta za zasłoną. Zapach kiepskiej kawy dolatujący od strony stołu, na którym spoczywa ich jedyna maszyna do pisania. Zepchniętego pod przeciwległą ścianę. Obok celi.

Dziesięć biur. Siedmiu policjantów. Skinner, Gustat, Blakely, Dapple, Albin oraz Wyte, wściekle skrzypią ostrymi ołówkami po kartkach notatników. Niektórzy rozmawiają przez telefon. Wszyscy przypominają uczniów podczas niezrozumiałej lekcji. Ale żaden nie zamierza zadawać pytań nauczycielowi.

Niewyraźne powitanie wchodzącego Fincha. Za dużo zachodu. Jeszcze nie minęła poranna paranoja. Trudno zdecydować, co mówić. Jak się zachowywać. Wszyscy zakładają, że szare kapelusze ich szpiegują. Ciężko pilnować się przez cały dzień. Zwłaszcza gdy dziwne wydarzenia występują na tyle nieregularnie, by za każdym razem mieli nadzieję, że „to był ostatni raz”. Powietrze cuchnie starym i świeżym potem. Pod spodem można wyczuć inny, niemal słodki zapach.

Albin, który właśnie skończył rozmawiać przez telefon, rzuca półgębkiem:

- Nie będę narażał życia dla zaginionego psa. Za dużo Stronników tam się kręci. Poza tym, to dawna dzielnica Hoegbottona. - Albin, sympatyk Frankwithe'a i Lewdena. W czasie wojny Finch mógłby go zastrzelić. Były naukowiec. Jeden z niewielu, których nie zabiły szare kapelusze bądź nie porwały obce siły, gdy rozpętał się chaos Powstania.

W drodze powrotnej na posterunek Finchowi popsuł się nastrój. Zawiała trasa. Cztery lata temu szare kapelusze zakazały korzystania z rowerów i pojazdów mechanicznych. Zbyt wiele samobójczych zamachów dokonywanych przez ludzi sympatyzujących z

buntownikami. Zresztą pozostało niewiele paliwa, a żaden dostawca spoza miasta nie chce uzupełniać ich zapasów, nawet na czarnym rynku. To zbyt ryzykowne. Oprócz tego mają ograniczone możliwości przemieszczania się, gdyż już dawno zjedli konie.

Dlatego wędrówka po prowizorycznych mostach nad kanałami. Przez sektor, w którym szare kapelusze wzniosły liczne budynki, zaburzając miejski pejzaż. Zmiany nie pokrywały się z żadną mapą. Wrzynały się w istniejące kompleksy mieszkalne, dzieliły lub blokowały ulice. Były przejawem aroganckiego podejścia do przeszłości i teraźniejszości, które drażniło Fincha.

Potem, gdy już prawie dotarł do celu, tłum na rogu Bulwaru Albumuth i ulicy Lake'a. Jeden z olbrzymich krwistoczerwonych grzybów jeszcze nie wydzielił porannej porcji. To nie problem Fincha. Ale uzależnieni wpadli we wściekłość. Chcieli swojej dawki. Pragną się wy dostać. Stali pod powoli oddychającymi, trupio bladymi blaszkami, czekając na fioletowe kulki, którymi się karmili. Pragną zapomnienia. Przyjemnej podróży przez fale światła oraz przeszłości wolnej od martwych ciał i koszmarów.

Może pewnego dnia do nich dołączy. Zamiast tego kolejny rachityczny most nad kolejnym kanałem. Popatrzył w dół na swoje surowe oblicze odbite w srebrno-szarej wodzie i go nie rozpoznał. Szerokie ramiona. Nadal muskularne, ale trochę węższe. Zbyt wiele alkoholu. Niewystarczająco dużo substancji odżywczych w jedzeniu szarych kapeluszy. Mężczyzna w wodzie wyglądał na co najmniej czterdzieści pięć, a nie czterdzieści lat. Ciężkie powieki. Błada twarz. Niepewna. Niewyraźna. Zawsze rozproszona.

„Kiedy przyjdzie czas, prawda, Finch?”

„Jasne, Wyte” - odparł Finch. „Kiedy przyjdzie czas”

„Będziesz wiedział, co robić”. Głos Wyte'a, niegdyś głęboki i chropawy, zmienił się od czasu pierwszego spotkania z Finchem. Stał się miękki jak woda, łagodniejszy, a zarazem przytłumiony.

„Będę wiedział, co robić”.

Ich rytualna rozmowa.

Rytuał ma swój cel. Rytuał broni przed strachem. Rytuał zmienia nienormalne w zwyczajne. Obok każdego z biurków pamięciodziura. Ciemnozielona żyła biegnie przez całą długość ręki Wyte'a. Wypycha materiał rękawa niczym górski grzbiet. Jak zielony dywan prowadzący do zasłon i tego, co za nimi.

Finch wyjął broń z kabury. Wzdrygnął się pod wpływem dotyku rękojeści.

- Na litość Truffa. - Z chlupotem odłożył pistolet na biurko.

Broń wydały mu szare kapelusze. Ciemnozielony szkielet zewnętrzny i miękki środek.

Jej wnętrzości plamią mu dłoń. Przeładowanie jest niemożliwe. Ostatnio często przecieka.

- Może mi umiera - rzekł Finch do Wyte'a, który siedział przy biurku po jego lewej stronie.

Czy powinienem ją karmić?

Wyte mruknął coś pod nosem. Odruchowo pisał mało ważne raporty. Zaginieni mężowie. Niezidentyfikowane trupy. Akty wandalizmu. Finch także prowadził kilka spraw, ale nie było to nic pilnego.

- Nienawidzę ich - powiedział, ponownie do Wyte'a. Także tym razem spotkał się z obojętnością.

Usłyszał, jak Blakely szepcze do Gustata:

- ...mówią, że jesteśmy uzależnieni od specjalnego gatunku grzyba, który wyrasta z naszych mózgów.

Gustat zachichotał, ale to wcale nie było śmieszne. Przez takie plotki policjant może zginąć z rąk jakiegoś zdesperowanego obywatela. Nie przegapią żadnej okazji.

Finch przeszukał szufladę. Znalazł starą chustkę. Jeszcze sprzed wojny. Kupił ją w drogim sklepie z ubraniami na bulwarze. Nie wiedział, dlaczego ją zachował. Na szczęście? Krzywiąc się, podniósł pistolet przez materiał. Wepchnął go pod biurko. Obok pudełka z ceremonialnym bułatem, który podarował mu ojciec. Przywiezionym z imperium Kalifa przed dwudziestu laty. Owiniętym w sukno. Finch mógł w każdej chwili po niego sięgnąć. Ogarniało go perwersyjne poczucie bezpieczeństwa, gdy przypominał sobie, że szabla tam spoczywa. W swojej lśniącej pochwie.

- Wolałbym dostać kulkę niż użyć tej broni - powiedział, trochę zbyt głośno. Nie był pewien, czy rzeczywiście tak myśli.

Gustat i Blakely, złączeni biodrami, podnieśli wzrok i popatrzyli na Fincha z naganą. Obaj byli zaczerwienieni. Jakby pili.

- Zamknij się, Finch - powiedział Blakely.

- Właśnie, zamknij się - powtórzył jak echo Gustat. Z wściekłością.

Słyszac ich, Dapple tak bardzo przysunął teczkę z aktami do oczu, że zasłoniła mu twarz. Dapple jest z nich najgorszy. Kiedyś był artystą. Malował pejzaże. Akwarele. Lubili je turyści. Teraz nie ma chętnych. Brakuje krajobrazów na tyle ciekawych, by ryzykować dla nich kulkę. Pewnie zostanie ćpunem albo sługusem szarych kapeluszy. Gustat i Blakely, chociaż drażnili Fincha, przynajmniej wciąż mieli głowę na karku.

- No, Finchy, było aż tak źle? - spytał Wyte, jakby próbując usprawiedliwić Fincha. „Finchy” bardziej przypominało jego prawdziwe nazwisko, więc Wyte często tak go nazywał.

Żeby uniknąć przejęzyczenia.

Finch odwrócił się w stronę Wyte'a. Nie miał na to ochoty. Nie miał pojęcia, jak Wyte wygląda.

Wyte: wysoki mężczyzna koło pięćdziesiątki, o przystojnej twarzy, potężnych barkach i klatce piersiowej. Podarty oliwkowy garnitur. Szare oczy. Pojedyncze iskierki zieleni kolonizujące obie orzechowe źrenice. Na prawej skroni fioletowe znamię, którego wczoraj jeszcze nie było. Zapach papierosów maskujący smród grzybów. Mimo że fajki trudno zdobyć. Kiedyś Wyte mógłby wejść do zatłoczonego baru, a wszystkie kobiety starałyby się za nim obejrzeć.

- Podwójne morderstwo - odparł Finch. - W opuszczonym mieszkaniu. Jeden szary kapelusz. Jeden mężczyzna. - Potem opowiedział Wyte'owi resztę.

- Nieudana lekcja tańca - odrzekł Wyte. Uśmiech pojawił się tylko po lewej stronie jego ust.

Skinner, który siedział obok Whyte'a, zaryzykował chichot. Ale on często chichotał. Finch nie uważał, by to było zabawne. Wciąż widział ciała. Skinner wykazywał się zbyt dużym entuzjazmem w sprawach dotyczących buntowników. Dlaczego nie został Stronnikiem?

- To nic dobrego, Wyte. - W tym przypadku „dobre” oznaczało „do szybkiego załatwienia”. Ta sprawa mogła się długo ciągnąć.

- Chcesz, żebym wziął bulwy pamięci? - spytał Wyte, jakby uzmysłowił sobie swój błąd.

- Nie, dzięki.

Kto wie, jaki wpływ miałyby bulwy pamięci na Wyte'a w jego obecnym stanie? Finch wolał nie sprawdzać. Richard Dorn przez dziewięć miesięcy siedział przy swoim biurku, po tym jak szare kapelusze zmusiły go do zjedzenia bulwy pamięci pomimo toczącej go choroby. Martwy. Zmieniał się w wieżę szmaragdowej pleśni. Jego biurko stało teraz w rogu, porzucone, a na siedzisku krzesła widniała smuga.

Jeszcze gorzej mieli podejrzani w areszcie. Przyprawiasz złodzieja, wypełniasz papiery, a szare kapelusze podejmują decyzję. Usiłowanie zabójstwa? Do rana aresztant znika. Albo trafia do obozu. Albo dostaje grzywnę. Facet, którego przyprowadził Blakely, nadal tam siedział. Skulony w rogu. Najwyraźniej uznał, że jego życie dobiegło końca.

Nigdy nikogo nie zatrzymuj, jeśli nie musisz. Jeśli nie masz pewności.

- Czy będziemy mieli z tego powodu kłopoty? - spytał Wyte. Czarna plama powoli przemieszczająca się po jego szyi. Bładozielone paznokcie. Woń czegoś toksycznego.

Nie takie kłopoty jak zwykle.

Finch wzruszył ramionami.

- Kto wie? - Rutynowe wezwanie mogło się zmienić w katastrofę. Katastrofa mogła zostać zażegnana w ciągu jednej nocy.

Wyte odchylił się do tyłu na krześle, splatając dłonie za głową. Czerwone plamy na spodniej części rękawów jego koszuli.

Finch znał Wyte'a od ponad dwudziestu lat. Razem walczyli na wojnach. Znali tych samych ludzi przed Powstaniem. Grywali w rzutki w pubie. Pili. Nagła wizja, jak cios w żołądek: jego ówczesna dziewczyna, smukła brunetka, pielęgniarka, zaśmiewająca się z jakiegoś żartu, który Wyte opowiedział pewnego wieczoru. Ale dni Komika Wyte'a już dawno minęły, nie licząc okazjonalnych przeblysków, które tylko pogarszały sytuację.

Za sprawą jakiejś kosmicznej pomyłki bądź okrucieństwa zostali zmuszeni do wspólnego prowadzenia śledztw, choć Finch kiedyś pracował dla Wyte'a jako goniec u Hoegbottona. Stanowią dla siebie nawzajem przypomnienie lepszych czasów. Od Wyte'a odeszła żona, Emily, a on sam wprowadził się do paskudnego mieszkania położonego kawałek na północ od posterunku. Nie widuje swoich dwóch córek. Zostały przemycone do krewnych w Stockton jeszcze przed Powstaniem. Finch nie kojarzy, ile teraz mają lat.

Pewnego dnia Wyte zmieni się w sylwetkę na horyzoncie. W kogoś znajomego, kto stał się odległy.

Wyte to wyczuwa.

- Możesz mi pomóc ze śledztwem w terenie, Wyte - zaproponował Finch. Jeśli sam nie staniesz się obiektem takiego śledztwa.

- Nie ma sprawy. Chętnie.

- Uporządkuję notatki. Zabierzemy się do roboty, jak tylko użyję bulw pamięci. Jutro.

Wyte nie słuchał. Nieobecny wzrok. Oderwany. Apokaliptyczne myśli? A może po prostu obserwował wnętrze budynku. Wszyscy prowadzili cichą wojnę przeciwko posterunkowi, który chciał, by zapomnieli o jego dziwnej naturze. Starali się nie zapomnieć.

Finch odwrócił się w stronę biurka i zaczął porządkować swoje rzeczy. Nie robił tego od tygodnia. Brakowało mu energii.

Lusterko. Pastyłki chroniące przed zakażeniem. Maski oczyszczająca powietrze ze spór. Notatnik. Ołówki. Telefon. Popsuty telefon. Teczki z materiałami o prowadzonych dochodzeniach. Teczki z materiałami o zamkniętych dochodzeniach. Spinacze do papieru na dnie szuflad. Lista skarg od ludzi, którzy do niego dzwonili z nadzieją, że im pomoże. Zazwyczaj nie potrafił.

Kiedyś, na samym początku, wierzył, że może zrobić coś dobrego, a czasami nawet wyobrażał sobie, że jest agentem, który podkrada się, by zadać cios. Wyobrażał sobie, że robi to po to, by bronić Ambergris przed otaczającymi je wrogami. Że chroni zwykłych obywateli.

Ale tak naprawdę był zmęczony i przestało mu zależeć. Przytłoczyła go zbyt długa walka i zbyt wiele spraw związanych z jego przeszłością. A kiedy powróciła do niego ta iskra, ten impuls, było już za późno: wpadł w pułapkę.

„Nie jestem detektywem”.

Heretyk: „Teraz jesteś tym, czym chcemy, żebyś był”. Gdyby pewnego dnia po prostu odszedł, co by się stało z Wyte'em? Z jego pozostałymi przyjaciółmi? Z Sintrą?

No i: czy oni wiedzą o Sintrze?

* * *

Wyglądało na to, że na jego biurku niczego nie brakuje. A jednak zawsze warto sprawdzić. Wiele przedmiotów zniknęło w nocy albo zastępowano je ich kopie. Niejednemu policjantowi zdarzyło się wrzasnąć, gdy okazywało się, że podniesiony ołówek tak naprawdę nie jest ołówkiem. Finch wyjął kartkę, którą znalazł w dłoni martwego mężczyzny. Położył ją przed sobą. Co mogły znaczyć te słowa? Wyjął notatnik i nagryzmołił:

Nie zaginie.

Bellum omnium contra omnes

na szczycie strony. Popatrzył na dziwny symbol. Przypominał mu pisklaka.



Czy to przypadkowa kartka wyrwana z książki? A może coś więcej? Porzucił to pytanie. Napisał:

dwa ciała

spadły.

Pomyślał o Stronniku, który miał czelność sprzeciwić się Heretykowi.

O skrywanym rozbawieniu Heretyka. Co to wszystko oznacza? Przynajmniej wiedział, o czym świadczyła obecność Heretyka na scenie zbrodni: szary kapelusz z pewnością podejrzewał, że ta sprawa ma jakiś związek z buntownikami i ich nieuchwytnym dowódcą, Błękitną Damą. Kobieta, której sława sięgała poza granice miasta, choć ona sama nie była

jego częścią. Większość ludzi widziała jej rękę w każdym działaniu, które szkodziło szarym kapelusom. Jednakże takie akty oporu były coraz rzadsze. Niektórzy uważali, że Błękitna Dama nie istnieje. Albo nie żyje.

Uwięziona armia buntowników. Błękitna Dama.

Czy ich los był gorszy od jego losu?

* * *

Finch znów widzi, cofając się o sześć długich lat, kolumny czołgów i piechoty w odwrocie, przemierzające miasto w kierunku północnym. Z perspektywy czasu rozumie, że trasę ich ucieczki wybrały szare kapelusze. Wymusiły ją za pomocą podnoszącej się wody.

Odległe wybuchy rozdarły powietrze, gdy szare kapelusze zaatakowały maruderów na końcu kolumny. Wtedy Finch już nie słyszał strzałów z broni ręcznej, chyba że rozlegały się w pobliżu.

Pomimo ryzyka wiele osób wyszło na ulice, by patrzeć na buntowników. Z pobocza. Z balkonów. Przez okna wzmocnione metalowymi kratami. Wszyscy chcieli zobaczyć hałaśliwy pochód czołgów. Zapamiętać twarze żołnierzy: blade i ciemne, stare, młode oraz w średnim wieku. Pod zielonymi hełmami oznaczonymi insygniami H&L/F&L, które drażniły tak wielu. Żołnierze dysponowali automatyczną bronią, bagnietami, nożami. Większość miała mundury. Często zniszczone. Płatanina bandaży na głowach, nogach i rękach zakrywała dziwne grzybowe rany.

Twarz jednego z mężczyzn przyciągnęła uwagę Fincha. Broda przyprószona siwizną, pobrużdżone czoło, przez które wyglądał, jakby stale mrużył oczy. Czerwona plama na policzku. Leżał bezwładnie, ale jego ciało napinało się, gdy czołg podskakiwał na wybojach. Chuda dłoń ściskająca karabin Lewdena, wyraźnie zarysowane knykcie. Wpatrzony przed siebie, jakby nie chciał uznać terażniejszości.

Wtedy Finch ponownie uświadomił sobie, że odchodzący mężczyźni i kobiety to ci sami, którzy zwalczali się nawzajem podczas trwającej ponad trzy dziesięciolecia Wojny Domów, przerywanej tylko przez krótkotrwałe rozejmy, zawieszenia broni oraz sen o imperium. To oni na tak wiele sposobów zrujnowali Ambergris przed Powstaniem.

A jednak pochodzili z Ambergris i byli jego częścią; nawet Finch to czuł, gdy stał obok Wyte'a i Emily. Zupełnie jakby samo Ambergris się wycofywało, pozostawiając za sobą jedynie duchy i dzieci. A zarazem wywołując chore oszołomienie. Przemarsz tak potężnej armii był niczym święto. Odwrót przypominał nowy początek. Uśpienie przeciwnika przed wielką ofensywą.

Nawet czołgi stanowiły część Ambergris. Powstały dzięki złożom metalu, które odkryto we wschodniej części miasta osiemdziesiąt lat wcześniej, i które gwałtownie wyciągnęły Ambergris z przeszłości, choć nie zdołały wprowadzić go w przyszłość.

Każdy z czołgów buntowników miał dwie wieżyczki: jedna była skierowana do przodu, druga, niewidoczna, mierzyła w ziemię. Skonstruowano ją specjalnie w celu bombardowania podziemnych enklaw szarych kapeluszy. Kiedyś ich ostre synkopowane pieśni niesły się nad całym miastem. Przenikały grunt i wbijały się w ściany budynków oraz tunele. Jak niosące się echem warczenie wścieklej bestii.

Jednakże podczas odwrotu Finch słyszał przede wszystkim śpiew żołnierzy; ich szorstkie głosy zagłuszały huk czołgów. Patriotyczne pieśni skomponowane przed wieloma wiekami. Refren zaczerpnięty z modlitwy truffidiańskich mnichów.

Święte miasto, dostojne, porzuć strach.

Wstań i z długiego otrząśnij się snu.

Nazbyt długo już toniesz we łzach.

Podniesiemy cię w lasce i chwale.

Miasto ran. Miasto ranienia. Przez chwilę Finch miał ochotę wspiąć się na jeden z czołgów i dołączyć do wojska w spustoszonej Północnym Ambergris. Ale nie był jednym z nich. Nie odpowiadał przed żadnym oficerem. Sam kupił broń. Nielegalnie. Był żołnierzem nieregularnych oddziałów, które walczyły w jego dzielnicy. Bronili swoich sióstr, braci, rodziców i sąsiadów przed najeźdźcami.

Kiedy z łoskotem minął ich ostatni czołg, Finch wrócił do domu z Wyte'em i Emily, by czekać na kolejne wydarzenie. Cokolwiek to będzie. Potrzeba pracy. Pożywienia. Schronienia. Ludzie już zaczęli przebąkiwać, że pod rządami szarych kapeluszy może być lepiej niż podczas Wojny Domów. Żartowali na ten temat. Tak jak żartuje się z przelotnej burzy.

Czekali w domu Wyte'a. Przy świecach. Pili. Nerwowo się śmiali. Starali się zapomnieć. Ojciec Fincha nie żył od prawie dwóch lat.

Tuż po północy: dźwięk, jakby olbrzymi płomień buchnął i zaraz zgasł. Kiedy wyjrzeni, zobaczyli kopulastą poświatę nad północną częścią zatoki. Zielono-pomarańczowe wyładowania przypominające plamy na słońcu. Po prostu patrzyli. Patrzyli, nie wiedząc, co powiedzieć. Co zrobić. Zabarykadowali drzwi. Spędzili resztę nocy z bronią w zasięgu ręki.

Rano paralizujące przerażenie. Gdy wymknęli się z domu tylnymi uliczkami, by

dokładnie przyjrzeć się drugiej stronie zatoki, zobaczyli, że zazwyczaj kipiący życiem obszar znany jako SHF jest całkowicie opustoszały. Żadnych czołgów. Żadnych wiadomości od przywódców buntowników.

 Nie powiedzieli tego na głos, ale pomyśleli: Porzuceni. Odeszli. Zdani na własne siły.

 Potem - gdy szare kapelusze wyległy na ulice, a Stronnicy zaczęli im pomagać w okupacji miasta - zrozumieli, że wojna się skończyła. Że każdy z mieszkańców Ambergris musi zawrzeć osobisty pokój z wrogiem.

 Patrzac ponad wodą na SHF, zawsze będą żywili nadzieję, że czołgi i żołnierze powrócą. Znow wyjadą na ulice. Że buntownicy żyją. Nie zostali zniszczeni.

 Nie zaginęli.

4

Popołudnie. Cichy, wilgotny, ssący dźwięk dobiegł z pamięciodziury przy jego biurku. Finch zadrżał, odłożył notatki. Dostał wiadomość.

Niektórzy detektywi tak ustawili biurka, by widzieć swoje pamięciodziury. Finch zadbał o to, by nie widzieć swojej bez wychylania się z krzesła. Kiedy rano wchodził na posterunek, starał się na nią nie patrzeć. Jednak pamięciodziura i tak była lepsza od ożywionego zdechłego kota, który kiedyś stanął na progu domu Skinnera i wyskrzecztał wiadomość rymowanymi dwuwierszami. Albo grzyba, który wspiał się na biurko Dapple'a i wyrzucił na lewą stronę, by przekazać komunikat.

Finch gwałtownie wypuścił powietrze z płuc. Wyrzwał zza lewego narożnika biurka. Zerknął do wnętrza lśniącego otworu. Miał on średnicę dwukrotnie szerszą od ludzkiej pięści. Zęby jak u minoga. Dysząca, zabarwiona na różowo paszcza. Odrażająca. Zielone kosmyki okalające gardziel wypchnęły na wierzch pyska brudny kulisty strąk.

Finch wyprostował się na krześle. Nic nie widział. Tylko słyszał oddech. Tak było jeszcze gorzej.

Szare kapelusze nazywały je „rurami komunikacyjnymi”, ale wśród policjantów przyjęła się nazwa „pamięciodziury”. Pozwalały one na komunikowanie się z przełożonymi-grzybianami. Finch nie miał pojęcia, czy pamięciodziury to żywe istoty, czy tylko na takie wyglądają. Czasami wyciekał z nich jakiś płyn.

Kiedyś pod wpływem impulsu owinał papierem resztki drugiego śniadania i wepchnął je do otworu. Przez resztę dnia żył w strachu. Na szczęście, nic się nie wydarzyło. Kiedy potem o tym myślał, chciało mu się śmiać. Gdzieś tam w dole Heretyk dostał w głowę odpadkami. Może przeklinał Fincha..

Teraz wiadomość od Heretyka wibrowała na wijących się kosmykach.

Finch się nachylił. Chwycił strąk. Oślizgły w dotyku. Lepki.

Rzucił go na biurko. Wyjął młotek z tej samej szuflady, w której trzymał skromny zapas własnych uśpionych strąków, po czym rozłupał ten, który otrzymał od Heretyka, rozpryskując wkoło maź.

Wyte, który siedział obok, skrzywił się i poszedł po kawę.

Zniesmaczony czy może czuje zbyt silne powinowactwo?

- Nie da się tego elegancko zrobić, przyjaciele! - zawołał Finch. - Po prostu odwróćcie wzrok. - Tym razem nikt nie zwrócił na niego uwagi. Zbyt im to spowszedniało. Nawet komentarz Fincha.

Pomiędzy fragmentami strąka: kilka kopii zdjęcia martwego mężczyzny, z pozdrowieniami od Stronnika. Oraz wiadomość.

Pulsująca na żółto. Jajo z żywego papieru. Wyciągnął je z rozbitego strąka i zaczął masować, aż rozpląszczyło się na blacie. Ku zaskoczeniu Fincha, wcale nie zamierzało przestać. Zaczęło się rozwijać. Jak długi i szeroki język. Wciąż rosło.

Było to na tyle nietypowe, że detektywi zgromadzili się wokół biurka.

- Zaraza, co to jest? - spytał Blakely, obok którego stanął Gustat. Dapple nieśmiało zerkał Blakely'emu przez ramię. Albin i Skinner dostali wezwanie, w przeciwnym razie także by ich tu nie zabrakło. Każda okazja była dobra, by zmarnować trochę czasu.

- Wygląda na to, że Heretyk ma dla ciebie długą listę zadań do wykonania - rzekł Gustat. Zbyt młody, by znać cokolwiek poza wojną i Powstaniem.

Finch nie odpowiedział. Pofałdowany papier urósł na tyle, że zsunął się z krawędzi biurka na jego kolana. Chwycił go i zobaczył rzędy informacji zapisanych cienkim jak nitka, pajęczym drukiem typowym dla dokumentów szarych kapeluszy. Głęboko odetchnął.

- To spis wszystkich lokatorów z tamtego mieszkania, w którym popełniono podwójne morderstwo. Z ostatnich... - Sprawdził, gdy papier skończył się rozwijać. - Z ostatnich stu lat. Nawet więcej.

Szybszy puls. Niby jak mam to zbadać?

Morden, Jonathan, zamieszkały przez 3 miesiące 2 dni 11 minut 5 sekund - zatrudniony przy rozdzielaniu żywności w obozach...

Wilden, Sarah, zamieszkała przez 8 miesięcy 3 dni 2 minuty 45 sekund - opuszczała mieszkanie tylko w celu zakupu żywności. Miała trzy koty, lubiła czytać...

* * *

Nagły przyptyw paniki. Przytłoczony przeszłością. Zagubiony w jej gąszczu.

Próbował wziąć się w garść. Zwinął papier, schował zdjęcia do kieszeni. Pozostali policjanci nerwowo się zaśmiali. Wrócili do swoich biur. Ponownie wystraszeni.

Nikt nie chciał takiego dochodzenia.

Nagle Finch poczuł gniew. Czy Heretyk naprawdę uważał, że to mu pomoże? Bał się

jak cholera.

Wyte stał za plecami innych, trzymając kubek z kawą. Teraz pojawił się w polu widzenia niczym aktor, który nagle wyłania się z drugiego planu.

- Dużo informacji - powiedział.

Finch rzucił mu nieprzychylnie spojrzenie. Miał dłonie obryzane żółtą i zieloną mazią.

- Znajdź mi ręcznik.

Wyte odstawił kawę i zaczął grzebać w jednej z szuflad biurka.

Silvan, James, zamieszkały przez 15 miesięcy 3 dni 1 godzinę 50 minut 2 sekundy - kolaborował z jedną z frakcji buntowników...

Hughes, Shanna, zamieszkała przez 1 miesiąc 2 tygodnie 3 dni 10 minut 35 sekund - zabita przez grzybową bombę...

- Może dostali to z dawnej dzielnicy biurokratycznej? - szepnął Wyte półgębkiem, nachylając się, by podać Finchowi ręcznik. Zapach potu zmieszany z czymś słodszy. - Może po prostu to przekopowali? - Wrócił do swojego biurka, rozpluwając się w tle.

- Wiadomość jest częściowo zaszyfrowana za pomocą ich symboli, Wyte - odparł Finch. Starał się zamaskować pogardę w głosie. - Zawiera informacje wywiadowcze. Sami je zebrali.

Spod ziemi. Używając miliona kamer-spór. Wiedział, że jedna z serii obrazów uchwyconych przez szare kapelusze zawiera zapis jego przeszłości, o której nie wie Heretyk. Finch jako żołnierz nieregularnej armii Hoegbottona walczący przeciwko Domowi Frankwithe'a i Lewdena w Wojnie Domów. Finch stający ramię w ramię z wojskiem F&L przeciwko szarym kapeluszą przed Powstaniem. Zapis tego, co zrobił.

Tylko że szare kapelusze nie miały czasu analizować tak wielu obrazów bez istotnego powodu. A Finch im takiego powodu nie dostarczył. Tylko Wyte znał prawdę.

Gilrish, Meghan, zamieszkała przez 10 miesięcy 3 tygodnie 6 dni 14 godzin 15 minut 6 sekund - prowadziła sklep spożywczy...

Barran, George, zamieszkały przez 2 lata 1 tydzień 5 dni 7 minut 18 sekund - zmarł ze starości...

Finch wpatrywał się w pierwsze dwa rzędy nazwisk na arkuszu. Przytłaczała go liczba informacji.

Wciąż myślał o ciałach. Widział jak leżą na podłodze mieszkania. Pojawiły się znikąd.

Dlaczego akurat tam?

Oto zagadka i łamigłówka w jednym. Perwersyjną pociechę zapewniał fakt, że bulwy pamięci mogą zawierać odpowiedź.

Nie zaginie.

„Bellum omnium contra omnes”.

Nie zaginie.

Powtórzył to trzykrotnie pod nosem. Zastanawiał się, czy Wyte mu się przygląda. Nadal nie potrafił znaleźć odpowiedzi.

- No cóż - odezwał się półgębkiem. - Wiesz, co znaczą te słowa? „Bellum omnium contra omnes”?

Ale Wyte już skończył rozmawiać z nim o śledztwie.

Czasami Finch miał wrażenie, że nałożenie się rzeczywistości to oszustwo. Pewnego dnia skręci za róg zasypanej gruzem ulicy. Przejdzie pod arkadą na dziedziniec. Wróci do innego, prostszego świata. Do czasów, gdy pracował w tym samym budynku jako goniec u Hoegbottona. Nie jako detektyw. Kiedy pracował dla Wyte'a, a nie z nim.

Czyżbym umarł? - myślał czasami, idąc po zielonym dywanie, który pamiętał z innego miasta, innego czasu. Czy jestem duchem?

* * *

Osiemnasta. Czas wyjść. Spakował listę Heretyka do torby i schował swój żaloszny pistolet do kabury. Patrzył, jak Blakely i Gustat „na wszelki wypadek” zakładają maski gazowe chroniące przed sporami. Na wypadek czego? Na wypadek, gdyby w tym przeklętym mieście był jeszcze jakiś grzyb, na którego działanie nie byliście wystawieni?

Skinienie głową. Kilka uścisków dłoni. Słowa pożegnania wymamrotane do Wyte'a. Potem się rozeszli. Wkrótce przybędzie nocna zmiana. Już za dwie godziny na ulice wyruszą patroli Stronników. Godzina policyjna. Skradające się szare kapelusze. Rzadko widuje się więcej niż jednego, ale to i tak o jednego za dużo. Policyjna odznaka może pomóc, ale nie musi.

Pozostali udali się na północ Bulwarem Albumuth. Wyte trzymał się z tyłu niczym potężny cień. Finch ruszył na południe, ale nie do domu. Jeszcze nie. Najpierw musiał zabrać bulwy pamięci z miejsca zbrodni. Jednak nie zamierzał ufać Stronnikowi, więc postanowił

osobiście porozmawiać z mieszkańcami domu przy alei Manzikerta numer 239.

Tym razem inna trasa niż rano. Promienie późnopołudniowego słońca jak ciemne złoto na ceglanych ścianach. Ulica wspinała się, po czym łagodnie opadała po łuku. Wysokie ściany ściśniętych kamienic i fabryk zamienionych w mieszkania. Terytorium Hoegbottona przed Powstaniem. Finch otarł się o osobę niewiadomej płci zakrytą długą szatą. Ktoś zanurkował w bramie, a jego twarz pozostała tajemnicą za sprawą starej maski gazowej, która mogła, lecz nie musiała chronić przed sporami. Plama błękitno-zielonych porostów w rynsztoku. Cuchnące powietrze.

W głębi prostopadłej ulicy niewyraźna sugestia zatoki. Niemal całkowicie zasłoniętej przez mansardy i gruz. Przez chwilę widok na dwie wieże. Czy całe niebo wyglądało tak samo? A może było ciemniejsze pomiędzy wieżami? Finch zakładał się z innymi policjantami o przeznaczenie wież. To łagodziło strach.

Kiedy skręcał za róg, zauważył za sobą jakiś cień. Wzmógł czujność. Poczul, że ogarnia go paranoja. Po chwili się zatrzymał. Udał, że zawiązuje but. Zerknął za siebie. Nic.

Czyżby przywidzenie?

Nie dziwiłby się, gdyby Heretyk kazał go śledzić. A może to tylko jakiś obdarty dzieciak, który liczył, że uda mu się obrabować przechodnia. Podnosząc się, Finch odchylił kurtkę. Pokazał broń.

* * *

Dom o numerze 239 przy alei Manzikerta był ciemną pionową bryłą kamienia i drewna z czernionymi, kunsztownie zdobionymi balustradami balkonów pełzającymi w górę fasady. Drzewa pozostawiały na schodach czarne liście i gnijące żółte jagody. Gdyby jagody były jadalne, stopnie dawno zostałyby wyczyszczone.

Zdobione podwójne drzwi obdarte z metalowej inkrustacji. Schody strzeżone przez trzynogiego kota, który zasyczał, po czym oddalił się, kuśtykając. Za drzwiami korytarz usiany światłami tak ciemnymi, że trudno byłoby przy nich czytać. Finch wkroczył do środka. Poczucie bycia śledzonym zniknęło. Zupełnie jakby zostało aktywowane tylko na jakiś czas.

Podłoga skrzypiała. Niedawno ktoś ją nawoskował. Jeszcze rano nie była nawoskowana. Finch się uśmiechnął. Stara sztuczka ludzi Hoegbottona. Tani system ostrzegawczy. Dzwonek na szyi kota. Poskrzypując, dotarł do klatki schodowej. Już wiedział, że winda nie działa.

Światło z zewnątrz nie potrafiło przebić się przez malutkie okna w ścianach. Im wyżej wchodził, tym ciemniej robiło się na schodach. Zauważał jednak coraz więcej śladów ludzkiej

obecności. Wycie psa. Spłukiwanie wspólnej toalety. Wrzask dziecka. Podniesiony głos matki. Zapach jakiejś pikantnej potrawy gotowanej na kolację. Przefiltrowany przez stary, zatechły smród miejsca, w którym zbyt wiele osób żyło blisko siebie od zbyt wielu lat.

Finch wiedział, że nie warto zaczynać na pierwszych dwóch piętrach. Nikt, kto miał jakiś wybór, nie chciał mieszkać tak nisko. Zasady Ambergris. Lepiej mieszkać obok trupa niż jedno piętro nad podziemną krainą szarych kapeluszy. Ojciec go tego nauczył.

Zatrzymał się na czwartym piętrze. Dla pewności. Czwarte albo szóste. Wszyscy z piątego piętra już dawno się wynieśli. Albo zaraz po pojawieniu się zwłok, zanim Stronnik przyszedł z nimi porozmawiać, albo wkrótce po jego odwiedzinach.

Finch stosował prostą metodę. Grzeczne pukanie. Krótkie pytania zadawane przyjaznym tonem. Nie lubił machać bronią jak Blakely. Ani wymuszać współpracy groźbami jak Gustat. Jasne, udawało im się zdobywać informacje, ale nie zawsze właściwe.

Pukał do kolejnych zamkniętych drzwi po obu stronach wypłowiałego, podartego dywanu. Piąte drzwi otworzyła matka trzymająca na rękach synka. Dziecko miało pięć albo sześć lat, urodziło się mniej więcej w czasie Powstania. Matka wyglądała na wyczerpaną. Była blada i chuda.

Pewnie głodziła się, żeby wykarmić dziecko. Pewnie uważała, że jeśli weźmie je na ręce, Finch jej nie skrzywdzi. Pełne ufności i entuzjazmu oblicze malca zaskoczyło Fincha. Zupełnie jakby zobaczył istotę innego gatunku. Rodzice trzymali dzieci w ukryciu. Wychodzili z domu, by zdobywać dla nich pożywienie. Ojciec Fincha robił dla niego to samo. W czasie wojen.

- Czego pan chce? - spytała.

Finch doszedł do wniosku, że niczego nie chce. Zadał kilka prostych pytań. Pokazał zdjęcie martwego mężczyzny. Kobieta go nie rozpoznała.

Spróbował zapukać jeszcze do kilku mieszkań. Mężczyzna w średnim wieku, ubrany w podkoszulek bez rękawów i slipy, otworzył mu trzymając w dłoniach patelnię. Zamierzał się nią bronić? Czy usmażyć sobie coś na kolację? Tak czy inaczej, nic nie wiedział, niczego nie widział.

Podobnie jak starsze małżeństwo, które zapewne mieszkało tutaj od czterdziestu albo pięćdziesięciu lat. Być może nawet pamiętali czasy, gdy dom pod numerem 239 przy alei Manzikerta nie był chlewem. Mężczyzna stał za plecami żony, a jego nieobecne spojrzenie kojarzyło się Finchowi z obozami. Kobieta miała na czole fioletową plamę, która również dobrze mogła być znamieniem jak i grzybem.

Kolejna rozmowa okazała się bardziej owocna. Drzwi otworzył mniej więcej

sześćdziesięcioletni mężczyzna. Drobna postura. Duże niebieskie oczy uwydatnione przez zmarszczki na czole. Grzeczny głos. Miał na sobie zbyt obcisły smoking. Krawędź kołnierzyka białej koszuli wbijała mu się w szyję. Z ciemnych rękawów wystawały nadgarstki. Wyglądał jak dziecko w kaftanie bezpieczeństwa.

Gdy Finch zaczął mu zadawać pytania, powoli dotarło do niego, że mężczyzna wystroił się specjalnie na przesłuchanie, usłyszawszy policjanta na korytarzu. Wkrótce zaprosił Fincha na herbatę. Cechowała go uprzejmość od lat niespotykana w Ambergris. Finch podejrzewał, że ma do czynienia ze skrzypkiem bądź właścicielem teatru. A może mężczyzna był kiedyś portierem?

Lokator nie wiedział nic o morderstwach. (Finch nie pamiętał, kiedy zaczął je nazywać „morderstwami”, ale to określenie brzmiało właściwie). Człowiek na zdjęciu wydawał mu się znajomy, ale nie potrafił go rozpoznać. Jak to zwykle bywa, gdy ktoś stara się pomóc.

Potem mężczyzna spytał, czy ludzie, którzy tam mieszkali, okazali się pomocni.

- Ludzie, którzy tam mieszkali? - powtórzył Finch.

- Tak. Tam ktoś mieszkał. Mężczyzna. Kobieta.

- Naprawdę?

- Tak. Ale nie wiem, jak się nazywali.

Nie wiedział także nic więcej.

Zatem kto kłamał? Heretyk? Stronnik?

Wchodząc na piąte piętro, Finch przypomniał sobie dziwny nastrój Heretyka.

* * *

Ciała nie zmieniły ułożenia. Jednakże z każdego z nich wyrosła gruba szmaragdowozielona łodyga zakończona kulką. Detektywi nazywali je bulwami pamięci. Nikt nie potrafił wymówić ich nazwy w mowie szarych kapeluszy. Brzmiała jak połączenie słów „laur” i „lilia”. Kulka w kolorze wody u człowieka. Jaskrawopomarańczowa u szarego kapelusza. Co oznaczało, że Finch dowiedział się czegoś nowego.

Zmarli nadal wyglądali jakby spokojnie spali, nawet w słabym świetle, które wpadało przez otwarte okno. Ciało mężczyzny sprawiało wrażenie lepiej zachowanego niż rano. Czasami śmierć tak działa. Na krótko.

Z pokoju w głębi mieszkania wyłoniła się jakaś postać. Stronnik, uśmiechnięty od ucha do ucha.

- Szlag. - Finch sięgnął po broń. Serce zabiło mu mocniej.

- Na twoim miejscu celowałbym gdzie indziej - rzekł Stronnik. Grzybowe oko

mrugało raz za razem. Rejestrowało.

Finch przełożył pistolet do lewej dłoni. Potrząsnął prawą. Zielony płyn chlapnął na podłogę. Przeklęta pukawka. Wytarł rękę o bok kanapy.

- Śledziłeś mnie? - spytał ostro.

Stronnik uniósł brew.

- Wpadasz w paranoję? Boisz się, że prawda wyjdzie na jaw?

- Dlaczego ciągle to powtarzasz? - warknął Finch.

Stronnik uśmiechnął się triumfalnie.

- Każdy ma coś do ukrycia.

- Dlaczego nie powiedziałeś mi, że mieszkały tutaj dwie osoby? Mężczyzna i kobieta. Przesłuchałeś ich? Gdzie teraz są?

- Powiedz mi, co martwy człowiek trzymał w dłoni - odparł Stronnik z nadludzkim spokojem.

Finch się cofnął. Przyjrzał się wąskiej twarzy, długiemu językowi i niesamowitemu czarno-zielonemu lewemu oku. Prawe oko zanikło na skutek przekształcenia. Teraz w jego miejscu rosły bladopomarańczowe porosty. Język poruszał się jak u jaszczurki, którą hodował Finch. Smakował powietrze. Oko pochłaniało tak dużą ilość energii, że Stronnik musiał siedem albo osiem razy dziennie pić grzybowy sok dostarczany przez szare kapelusze. Wyglądał jak zielona ropa. Jak oni się nazywali? Używali słowa z mowy szarych kapeluszy. Brzmiało jak „grineeknsenz” albo równie okropnie. Plotki głosiły, że zawarli pakt z szarymi kapeluszami. Że wkrótce w zamian za swoje usługi jeszcze bardziej się do nich upodobnią.

- Nic ważnego - wykrztusił w końcu Finch.

- Pozwól, że ja to ocenię.

- Heretyk to oceni. Wszystko znajdzie się w moim raporcie.

- Mam nadzieję. - Spojrzenie Stronnika było zimne i mroczne. - Dostrzegamy więcej niż szare kapelusze, Finch. I jesteśmy lepiej od nich przygotowani, by to wykorzystać.

To zaskoczyło Fincha. Czyżby Stronnik krytykował Heretyka? Lepiej to zignorować.

- Co powiedzieli ludzie, którzy tu mieszkali?

- Nikt tu nie mieszkał.

Finch przez chwilę przetrawiał tę odpowiedź. Czy Stronnik ukrywał coś przed Heretykiem? Poklepał swoją torbę.

- Dostałem od Heretyka pełną listę lokatorów. - Idiota. - Twierdzisz, że nie będzie na niej tych dwojga ludzi?

- Oni tu nie mieszkają - odparł Stronnik, a w jego głosie pojawił się ostrzegawczy ton.

- Już nigdzie nie mieszkają. Nie wiedzą niczego ważnego.

A więc nie żyją. Zniknęli w otchłani historii.

- Heretyk o tym wie? - spytał oburzony Finch.

Stronnik pokiwał głową, krzyżując ręce na piersi.

- Tym razem nie zabieraj z ciał niczego poza bulwami pamięci. Mam za zadanie pilnować zwłok. Jestem tutaj od rana. Cały czas ktoś tutaj będzie.

Sposób, w jaki Stronnik to powiedział, sprawił, że Finch odniósł wrażenie, że ten człowiek, to wynaturzenie, stara się o status męczennika. Czy uważał, że Finch jest słaby tylko dlatego, że nie pozwolił, by szare kapelusze odebrały mu oko? Detektyw miał ochotę dać za to Stronnikowi w twarz. Zamiast tego przykucnął przy ciele mężczyzny. Zmarły wyglądał tak spokojnie.

Czy jeszcze przez jakiś czas żył? W tym pokoju? Czy walczył z szarym kapeluszem? Uciekał przed nim?

- Będę się przyglądał. Na wszelki wypadek - dobiegł z góry i z przodu głos Stronnika.

Na jaki wszelki wypadek?

- Stań tam, gdzie będę mógł mieć na ciebie oko.

- Cóż za brak zaufania - mruknął Stronnik.

Finch uklęknął przy zwłokach. Odgarnął zmierzwione włosy, by dobrze chwycić łodygę. Ujął bulwę w dłoń. Lepka, porowata, gumista. Delikatnie ją ukreślił. Oddzieliła się od łodygi przy wtórze pyknięcia. Schował bulwę do kieszeni. Wyrwał łodygę z korzeniem. Pozostało po niej półcalowe okrągłe zagłębienie. Krew zaczęła wypełniać niewielką ranę.

Zostanie blizna.

Roześmiał się nerwowo i szczekliwie. Szybko się opanował.

Stronnik to zauważył.

- Wiedziałem, że nie chcesz jeść ich wspomnień.

Finch go zignorował. Powtórzył cały proces u szarego kapelusza. Bez krwi, bez pyknięcia.

- Być może będziesz pierwszym człowiekiem, który zje bulwę pamięci szarego kapelusza. Szczęściarz z ciebie, nie ma co.

Finch stanął przed Stronnikiem.

- Tak przy okazji, żalosne środki bezpieczeństwa. Jeden Stronnik. Pierwszą rzeczą, którą zrobi intruz, będzie strzelenie ci w oko albo wycięcie go. Potem, dla pewności, odetnie ci głowę. - Wypowiadał kolejne słowa powoli. Rozkoszował się nimi.

Stronnik przestał się uśmiechać. Jego oko drgało. Zbliżył się do Fincha na odległość

kilku cali. Finch popatrzył na jego zrujnowaną twarz, starając się nie odwrócić z obrzydzeniem.

- Finch. Finchy. Kimkolwiek jesteś. Nie myśl sobie, że taki z ciebie spryciarz. Nie jestem tutaj sam. Obstawiliśmy cały budynek. Jeśli ktoś tu przyjdzie, zobaczymy go. Spory go zobaczą.

„Bellum omnium contra omnes”. „Nie zaginie” w dłoni trupa.

- Kto miałby tutaj przyjść? I dlaczego?

- Zwolennicy Błękitnej. - Wydawało się, że Stronnik zaraz powie coś więcej, ale się powstrzymał.

Jednakże Finch usłyszał wystarczająco dużo. Na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech. Nie odwrócił się wystarczająco szybko. Posłał Stronnikowi ostatnie jadowite spojrzenie.

- Co? Nie masz nic więcej do powiedzenia?! - zawołał za nim Stronnik, gdy Finch ruszył w stronę schodów. - Jestem rozczarowany, Finchy... No, ale pewnego dnia, Finchy, pewnego dnia...

Z powrotem na ulicę, między czarne liście. Zgniłe owoce. Bulwy pamięci w obu kieszeniach. Starał się rozpoznać buntowników wśród mijanych ludzi.

* * *

Zwolennicy Błękitnej... Błękitna Dama.

Opowiedziano o niej już tysiąc historii. Opowiadali je starcy młodzieńcom. Matki synom i córkom. Większość dotyczyła jej głosu. Ludzie nie są zgodni, skąd przybyła Błękitna Dama, ale wszyscy zgadzają się, że podczas najgorszych dni Wojny Domów jej głos dobiegał z dziedzińców, budynków, nawet spod ziemi. A przynajmniej tak się wydawało. Niektórzy uważali, że to śpiewaczka operowa, którą przemieniła rozpacz po śmierci kochanka. Że w pewnym sensie stanowi głos miasta wydobywający się z głębi ziemi. Wierzyli w to, chociaż to nie mogła być prawda. Nic z tego nie mogło być prawdą.

Potem jej głos zaczął docierać do ludzi za pośrednictwem stacji radiowych Domu Hoegbottona i Domu Frankwrithe'a, jeszcze przed Powstaniem. W tamtych przejściowych latach, gdy Domy połączyły siły, by przeciwstawić się prawdziwym rebeliantom. Wrogowi, który krył się pod ziemią.

Finch pamięta niektóre z tamtych transmisji. Słuchał ich razem z ojcem. Blisko końca.

Błękitna Dama zaczynała mówić cichym i powolnym głosem, który brzmiał niemal jak szept kochanki. Potem jej głos stawał się głośniejszy i nabierał mocy. Aż wreszcie

zdecydowanie nawoływała mieszkańców Ambergris do stawienia czoła nie tylko „podziemnym najeźdźcom”, lecz także chciwości i egoizmowi własnych przywódców.

Wrażenie, że jej głos dobiegał zewsząd, potęgowały odgłosy rozbrzmiewające w tle audycji. Wiele różnych miejsc. Czasami było słychać szum rzeki Moth. Czasami wycie wiatru na wieży. Czasami odgłosy piwnicy, którą Błękitna Dama przedstawiała jako podziemną warownię szarych kapeluszy. Często miewała znużony głos. Potwornie zmęczony. A czasami silny i pełen buntu.

Potem wybuchło Powstanie szarych kapeluszy i ludzie Hoegbottona oraz Frankwithe'a wspólnie zasilili szeregi buntowników. Martwi. Rozproszeni. Zmuszeni do ucieczki. Zaginieni. Ale Błękitna Dama przetrwała i wydawało się, że dzięki temu przerosła własną legendę. Już nie dowodziła zielonymi mundurami Hoegbottona ani czerwonymi Frankwithe'a i Lewdena, ale mieszkanką wszystkich barw. Ludzie kurczowo trzymali się nadziei, że kiedyś powróci z mocą, by ich ocalić. Chociaż dla większości była jedynie głosem w radiu.

Oczywiście Finch czytał akta Błękitnej Damy zgromadzone przez szare kapelusze. Wie, że urodziła się jako Alessandra Lewden na Południowych Wyspach. Odebrała edukację w prywatnych szkołach w Morrow i Stockton. Potem została Alessandrą Hoegbotton za sprawą politycznie korzystnego małżeństwa zaaranżowanego podczas krótkotrwałego rozejmu pomiędzy Domami. Została żoną śpiewaka operowego Josepha Hoegbottona, którego szalony rywal zastrzelił po jednym z przedstawień. Później Alessandra zniknęła na kilka lat. Dopóki nie okazało się, że Dom Hoegbottona potrzebuje jej do roli swojego najnowszego narzędzia propagandowego: spikerki radiowej działającej na terenie wroga. Bezcielesnego głosu samozwańczej „Błękitnej Damy” dobiegającego z domów i kawiarni.

Z akt nie wynikało jednoznacznie, czy Alessandra w pełni poświęciła się sprawie Hoegbottona, ale to przestało mieć znaczenie, gdy Hoegbottona i Frankwithe'a-Lewdena połączyła wspólnota interesów. Błękitna Dama po prostu stała się potężniejsza. Czasami tylko ona łączyła obydwie frakcje.

Fincha jednak fascynowało coś innego: jej głos wydobywający się z radia doprowadzał szare kapelusze do wściekłości. Początkowo grzybianie nie rozumieli tego nowego wynalazku, który przywieźli do Ambergris zapracowani naukowcy z imperium Kalifa. Dlatego przez jakiś czas wydawało im się, że jej głos dobiega zewsząd. Za sprawą magii. Magii, która ich przerastała i na którą nie miały wpływu spory oraz zarodniki. Nie dało się stworzyć radia za pomocą grzybów. Nie dało się go szpiegować od wewnątrz.

Według akt, szare kapelusze spędziły co najmniej tyle samo czasu na próbach

namierzenia Błękitnej Damy, co na przygotowaniach do Powstania. Ale nie udało im się jej zlokalizować. Zatapiali tunele. Posyłali armie spór na przypadkowe ulice. Blokowali przejścia. A jednak jej nie znaleźli. Co sprawiło, że Finch, mimo mieszanych uczuć, podziwiał Błękitną Damę, gdy czytał jej akta. Rozumiał, jak wiele kosztowało ją ciągle pozostawanie w ruchu. Bezustanne zmiany.

Czasami dało się to usłyszeć podczas audycji. Wściekłe wycie. Jakby miasto było jakimś oszalałym stworzeniem. Odgłosy wojny. Wyburzania. Walki z szarymi kapeluszymi bądź Stronnikami.

Finch zdaje sobie sprawę, że od kilku miesięcy nie było audycji Błękitnej Damy. Alessandry Lewden. W mieście nie odnotowano żadnej aktywności buntowników. Tymczasem wieże wciąż rosną nad zatoką. Ludzie coraz bardziej przyzwyczajają się do swojej sytuacji. Zaczynają traktować Błękitną Damę z cynizmem. Pomiędzy byłymi zwolennikami Hoegbottona i Frankwrithe'a odżywa dawna nieufność. Nawet Wyte to zauważył.

Prawda bowiem jest taka, że Błękitna Dama nie uchroniła Wyte'a, Fincha ani nikogo innego przed sześcioma latami życia pod władzą szarych kapeluszy.

5

Jego domem jest apartament w dwunastopiętrowym zaniedbanym hotelu. Przeprowadził się tam przed sześcioma laty, trzy miesiące po Powstaniu, dwa lata po śmierci ojca. Dawniej, podczas najbardziej intensywnych walk pomiędzy Domem Hoegbottona a Domem Frankwithe'a, hotel zasłynął jako azyl. Był położony na tyle daleko od miejsc potyczek, by zachować neutralność, a jednocześnie na tyle blisko dzielnicy kupieckiej, by przynosić zyski. Każdy starał się zarobić na wojnie.

Tamte dni minęły. Przed hotelem posąg zmarłego kompozytora stoi na straży rozsypujących się schodów, które prowadzą do otwartych na oścież frontowych drzwi. Przypalony prochem, z odstrzelonym nosem i jedną z uniesionych rąk zredukowaną do kamiennego kikuta. Obok posągu mieszka szaleniec. Finch nie ma pojęcia, w jaki sposób udaje mu się przetrwać nocne patrole szarych kapeluszy.

W holu panują wilgoć, półmrok i pleśń. Na starej przekrzywionej fotografii wiszącej na ścianie uchwycono kilka śladów utraconego przepychu zawartych w migawce z jakiegoś dawnego przyjęcia. Szczep bladezielonych porostów wniknął w winną czerwień dywanu. Uczynił go gąbczastym i sprawił, że po zmroku niepokojąco i upiornie lśni, wskazując Finchowi drogę do środka.

Dalej żarówki płoną jaskrawym bądź przytłumionym światłem, jak niedopasowani kuzyni. Zawsze bije od nich ten sam koszmarny żółty blask. Pofałdowana wyblakła tapeta, która czasami nią nie jest. Zapachy, które zmieniają się z godziny na godzinę, w zależności od prądów powietrza w piwnicy. Wyburzone ściany. Sterta starych mebli. Dziedziniec w samym środku hotelu. Piwnica zalana wodą, która wtargnęła z rzeki Moth.

Finch zna wielu mieszkańców budynku z nazwiska. To jedna ze strategii przetrwania. Nieznajomi są niebezpieczni. Przypomina mu to slogan z dawnych czasów, gdy gangi Hoegbottona oczyszczały okolice z „plagi F&L”, a gangi F&L odwzajemniały przysługę. Nie wie, czy jego obecność zwiększa bezpieczeństwo otaczających go ludzi, ale robi, co może. Stara się zwracać uwagę na to, co się dzieje. Chce wierzyć, że robi to, co robiłby jego ojciec.

Rozsypujący się neon na dachu wciąż oznajmia: „otel Mur t”. Wrony uwiły na nim gniazdo.

Czasami Finch chowa się za neonem.

Ze swojego schronienia spogląda na miejski pejzaż i ku zatoce.

* * *

Jego mieszkanie znajdowało się na siódmym piętrze, ale Finch zignorował brudne marmurowe schody i upartą windę. Zamiast tego podążył wzdłuż zarobaczonego dywanu na pograżony w mroku dziedziniec. Wzdłuż ścieżki rosły splątane krzewy i wysoka trawa. Na środku niechlujny ogródek warzywny z pomidorami, marchewkami i kabaczkami. Finch nie wiedział, kto go dogląda. Skręcił w lewo, otworzył pierwsze drzwi, po czym zszedł po znajomych schodach w ciemność, pokonując po dwa stopnie na raz.

Na dole schodów skręcił w prawo. Stał przed drzwiami na końcu krótkiego korytarza.

Mieszkała tutaj Rebecca Rathven. Przez kanały wentylacyjne docierały do niego odgłosy wody i chlupot ryb wyskakujących na powierzchnię. Czasami mieszał się z nimi rechotliwy śmiech Rathven, gdy ta wyczytała coś zabawnego w swoich książkach. Podczas spokojnych nocy te dźwięki docierały aż na piętro Fincha. Lubił je. Lubił także Rathven. Była użyteczna. Interesująca. Czasem w złowieszczy sposób.

Kto zajmuje zalaną piwnicę w hotelu pełnym pustych pokoi?

Finch zapukał. Usłyszał kroki. Potem zapadła cisza. Przyglądała mu się przez wizjer.

Przywykła do gości, ale i tak była ostrożna. Ludzie przychodzili do niej po informacje z przeszłości. Pojawiali się, gdy zgubili trop. Przychodzili porozmawiać. Dlaczego? Finch, tak jak większość ludzi, posiadał książki, jednak Rathven dysponowała biblioteką.

Ta biblioteka zmieniała się z każdą wizytą. Rathven przestawiała półki, wycofując się przed nacierającą rzeką. Ludzie, którzy mieli wobec niej dług wdzięczności, pomagali jej budować barykady z drewnianych belek i worków własnoręcznie napełnianych piaskiem. Finch radził jej, by przeprowadziła się wyżej. Ale taki wysiłek, te wszystkie książki... Powiedziała, że to zrobi, ale jeszcze się nie zdecydowała. Może nigdy tego nie zrobi.

Drzwi uchyliły się na tyle, że Finch poczuł zapach wilgotnej pulpy. Stara się uratować to, czego nie da się ocalić. Migotliwe żółte światło wypełzło na korytarz. W szparze pojawiła się pociągła, przekrzywiona ku górze twarz Rathven. Zaskakująco biała skóra, niemal przezrzysta. Czasami wyglądała jak coś popsutego, by za chwilę emanować siłą. Ciemne włosy z jaśniejszymi pasemkami. Gęste czarne brwi, piwne oczy, wysokie kości policzkowe, pełne usta zastygłe w uśmiechu. Niebieska sukienka i brązowe sandały. Finch nie potrafił określić jej wieku. Dwadzieścia pięć do trzydziestu pięciu lat. Nigdy nie udało mu się spytać.

- Finch. - Wypowiedziała jego imię z tajemniczym rozbawieniem. - Wejdziesz?

Uśmiechnął się i pokręcił głową.

- Ale mam coś dla ciebie. Listę. Długą.

- Listę czego? Rzeczy do prania? Zakupów? Wrogów? Przyjaciół?

Finch się roześmiał.

- Powinnaś być detektywem.

- Jestem detektywem - odparła. Ich stały rytuał.

- Listę nazwisk - wyjaśnił. - Lokatorów mieszkania, w którym popełniono dwa morderstwa. Będziesz zachwycona: chodzi o ostatnie sto lat.

Co prawda, nie skrzywiła się, ale zdrząły jej usta. W oczach zagościła ostrożność. Odgadła źródło. Nie było to trudne.

Rathven spędziła trzy lata w obozach pracy. Nosiła piętno na podeszwach stóp, czerwono-złote grzybowe ślady, które mogła ukryć, ale o których nie potrafiła zapomnieć. Opowiadała mu, że czasami czuje pulsowanie. Niepokój. Nigdy nie pytał, co jeszcze ją tam spotkało. Nie chciał wiedzieć.

Pomagała mu, ponieważ wydostał z obozów i sprowadził do tego hotelu jej brata Blaine'a, zwanego „Fotografem”. W mieszkaniu Fotograf na piątym piętrze znajdowało się kilka tuzinów starych aparatów. Używał ich do robienia tysięcy zdjęć wody. Finansował tę obsesję, prowadząc czarnorynkowy handel. Finch także u niego kupował. Płacił talonami szarych kapeluszy, strąkami z żywnością lub znalezionymi przedmiotami.

Finch wiedział, że gdyby kiedyś Fotograf przestał go zaopatrywać albo Rathven odmówiła mu pomocy, byłby to dla niego dotkliwy cios. Przyjaźń czy potrzeba?

Nachylił się i wyjął listę z torby. Nagle poczuł się zmęczony, jakby coś jej ukradł, ale zbyt późno zdał sobie z tego sprawę.

- Czy mogłabyś ją przeczytać? Daj mi znać, jeśli rozpoznasz którekolwiek z nazwisk. Może natrafiłaś na nie w swoich książkach. - Jak zwykle zamierzał zapłacić jej za informacje grzybowymi odtrutkami.

Rathven delikatnie ujęła listę. Dźgnęła palcem gąbczastą krawędź papieru.

- Ale musisz mi powiedzieć, dlaczego.

- Chodzi o niedawne morderstwa.

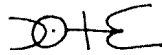
Jej twarz pobraźla.

- Masz jakąś kartkę? - spytał.

Pokiwała głową i sięgnęła za siebie. Podała mu starą kopertę. Adres zwrotny gdzieś na Południowych Wyspach. Teraz równie dobrze mogłoby to być wymyślone miejsce.

Narysował symbol. Oddał jej kopertę.

- Wiesz, co to jest?



Pogardliwe spojrzenie.

- Oczywiście symbol szarych kapeluszy. Bardzo nieudolnie narysowany.

- Możesz go sprawdzić? Już kiedyś go widziałem, ale nie pamiętam, co oznacza.

- Jasne. Ale nie wiem, ile czasu mi to zajmie.

- W porządku... - Czekał, nie mogąc się zdobyć na kolejną prośbę. Wreszcie powiedział wprost: - Potrzebuję jeszcze jednej przysługi. Dziś wieczorem przyniosłem bulwy pamięci. Możesz do mnie zajrzeć? Zadzwoń albo zapukaj, jeśli telefony nie będą działały. Mniej więcej za godzinę albo dwie. - Nie miał pojęcia, kiedy przyjdzie Sintra. Nie chciał ryzykować.

Tym razem się skrzywiła, tak jak się spodziewał. Mimo to, pokiwała głową.

- Dobrze. Zrobię to, Finch. Nie martw się. - Ucisnęła jego rękę i szybko cofnęła dłoń. Jakby nie chciała okazywać słabości.

Popatrzył na nią. Uśmiechnął się. Czasami czuł między nimi bliskość, jaka nie łączyła go z nikim innym, nawet z Sintrą. Rathven nie walczyła podczas Powstania. Tylko czytała i przechowywała książki. Chroniła je. Dzieliła się nimi. Zarabiała na życie dzięki rękodziełu. Przynajmniej tak mu powiedziała. Podświadomie zastanawiał się, dlaczego zabrano ją do obozów. No i dlaczego ją wypuszczono. „Byłam zbyt chora, by pracować” - wyjaśniła. Ale nigdy nie wyglądała na chorą.

„Szare kapelusze lubią maskować przypadkowość pozorną celowością” - powiedział kiedyś Wyte. Finch w to nie wierzył. Uważał, że jedynie głęboko ukrywają swoje prawdziwe cele.

- Dziękuję. - Jego głos zabrzmiał szorstko. - To był długi dzień. Zadzwonię, kiedy je zjem. Jeżeli telefony będą działały.

- Wejść na górę i zapukam, jeśli się nie odezwiesz - obiecała.

Wiedział, że w ramach rewanżu będzie musiał jej pomóc ponownie odeprzeć napór rzeki. U Rathven wszystko miało swoją cenę. Zamknęła drzwi, zabierając ze sobą światło.

* * *

Mieszkanie Fincha znajdowało się blisko końca korytarza. Aby tam dotrzeć, Finch musiał się przebić przez powietrze wilgotne jak w szklarni. Ze ścian wyrastały kosmyki i kapelusze czerwono-zielonych grzybów. Szare kapelusze dbały o czystość tylko na ulicach. Sąsiedzi również nie pomagali. Zupełnie jakby uważali, że to dobry kamuflaż.

W mieszkaniu nie było nikogo poza jego kotem Dzikusem, wielką pręgowaną bestią, wrzaskliwie domagającą się, by ją wpuścić. Kot ocierał się o nogi Fincha, który starał się go uciszyć. Dzikus był głośny i zawsze próbował wejść Finchowi pod nogi, by sprowadzić go do swojego poziomu.

Czasami staruszek z mieszkania naprzeciwko słyszał Fincha i wychodził na korytarz, ale dzisiaj tak się nie stało. Mężczyzna kiedyś był księgowym, a teraz lubił przesiadywać w promieniach słońca wpadających przez okno w korytarzu. Uśmiechał się, mówił sam do siebie, kiwał głową i czytał wciąż tę samą podniszczoną książkę.

Dwie minuty na otwarcie i ponowne zamknięcie drzwi. Tylko Sintra знаła szyfr, ale i tak nie był tym zachwycony. Zastanawiał się nad jego zmianą.

Wspomnienie innego mrocznego pokoju. Podniszczone łóżko. Pościel niewyraźnie bieląca się w cieniu. Chyba nikt tam nie spał od miesiący. Zakurzona podłoga. Dwa trupy.

Pstryknął przełącznikiem. Poczł ulgę, gdy zapaliły się światła. Wyblakła tapeta z kwiecistym wzorem. Postrzępione krawędzie beżowego dywanu przypominające korzenie. Zużyte meble.

Ulga, że może odwiesić rolę detektywa do szafy razem z kurtką. Pozbyć się twardej powierzchni, jak maski, którą nosi się tylko podczas festiwalu.

- Zaczekaj, na litość Truffa - syknął do Dzikusa, gdy ten wpadł do kuchni przez salon.

Kocur miał duże okrągłe oczy, które sprawiały, że jego sowi pysk bezustannie wyglądał na zdziwiony. Finch uratował małego Dzikusa przed grzybem, który oplótł go swymi mackami, gdy kociak spał. Dzikus nadal miał na bokach fioletowe plamy, czasami się powiększające.

Ani śladu Skradka, jego parapetowej jaszczurki. Zresztą, Finch nigdy nie miał pewności, czy to ciągle ten sam zwierzak. Z jakiegoś powodu czuł potrzebę udawania, że tak jest.

Po nakarmieniu Dzikusa Finch położył dwie bulwy pamięci na kuchennym blacie. Nalał sobie szklaneczkę osiemnastoletniej wysokogatunkowej whisky Trilliana. F&L zarabiali na słynnym nazwisku. Żaden szanujący się zwolennik H&S nie wypiłby czegoś takiego przed Powstaniem. W szafie zostało mu sześć butelek. Stały obok pudełek cygar. To były nałogi jego ojca, jego dziedzictwo. Nie zdołało ich zastąpić nic lepszego. Woń dymu sprawiała, że Finch czuł obok siebie obecność ojca.

Cygara. Whisky. Jedno i drugie pełniło funkcję osobliwego zegara. Czy kiedy się skończą, końca dobiegnie także jego życie jako Fincha?

Dotyk Heretyka, który kojarzył się z mokrymi martwymi liśćmi, poszyszanymi i

wypchanymi mięsem.

Nadeszła pora kolacji, ale Finch nie był głodny.

Westchnął, siadając na starym skórzanym fotelu obok kanapy w salonie, w świetle starej szklanej lampy w kształcie parasola, którą zabrał z holu. Patrzył, jak wieczór rozpuszcza się w nocy.

Na przeciwległej ścianie wisiały trzy oryginalne hotelowe obrazki przedstawiające Bulwar Albumuth. Znacznie lepszy widok niż ten, który miał z małego balkonu przylegającego do kuchni. Stamtąd mógł zobaczyć jedynie nocne niebo, fragment dwóch wież oraz uliczkę w dole. Widok awaryjny. Mógł jeszcze wyrzeć przez zamknięte na zasuwkę okienko w łazience, jeśli stanął na sedesie. Miał stamtąd swobodny widok na wewnętrzny dziedziniec. Te dwie perspektywy zapewniały mu wystarczające bezpieczeństwo. Zakładając, że na jego życie będą nastawali ludzie.

To nie było złe miejsce. Przynajmniej miał osobny gabinet obok kuchni oraz dodatkowe - pełne po brzegi - półki na książki na ścianie przy drzwiach. Zrobił je z desek wyrwanych na gnijącym jedenastym piętrze.

Finch lubił czytać już przed Powstaniem. W swoim domu w dolinie, razem z ojcem wielokrotnie spędzali noce, czytając w ciszy - osobno, a jednak razem. Żeby odgrodzić się od nocy. Od wojen. Teraz obozy szarych kapeluszy leżały tak blisko, że z ich domu pozostały tylko zmiażdżone fundamenty przykryte stertą gruzu. Finch uratował jedynie książki i kilka drobiazgów.

Niektóre tomy kupił podczas zawiesznień broni, zanim Powstanie sprawiło, że księgarnie przestały mieć rację bytu. Kilka dostał od dziadków, którzy wrócili na Południowe Wyspy, gdy miał dziesięć lat. Wspomnienia o nich przywodziły mu na myśl dogasające zapalki w nagle zapadającej ciemności. Czasami wertował książki w poszukiwaniu ich śladów. Poskładany list. Karteczka, która nie spadła na podłogę.

Większość książek należała do jego ojca i została uratowana z ich dawnego domu. Około tuzina Finch znał na pamięć dzięki częstemu powtarzaniu, które stanowiło część domowych lekcji prowadzonych przez ojca, gdy chodzenie do szkoły stało się zbyt niebezpieczne.

Kiedyś ojciec był błyskotliwym inżynierem. W młodości służył w wojsku Ambergris, podczas krótkiego, efektownego okresu, gdy zaatakowali imperium Kalifa. Uczestniczył w marszu przez pustynię usianą oazami i garbatymi drzewami o powykręcanych czarnych konarach. W zajmowaniu ziem Kalifa i kontemplowaniu ich własnej wizji podboju. W wymuszonym odwrocie.

Matka Fincha zmarła podczas porodu, więc po wojnie ojciec wychował go samotnie. To było dziwne życie, ciągła huśtawka między bogactwem a ubóstwem. Ojciec miał wielu ważnych, ale dziwacznych przyjaciół. Powiązania z Hoegbottonem i Synami. A jednak czasami musiał się imać dorywczych zajęć i sprzedawać książki, by mieli co położyć na stole. Albo palić książkami w piecu.

W ich dawnym domu było wiele zdjęć ojca. Muskularny mężczyzna o szerokich barkach ubrany w charakterystyczny obcisły oliwkowy mundur ambergriańskiej armii. Czapka w kształcie klina przekrzywiona zgodnie z wymogami mody. Na szczycie wzgórza, w mieście lub na czołgu. Otoczony towarzyszami broni bądź samotny. Zawsze uśmiechnięty. Oczy jak ciemne kropki wpatrzone w obiektyw. Wydawało się, że oczekuje sławy, ale nie wie, w jaki sposób ją uzyskać. Ani jak nisko upadnie.

Finch wybrał dla swojej nowej tożsamości imię „John”, po ojcu. Z kolei „Finch”, czyli ziarnojad, był pospolitym ptakiem, na którego nikt nie zwracał uwagi. Tamtego wieczoru, gdy zmienił nazwisko, spalił wszystkie zdjęcia poza jednym. Stało na kominku i przedstawiało jego dziadków, którzy właśnie przyплыnęli z Północnych Wysp. Stali z walizkami w porcie. Błdzi, nieobecni i zagubieni. Dziadek był stolarzem. Babcia zajmowała się domem. Na zdjęciu nie było krewnych ze strony matki Fincha. Jego ojciec miał cztery lata. To było jedyne ryzyko, na które Finch mógł sobie pozwolić.

Kiedyś Sintra spytała go o ludzi na zdjęciu. Odpowiedział, że ich nie zna. Że znalazł tę fotografię na ulicy i mu się spodobała. W pewnym sensie nie kłamał. Nie znał tamtego czterolatka. Nigdy tak naprawdę nie poznał dziadków. Było to kolejne pozorne wspomnienie z utraconego życia, ale najczęściej wcale tego nie żałował.

Na odwrocie zdjęcia jego ojciec nabazgrał kilka linijek: „Czasami człowiek dostrzega w sobie pustynię i potrzeba sprawienia, by ta pustynia rozkwitła, motywuje go do ciągłego działania, tak samo jak brak nadziei wiedzie nas do nieuchronnego końca. Czasami człowiek ucieka w kierunku wroga, gotów przyjąć każde cierpienie - fizyczne bądź psychiczne - które przekona go, że wciąż żyje. Może to zrobić także powodowany dumą, która go zwodzi i przekonuje, że jest w stanie zmienić to, czego zmienić się nie da”. Fragment książki? Jego własne przemyślenia? Finch nigdy się nie dowie.

Dzikus wskoczył mu na kolana. Zaczął mrużyć, gdy Finch go pogłaskał.

Ostro-łagodny smak whisky drażnił, a zarazem koił mu gardło. Zapadł się głębiej w fotel. Może Sintra przyjdzie dziś w nocy?

Nie zaginie.

- Tak, wiem, grubasie - bąknął Finch. Mógłby tak siedzieć całą noc. Zapomnieć, co

musi zrobić, wyciągnąć jakąś książkę, którą czytał już trzy albo cztery razy. Udawać, że żyje w lepszym świecie.

Włączył niewielkie radio stojące na stoliku obok fotela. Dzikus na chwilę przestał mruzczyć. Dostępna była tylko jedna stacja: radio szarych kapeluszy. Zniknęła kakofonia głosów i muzyki. Z głośnika dobiegał pojedynczy sygnał pełen tajemniczych mlaśnień i gwizdów. Od czasu do czasu przerywały go propagandowe wiadomości beznamiętnie odczytywane przez ludzkich spikerów. „...Tuż poza granicami Strefy schwymano i zabito szpiega... W Sektorze 509 zaplanowano renowację. Wszyscy mieszkańcy powinni jak najszybciej się przenieść”.

Ale dziś wieczorem odbiornik milczał. To już trzydziesty siódmy dzień samych zakłóceń. Co to oznacza? Czyżby kolejna utrata koncentracji? A może coś poważniejszego? Finch zauważył pewien schemat. Nowe wypierało stare. Marionetkowy rząd, który działał przez pół roku, rozwiązał się, gdy szare kapelusze zaczęły budować obozy. Odkąd zabrały się za wznoszenie wież, w mieście pojawiły się problemy z prądem. Te awarie stały się źródłem przewrotnego optymizmu. Może oni nie są w stanie nadzorować wszystkiego jednocześnie. A może był w tym wszystkim jakiś cel, którego Finch nie dostrzegał.

Zepchnął z kolan protestującego Dzikusa, po czym wrócił do kuchni.

Bulwy pamięci leżały na blacie. Były okrągłe, usiane otworami i spiralnie skręcone. Pachniały solą i mięsem. Czyżby zaczęły gnić?

Finch popatrzył w dół na kota, który przyszedł za nim, oczekując jakiegoś smakołyku. Ciekawe, co by się stało, gdyby dał Dzikusowi do zjedzenia bulwę?

- Może ty zjesz jedną, a ja drugą? - spytał zwierzaka.

Kot wrócił do salonu. Finch się roześmiał.

- Mądry wybór.

Podniósł słuchawkę i wybrał numer Rathven. Usłyszał trzaski. Przynajmniej działa.

- Zaraz zjem jedną - powiedział poprzez zakłócenia. - Daj mi godzinę. Jeśli nie oddzwonię, zajrzyj do mnie.

- Dobrze. Uważaj na siebie.

- Dzięki.

Finch odłożył słuchawkę. Uważaj na siebie. Nie poślizgnij się na dywanie. Nie wypadnij przez okno.

Którą truciznę zażyć najpierw? Wybrał pomarańczową. Na pierwszy ogień to co najgorsze.

Za każdym razem, gdy zjadał bulwę pamięci, stawał się kimś innym. Powracał

odmieniony.

To będą jego czwarta i piąta. Pierwsza należała do dziesięcioletniej dziewczynki i po zjedzeniu jej przez rok dręczyły go koszmary. Scenki z poszarpaną lalką. Zupa na psich kościach. Ponure mieszkanie pozbawione nawet tapety. Okazało się, że nie popełniono przestępstwa. Gdy zmarli jej rodzice, mała zagłodziła się na śmierć. Druga bulwa należała do młodego mężczyzny, a trzecia do młodej kobiety. W jego głowie rozegrało się podwójne samobójstwo. Potem miewał pragnienia, o które siebie nie podejrzewał. Przeżywał cudze wyrzuty sumienia. Wspominał ludzi, których nie znał. Ani nie chciał poznać.

Nigdy nie zjadł dwóch bulw jednej nocy.

Ilu potrzeba, by za bardzo się zmienił?

Pieprzyć to.

Szeroko otworzył usta. Położył bulwę na języku. Bulwa szarego kapelusza miała suchy posmak. Jak pył i piasek. Co zaś najgorsze, trzeba ją było zjeść w całości. Żuć absurdalnie dużą kulę aż do bólu szczęk. Nie można było jej pokroić, zmielić na pastę, dodać do jedzenia lub wody. Wtedy traciła swoje właściwości. Zapiekła go skóra, gdy w ustach poczuł dziwną powierzchnię i smak bulwy. Osobliwą, mdlącą mieszankę cynamonu, pieprzu i limety. Kwaśny oddech.

Przerażenie, ale także cienka warstwa oczekiwania. By zostać zabranym z tego życia. Choćby na chwilę.

Zatoczył się na fotel. Dzikus trącił głową jego bezwładną rękę.

Wspomnienia nie pojawiały się w sposób, jakiego można się było spodziewać. Nie były logiczne ani uporządkowane. Zupełnie jakby stało się na rogu ulicy i patrzyło na przejeżdżający pojazd mechaniczny. Gdy pojazd nas mija, w górę wylatują tysiące kawałków konfetti. Trzeba spróbować złapać jak najwięcej z nich, zanim spadną na ziemię.

Finch zamknął oczy.

Odchylił się do tyłu.

Pozwolił, by wszystko spadło na niego jednocześnie.

* * *

Pojawia się:

Na dnie studni. Spiralne warstwy szorstkiego kamienia wznoszą się w stronę bladego światła. Kłębiąca się masa dżdżownic, insektów albo czegoś gęstego i dziwnego brnie w dół poprzez światło, wygaszając je. Nagły obraz potwornego Miasta wspartego na pojedynczym budynku większym od wszystkiego, co kiedykolwiek wzniesiono w Ambergris, całość zaś w

jaskini tak olbrzymiej, że jej sufit ginie w naznaczonej błękitem ciemności.

* * *

Pojawia się (tym razem szybciej):

Chwiejny, szarpany bieg przez tunel. Otaczający go tłum szarych kapeluszy mlaska i pogwizduje w szalonym tempie. Kawałeczek błękitnego nieba. Płonący pojazd mechaniczny starego typu. Parada z olbrzymim czarnym kotem zamkniętym w klatce wzdłuż trasy oznaczonej pomarańczowo-żółto-zielonymi światłami. Na to nakłada się drugi obraz: potężny czerw tonący w worku własnej płynnej skóry. Ciemnozielony liść grzyba wysokiego na pięć pięter. Krew, mnóstwo krwi rozlewającej się po ziemi. Twarz mężczyzny pogrążonego w straszliwym bólu, której zarys nagle staje się czarny i zmienia w olbrzymie drzwi zbudowane z wulkanicznej skały oraz na wpół zwęgloną okładkę książki. Na szczycie drzwi kolejne, mniejsze, a w nich następne. Dłoń na gałce. Otwiera...

* * *

Pojawia się (tym razem wolniej):

Kamienna forteca na pustyni. Finch, wirując, wylatuje na otwartą przestrzeń - spada, spada, spada. A potem twarz, którą rozpoznaje, oblicze martwego mężczyzny, uśmiechnięte. Błogo. Więcej błota i pyłu oraz zapach-dźwięk pobliskiej rzeki. Widok z boku na płynącą wodę, ucho przy trawie. Coś zlizuje wilgoć z jego oczu, po czym sapie i odchodzi w swoją stronę. Znow spada, przez czarną tkaninę usianą gwiazdami. Towarzyszy mu martwy człowiek, który wpatruje się w Fincha z dziwnym spokojem. Odzywa się w mowie szarych kapeluszy, wydając z siebie mlaśnięcia i gwizdy. A potem nagle i potworne olśnienie, którego nie sposób ubrać w słowa.

* * *

Pojawia się:

Przemieszczając się powoli pośród tysięcy kołyszących się grzybowych drzew w tysiącu oszłamiających odcieniach zieleni. Obok gnijący czołg z insygniami Domów na boku, śpiący pod zarodnikami. Odgłos kroków. A więc porusza się tutaj coś jeszcze poza sporami na zachmurzonym niebie. Na coś polują. Ale na co? Człowiek. Idzie przed nimi. Noc. Dziwne liczby i słowa rozlewające się szmaragdowo na polu ciemności. Śledzą człowieka. Pomarańczowe niebo zdominowane przez pogrążone w chaosie olbrzymie latające grzybowe fortece. Między fortecami pelzają, latają i przepływają jakieś istoty. Biegną, już

tylko kilka jardów za człowiekiem. On nagle odwraca się w ich stronę. Patrzy prosto na nie, po czym znika. Rozpływa się w powietrzu. Pozostaje po nim tylko uśmiech, i to zaledwie na chwilę. Intensywne uczucie zagubienia i zaskoczenia. Potem: spadanie przez lodowate powietrze i brak czucia w nogach.

* * *

Powrócił, wyjął. Zawodząc. Z głębi jego krtani wydobywał się niski zwierzęcy głos. Leżał zwinięty na fotelu. Pocił się. Coś pełzało mu wewnątrz czaszki. Nie wiedział, ile minęło czasu.

* * *

Potężny czerw tonący w worku własnej płynnej skóry. Zakaszłał. Usiadł prosto. Gnijący czołg z insygniami Domów na boku, śpiący pod zarodnikami. Dzikus otarł się o jego wyciągniętą rękę. Finch wstał, dowlókł się do telefonu, zadzwonił do Rathven.

- Jedna z głowy, została jeszcze druga - powiedział, kiedy odebrała, po czym się rozłączył. Chwycił drugą bulwę pamięci. Ponownie opadł na fotel.

Potworne Miasto wsparte na pojedynczym budynku. Zaczął się śmiać. Nie wiedział, co go tak śmieszy, ani dlaczego nie potrafi przestać.

Spadanie przez lodowate powietrze i brak czucia w nogach. Zastanawiał się, jak bardzo namiesza mu to w głowie.

6

Minęła połowa nocy. Czy umyka mu coś ważnego?

Wypił jeszcze trochę whisky, pozwalając, by alkohol przez chwilę krążył mu w ustach. Przytrzymał palący płyn w głębi gardła. Poczł odrętwienie.

Odgłosy w ciemności za oknem już od dawna go nie niepokoiły. Truchtanie. Jęki. Urwany ostrzegawczy krzyk.

Punktowe światło w kolorze lawendy i karmazynu pojawiło się na przeciwległej ścianie, po czym uciekło. Kiedyś Finch widział, jak chmara spór przyjmuje formę olbrzymiego, nadętego zielonego potwora o wirujących czerwonych oczach. Potwór ryknął i zanurzył się w jednej z dzielnic na północy. Roztrzaskał się na kawałeczki, gdy uderzył o ziemię.

Dziecko mogłoby to zobaczyć i krzyknąć z radości.

Skradek, szybki jak cień, wspiał się po ścianie obok okna. Polował na ćmy, które wleciały do mieszkania. Był wesołym drapieźnikiem o błyszczących czarnych oczach. Nie dbał o nic poza kolejnym posiłkiem. Finch mógłby go zamknąć w klatce z kawałkiem gałęzi i wodą, a zwierzak byłby zadowolony do końca życia. Gdyby tylko dostawał jedzenie.

- Pewnie wkrótce się przekonamy, co to był za drań - rzekł Finch do Dzikusa.

Kot spoglądał na ścianę. Hipnotyzowało go polowanie Skradka na krążącą ćmę.

Finch zastanawiał się, jak wielu Skradków Dzikus złapał przez lata. Wepchnął drugą bulwę do ust. Przeżuł ją na mdłą pastę, przechodząc z fotela na kanapę. Położył się. Przełknął.

Pokój lekko zawirował.

Na suficie widniało kilka dziwnych przebarwień, ale nic nie wskazywało na infiltrację. Niewidzialni szpiedzy. Kto mieszkał nad nim? Ostatnio kilka razy słyszał, jak ktoś chodzi po drewnianej podłodze w środku nocy.

Po minucie albo dwóch Finch usiadł. Wyglądało na to, że nic się nie dzieje. Zupełnie nic.

Martwy mężczyzna siedział na fotelu naprzeciwko kanapy. Uśmiechał się.

- Uch! - Finch zerwał się na nogi.

Po obu stronach mężczyzny stali Dzikus, który urósł do rozmiarów kucyka, oraz równie duży Skradek. Zwierzaki obserwowały Fincha takim samym wzrokiem, jakim

Skradek patrzył na ćmy.

- Usiądź - powiedział mężczyzna. Rozkaz, a nie propozycja. Wypowiedział go z dziwnym akcentem. Wyglądał znacznie młodziej niż na podłodze mieszkania. Nie miał grzybowej brody.

Finch powoli usiadł. Nie spuszczał mężczyzny z oczu. Sięgnął lewą ręką w stronę poduszek. Gdzie jego broń?

- Czekałem na kogoś takiego jak ty - rzekł mężczyzna. - Nie zrozumiesz tego, ale i tak przekażę ci wszystko, co wiem. Na wszelki wypadek.

Okno za jego plecami już nie wychodziło na miasto. Było przez nie widać coś tak nieprawdopodobnego i niepokojącego, że Finch musiał odwrócić wzrok. A jednak ten obraz w niego wniknął.

Mężczyzna wypowiedział imię Fincha. Nie powiedział jednak „John Finch”, tylko użył jego prawdziwego nazwiska. Pogrzebanego przed ośmioma laty.

Finch usiłował uspokoić oddech. Nic z tego. Czuł się tak, jakby powietrze miało mu rozsadzić klatkę piersiową.

Pewnie znajduje się we wspomnieniach tego człowieka. Zatem, dlaczego on siedzi naprzeciwko ciebie?

- Kim jesteś? - Banalne pytanie. Ale cały czas krążyło mu pod czaszką, więc musiał je uwolnić.

Mężczyzna się roześmiał.

- Nie powiedziałem nic zabawnego.

- Ważniejsze jest to, kim ty jesteś. Oraz z kim jesteś?

- Zamknij się. To tylko jedno z twoich wspomnień, które się we mnie objawia, a nie rzeczywistość.

Oślepiające, niewiarygodnie jasne światło niczym blask słońca wtargnęło przez okno. Rozerwało nocne niebo. Po drugiej stronie rozdarcia: turkusowe morze zmacone wciąż zmieniającymi się wzorami.

- Nie musisz tego rozumieć. Jeszcze nie - rzekł mężczyzna.

Finch nie wiedział, czy znajduje się wewnątrz grzyba czy poza wszechświatem. Widział miasto z lotu ptaka: wszystkie ulice i kanały były arteriami wypełnionymi krwią. Nie podejrzewał, że istnieje tak wiele odcieni czerwieni. Kolory kaleczyły mu oczy.

- Uważaj - powiedział mężczyzna, powtarzając ostrzeżenie Rathven, po czym ujął Fincha za rękę. Jego dłoń była ciepła. Zrogowaciała. Prawdziwa. - Nie zatrać swojego jestestwa, cokolwiek się stanie.

Mężczyzna, Dzikus i Skradek zniknęli. Okno zmieniło się w olbrzymie usta, a oni stali się ni mniej, ni więcej tylko bulwami pamięci w ich wnętrzu. Finch spadł przez tę samą gęstwinę gwiazd, którą widział we wspomnieniach szarego kapelusza.

* * *

Budzi się:

Chwiejąc się na blankach pradawnej fortecy, spogląda na pustynię, gdzie piach rozciąga się na wiele mil pod kipiela zmroku. Scenki z czyjegoś dzieciństwa. Śmierć rodzica. Przesiadanie w ciemności. Czołganie się tunelami.

* * *

Budzi się:

Jaskinia lśniąca żyłami jakiegoś niebieskiego metalu, olbrzymie, powoli oddychające grzyby. Widziane w błysku światła, które staje się coraz słabsze, ale nie gaśnie: kolejne jaskinie, twarz staruszki okolona białymi włosami; potem inna kobieta, dwudziestoletnia, trzydziestoletnia, czterdziestoletnia. Mroczna postać kuśtykająca ulicą.

* * *

Budzi się:

Szalona dżungla SHF, niemal unosi się nad nią, przelatuje przez jej środek i wydostaje się na polanę otoczoną przez dwunastu zielonych mężczyzn wrosniętych w ziemię z rękami wzdłuż ciała i ustami, które bezgłośnie otwierają się i zamykają. Dżungla nie składa się z drzew, ale z grzybów pokrywających ciężarówkę, czołgi i inny ciężki sprzęt: zełmowany, zardzewiały i zagrzybiony. Niektóre grzyby powoli się poruszają. Po chwili znów w fortecy, na skraju sztucznego urwiska, kilkaset stóp ponad pustynią, na której tysiąc nieruchomych cieni trzyma tysiąc zielonych światel i obserwuje. Szczęk zatrząskującego się metalu. Coś w rodzaju lustra. Oko. Cofa się i widzi dziwnie znajomą postać, a potem imię: Ethan Bliss. Następnie kamienny krąg i drzwi pokryte symbolami szarych kapeluszy. Aż wreszcie wyskakuje w pustynne powietrze ku drzwiom unoszącym się na środku nieba, ścigany przez szarego kapelusza, zanim świat pogrąży się w ciemności.

* * *

Budzi się... Ocknął się po kilku sekundach, wiekach. Stwierdził, że Dzikus i Skradek mu się przyglądają. Dzikus na podłodze obok kanapy. Skradek na parapecie, z dużą czarną

ćmą w mechanicznych szczękach.

Rozdzwonił się telefon. Finch sięgnął po słuchawkę. Przyłożył ją do ucha.

- Wszystko w porządku? - rozległ się głos Rath.

- Nic mi nie będzie. Chyba.

Rozłączył się.

Zamknął oczy.

WTOREK

P: *Fanaarcensitii*. Powiedziałeś, że spadł z dużej wysokości. Czy cokolwiek, co zobaczyłeś w bulwach pamięci, potwierdziło tę teorię?

F: Intuicja. Nie ufam temu, co zobaczyłem.

P: Dlaczego?

F: Ponieważ czuję się inaczej, odkąd je zjadłem. Ponieważ to były sceny z koszmaru. Nie wiem.

P: W tym wszystkim dziwi mnie jedna rzecz.

F: Tylko jedna?

P: Wspomniałeś o fortecy. Na pustyni. Znasz nazwę tego miejsca?

F: Nie.

P: Chyba jednak tak.

F: Nawet nie wiem, czy było prawdziwe.

P: A czy to jest prawdziwe?

[krzyki]

1

Obudził się, czując jakiś ciężar na łóżku obok siebie. Zesztywniał. Wstrzymał oddech. Sięgnął po broń. Po czym się rozluźnił. Rozpoznał zapach jej potu i delikatnych perfum. Sintra Caraval. Kobieta, która od dwóch lat była częścią jego życia. Ładnie pachniała.

Czuł, że wpatruje się w tył jego głowy. Czuł jej oddech na swoich plecach. Uśmiechnął się. Nie otworzył oczu. Pocałowała go w szyję.

Była naga. Gładki, miękki dotyk jej piersi na jego ramionach. Od razu stał się twardy. Otworzył oczy. Przewrócił się na plecy. Sintra odwróciła się razem z nim i wtuliła pod jego lewą rękę. Ogarnęła go fala szczęścia. Za oknem słabe światło malowało cienie w ciemności. Jej brązowa skóra lśniła w mroku. Powiedziała mu, że płynie w niej krew Nimblytodów i Dogghów. Szczepów, które mieszkały w Ambergris przed przybyciem osadników. Przed szarymi kapeluszami.

Nawet w ciemności Finch rozpoznał jej twarz. Gęste, wyraziste brwi. Zielone oczy. Pełne usta. Wąska blizna na lewym policzku, o której nigdy nie chciała mu opowiedzieć. Odrobinę za długi nos, który nadawał jej twarzy pytający wyraz.

Egzotyczna melodyjna intonacja na końcach zdań, gdy wyszeptala mu do ucha:

- Sama sobie otworzyłam. Nie chciałam cię wystraszyć.

Chciał wstać, by zamknąć drzwi, ale pchnęła go z powrotem na łóżko.

- Zamknęłam za sobą. Nikt tu nie wejdzie.

Finch przestał się opierać. Ujawnienie szyfru stanowiło najważniejszy dowód łączącego ich zaufania. Nie wiedział, czy to dobrze, czy źle.

- Sintro - powiedział zaspanym głosem, kładąc prawą dłoń na jej ciepłej piersi. - Mógłbym się do ciebie przyzwycząić. Naprawdę mógłbym. - Nie słuchał tego, co mówi. Jeszcze do końca się nie obudził. Bełkotał bez sensu jak w wieku piętnastu lat, gdy w swoim pokoju uprawiał seks z córką sąsiada, który wyszedł z domu.

- Mógłbyś się do mnie przyzwycząić? - spytała.

Kiedy udawała, że się na niego gniewa, unosiła brwi w sposób, który uwielbiał.

- Kiepski żart - odparł i przytulił ją mocniej. - Już się do ciebie przyzwycząilem. - Pocałował ją w czubek głowy. Rozluźnił się i poddał drgawkom wzbierającym w jego ciele. Po chwili doszedł do siebie.

- Ucieknijmy - powiedział, trochę bardziej przytomnie. - Dziś w nocy.

Obmyślał to już setki razy. O zmroku wzdłuż brzegu SHF. Łodzią. Nie motorówką. Do końca zatoki. Potem na zachód do imperium Kalifa albo na południe do Stockton. Na zachód, ponieważ łatwiej przedostać się przez strefy bezpieczeństwa na pustyni. Znał tamte okolice. Ojciec pokazywał mu je na mapie.

Uciec. Teraz.

Podejrzewał, że Sintra skrzywiła się w ciemności. Zawsze to robiła, gdy podejmował ten temat.

- Ciężka noc? - spytała.

„Tylko mnie nie zdradz” - powiedział mężczyzna i wziął Fincha za rękę.

- Pogmatwana.

- Później mi opowiesz.

Po chwili się całowali. Język spleciony z językiem. Jej słony smak w jego ustach. Głód. Potrzeba. Jego dłoń między jej umięśnionymi udami. Jego fiut w jej dłoni. Pulsowanie. Porwał go prąd, który sprawiał, że chciał dotykać i całować każdą część jej ciała. Ciepło i miękkość pod opuszkami jego palców. Płonął w jej dłoni. Wdech. Krótki okrzyk jak westchnienie. Obrócił się i znalazł ponad nią, ocierając się przedramionami o jej ramiona. Jęknął, gdy wślizgnął się do jej wnętrza, cały czas ją całując. Rozpuszczał swoje zatrute myśli. Nie myślał o niczym. Stawał się kimś innym.

Było mu z nią tak dobrze, że musiał na chwilę przerwać. Podparł się na łokciach i popatrzył jej w oczy. Jej dłonie dotykały jego piersi.

- Uwielbiam twoją szyję - powiedział, po czym ją pocałował. - I twoje oczy. - Pocałował ją w powieki. Światło wypierało cienie, więc widział ją dokładnie.

Nie uśmiechała się. Nie reagowała.

- John - odezwała się w końcu zmartwionym głosem. - John, płaczesz krwią.

Otarła palcem zbyt ciemną łzę.

- Naprawdę? - odparł, próbując się uśmiechnąć. Szczytował przy wtórze długiego rozzwierającego jęku, zanim w jego głowie zdążyła zakiełkować myśl.

Ryzyko zawodowe.

* * *

Później. Leżeli razem w pościeli. Dzikus przyciskał głowę do nogi łóżka, domagając się śniadania. Krwawe łyzy ustały niemal natychmiast. Wyte kiedyś wspominał, że to może być skutek spożycia bulw pamięci. Finch nie czuł bólu. Po prostu był zaskoczony. Osuszył

oczy ręcznikiem kąpielowym. Przez chwilę wpatrywał się w zniszczoną obcą twarz uwięzioną w popękany lustrze.

Forteca na pustyni. Armia milczących szarych kapeluszy. Oraz Ethan Bliss, przez wiele lat gruba ryba u Frankwrithe'a i Lewdena.

Odpędził te myśli. Sintra niedługo będzie musiała wyjść. Miejsce na karku, gdzie lubi być całowana. Miękkie kasztanowe włosy. Świeży słony smak.

- Jak było wczoraj w pracy? - spytał, mocno ją przytulając. Dotyk ciepłej skóry.

- Jak zwykle.

Co to znaczy?

- Jak zwykle - powtórzył Finch. - To dobrze.

- Chyba tak. - Sprawiała wrażenie rozkojarzonej.

Nadal nie wiedział, czym zajmuje się Sintra, ani nawet gdzie mieszka. Niedobitki Dogghów i Nimblytodów wykroiły dla siebie zbuntowane królestwo z ruin Dzielnicy Religijnej. Ale Sintra wcale nie musiała się z nimi identyfikować. Równie dobrze mogła wtopić się w miasto. Nigdy o to nie pytał. Czasami wyobrażał sobie, że jest agentką buntowników. Pocieszająca wizja. Całkowicie nierealna. Ale to bez znaczenia.

„Czuję się samotna. Nawet przy tobie”.

„Pewnego dnia to się zmieni...”.

Bolało go, że wołała, by nie wiedział. Mimo że rozumiał jej powody. Mimo że obracali to w grę.

„Gdzie pracujesz?”.

„W mieście”.

„A co robisz?”.

„Odpowiadam na pytania. Jak widać”.

Wiedział wszystko o swoich byłych dziewczynach. Ale Sintra nawet w łóżku zmieniała się z tygodnia na tydzień. Wyczerpująca. Podniecająca. Niebezpieczna.

Tęsknił za normalnością, której kiedyś doświadczył, gdy została u niego do rana i zrobiła śniadanie. To był nierzeczywisty, podniosły poranek. Poprzedniego wieczoru spotkali się na czarnorynkowym przyjęciu. Finch zdjął odznakę detektywa i zjawił się na imprezie jako cywil, chcąc dobrze się zabawić. Wpadli na siebie na prowizorycznym parkiecie. W czyjejś piwnicy. Wszyscy się spodziewali, że szare kapelusze przebiją się przez podłogę i poślą ich do obozów pracy.

- Ale widzę, że ty nie miałeś dobrego dnia - powiedziała, przywracając go do rzeczywistości.

- Prowadzę trudne dochodzenie.

- Jak trudne?

On siedział w fotelu i ze mną rozmawiał. Kot był wielki jak kucyk, a jaszczurka wielka jak kot. A ja byłem mały jak odbicie w oczach Dzikusa. Perwersyjna bajka.

- Wystarczająco trudne. Szary kapelusz przecięty na pół. Martwy człowiek. W mieszkaniu. Ale wydaje się, że spadli z nieba...

Sintra usiadła na łóżku i wbiła w niego wzrok.

- Gdzie ich znaleźli?

Finch odwzajemnił spojrzenie. Zaskoczyło go jej nagłe zainteresowanie. Czasami w akcie zaufania zdradzał jej szczegóły śledztwa. Ale nie w przypadku, gdy mogło ją to narazić na niebezpieczeństwo.

- Niedaleko zatoki - odpowiedział. Czekaj.

Sintra się namyślała, tak samo jak on. W końcu zmieniła temat.

- Czy to dlatego płakałeś? Z powodu tego, co pokazały ci bulwy pamięci?

- Tak. - Podparł się na jednym łokciu. Zadrzał i się skrzywił. Czyżby szok? Ucisk w głowie. Jakby mózg nie mieścił się w czaszce.

Przytuliła go. Pocałowała. Położył głowę na jej piersi. Czasami Sintra go przerażała. Zarówno jej obecność, jak i nieobecność.

- Może to była reakcja na narkotyk - powiedziała. - Może wciągnąłeś do płuc szkodliwe spory.

Sintra wspominała, że przed Powstaniem była asystentką lekarza.

- Wątpię. - Razem z innymi detektywami co kilka miesięcy otrzymywali odtrutki. To była jedna z zalet pracy dla szarych kapeluszy. Kradł dodatkowe dawki dla Sintry i Rathven. Sintra zawsze zabierała je ze sobą. Nigdy nie zażywała ich w mieszkaniu.

- Ale już po wszystkim.

- Tak, już po wszystkim.

Uwolnił się z jej uścisku. Dzikus mył się w sнопie światła obok okna. Skradek siedział nieruchomo na parapecie. Napawał się nowym słońcem.

Sintra owinęła się kołdrą, wstała i podeszła do okna. Pozostawiła Fincha nagiego i obnażonego na łóżku. Patrzył na nią, wkładając bieliznę. Przypominał sobie ich pierwszy raz. Jak po jej wyjściu oglądał pościel i poduszki. Chciał nadal czuć jej zapach. Po ich seksie nie pozostał żaden ślad. Tylko wspomnienie. Jakby wszedł w ducha.

Odwróciła się w jego stronę, wpisana w ramę okna.

- Wrócę jutro albo pojutrze - obiecała. - Niedługo.

- Tak, niedługo - odrzekł Finch. Pomyślał o posterunku. O innych policjantach. Ogarnęło go zawodowe zmęczenie.

Pamięciodziury, Wyte, Heretyk i ochota, by krzyknąć, by zacząć strzelać.

- Może nawet zostanę do rana. Jeśli mi się uda - powiedziała. Rzuciła mu zaciekawione spojrzenie, jakby go sprawdzała. Trzymała dłonie za plecami, lekko zgięła jedną nogę; jej brązowe ciało wydawało mu się idealne. - Co o tym myślisz?

Chyba było oczywiste, co o tym myśli, bo nie mogła znieść ciężaru jego spojrzenia. Odwróciła wzrok. Schyliła się po niewielki plecak i ubrania.

Oczywiście, Finch nie wątpił, że Sintra czuje to samo. Wiedział, dlaczego trzymała się na dystans. Z tego samego powodu co on.

Tylko że w moim przypadku to nie działa.

Długi pocałunek. Ostatni uścisk.

I zniknęła.

Czuł tylko ból w udach. Wilgotną plamę na przodzie bielizny, zimniejszą niż wcześniej.

* * *

Tylko raz Sintra coś u niego zostawiła. Finch przechowuje to w szufladzie biurka. Nie musi, ale także nie widzi powodu, by to wyrzucić.

Zwięzłe odręczne notatki Sintry dotyczące grzybów, których już dawno nie opisuje się w atlasach. Ignorancja może prowadzić do śmierci, chociaż od czasu Powstania szare kapelusze utrzymują ulice w czystości. Czy powodowała nią osobista ciekawość? A może to jakieś czarnorynkowe zamówienie? Czy pomagała komuś, komu nie powinna? Wspierała jakąś grupę tropioną przez szare kapelusze?

Czy zbieranie tych informacji czyni z niej szpiega, czy tylko pragmatyczkę? Czy przetrzymywanie ich czyni z niego współnika, czy tylko osobę sentymentalną?

Ta niekompletna lista nie zawiera grzybowych broni. Opisane grzyby pełnią konkretne funkcje lub „pracują” wewnątrz miasta. Jeśli posiadają jakieś drugorzędne bądź trzeciorzędne przeznaczenie, to obecnie nic mi o tym nie wiadomo.

(1) Małutkie białe grzybki, niemal jak kwiaty w kształcie gwiazdek - znajdowane najczęściej wokół powierzchni, na których niedawno leżały zwłoki, oraz na terenach konfliktów. Jak kredowe linie używane przez policjantów przed

Powstaniem do oznaczania ułożenia ciała? Ostrzeżenia albo...?

(2) Zielone grzyby „włócznie” o ostrych wąskich kapeluszach i długich smukłych ogonkach - cztery lub pięć z nich zawsze rośnie wokół budynku przeznaczonego do przemiany. Trzy dni po zniknięciu zielonych grzybów-włóczni budynek zaczyna wyglądać na wilgotny lub gąbczasty, co jest spowodowane przenikaniem grzybów spod ziemi. Czwartego bądź piątego dnia budynek zaczyna się rozsypywać. Szóstego dnia rozwiewa go wiatr. Siódmego dnia w tym samym miejscu zazwyczaj wyrasta nowa budowla, w ciągu jednej doby. Może ona przybrać dowolną formę i zawsze powstaje z grzybów.

(3) Czerwone grzyby „drzewa” o olbrzymich kapeluszach i grubych ogonkach „pniach” - mogą mieć do osiemdziesięciu stóp wysokości i są znacznie bardziej odporne na burze i silne wiatry, niż inne gatunki. Wydaje się, że dysponują układem filtrującym, który zapewnia im stabilność, przepuszczając powietrze przez miliony „porów”. W pewnym sensie unoszą się w powietrzu. Badanie (1) z powietrza miejsc ich występowania pozwoliło stwierdzić, że zostały „posiane” według regularnego schematu, tworząc „pasy” rozchodzące się od zatoki, omijające jedynie SHF oraz Dzielnicę Religijną. Regularnie wydają z blaszek mniejsze fioletowe grzyby, które wywołują w ludziach silne uczucie euforii i charakteryzują się wysoką zawartością przyswajalnych białek.

(4) Fioletowe grzyby „narkotyczne” o kulistych kapeluszach, niemal pozbawione ogonków - wydalone przez czerwone grzyby-drzewa, niewątpliwie służą do „panowania nad tłumem”, odżywiają mieszkańców, a jednocześnie wpędzając ich w nałóg. Mają silne działanie uzależniające, gdyż wpływają na ośrodki przyjemności w mózgu. Ponadto wywołują uspokajające halucynacje, przeważnie oparte na przyjemnych wspomnieniach.

Zdecydowanie jest to jej pismo. Pod jego nieobecność niejednokrotnie wsuwała pod drzwiami karteczki z wiadomościami. Finch powtarza sobie: „Wyrzucę to, kiedy więcej się o niej dowiem”. Ale minęło już dziewięć miesięcy odkąd znalazł notatki i przez ten czas Sintra nie powiedziała mu nic nowego.

Jednakże ostrożność znika, gdy tylko ona wchodzi do jego mieszkania. Finch

przypomina sobie strach, który boleśnie paraliżuje mu mięśnie za każdym razem, gdy Sintra się spóźnia. Łyka wtedy powietrze jak wodę. Gęste i ciężkie. Czuje, że ginie. Nie zaginie.

2

Kiedy Sintra wyszła, Finch nakarmił kota, przegryzł coś i umył się w dwóch wiadrach używanej wody. Świeża koszula, te same spodnie, ta sama kurtka. Wykopał Dzikusa z mieszkania na samotną przechadzkę, po czym zszedł na dziedziniec, a następnie do piwnicy.

Błada, koścista twarz Rath pojawiła się w uchylonych drzwiach. Oceniała go. Czegoś wypatrywała.

Wpuściła Fincha bez słowa. Przemierzył przedpokój rozjaśniony ścianami pomalowanymi na jasnozielono. Pewnie po to, by ukryć zgniliznę. Potem wszedł do większego pomieszczenia z kilkoma fotelami, z obu stron otoczonego przez jej dziwną bibliotekę. Dalej, gdzie Finch nigdy nie dotarł, zaczynała się entropia. Szare i niebieskie plamy jak siniaki na suficie. Znikały w ciemności tunelu.

- Widzę, że nic się nie zmieniło - rzekł Finch.

Rath się roześmiała.

- I tak byś nie zauważył.

Finch minął ją i usiadł na fotelu nakrytym niebieską narzutą. Ponad nim wznosiły się zniszczone przez wodę książki w miękkich i twardych oprawkach, nierówno spiętrzone na powykrzywianych półkach. Półki osadzono na palach, by chronić je przed nagłym wzrostem poziomu wody. Ciężki zapach wilgoci wydawał się zarazem świeży i klaustrofobiczny.

- Kawy? - zaproponowała. Jak zwykle.

Zawahał się.

- Nie. Poproszę herbatę. - Sam nie wiedział dlaczego.

Rath zniknęła w tunelu. Czyżby miała tam kuchnię? A może sypialnię. Albo więcej książek. Całą trupę klaunów. Ta myśl go rozbawiła.

Kiedy na nią czekał, jego uwagę zwróciły luźne kartki ocalone z dawno zatopionych książek. Czerwone oko wyzierające z potwornej twarzy. Linijki odręcznego pisma w nieznanym języku. Schematy budynków, roślin i pojazdów mechanicznych. Czarno-białe zdjęcie wymizerowanej pięcioletniej dziewczynki ubranej w obszarpaną sukienkę, stojącej na błotnistym śladzie czołgu.

Truff jeden wie, kto tutaj kiedyś mieszkał i kolekcjonował książki. Albo jak długo zajęło Rath posegregowanie zbiorów. Albo jak bardzo wzbogaciła je tomami, które znalazła

w całym mieście. Kolekcja stanowiła stale zmieniającą się arenę konserwacji i rozkładu. Tak wiele rzeczy ocalonych tylko po to, by zniszczył je upływ czasu. Woda stale bulgocząca na podłodze. Czasami uwięziona ryba ocierająca się płetwami o rury i kraty, wydająca odgłosy jak piórka uderzające o czaszki.

Pojawiła się z dzbankiem i dwiema filiżankami na tacy. Postawiła naczynia na oddzielającym ich stoliku. Nalała mu herbaty.

- Na pewno tego chcesz? - spytała sceptycznie.

- Tak. - Chętnie przyjął herbatę. Wciąż bolała go głowa. Herbata smakowała inaczej. Lepiej. Spłukała utrzymujący się w jego ustach smak bulwy pamięci.

- Nie przeczytałam listy - powiedziała, siadając naprzeciwko niego na niskim drewnianym krześle przykrytym zielonym kocykiem.

- Nie spodziewałem się, że zdążysz to zrobić - odparł Finch. - A co z symbolem?

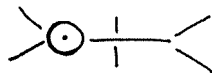
- Sprawdziłam go. Choćby dlatego, że to prosta sprawa.

- Już kiedyś go widziałem, tylko nie wiem, co oznacza.

- Nie ty jeden. Więcej wiemy o tym, z czym ten symbol jest utożsamiany, niż o jego znaczeniu.

Rathven wyjaśniła, że kiedyś szare kapelusze narysowały nieciągłą wersję tego symbolu jako ostrzeżenie. U zarania dziejów miasta, gdy pozostawiły oczy założyciela Ambergris, wielorybnika Johna Manzikerta, na starym ołtarzu teraz zalany wodami zatoki. Tego samego Manzikerta, który urządził rzeź szarych kapeluszy i wpędził je pod ziemię.

- Wyglądał tak - powiedziała, rysując.



Symbol zajmował ważne miejsce w odnalezionych dziennikach mnicha Samuela Tonsure'a, towarzysza Manzikerta podczas jego podziemnej wędrówki. Później jego ciągła wersja pojawiała się kilkakrotnie w najważniejszych momentach w historii.

- Podaj jakiś przykład - poprosił Finch.

- Podczas Ciszy - odpowiedziała Rathven. - Według relacji, którymi dysponuję, wtedy ten symbol pojawił się wszędzie, w całym mieście.

Finch rzucił jej ostre spojrzenie.

- Pierwsze słyszę. - Jednocześnie ogarnęło go silne uczucie, że wie o tym, tylko zapomniał.

Rathven wzruszyła ramionami.

- Po prostu przekazuję ci, co napisano w książkach historycznych. Połowa moich

książek wspomina o Ciszy, więc nie tak trudno wytropić tę informację.

Cisza. Siedemset lat temu dwadzieścia pięć tysięcy ludzi zniknęło z miasta. Ocalały jedynie załogi statków z potężnej floty rybackiej władcy, która wtedy znajdowała się w odległości pięćdziesięciu mil w dole rzeki. O Ciszy napisano wiele straszliwych opowieści. Ukształtowała ona całe późniejsze życie Ambergris, a zwłaszcza podejście do szarych kapeluszy. Wszyscy wierzyli, że to one za nią odpowiadają. Kiedy wybuchło Powstanie, niektórzy twierdzili, że zostało spowodowane rzezią, której dokonał Manzikert, a szare kapelusze chcą dokończyć coś, co rozpoczęły podczas Ciszy. Dopełnić zemsty po kilku wiekach cierpliwego oczekiwania. Oczywiście, nikt nie mógł tego potwierdzić. Po wyjściu na powierzchnię szare kapelusze były jeszcze mniej rozmowne niż wtedy, gdy znajdowały się pod ziemią.

- Niektórzy wierzą, że nieciągły symbol oznacza zerwane porozumienie - rzekła Rathven.

- Znalazłem go na odwrocie skrawka papieru, na którym zapisano wiadomość. Skrawek wyrwano z książki. To zapewne nie ma związku ze śledztwem. - Z niewiadomych przyczyn chciał czym prędzej przejść do kolejnego tematu.

- Zapewne - odparła Rath, takim tonem, jakby pytała: „Więc dlaczego każesz mi tracić na niego czas?”.

Wyjął zdjęcie z kieszeni.

- Chciałbym, żebyś rzuciła na nie okiem, kiedy będziesz sprawdzała listę.

Rathven wzięła fotografię. Skrzywiła się.

- Co?

- Finch, on nie żyje.

- Pewnie, że nie żyje. Prowadzę śledztwo w sprawie morderstwa. Muszę się dowiedzieć, kim on jest. To bardzo dziwne. Sam nie potrafię tego ogarnąć. Potrzebuję twojej pomocy.

A na posterunku nie ma nikogo, komu zaufałbym na tyle, by mu powierzyć listę.

- Na pewno chcesz mi powiedzieć więcej? - spytała Rathven.

Do Rathven przychodzili ludzie, których szare kapelusze uważały za wrogów. Szukali informacji w jej bibliotece. Szukali informacji u niej. Finch przymykał na to oko. Ale pewnego dnia ktoś sprawdzi neutralność Rath i jej umiejętność odcinania się od badanych spraw.

Jakiś dźwięk odwrócił jego uwagę. Nagły ruch wody gdzieś w ciemności za jego plecami. Już kiedyś widział ryby „wychodzące” z tej ciemności. Widział, jak rozpaczliwie

łapią powietrze, próbując stać się czymś innym. Pewnego razu usłyszał w głębi tunelu odgłos przypominający chłupot wiosel. Spytał wtedy Rath, pół żartem, pół serio: „Czy jest coś, o czym chciałabyś mi powiedzieć?”. Zignorowała go.

Odstawił herbatę. Rozparł się w fotelu. Czy ufam Rathven bardziej czy mniej niż Sintrze?

- Martwy mężczyzna i martwy szary kapelusz. W tym samym mieszkaniu. Z szarego kapelusza pozostał tylko tułów z rękami i głową. Żadnej krwi. No tak, w końcu to szary kapelusz. Ale może oni wcale nie zostali zamordowani. Albo zamordowani, ale nie w tamtym mieszkaniu. Niewiele się dowiedziałem z bulw pamięci. - Niewiele mogę zdradzić.

Mówienie mu pomagało. Usuwało napięcie. Pozwalało się pozbyć dziwnego echa w głowie.

Rathven pokiwała głową z poważną miną.

- Niewiele się dowiedziałeś? A więc jednak coś zobaczyłeś? - Niecierpliwie czekała na odpowiedź.

- Za mało ci powiedziałem? - spytał, udając szok. - Masz rację, to nie wszystko. Wygląda na to, że ofiary spadły z dużej wysokości. Może z murów pustynnej fortecy. Dzisiaj muszę złożyć raport.

Czy brzmię jak wariat?

- Na czym opierasz swoją teorię? - spytała.

Poczuł nagłą irytację.

- Na pomieszanych wspomnieniach. A także na rozmowie z trupem. Pewnie mi się przywidziała.

- Co takiego?

- Przecież mówię! Ogłuchłaś? - Mężczyzna znów się roześmiał. Oślepiające, niewiarygodnie jasne światło niczym blask słońca wtargnęło przez okno. Rozerwało nocne niebo.

Zdał sobie sprawę, że na nią krzyknął.

- Przepraszam.

Rath popatrzyła na niego uważnie.

- Nie jesteś dzisiaj sobą - orzekła.

- Myślisz, że mogę robić to, co robię, i się nie zmienić? - Wypluwał kolejne słowa. - Jeść bulwy pamięci? Pracować na posterunku?

- Nic mnie to nie obchodzi - odparła Rathven. - Jeśli za bardzo się zmienisz, więcej cię nie wpuszczę. - Wpatrywała się w niego. Widziała na jego miejscu kogoś albo coś innego.

Nawet sobie nie wyobraża...

- Przepraszam - powtórzył Finch. Słowa przychodziły mu z trudem. Zaciśnął zęby.

Znów to powiedział. Kurwa!

Rathven spuściła wzrok. Upiła łyk herbaty.

- A więc trup z tobą rozmawiał?

Niech będzie. Mów dalej. Zrozumiał, że w jej towarzystwie musi być ostrożniejszy. Ona nie jest jednym z detektywów na posterunku.

- Na to wygląda - odparł. - Oczywiście, to było złudzenie.

- Co jeszcze?

- Nic. Tylko kawałek papieru, na którego odwrocie znajdował się symbol. Były tam zapisane słowa. „Nie zaginie”. A dalej „bellum omnium contra omnes”. Spotkałaś się kiedyś z czymś takim?

- Nie - odparła, ale Finch wyczuł jej zainteresowanie.

- Nie wiesz, co to znaczy?

- Skąd miałabym wiedzieć, co to znaczy, skoro nigdy nie słyszałam tych słów?

Nie potrafił się zmusić do kolejnych przeprosin, więc nic nie odpowiedział.

- Może zadajesz niewłaściwe pytanie. „Bellum omnium contra omnes” - powiedziała Rathven, a w jej ustach tajemnicze słowa zabrzmiały jak echo z innego świata. Jakby były pozbawione znaczenia.

- Co masz na myśli?

- Czy to naprawdę takie ważne, co to znaczy? Dlaczego on miał przy sobie tę kartkę w chwili śmierci? Wyobraź sobie, że zapisano tam dowolne inne słowo. Jakiś znajomy wyraz: miasto, krowa, mieszkanie, rondel, książka, akapit.

- Kod? Hasło? - Poczul się jak głupiec, że wcześniej na to nie wpadł. - Być może to nic nie znaczy.

Wycelowwała w niego palec.

- I właśnie dlatego jest tak cenne.

- Ale dlaczego? Po co zapisywać część wiadomości w postaci bełkotu?

Wzruszyła ramionami i popatrzyła na niego z szelmowskim wyrazem twarzy.

- To nie ja jestem detektywem.

Ja także nim nie jestem.

- Powinniśmy razem pracować. - Poczuli się swobodniej, gdy powrócili do rutynowego hasła i odzewu.

* * *

- Są tutaj, a potem są tam i czasami nie widzą różnicy, a jeśli tylko im pozwolisz, uczynią to sednem wszystkiego, co robią z miastem. Złamią cię, nie mówiąc ci tego, co już wiesz, co powinienes wiedzieć, ponieważ właśnie tak działają. Wiedza jest brakiem, którego w nas szukają, a kiedy ją znajdują, przekręcają klucz, otwierają okno i wszystko wraca do punktu wyjścia.

Finch wytrzymał przemowę szaleńca przed hotelem, po czym wrócił na posterunek.

Wczorajszego podejrzanego nie było w klatce. Jego miejsce zajęła staruszka o jasnoniebieskich oczach wzierających z twarzy poprzecinanej zmarszczkami, niczym zza własnoręcznie wykonanego ogrodzenia. Równie dobrze mogłaby się znajdować w odległości tysiąca mil. Finch i tak nie mógł jej pomóc. Uznał ją za ofiarę i zignorował. Zignorował także Albina, który cicho zadawał jej pytania, zupełnie jakby był świadkiem scenki w zoo. Podszedł do swojego biurka.

Otoczający go detektywi zachowywali się w identyczny sposób. Obojętność, nieobecność, strach, nuda. Blakely i Gustat jak zwykle nierozłączni, tak w zgodzie, jak i w kłótni. Skinner w terenie - za chwilę miał powiedzieć pewnemu człowiekowi, że jego zaginiona żona prawdopodobnie nie żyje. Dapple rysujący coś na kawałku papieru. Zagubiony w innym świecie.

Wyte odwrócony plecami i zgarbiony, jakby Finch próbował ściągać od niego na klasówce. Masywna sylwetka pokryta plamami. Finch się nad nim nachylił.

- Ołówek ci się zapali.

Wyte się skrzywił.

- Jestem zajęty, Finchy. Naprawdę. Nie zartuję. - Nie przestawał pisać. Finch nie potrafił niczego odczytać.

- Pisziesz testament? - Od razu pożałował, że to powiedział.

- Zamknij się, Finchy - odparł Wyte. Cały czas skrobał po papierze. - Ja nie opisuję w swoich raportach dowodów, których jeszcze nie znalazłem, a jednak jeszcze mnie nie wywieźli.

- Bo masz farta - mruknął Wyte.

Jasnozielona plama zaczęła się rozprzestrzeniać z tyłu jego niebieskiej koszuli.

Finch uprzątnął blat biurka. Przyniósł maszynę do pisania. Jeden z najlepszych modeli, jakie wyprodukował Hoegbotton. Potężny dwudziestofuntowy potwór, który przypominał Finchowi, do czego kiedyś było zdolne Ambergris. Setki tysięcy sztuk wysłano do miast

położonych wzdłuż rzeki Moth. Slogan reklamowy „Gotowa do walki” wcale nie był żartem.

Popatrzył w swoje notatki. Nie chciał informować Heretyka o wszystkim, co znalazł. Przynajmniej dopóki nie dowie się, co znaczą odkryte słowa. Postanowił zlekceważyć symbol, chociaż ten wypalił mu się w umyśle. „Skupiaj się na tym, co możesz kontrolować. Reszta tylko cię rozprasza”. Tak mawiał jego ojciec.

Jakie konkrety może zawrzeć w swoim raporcie? Przez kilka chwil wpatrywał się w przestrzeń. Potem zaczął pisać. Przerwał, gdy dotarł do miejsca, które go niepokoiło.

Oba wspomnienia zawierały wizje pustynnej fortecy. Oba wspomnienia zawierały wizje spadania.

Z dużej wysokości? Być może.

Wypił łyk kawy. Wcześniej umył filiżankę, by się upewnić, że nie zagnieździły się w niej grzyby, widoczne bądź niewidoczne. Zdarzało się, że w nocy szare kapelusze robiły dziwne rzeczy z kubkami.

Oba wspomnienia zawierały wizje SHF.

Chyba. Skąd mam wiedzieć, skoro nigdy tam nie byłem?

Po przeanalizowaniu

„Mojego wspomnienia...”.

obydwu wspomnień wydaje się pewne, że szary kapelusz

Fanaarcessitti? Fanarcesittee? W raportach zawsze są literówki.

że fannarcessitti ścigał człowieka. Nie wiem jednak dlaczego.

Po chwili całował się z Sintrą. Język spleciony z językiem. Jej słony smak w jego ustach. Jego dłoń między jej umięśnionymi udami. Głód. Potrzeba. Coś, co nie istniało poza sanktuarium jego mieszkania.

W drodze na posterunek zrozumiał siłę tej potrzeby i związane z nią zagrożenie.

Gwałtownie wypuścił powietrze z płuc. To droga do szaleństwa.

Przede wszystkim w ogóle nie powinien prowadzić tego śledztwa. Niewielu ludzi rozróżnia, czym zajmują się detektywi, a czym Stronnicy albo szare kapelusze. Nigdy nie należy wykonywać służbowych obowiązków niedaleko miejsca zamieszkania. Nigdy też nie należy pozwolić na to, by sąsiedzi wiedzieli, czym się zajmujesz. A jednak dom numer 239 przy alei Manzikerta znajdował się zaledwie milę od hotelu. Dlaczego Heretyk postawił go na czele dochodzenia? Czyżby już nie ufał Wyte'owi? A może miał jakiś inny powód? Finch pochylił się na krześle. Musiał poczynić jakieś postępy. Po prostu weź się do roboty.

Wspomnienia człowieka okazały się bardziej spójne od wspomnień *fannarcessittiego*. Nie potrafię stwierdzić, czy było to spowodowane tym, że umysł *fannarcessittiego* był bardziej oszołomiony i chaotyczny w chwili śmierci, czy raczej tym, że jako człowiek mogłem łatwiej odczytać wspomnienia drugiej ofiary.

Doświadczenie w żaden sposób nie przybliżyło mnie do poznania tożsamości mężczyzny.

Żałuję, że bulwy pamięci nie okazały się bardziej pomocne.

Jednakże Finch widział jedną osobę, którą rozpoznał. Odchylił się do tyłu i pomyślał o Ethanie Blissie. O tym, co wiedział. O tym, czego nie wiedział.

Po pierwsze, perspektywa ogólna. Bliss walczył po stronie Frankwithe'a i Lewdena podczas Wojny Domów. Za kulisami. Nikt nie wiedział, co tak naprawdę robił dla F&L. Prowadził tajne operacje? Dołączył do skrzydła politycznego. Szybko został najważniejszym człowiekiem F&L w Ambergris. Pomógł zawrzeć sojusz pomiędzy F&L a Błękitną Damą. Potem, zaraz po przejściu władzy przez szare kapelusze, zniknął z pola widzenia. Pewnie wrócił do rodzinnego Morrow. Pojawił się ponownie dwa lata temu. Czyżby dlatego, że Morrow ucierpiało z ręki szarych kapeluszy, które odcięły dopływ wody? Statki nagle osiadły na suchym dnie rzeki. Ustał handel. Zaczęło brakować wody pitnej.

Ten nowy Bliss zajął się szpiegostwem. Miał powiązania z Kosą. Ale, jak donosili informatorzy Fincha, nie łączyła go wspólnota interesów z buntownikami.

Jak cenne informacje możesz uzyskać, gdy płacisz informatorom jedzeniem i ubraniami? Cenniejsze? Mniej cenne?

To wszystko sprawiło, że Bliss znalazł się w centrum zainteresowania każdego

detektywa, który nienawidził cudzoziemców mieszających się w interesy Ambergris. Być może Finch mógłby wykorzystać Bliss'a w charakterze szpicla, ale tego nie zrobił. Był ostrożny, gdyż nie wiedział, dla kogo Bliss obecnie pracuje. Jeśli w ogóle dla kogoś pracował.

Po drugie, perspektywa osobista. Bliss kilkakrotnie bywał w domu jego ojca, gdy Finch miał dwanaście, może trzynaście lat. Finch pamiętał, jak patrzył przez kuchenne okno na Bliss'a i swojego ojca rozmawiających w ogrodzie. Niższy z mężczyzn był solidnie zbudowany i nieruchomy. Ojciec, niespokojny i pobudzony, wymachiwał rękami, wskazywał na Bliss'a i czegoś się domagał. A jednak wydawało się, że to milczący i spokojny Bliss panuje nad sytuacją.

Bliss mógł się znajdować na jednym ze zdjęć, które Finch spalił, gdy przyjął nową tożsamość. Jednakże Bliss był tylko jednym z wielu gości. Podczas tamtych kilku spokojnych lat w ich domu odbywało się wiele przyjęć, na które zapraszano ludzi z obu stron.

Finch widział również, jak Bliss przemawia. Jedną z przemów wygłosił przed Operą im. Vossa Bendera do niemal dziesięcioletniego tłumu. Wyglądał oszalamiająco we fraku. Na jego piersi lśniły honorowe medale, dzięki którym blichtrz rzucał się w oczy bardziej od człowieka. Bliss wzywał jedwabistym głosem do współpracy i służby wspólnej sprawie, chociaż zaledwie rok albo dwa lata wcześniej swoją zakulisową działalnością sprawiał Domowi Hoegbottona tak wiele kłopotów. Zamachy bombowe. Seryjne oczyszczanie domów z powstańców. Walki w wąskich uliczkach, gdzie czołgi okazywały się bezużyteczne, ale grzybowe pociski F&L znakomicie spełniały swoje zadanie.

Po trzecie, co szare kapelusze wiedziały o Blissie, jeśli w ogóle o nim wiedziały? Finch nie pamiętał, czy widział jego teczkę. Będzie musiał o nią poprosić. Nie znosił tego robić. Nie miał pojęcia, o co Heretyk „poprosi” w zamian.

Mimo to, wyjął formularz i wypełnił niezbędne rubryki. W rubryce „obiekt” wpisał nazwiska Ethana Bliss'a oraz kilku innych osób. Jako przykrywkę. Gdyby Finch napisał w raporcie, że widział Bliss'a we wspomnieniach martwego mężczyzny, Bliss byłby trupem. A raczej wolałby nim być. Tymczasem Finch nie wiedział, co to wszystko znaczy, i najpierw chciał go przesłuchać. Co byłoby niemożliwe, gdyby Heretyk dorwał go pierwszy.

Cholera, dlaczego Ethan Bliss pojawił się we wspomnieniach zmarłego?

Finch napisał:

Może jakiś *fannarcesitti* zdołałby skuteczniej odczytać wspomnienia człowieka?

Co by zobaczył szary kapelusz? Drażnienie się z Heretykiem napełniało Fincha ponurą satysfakcją. Szare kapelusze nienawidziły spożywania ludzkich wspomnień. Zupełnie jakby nie mogły znieść ich smaku albo zapachu. Finch nie pamiętał, by Heretyk kiedykolwiek zjadł ludzką bulwę pamięci. Czy wspomnienia ludzi mogły wyrządzić szarym kapeluszm krzywdę?

Nie ma dowodów na to, że zgony nastąpiły w wyniku morderstwa, a nie wypadku. Ofiary mogły zginąć w innym miejscu, a następnie zostać przeniesione do mieszkania. Lokatorzy bloku nie byli w stanie przekazać dodatkowych informacji. Plotki, według których pod numerem 525 mieszkały dwie osoby, nie znalazły potwierdzenia.

Zabezpieczał się na wypadek, gdyby gra Stronnika przyjęła nieprzyjemny obrót. Upór jednak nie pozwalał mu wspomnieć o kawałku papieru, mimo że Stronnik o nim wiedział. Czy powiedział Heretykowi? Może tak. Może nie.

Finch odsunął się od maszyny do pisania i złączył ręce za głowę. Jego raport nie miał sensu. Składał się z dymu i cieni. Wątpliwe, by Heretyk uznał go za przekonujący. Co to oznacza, że martwy mężczyzna z nim rozmawiał? Kolejna rzecz, której nie zawarł w raporcie. Intuicja go przed tym powstrzymała.

Wyszarpnął kartkę z karetki maszyny. Rozległ się mechaniczny odgłos rozrywania, na tyle głośny, że pozostali policjanci jednocześnie odwrócili się w jego stronę, zupełnie jakby wykonali jakiś układ choreograficzny.

Na co się gagicie, do cholery?

Zdał sobie sprawę, że wypowiedział te słowa na głos.

Wcisnął swój raport do strąka razem z prośbą o wydanie akt. Wepchnął je w gardziel pamięciodziury. Udław się.

Po chwili z tej przeklętej rzeczy wydobył się dźwięk. Przychodząca wiadomość.

Strąk. Kosmyki. Młotek. Jajo. Wydobyć. Notatka od Heretyka.

ZOBACZYMY SIĘ PO PRACY

- Kurwa - odezwał się Finch.

- Aż tak źle? - spytał Wyte.

- Dlaczego zawsze zadajesz to pytanie?

- Dlaczego zawsze odpowiadasz twierdząco?

- W takim razie nie powinieneś pytać.

Zostawanie po pracy zawsze wyprowadzało go z równowagi. Muszę się stąd wydostać.

- Chodź - rzekł do Wyte'a. Wyte'owi też to dobrze zrobi. - Pogadamy z Ethanem Blissem.

Jeśli zdołają go odnaleźć.

* * *

Na stole obok biurka w swoim mieszkaniu Finch trzyma mapę przedstawiającą Ambergris przed Powstaniem. Mapa zakrywa cały blat, ukazując miasto ze wszystkimi szczegółami. Finch nie ma pojęcia, z czego jest zrobiona. Nigdy się nie drze. Nigdy się nie marszczy. Ojciec podarował mu ją, gdy Finch miał trzynaście lat. „Nigdy nie będziesz potrzebował innej” - powiedział. Nanosił na nią znaki zielonym długopisem za każdym razem, gdy posyłał syna z jakimś zadaniem w nowe miejsce. Nalegał, by Finch zawsze miał mapę przy sobie. Chociaż była ciężka. Chociaż Finch już znał niektóre miejsca. „Ulice się zmieniają. Chcę mieć pewność, że się nie zgubisz”.

Jakie to były zadania? Odbieranie listów. Doręczanie paczek. Ustne przekazywanie pojedynczych słów lub fraz - „Wodny szlak handlowy”; „Jest zbyt zimno jak na tę porę roku”; „Pan Green mówi, że prawdziwy z pana szczęściarz” - wciąż innym ludziom. Starym, młodym, mężczyznom, kobietom - w ich spojrzeniach zawsze kryła się jakaś tajemnica. Traktował to jak grę. Rozkoszował się nieznajomością jej reguł. Potem wracał do domu niczym ludzki gołąb pocztowy.

„Sprawy oficjalne” - mawiał jego ojciec. Piastował ważne stanowisko u H&S, ponieważ był bohaterem wojennym. Każdy mógł to sprawdzić, oglądając zdjęcia, na których walczył z Kalifem, a także rozmawiając z ludźmi odwiedzającymi ich dom. Niektórzy z nich nosili dziwne kapelusze i mundury.

Kiedy Finch skończył siedemnaście lat, ojciec przestał korzystać z jego usług. Finch poczuł się odrzucony. Nie rozumiał, dlaczego ojciec zwrócił się do innych, gdy on zaczął zadawać pytania. Gdy zaczął wyczuwać, że jego misje noszą znamiona tajności. Dość wysoki, ciemnowłosy, poważny chłopak, który ma niewielu przyjaciół w swoim wieku, uczony w domu przez ojca. Te wędrówki po mieście dużo dla niego znaczyły.

Zachował mapę i korzystał w niej w swojej nowej pracy, którą znalazł mu ojciec. Został gońcem w firmie Hoegbottona. Przekazywał faktury i listy wysyłkowe, krążąc między głównymi biurami a magazynami w porcie. Czasami, gdy konflikt się zaostrzał, a żołnierze

F&L zamykali niektóre drogi, musiał wyszukiwać inne trasy.

„Handel musi się toczyć równym tempem, choćby nie wiem co” - mawiał jego szef Wyte. Wyte był od niego o siedem lat starszy i miał gabinet w ceglany budynku przy Bulwarze Albumuth, gdzie mieli wspólnie pracować po Powstaniu. Już wtedy wydawał się zbyt potężny jak na otaczający go świat. Jego biurko było za małe. On był zbyt niezdarny. Ale w oczach Fincha zawsze stanowił najwyższy autorytet.

Mapa pokazuje ceglany budynek oznaczony na zielono. Przedstawia także ze szczegółami Dzielnicę Biurokratyczną, Dzielnicę Religijną oraz obszar, który przed wojnami nieoficjalnie nazywano dzielnicą kupiecką. Bulwar Albumuth, olbrzymiego węża wijącego się przez niemal całe miasto. Dolinę, która stanowiła dom dla tak wielu obywateli. Port. Bagna na północy.

To obraz Ambergris, który pozostawał niezmienny przez wieki. Przetrwał wczesne ataki Kalifa, kawaleryjskie szarże wojsk Morrow w czasach, gdy rządził tam król, a nie F&L. Przetrwał nawet Ciszę.

Ale nie zdołał się oprzeć Powstaniu.

Szare kapelusze dysponują przezroczystym papierem o zielonkawym, ledwie zauważalnym odcieniu. Papier wydaje się lekki jak listek, ale jest bardzo wytrzymały. Finch ukraść dwa arkusze i skleił je razem, tworząc nakładkę na swoją starą mapę. Na niej zaznacza zaobserwowane zmiany, używając ciemnego ołówka, który może w każdej chwili zetrzeć.

Wieczorami, gdy jest zbyt niespokojny, by spać, a zarazem zbyt zmęczony, by czytać, Finch zapala światło w gabinecie. Albo korzysta z latarki, jeśli nie ma prądu. Przegląda nakładkę na mapie. Szuka obszarów, w których wystąpiły zmiany. Oczyszcza te części chustką i wodą, a następnie od nowa je zabudowuje i przerysowuje. Zmiana kształtu zatoki albo Strefy Hoegbottona i Frankwithe'a. Spalony rząd domów. Narkotyczny grzyb, który wystrzelił spod chodnika. Nowy dom lub katedra szarych kapeluszy.

Ostatnio zaznacza wycofywanie się wody. Zaraz po Powstaniu kanały sięgające od zatoki w głąb Ambergris przypominały grube palce zaciskającej się dłoni. Teraz są jak uschnięte; „kciuk” niemal zniknął, a pozostałe palce się kurczą. Jak poprzecinane niebieskimi żyłami dłonie ojca umierającego w klinice. Z powodu choroby, na którą zapadł w młodości, gdy walczył z Kalifem. Najpierw zaatakowała płuca, po czym się rozprzestrzeniła. Nie było na nią lekarstwa poza śmiercią.

Ponowne rysowanie mapy wymaga koncentracji, która oczyszcza umysł. W ich dawnym domu, zanim zostali włóczęgami, ojciec stworzył podobny projekt w swoim zamkniętym gabinecie. Jego mapa była znacznie większa i bardziej szczegółowa. Leżała na

olbrzymim stole, który doskonale by się sprawdził podczas bankietu. Zielonym i czerwonym kolorem oznaczono terytoria odpowiednio Hoegbottona i Frankwrithe'a. Błękit wskazywał wąskie żyły neutralnych terenów. Z czasem ojciec zaczął nanosić na mapę składy broni. Rozmieszczenie oddziałów. Ukryte magazyny. Zazwyczaj należące do Hoegbottona, ale czasami również do Frankwrithe'a. Zamiast nakładki stosował czarny arkusz dokładnie zakrywający mapę. A na wierzchu kładł obrus.

Ilu gości zapraszanych do domu piło przy tym stole drinki, nie zdając sobie sprawy, co kryje się pod spodem?

Siedemnastoletni Finch, wściekły na ojca za to, że ten przestał korzystać z jego usług jako gońca, ukradł klucz do gabinetu. Zaczął się tam zakradać, gdy ojca nie było w domu. Znalazł mapę. Stawał przed nią, obnażoną przed jego wzrokiem, i chłonął przebieg wojny. Mapa przypominała pełną życia abstrakcyjną sztukę. Symbole poszukujące kontekstu.

Finch nie rysuje bezpośrednio na starej mapie, ponieważ nie chce zapomnieć przeszłości. Ma nadzieję, że pewnego dnia ten zaginiony świat powróci. Powtarza sobie, że nakładka jest tymczasowa. Chociaż zmiany stają się coraz trwalsze.

Jego mapa jest prymitywną kopią oryginału. Do nanoszenia zmian używa tylko ciemnego ołówka. Poza tym, mapa nie odzwierciedla zmian zachodzących w otaczających go ludziach. Ani nie podpowiada mu, co ma robić dalej.

Pewnego dnia ojciec nakrył go w gabinecie. Stał w drzwiach z nieprzeniknioną miną. Finch obejrzał się i zamarł. Nie wiedział, co ma powiedzieć. Ojciec się zbliżył. Zakrył mapę czarnym arkuszem. Położył obrus. „To się nie wydarzyło” - szepnął. Zabrał klucz. Wyprowadził syna z gabinetu.

Nigdy więcej o tym nie rozmawiali. Ale w tamtej chwili szoku, gdy Finch usłyszał, że drzwi się otwierają, mapa wypaliła mu się w umyśle. Wszystkie szczegóły. Wszystkie niuanse. Nawet teraz, gdy patrzy na własną mapę i nakładkę, widzi tamten obraz. Tamto pomieszczenie.

Zna każdy cal Ambergis. Nawet miejsca, których jeszcze nie odwiedził. Nawet miejsca, które wciąż się zmieniają.

3

Namierzenie Blissa udało się za trzecim razem. Wyte znalazł adres szeregowca, w którym Bliss czasami odbywał spotkania, w dawnej twierdzy Hoegbottona położonej na południowy wschód od Bulwaru Albumuth. Finch wciąż widział wyblakłe ślady farby na chodniku pozostawione przez grupy nieregularnego wojska. Kto wie, jak stare były te oznaczenia? Kod, który opowiadał tajemną historię miasta. Szare kapelusze przeszły tędy we wtorek... Prowiant i amunicja w drugim domu po lewej... Po zmroku trzymajcie się z daleka od tego skrzyżowania.

Znaleźli dom przy ulicy, która kiedyś stanowiła część bogatej dzielnicy. Wzdłuż chodnika rosły drzewa, ale nie było na nich ani jednego liścia. Żwir w miejscu trawy. Wszechobecna cisza. Domy po obu stronach jak zaniedbane skorupy. Na schodach spalony trup bez rąk. To powinno ich przekonać, że Blissa nie ma w budynku. Zgromadzenie much obsiadło rozerwaną twarz. Słaba biel zaczęła wyzierać spod czerni. Łodyżki zarodników. Rosły. Za dwadzieścia cztery godziny z ciała nic nie pozostanie.

- W środku pusto - rzekł Finch, wychodząc z domu.

- Odwiedzmy Stanton - odparł Wyte.

* * *

Stanton, jeden z ćpunów, którzy szpiegowali dla Wyte'a, mieszkał kilka ulic dalej. Za jego plecami Finch zauważył plandekę rozwieszoną w szarym jak sadza wlocie uliczki, a obok zawiniątko z całym dobytkiem i pokruszoną cegłą, której używał do obrony w nocy. Przed Powstaniem Stanton był bankierem. A przynajmniej tak powiedział Wyte'owi. Pewnie wtedy już był narkomanem.

Wyte zawsze nosił w kieszeniach płaszcz kilka fioletowych grzybków. Stanton, ubrany w rodzaj prowizorycznej szaty, trzymał się Wyte'a, jakby to on był jego narkotykiem. Jakby był kawałkiem drewna unoszącym się na rzece Moth, podczas gdy Stanton próbował się uratować przed utonięciem. Mimo to, zawsze tonął.

- Dokąd poszedł Bliss? - spytał Wyte Stanton.

Trzydziestoletni Stanton uniósł łysiejącą głowę. Miał czerwone oczy i zmarszczki.

- Na opuszczonej stacji kolejowej. Cztery ulice stąd. Na rogu ulic Sporna i Trilliana.

Był tam jeszcze wczoraj.

Wyte włożył Stantonowi do ręki trzy fioletowe grzybki. Stanton przyjął je z taką wdzięcznością, jakby były warte więcej niż jednodniowa ulga. Olbrzymie czerwone grzyby wydalają narkotyki zgodnie ze ścisłym harmonogramem. W poniedziałki i piątki. Stanton już zjadł to, co zebrał poprzedniego dnia. Finch wątpił, by mężczyzna przeżył kolejny miesiąc.

Kiedy zostawili Stantona, leżał, dygocząc, w swoim żalonym schronie. Miał szeroko otwarte oczy o rozszerzonych źrenicach. Udał się w lepsze miejsce. Na jakiś czas.

* * *

Stacja kolejowa była opustoszała. Na tyłach, pod zacienionymi łukami zamieszkanymi przez gołębie i nietoperze, znaleźli jaskinię hazardu. Przypominała grotę, ze względu na otaczające ją grzyby. Wejście przesłaniały niewyraźne skupiska zgaszonego złota i zieleni. Walki kogutów. Gry karciane. Zastawianie czarnorynkowych towarów.

Nie zawracali sobie głowy rozmową. Wyte przystawił lufę do policzka kobiety stojącej na czatach. Przekonał ją, że będzie lepiej dla niej, jeśli wprowadzi ich do środka. Twardzi mężczyźni i kobiety, których zaskoczyli w oświetlonym latarniami wnętrzu, sięgnęli po noże i pistolety, ale szybko zmienili zdanie. Mieli tylko kłopot z powstrzymaniem kogutów. Jeden był ogniście czerwony, drugi bladopomarańczowy. Ich ostre jak brzytwa pazury poruszały się niczym tłoki.

Silnie umięśniony dwudziestokilkuletni mężczyzna, który kiedyś wykonywał zlecenia dla Blissa, szybko go wydał. Określił Blissa slangowym wyrażeniem oznaczającym cudzoziemca, choć sam również wyglądał obco. Wydawało się, że sprawdza, czy ktokolwiek z pozostałych mu się przeciwstawi. Nikt tego nie zrobił.

Wyte i Finch wycofali się w ciemność. Wepchnęli kobietę do środka, po czym zabarykadowali drzwi od zewnątrz kilkoma ciężkimi przerdzewiałymi beczkami. Mieli nadzieję, że to jedyne wejście. Ale wiedzieli, że tak nie jest. Wynieśli się stamtąd, zanim ktokolwiek zdążył pomyśleć o zastawieniu pułapki.

- Kurwa, nienawidzę tej roboty! - rzekł Wyte z naciskiem, gdy ich buty rozchłapywały kałuże zbierające się pomiędzy rzędami krzeseł przybitych do podłoża wzdłuż zapomnianych torów.

Mówił, że jej nienawidzi, ale wyglądał na dużo szczęśliwszego niż na posterunku.

* * *

Pod otrzymanym adresem znaleźli skromny dwupoziomowy blok mieszkalny

położony na zachód od Dzielnicy Religijnej, upchnięty obok innych podobnych budynków. Za nim znajdowała się wydęta kopuła najbardziej wysuniętego na północ obozu.

Finch rozpoznał, że znajduje się w dzielnicy niegdyś należącej do Frankwrithe'a i Lewdena. Panował w niej względny porządek. Dyscyplina. Kilku mężczyzn z czerwonymi opaskami na rękach stało na chodniku, pełniąc rolę strażników. Obok ludzie prowadzili handel.

Finch był zdenerwowany. Gdy wchodzili na dawne terytoria F&L, zawsze się martwił, że ktoś rozpozna w nim byłego członka nieregularnych oddziałów Hoegbottona i zechce wpakować mu kulkę w głowę. Wolaliby poinformować lokalnych policjantów, co tutaj robią, ale szare kapelusze nie pochwały współpracy. Chciały, by poszczególne posterunki działały niezależnie. W odizolowaniu.

Zaczęło mżyć. Przez cały dzień było wilgotno i ciepło. Wokół Fincha zbierała się mgła. Moczyła mu włosy i twarz. Zielony pot zabarwił koszulę pod pachami Wyte'a, a teraz przesączał się przez płaszcz.

Czy Wyte wytrzyma? Proszę cię, Truffie, niech wytrzyma.

Do środka. Korytarzem. Z bronią w ręku. Cieknącą.

Ostatnio Wyte zawsze wchodził pierwszy. Sam wziął na siebie tę rolę. Wydawało się to logiczne.

Przy zaplamionych na zielono-złoto-fioletowo drzwiach mieszkania Bliss'a na pierwszym piętrze Wyte zasygnalizował swój zamiar. Drzwi nie wyglądały na specjalnie solidne. Wyte je wyważył. Finch wpadnie do środka za nim.

Z mieszkania dobiegło dziwne kwilenie. Na tyle dziwne, że Finch poczuł ciarki na plecach.

Gestem kazał Wyte'owi zaczekać. Wyjął chustkę, przekreślił gałkę. Drzwi się otworzyły.

Zanim Finch zdołał go powstrzymać, Wyte wparował do środka, krzycząc:

- Policja! Ręce do góry! Rzucić broń!

Finch ruszył za nim. Serce waliło mu jak młotem. Broń trzymana w mocnym dwuręcznym uścisku lekko strzykała płynem.

Pierwsze cztery pomieszczenia były puste, zdemolowane. Ktoś wszystko zniszczył albo splądrował. Powywracane stoły, kanapy. Porwane książki. Wszędzie powydzierane kartki. Smród gówna lub zgnilizny, albo jednego i drugiego. A także krwi. Mnóstwa krwi. Rozchlanej. Zbierającej się w kałuże. Ale żadnych ciał. Sądząc po meblach, wystrój pokoi z założenia był tymczasowy. A przynajmniej teraz sprawiał takie wrażenie.

W sypialni w głębi mieszkania znaleźli źródło kwilenia.

- O kurwa - odezwał się Finch.

- To on? - spytał Wyte. - Tak.

Ethan Bliss został przybity żywcem do ściany nad łóżkiem. Twarz miał pokrytą zaschniętą krwią. Biała koszula zabarwiła się na czerwono. Z przebitych kończyn płynęła krew. Jego dłonie i stopy wciąż drgały, gdy usiłował uwolnić je z zielonych gwoździ, które przypominały twarde grzyby. Jęczał i spoglądał na nich spomiędzy powiek zaklejonych czymś fioletowym i kruchym.

Zaskorupione oczy zauważyły Fincha i Wyte'a. Ktoś wepchnął Blissowi do ust jaskrawoczerwony grzyb, jednak mężczyzna zdołał prawie całkowicie go usunąć. Z jego gardła wydobył się stłumiony ryk:

- Nie stójcie tam jak pierdoleni idioci. Ściągnijcie mnie! Bliss się rozplakał.

* * *

Finch przytrzymał Blissa, podczas gdy Wyte zajmował się jego dłońmi i stopami. Za blisko. Pot. Smród. A pod tym wszystkim jakaś słodycz, która była jeszcze gorsza. Jak na sześćdziesięciolatka Bliss okazał się zaskakująco żylasty i muskularny. Dziwne. Znaleźć się w towarzystwie kogoś, kto kiedyś cieszył się tak dużą sławą, a teraz jest przybity do ściany. Wszędzie wokół krew. Przed Powstaniem coś takiego wywołałoby nie lada skandal. Obecnie to był typowy dzień w pracy.

Zdjęcie Blissa zajęło im dziesięć minut. Spróbowali usunąć zaschniętą skorupę z jego oczu. Zdołali tylko usmarować mu twarz zielonym osadem z jego ran. Wyglądało to tak, jakby krew posypano pyłkiem kwiatowym.

- Może powinniśmy go zabrać na posterunek? - mruknął Wyte.

Finch pokręcił głową.

- Nie. Zróbmy to tutaj.

Przenieśli go do kanapy w salonie. Postawili wywrócony mebel, a Wyte zgarnął z niego szkło rękawem. Finch znalazł ręczniki w kuchni i przyniósł je Blissowi.

Bliss ze złością machnął ręką.

- Nie, jeszcze nie teraz - odparł.

- Na litość Truffa, nie cieszysz się, że żyjesz? - spytał Wyte.

Finch rzucił Wyte'owi surowe spojrzenie.

- Pewnie jest w szoku.

- Szok jest przereklamowany - odrzekł Bliss. - Podajcie mi czerwony grzyb. Ten, który

wepchnęli mi do ust.

Grzyb upadł na łóżko. Finch po niego wrócił. Zastanawiał się, czy Bliss go rozpozna. Pewnie nie. Finch całkowicie zmienił swój wygląd, a Bliss ostatnio widział go dwadzieścia lat temu.

Bliss rozsmarował resztkę grzyba o konsystencji miękkiego sera na swoich dłoniach i stopach. Grzyb lśnił. Krwawienie ustało.

- Teraz ręczniki - powiedział, biorąc je od Fincha. Rzucił nieprzyjemne spojrzenie Wyte'owi, a następnie Finchowi. - A tak w ogóle, to kim wy jesteście? Jak mnie znaleźliście? Czego chcecie? - Nawet w złości zachowywał młodzieńcze oblicze. Miał jedną z tych twarzy, które z wiekiem stają się coraz bardziej surowe, jednak pod zmarszczkami wciąż kryją chłopięce rysy. Do tego elegancko przystrzyżone wąsy.

Finch stanął przed Blissem. Obok Wyte postukiwał stopą. Był niespokojny. Coś wyprowadzało go z równowagi.

- Jestem Finch. To jest Wyte. - Finch pokazał Blissowi odznakę. - Nie wydajesz się zadowolony. Może cię odwiesimy?

- Nie umarłbym - parsknął Bliss. - Ktoś by po mnie przyszedł. - Nacisk na „ktoś” sugerował, że Bliss doskonale wiedział kto.

Bliss w starej pustynnej fortecy, powoli odwraca się ku nadchodzącemu Finchowi. Szczęk zatraskującego się metalu. Coś w rodzaju lustra.

Oko. Następnie kamienny krąg i drzwi pokryte symbolami szarych kapeluszy.

- Kto to zrobił, Bliss? - spytał Wyte, odkopując na bok połamane krzesło. - Czyja krew jest na podłodze? Kogo wkurzyłeś?

Wydawało się, że Bliss nie usłyszał pytania. Wpatrywał się w Fincha. Mierzył go wzrokiem. Zupełnie jakby za jego oczami zapaliło się światło. Wymizerowana twarz stężała, chociaż Bliss udawał, że się uśmiecha.

- Wyglądasz znajomo, detektywie. Powinienem wiedzieć, kim jesteś? Ty najwyraźniej mnie znasz.

- Zamknij się - wtrącił się Wyte, ratując Fincha. - To my zadajemy pytania.

Bliss jakby po raz pierwszy zauważył Wyte'a. Odpowiedział łagodnym, lecz kąśliwym głosem:

- Może lepiej dowiedz się, kto ciebie tak urządził, zamiast tracić czas na mnie?

- Kazałem ci się zamknąć! - Wyte spoliczkował Bliss'a. Mocno.

Finch jeszcze nigdy nie widział, by Wyte uderzył podejrzanego, który pierwszy nie podniósł na niego ręki.

Bliss spokojnie przyjął cios. Zaklął. Przyłożył dłoń do śladu po uderzeniu. Zachowywał się tak, jakby coś podobnego już mu się przydarzyło. Albo jakby ból był dla niego jedynie drobną niedogodnością.

- A jak myślisz, detektywie, co się mogło stać? Zaskoczyli nas i rozwalili. Niewiele z nas zostało. Załatwili dziesięciu moich najlepszych ludzi.

- Odpowiedz na pytanie, Bliss. - Finch przyszedł partnerowi z pomocą. - Kto ci to zrobił?

Poirytowane westchnienie, które najwyraźniej towarzyszyło podjęciu decyzji.

- Ktoś nowy, z Kosy. Zadawał dużo pytań o szare kapelusze. O wieże.

- Jak się nazywa?

- Powtarzał mi to raz za razem, żebym nie zapomniał. Nawet kiedy zarzynali moich ludzi. Stark.

- Po prostu Stark? A pełne imię i nazwisko?

- Słyszałem o Starku - wtrącił się Wyte. - Przyjechał tutaj zaledwie osiem tygodni temu. Pochodzi ze Stockton. Świeża krew. Przez ostatnie kilka tygodni zajmował się likwidowaniem rywali. - Na posterunku Wyte był ekspertem od Stockton. Miał tam kilku szpicli.

- A my na to pozwalamy?

Wyte wzruszył ramionami.

- Ułatwia nam pracę, czyż nie?

Finch rzucił mu spojrzenie, które oznaczało „porozmawiamy o tym później”. Wydało mu się dziwne, że Wyte wie coś, o czym on nie ma pojęcia.

Odwrócił się w stronę Blissa.

- Dlaczego zostawił cię przy życiu?

Bliss wzruszył ramionami.

- Może chciał wysłać wiadomość.

Nie wierzę ci.

- Jaką wiadomość? Do kogo? - spytał Wyte.

Cisza.

- Spróbuj zgadnąć, czego chciał - rzekł Finch do Blissa.

- Na pewno chciał mi zrobić krzywdę. Sprawiało mu to wszystko zbyt dużą przyjemność. Sądzę, że zrobiłby to nawet gdyby nie potrzebował informacji.

- Ktoś z nim był?

- Tylko jego przekłete draby. Jego zastępca nazywa się Bosun, podobnie jak bosman

na statku. Sylwetką przypomina żylastego cyrkowego siłacza z łysą głową jak kula armatnia. Wystarczy go raz zobaczyć, a już nigdy się go nie zapomni. To on na oczach Starka podniósł mnie jedną ręką, a drugą wbił gwoździe. Jeszcze zanim zadali mi jakiegokolwiek pytania.

- Jakie pytania, Bliss? - drążył Wyte.

Nie uzyskał odpowiedzi.

Finch pokazał Blissowi zdjęcie martwego mężczyzny.

- Znasz go?

Bliss zeszywniał i podniósł wzrok na Fincha.

- Naprawdę chciałbym się wreszcie dowiedzieć, po co tutaj przyszlście.

- Popatrz na zdjęcie.

Bliss go posłuchał.

- Ten człowiek nie żyje.

- Owszem, ale powiedz, czy go znasz? - ponownie zapytał Finch.

Bliss pokręcił głową.

- Nigdy go nie widziałem.

Kłamie? A może naprawdę jest zбитy z tropu?

- A te słowa? - Finch wyjął kartkę, na której zapisał „bellum omnium contra omnes”.

Popatrzył na zaskoczoną minę Blissa. Po chwili zauważył, że zaskoczenie ustępuje miejsca dziwnie kociemu i nieprzeniknionemu wyrazowi twarzy. Wiedział, że cokolwiek Bliss mu powie, będzie skażone kłamstwem.

- Stark pytał o coś podobnego - odrzekł Bliss, błędząc gdzieś wzrokiem. - Ale nic mi o tym nie wiadomo.

Wyte sapnął z irytacją.

- Dokończymy na posterunku. Tam go przesłuchamy - powiedział do Fincha, po czym rzucił w kierunku Blissa: - Jeśli będziesz współpracował, może obejdzie się bez kulki i bulwy pamięci.

Słyszac te słowa, większość ludzi by poblądła. Bliss tylko siedział nieruchomo i wpatrywał się w nich oczami jak sztylety. Zbuntowany człowieczek, który kiedyś rządził połową miasta.

- Może masz rację, Wyte - podchwycił Finch. - Chciałbym się dowiedzieć, jaki układ zawarłeś ze Starkiem, żeby ocalić życie. Nie masz nic przeciwko spacerowi na posterunek, prawda, Bliss? Chyba nie masz nic do ukrycia?

Bliss zerwał się z kanapy z siłą dwukrotnie potężniejszego człowieka i rzucił w Wyte'a lampą, wytrącając mu broń z ręki. Nie zatrzymując się, uderzył Fincha w bok głowy z

zaskakującą mocą. Ogłuszony Finch upadł, uderzając kolanami w niski stolik. Bliss rzucił się do kuchni, korzystając z tego, że Wyte wciąż szukał upuszczonego pistoletu.

- Kurwa! Finch, zatrzymaj go!

Finch wstał z podłogi, wyciągnął broń i zatoczył się w stronę kuchni. Wyte biegł dwa kroki za nim.

Za kuchnią znajdowały się schody prowadzące w dół. Finch słyszał odgłos kroków, ale nie widział Blissa. Nie miał innego wyjścia jak tylko popędzić za nim. Trafił do kolejnego korytarza i szybko skręcił za róg. Wyte go dogonił i obaj zawirowali na śliskiej podłodze jak para komików.

W ciemności przez chwilę zamajaczyła im biała koszula Blissa.

- Bliss! Będę strzelał! Nie myśl, że tego nie zrobię! - Czy Bliss w ogóle go słyszał?

Ponownie zgubił go pośród cieni, ale wystrzelił jeden albo dwa pociski. Trafił w ścianę. Przeklinał siebie za to, że nie sprawdził pozostałej części mieszkania. Zderzył się z Wyte'em, gdy skręcał za kolejny róg. Jego partner ciężko dyszał.

Pozbierali się, po czym otworzyli czekające na nich drzwi. Następny długi korytarz zakończony wejściem.

- Kurwa! Jak duże jest to miejsce?

Podkradli się do drzwi. Finch przykucnął i położył dłoń na gałce. Teraz to on ciężko oddychał, ale nie ze zmęczenia.

- Kryj mnie od góry - powiedział, zerkając na Wyte'a. Krew huczała mu w uszach, palce lekko zdrętwiały.

Wyte pokiwał głową. Z tej perspektywy jego twarz wyglądała na niemożliwie pociągłą i grubą. Sterczący podbródek, mina uroczysta jak u kapłana. Finch przekręcił gałkę i pchnął drzwi. Powoli wstał, czując ból w kolanach.

- Niech to szlag.

Pusty pokój o powierzchni dziesięciu stóp kwadratowych i ścianach z pomalowanych na biało cegieł. Pojedyncza żarówka służąca za oświetlenie. Żadnych okien. Żadnego innego wyjścia.

Krążyli po pomieszczeniu z wyciągniętą bronią, jakby Bliss miał lada chwila wyłonić się z nicości.

Nie zaginie.

Tylko że on właśnie to zrobił.

4

Gdzie zniknął Bliss? To pytanie dręczyło Fincha, gdy wyszli z mieszkania. Nie wiedział, czy ktokolwiek usłyszał strzały, ani czy przy życiu pozostali jacyś ludzie Blissa, którzy mogli ich obserwować. „Ukryte drzwi?“, zasugerował Wyte, zupełnie jakby się tym nie przejął. Ale niczego nie znaleźli. Musieliby zburzyć cały budynek. Cegła po cegle. Nie mieli narzędzi ani czasu.

Mijali narkomanów ze znajomymi fioletowymi plamami na skórze. Mężczyzn w niedopasowanych uniformach obozowych dozorców. Kogoś sikającego w uliczkę. Wyblakłe plakaty wiszące na sypiącej się ścianie, na których widniały zdjęcia członków marionetkowego rządu o krótkim żywocie. Nad nimi wznosił się kolejny krwistoczerwony grzyb, potężny jak drzewo. Wydawało się, że przybywa ich z każdym tygodniem. Obok kwitnący budynek, który wyrósł na zmiążdżonych ruinach lokalnego sklepu spożywczego. Zza mięsistych kłapek przesłaniających okna dobiegał cichy szum.

Gdzie zniknął Bliss? I jaką rolę odgrywa w tej sprawie?

Finch raz za razem odtwarzał tamtą chwilę w myślach. Bliss biegnący do kuchni. Bliss we śnie wywołanym bulwą pamięci. Próbował pogodzić te dwie wizje z wizerunkiem człowieka, którego pamiętał sprzed Powstania. Teraz Bliss nie był w stanie na niczym zatrzymać wzroku. Jakby jego umysł szybciej pracował. Finch był coraz bardziej przekonany, że Bliss nie został okradziony z prestiżu i bezpieczeństwa, ale że przehandlował je za coś innego.

Wyte wydawał się pobudzony i Finch podejrzewał, że zna powód. Dlatego powiedział:

- To moja wina. Trzeba było od razu go zatrzymać, tak jak proponowałeś. Nie musiałem najpierw go wypytywać. No i zapomniałem sprawdzić całe mieszkanie.

Na szyi Wyte'a widniała pomarańczowa plama. Paznokcie poczerniały. Zapach kojarzył się ze ściekiem. Ale bywało gorzej.

- Uderzyłem go i spłoszyłem - odparł Wyte. - Jestem tak samo winien jak ty. Może nawet bardziej. Ale nie o to chodzi, Finchy.

Zaczyna się.

Wyte zatrzymał się i odwrócił w stronę swojego partnera. Finch miał za plecami sypiącą się ścianę poprzecinaną żyłami grzyba, tak niebieskiego, że niemal czarnego. Na

wierzchu rozproszone dziury po pociskach. Po drugiej stronie ulicy grupa roześmianych Stronników popychała przed sobą dwoje więźniów. Brodatego mężczyznę w średnim wieku z bandażem na czole, ubranego w porozdzieraną wypłowiałą różową koszulę. Kobieta, być może jego żonę, którą jeden ze Stronników prowadził za długie czarne włosy jak na smyczy. Wycieczka po okolicy przed przystąpieniem do rzeczy.

- Posłuchaj, Finch - rzekł Wyte. - Jestem twoim partnerem, a ty stale coś przede mną ukrywasz. Nawet nie widziałem zdjęcia tamtego truposza, dopóki nie pokazałeś go Blissowi. No i gdzie masz listę, którą dał ci Heretyk?

Wyte nigdy się nie dostosuje. Gdy Finch o tym myślał, robiło mu się niedobrze.

Przyciągnął Wyte'a do ściany. Stronnicy przeszli dalej, nie zwracając uwagi na nic poza swoimi więźniami, ale Finch nie chciał niepotrzebnie ryzykować.

- Posłuchaj - szepnął. - Po prostu staram się ciebie chronić.

Wyte wpatrywał się w niego tak długo, że Finch w końcu musiał spuścić wzrok na stare obluzowane płyty chodnikowe. Poczul nagłą tęsknotę za przeszłością, gdy Wyte tak się nie zachowywał. Było to tak silne uczucie, że zwilgotniały mu oczy.

W końcu Wyte się odezwał, starając się zranić go każdym słowem.

- Już ci mówiłem, że nie potrzebuję ochrony. Dawniej to ja ciebie chroniłem. - Gdy Finch nie odpowiedział, Wyte dodał z dumą: - Niedługo będę pracował dla buntowników. Znam kogoś, kto zna kogoś.

Znowu te bzdury. Regularnie co kilka tygodni.

W Finchu coś pękło. Poczul to w głowie jak nagłą erupcję migreny.

Pchnął Wyte'a na ścianę. Nie dbał o to, kto ich zobaczy. Poczul, że starszy mężczyzna stracił oddech. W jego oczach pojawił się strach wywołany tym, co dostrzegł w spojrzeniu Fincha. Miał lepką skórę. Część jego koszuli tak naprawdę nie była koszulą.

- Nie będziesz, kurwa, szpiegował dla buntowników - powiedział Finch najspokojniej jak potrafił. - Nie będziesz, kurwa, szpiegował dla buntowników. Nigdy. Zrozumiałeś?

- Odpierdol się ode mnie! - syknął Wyte, wijąc się w uścisku Fincha. Zadarł głowę ku niebu. Wygiął ramiona, jakby próbował zdjąć płaszcz, ale utknęła mu ręka.

- Nie będziesz. A wiesz dlaczego? Bo zostałeś skolonizowany. To zaszło za daleko. Nigdy cię nie przyjmą. - Nigdy nie wezmą cię z powrotem. Już cię nie zechcą. Za późno. - A gdyby to zrobili, pewnie byś ich szpiegował. Dla szarych kapeluszy. Nawet o tym nie wiedząc. Dlatego to niemożliwe. - A ja zostałbym z całym posterunkiem detektywów, którzy mnie nienawidzą, bo cię nie opuściłem.

Puścił Wyte'a i odepchnął się od niego. Stworzył między nimi dystans, na wypadek

gdyby kłótnia przerodziła się w bójkę.

Wyte został pod ścianą. Jaki miał wyraz twarzy? Nieważne. Liczył się sposób, w jaki stał. Finch widział taką samą zmęczoną, przygarbioną sylwetkę u robotników z obozów. Czasami także u Rath.

Skoro to już nie miało znaczenia, postanowił kontynuować.

- Najlepsza praca, na jaką możesz liczyć, to wyciąganie informacji od tej nędznej bandy kontaktów w Stockton, którą nazywasz siatką.

Pogarda dla samego siebie, która malowała się na twarzy Wyte'a, mogła uchodzić za święte oburzenie. Niewykluczone, że mrok spowijający jego oblicze był skutkiem spór wydostających się przez skórę.

- To lepsze niż twoja beczyność.

- Nie jestem beczynny. Robię to, co mogę. To różnica. - Dłonie zaciśnięte w pięści. Ściągnięta twarz. Był bliski utraty panowania nad sobą. A jeśli on ma rację?

Stał nieruchomo, podczas gdy Wyte otworzył usta, żeby coś powiedzieć.

Ale niczego nie powiedział, tylko głęboko odetchnął i zadygotał. Finch patrzył nieufnie, jak Wyte sięga lekko drżącą ręką do kieszeni płaszcza i wyciąga poobijaną piersiówkę zrobioną ze srebra i blachy, ozdobioną wypalonymi insygniami H&S, które kiedyś wyglądały dumnie.

Finch dał ją Wyte'owi na urodziny dziesięć lat temu. Prezent nie spodobał się Emily. Uważała, że jej mąż i tak za dużo pije. Nie chciała, by to „stało się rytuałem”, jak to ujęła. To jednak nie przeszkadzało jej dołączać do nich, gdy stali przed domem, palili i popijali to, czym Wyte akurat napełnił piersiówkę. Finch pamiętał, jak lśniła w świetle słońca i ulicznych latarni.

- Mam tutaj trochę dobrej brandy, Finchy - rzekł Wyte. - To resztki moich zapasów.

- Nie uderzysz mnie?

- Po co, Finchy? Co by to dało?

Finch się skrzywił. Udało mu się zmienić ten grymas w wąski uśmiech.

- Brandy to może być dobry pomysł. - Poprawił pognieciony płaszcz na ramionach Wyte'a. - Przepraszam, Wyte. Przepraszam.

Mówił szczerze. Odwrócił się. Czuł do siebie obrzydzenie. Kto dźwiga większe brzemie? Ten, kto musi patrzeć, jak inna osoba zмага się z cierpieniem, czy ten, kto sam cierpi?

- Skąd mógłbyś wiedzieć? - odrzekł Wyte znużonym głosem. - Jak to jest żyć z czymś innym w środku, a jednocześnie zmieniać się na zewnątrz.

Gorzej niż rozmawiać z trupem?

Finch nie chciał o tym myśleć. Wziął piersiówkę. Opróżnił ją do połowy jednym haustem. Poczuł, jak alkohol szaleje w jego naczyniach włosowatych. Niczym pożar lasu pozostawiający za sobą lód. Oddał piersiówkę.

- Dobry trunek. - Znów ruszyli.

Wyte się roześmiał.

- Nadal nie umiesz pić, prawda? Tak samo jak wtedy, gdy dla mnie pracowałeś.

Klepnął Fincha w plecy tak mocno, że ten się zatoczył.

Niech będzie.

* * *

Wyte. Historia.

Mniej więcej rok temu został wezwany w miejsce, w którym znaleziono trupa. Poszedł sam. Na posterunku nie było nikogo innego. Sprawa wydawała się prosta. Pod drzewem leży martwy mężczyzna i zaczyna śmierdzieć. Czy ktoś mógłby na niego rzucić okiem? Zazwyczaj nie warto zawracać sobie czymś takim głowy. Jednakże tamtego ranka nic więcej się nie działo, a Wyte poważnie traktował swoje obowiązki. Kobieta sprawiała wrażenie zdenerwowanej, jakby chodziło o sprawę osobistą.

Ciało znaleziono w pobliżu zatoki. Obok strzaskanego kamiennego znaku, który niegdyś witał gości w Ambergris. Święte miasto, dostojne, porzuć strach. Okolica była opustoszała. Wyte nie zastał kobiety, która wezwała policję, ani nikogo innego.

Mężczyzna leżał na plecach, połączony z „drzewem”, którym okazał się olbrzymi grzyb. Za pomocą kosmyków. Ohydny zapach. Otwarte oczy, trzepoczące powieki.

Wyte powinien był odejść. Powinien był mieć więcej rozsądku. Ale może czuł się znudzony. Pragnął jakiejś odmiany. Albo po prostu miał wszystko gdzieś. Nie widział się ze swoimi dziećmi, odkąd odesłano je z miasta. Często kłócił się z żoną.

Pochylił się nad ciałem. Może miał wrażenie, że zobaczył coś w oczach trupa. Coś, co się poruszało. Może uznał ruch za oznakę życia.

„Kto wie? Wiem tylko, że to było głupie posunięcie”.

Głupie posunięcie. Tak określili to policjanci, gdy o wszystkim usłyszeli w swoim niewielkim azylu położonym niedaleko posterunku. Blakely odkrył to miejsce. Znajduje się przed wejściem do dawnej Dzielnicy Biurokratycznej. Wygląda jak strażnica. Mało charakterystyczne. Zbudowane z szarego kamienia. Otoczone wysokimi murami, wzgórzami gruzu i skarłowaciałymi drzewami. Z fosą, tak naprawdę będącą stawem, w którym zbiera się

deszczówka. Wewnątrz staje się oczywiste, że budowla to szczyt dzwonnicy, zburzonej i wciągniętej pod ziemię podczas Powstania szarych kapeluszy.

Zawsze kiedy opowiadali tę historię, byli odurzeni whisky, winem domowej roboty albo czymś innym. Głupie posunięcie. Jakby byli specjalistami.

„Chodzi o to” - rzekł Albin, ponieważ zazwyczaj to on opowiadał - „że on się pochylił, a wtedy tamten facet wybuchł i zmienił się w chmurę spór, które dostały się Wyte'owi do głowy”.

Białe spory dla Wyte'a. Przez nos. Przez wszystkie odsłonięte skaleczenia. Przez uszy. Przez oczy.

Mimo że się bronił. Wściekle się wił. Podskakiwał. Przeklinał na czym świat stoi. Przynajmniej nie stał bezradnie, czekając, aż to się wydarzy.

„Ale było za późno. Po kilku minutach był już czyjąś marionetką”.

Wyte stał się kimś innym. „Martwym” człowiekiem. Kimś, kto nie rozumiał, co się z nim stało. Pobiegł ulicą. Sterowany. Krzyczał.

„Raz za razem wykrzykiwał to samo imię. »Otto! Jestem Otto!«. Ponieważ tak się nazywał tamten truposz. Wyte sądził, że się nim stał”.

A przynajmniej tak sądziła większa część jego umysłu. W głębi duszy wiedział, kim jest naprawdę, co było jeszcze gorsze.

Czasami, z czystego okrucieństwa oraz nudy, któryś z detektywów, zazwyczaj Blakely, nazywa Wyte'a „Otto”. Dopóki Finch nie każe mu przestać.

„No cóż, znaleźli go dzień później. Kiedy ustalili, kim był nieboszczyk. Siedział skulony w szafie. Raz za razem powtarzał »Otto«”. W mieszkaniu martwego mężczyzny. „Przestroga dla nas wszystkich”.

Potem stukali się szklankami i butelkami, gratulując sobie, że wciąż pozostają przy życiu.

Tak naprawdę opowiadali tę historię nie po to, by upokorzyć Wyte'a, ale żeby przypomnieć sobie, że nie warto ryzykować. Zasady Ambergris. Żadnych głupich posunięć.

Wyte w końcu pozbył się Otta ze swojej głowy. A przynajmniej większej jego części. Ale nie grzybów. Pod tym względem jego stan się pogorszył. Szare kapelusze nie potrafiły albo nie chciały mu pomóc. Może widziały w tym jakiś chory postęp?

Nikt nigdy się nie dowiedział, kto zwał Wyte'a w zasadzkę. Ani dlaczego.

Finch wiedział, że to pozostanie tajemnicą.

* * *

Rozdzielili się. Wyte wrócił na posterunek. Finch postanowił ponownie pójść do mieszkania przy alei Manzikerta. Później spędzi aż nadto czasu w pracy.

„Mam wspomnieć o Blissie?”.

„Jeśli rozmowa zejdzie na ten temat, nic nie mów. Już ściągam jego akta. Na razie to wystarczy”.

„Zrobił z nas głupców”.

„Sami zrobiliśmy z siebie głupców”.

Czarne drzewa. Osobliwe owoce. Wkurzony kot. Korytarze, które wciąż piszczały po nawoskowaniu. Klatka schodowa gromadząca ciemność.

Wpełzła do niej także cisza. Pustka, której wcześniej tam nie było. Żadnych odgłosów w mieszkaniu matki z dzieckiem. Żadnych zapachów gotowania.

Wiedziony przecuciem, Finch znów zatrzymał się na czwartym piętrze. Zapukał do drzwi mężczyzny, który wcześniej tak elegancko się ubrał na przesłuchanie. Przystawił odznakę do wizjera.

Drzwi otworzyły się ze skrzypnięciem. Stał w nich Stronnik. Był bardziej krępy od tego, który fotografował scenę zbrodni. Miał jeszcze bledszą twarz. Czerwone zęby. Zupełnie jakby opychał się surowym mięsem. Był ubrany w skórzany strój ufarbowany na czarno, ale na nogach miał beżowe buty. Wyglądało to tak, jakby został przyłapany na przymierzaniu czyjogoś ubrania. Przy pasie na brzuchu miał dwie kabury z pistoletami oraz, co ciekawe, młotek.

Finch uniósł odznakę.

- Jestem detektywem przydzielonym do sprawy w mieszkaniu numer 525. Gdzie jest staruszek, który tutaj mieszka?

Stronnik przez chwilę mu się przyglądał. Lśniące czarne oko poruszało się jak szalone, ale reszta ciała była niczym u zmarzniętego żółwia. Trzymał ręce wzdłuż boków. Jak sparaliżowany.

- Odszedł - odpowiedział powoli, przeciągając sylaby.

- Dokąd? - spytał Finch.

- Jest gdzie indziej - z trudem odpowiedział Stronnik.

Tak samo jak ty, przyjacielu. Finch zastanawiał się, czy szybko poruszające się oko oznacza, że Stronnik patrzy na coś innego. Ogląda, a nie rejestruje.

Przyszła mu do głowy nowa, przerażająca myśl.

- Wszyscy odeszli?

Oko przestało się poruszać. Stronnik dwukrotnie zamrugał, po czym odparł

normalnym głosem:

- Budynek został oczyszczony.

Jak to oczyszczony? Przeprowadzono ludzi do nowych mieszkań? Posłano ich do obozów? Zlikwidowano?

Mimo to, nie spytał, tylko pokiwał głową. Uśmiechnął się. Cofnął o krok.

Stronnik spapugował ukłon, po czym wycofał się w ciemność. Zamknął drzwi.

Finch przez chwilę stał przed mieszkaniem. To miejsce stało się twierdzą Stronników. Żadnych świadków.

Kilkoma susami pokonał schody prowadzące na piąte piętro. Jakby szybki bieg mógł zapobiec zbrodni, która go tu sprowadziła. Sprowadzić z powrotem staruszka w za ciasnym garniturze.

Drzwi. Symbol szarych kapeluszy, lśniący i obsceniczny. Przedpokój. Pusta sypialnia. W salonie ani śladu Stronnika.

Ciała.

Poprawka. Ciało.

Zwłoki szarego kapelusza zniknęły.

Finch stanął jak wryty. Próbował przyswoić ten niespodziewany... brak. W końcu zrozumiał: pewnie Heretyk zabrał ciało. Jeśli nie, pošłą Fincha do obozu. Koziół ofiarny. Znow poczuł dreszcz, który przebiegł mu po plecach podczas rozmowy z czerwonozębym Stronnikiem. Tym razem doznanie było silniejsze. Ta sprawa zagrażała jego życiu. Resztkom poczucia bezpieczeństwa. Jego mieszkaniu. Związkowi z Sintrą.

A jednak ciało mężczyzny wciąż tu było, pod kocem, którym ktoś je nakrył. Martwy mężczyzna siedział na fotelu obok niego. Uśmiechał się. Siedział w tym samym miejscu. Znow się roześmiał. Oślepiające, niewiarygodnie jasne światło niczym blask słońca wtargnęło przez okno. Rozerwało nocne niebo.

Finch podszedł do zwłok i ściągnął koc z twarzy mężczyzny. Usiadł na kanapie, przyglądając się ciału. Wkrótce będzie musiał się spotkać z Heretykiem. Ta myśl nie dawała mu spokoju. Żałował, że nie poprosił Wyte'a o całą piersiówkę. Żałował, że nie może po prostu pójść do domu. Znaleźć tam czekającej na niego Sintry.

- Wiesz, co znaczą te bezsensowne słowa - powiedział Finch do mężczyzny. - Wiesz, dlaczego są ważne.

Spokój. Mężczyzna wyglądał spokojnie jak na trupa. Idealnie zachowany w promieniach słońca wpadających przez otwarte okno. Nie przejmował się tym, w jaki sposób światło zmienia się, przechodząc między bliźniaczymi wieżami w oddali.

Finch uklęknął. Ponownie zaczął przeszukiwać ciało. Nie tak ostrożnie jak poprzedniego dnia. Pieprzyć kamery-spory. Pieprzyć Stronnika.

Bezceremonialnie przewrócił trupa i przetrząsnął jego kieszenie. Zupełnie jakby sam go zabił.

Musi być coś jeszcze.

Ale nie było. Tylko włókna w jednej kieszeni. Kilka ziarenek piasku oraz żwiru i coś jak ziarenko ryżu w drugiej.

Zaczął rozrywać materiał. Szło mu łatwiej niż się spodziewał. Drażnił sobie dłonie, na których pojawiały się czerwone smugi. Bolały go nadgarstki. Nadal nic. Żadnych ukrytych kieszeni. Zmusił się, by przestać.

Uniesione kąciki ust mężczyzny jakby mówiły: „Nigdy mnie nie rozszyfrujesz”.

Nie jestem detektywem.

Ale zostanie osądzony jako detektyw. Skazany jako detektyw.

Pustynna forteca. Strefa Hoegbottona i Frankwrithe'a. Słowa. Nie zaginie. Spadanie z dużej wysokości. Szary kapelusz, którego nie potrafił zidentyfikować nawet inny szary kapelusz. Agent ze Stockton na tym samym tropie. Inny agent, zapewne z Morrow, którego zaatakowali stocktońscy szpiegowie i który pojawił się we wspomnieniach martwego mężczyzny. A teraz zniknął.

Stark. Bosun. Bliss.

Zdał sobie sprawę, że doprowadzi go to do szaleństwa. Jeśli sam na to pozwoli.

Potrzebuję lepszej spluwy.

Spojrzał na zegarek.

Piąta dwadzieścia.

Czas iść.

Niech się zacznie horror.

5

Z powrotem na posterunku. Piąta pięćdziesiąt.

Ani śladu Wyte'a. Pozostali detektywi także wyszli, oprócz Gustata, który gorączkowo pakował swoje rzeczy. Finch popatrzył z wyrzutem na drobnego mężczyznę. Gustat tak się śpieszył, że całkowicie go zignorował. Jego nogi zabębniły na dywanie jak końskie kopyta. Po chwili, z tyłu rozległ się chrapliwy trzask drzwi.

Finch został sam.

Wkrótce zasłony w głębi pomieszczenia się rozsunały. Zacznie się prawdziwa noc.

Wyte położył na biurku Fincha raport, pośpiesznie napisany i pełen literówek, dotyczący wydarzeń w mieszkaniu Blissa. Na dole widniał podpis „John Finch”. Brawo za odwagę, Wyte. Na środku kartki fioletowa plama przesłaniała kilka słów. W lewym rogu znajdował się rozmazany zielony odcisk kciuka. Wyte próbował go zetrzeć, co tylko pogorszyło sytuację.

Pod spodem kolejna kartka, ręcznie zapisana, zawierająca kilka podstawowych faktów na temat Starka.

„Stark jest obecnie przywódcą siatki szpiegowskiej ze Stockton”.

Stwierdzenie oczywistego faktu. Nikt nie zaczyna likwidować konkurencji, jeśli nie ma silnej pozycji.

„Nosi szablę”.

A któż tego nie robi w dzisiejszych czasach? Fincha naszła ochota, by wyciągnąć własny bułat. Robił to kilka razy w tygodniu, gdy nikt na niego nie patrzył.

„Ma degustatora w kuchni... Jest psychopatą... Widywano go...” - no cóż, wszędzie i nigdzie, jeśli Wyte dysponował prawdziwymi informacjami.

Żadnych konkretów. Niczego, co mogłoby połączyć Starka z tą sprawą, nie licząc słów Blissa, który twierdził, że Stark pytał go o tekst, który Finch znalazł na kawałku papieru. „Bellum omnium contra omnes”. Ciekawe, co Bliss by powiedział, gdyby zobaczył także symbol.

W biurku Finch trzymał zapas cygar w pudełku specjalnie przystosowanym do tego celu. Wyjął jedno. Marka Trilliana. Obecnie często spotykana i lubiana. Kilkuletnie, lekko podsuszone.

W tym mieście nie ma niczego nowego. Ani whisky. Ani cygar. Ani ludzi.

Jego ojciec zwykł mawiać takie rzeczy. Odciął końcówkę. Użył lampy olejnej do zapalenia cygara. Paliło się równo i powoli. Pykał i czekał. Zgromadzenie wkrótce przybędzie.

Przypomniawszy sobie piersiówkę Wyte'a. Czując nagły przyptyw inspiracji, podszedł do biurka Blakely'ego i otworzył górną szufladę. No jasne. Butelka z płynem w śliwkowym kolorze. Korek domowej roboty. Wyciągnął go z szyjki. Powąchał. Berbelucha, ale nieźła. Pociągnął kilka łyków prosto z butelki. Zapieкло go w gardle. Język zdrętwiał.

Przez chwilę widział wszystko podwójnie. Kolejne pyknięcie z cygara temu zaradziło. Wrócił do swojego biurka.

Gdy tak bezsilnie czekał, zaczął snuć fałszywe apokaliptyczne wizje. W jego umyśle mózdzierzowe pociski sypały się na miasto jak krople deszczu. Artyleria czkała, ripostując. Strzały trafiały w mury, posyłając w niebo fontanny kamieni i ognia. Wojna szalała, choć większość ludzi jej nie zauważała. On nie był agentem żadnej ze stron. Działał we własnym interesie.

Spróbował wyjść myślami poza wieczorne cierpienie. Pieszy powrót do mieszkania. W ciemności. Pomyślał, kto może tam na niego czekać. Jeśli wcześniej niczego nie schrzani.

* * *

Wkrótce po szóstej zaczęły się schodzić szare kapelusze. Nocna zmiana.

Pierwszy z nich odsunął zasłonę. Wyszedł z paskudnej dziury o czerwonych obrzeżach ziejącej w głębi. Idealny odpowiednik pamięciodziury. Tylko znacznie większy. Finch zobaczył twarz pod kapeluszem. Pulsowała. Wiła się. Oczy takie żółte. Co widzą, czego on nie potrafi dostrzec?

Szary kapelusz wszedł na dywan.

W świetle dnia na niektórych ulicach Finch niemal mógł udawać, że Powstanie nigdy nie wybuchło. Ale nie tutaj. Nie teraz. Tu każda fantazja oznaczała śmierć. Każdy strach.

Finch stanął na dywanie. Pykał z cygara. Czuł ucisk w piersi, nawet gdy wypuszczał dym z ust. Pozwolił, by cygaro dopaliło mu się do palców - chciał, by ból odwrócił jego uwagę.

Silna woń gnijącej lukrecji, gdy szary kapelusz przepchnął się obok niego. Zignorował Fincha i usiadł przy jednym z biurek. Tym należącym do Gustata.

Jeden.

Jeszcze dziewięć. Po jednym do każdego biurka. No i jeszcze pomocnicy, których

postanowią ze sobą przyprowadzić.

Finch żałował, że nie ma kija. Noża. Czegokolwiek. Grzybowe pistolety nie działały przeciwko szarym kapeluszom. Znów pomyślał o szabli. O tym, by ciąć nią gumową szycę Heretyka.

Odpędził ten obraz jako irracjonalny. Heretyk poprosił go, żeby został. Gdyby chciał go zabić, posłałby prezent do jego mieszkania. Albo rozpuścił go w obłoczek spór na oczach pozostałych policjantów.

Pięciokrotnie zostawał po godzinach. Przetrwiał każde z tych spotkań. Jednakże rozmowa z pojedynczym szarym kapeluszem w czasie dnia to coś innego niż przebywanie w towarzystwie wielu z nich po zmroku. Wracały do niego wspomnienia o wojnie. Przypominał sobie nocną służbę w okopach, prymitywnych fortyfikacjach, które Dom Hoegbottona stworzył dla swoich żołnierzy. Obserwowanie przez peryskop jakiejś sterty gruzu naprzeciwko, z nadzieją, że niczego nie zobaczą. Pośród woni potu i strachu bijącej od ludzi po jego obu stronach. Wzdrygnięcie się i gwałtowne wciągnięcie powietrza w odpowiedzi na najmniejszy ruch.

Dwóch.

Trzech.

Czterech.

Przechodzili obok niego. Delikatny szelest szat. Przyciszone oddechy, jakby spali nawet po obudzeniu. Dziwnie ciężkie kroki. Cała gama zapachów, od słodkiego jak syrop po zjełczały i obrzydliwy. Czy oni to kontrolują? A może ludzie nie są w stanie odczytywać ich sygnałów? Te oczy. Te usta. Nierówne zęby na ciastowatych dłoniach.

Siedzieli przy biurkach jak zniekształcone odbicia ich dziennych odpowiedników. Nigdy nie poznał ich imion. Określał ich nazwiskami ludzi, którzy zajmowali te same biurka. Obecnie lub kiedyś. A więc oto Dorn, za nim Wyte, a dalej Skinner i Albin.

Piąty był Heretyk. Coś ze sobą przyprowadził. Na smyczy. Finch nie wiedział, co to takiego. Nie potrafił powiedzieć, gdzie się zaczynało, a gdzie kończyło. W miejscu pyska miało tylko wilgotną, rozszerzającą się ciemność. Jak niekończący się upadek z mostu nocą, pod bezgwiezdnym niebem, do głębokiej wody. Wystarczyło jedno spojrzenie, by Finch nigdy więcej nie popatrzył bezpośrednio na tę istotę.

Światło w pomieszczeniu przygasło do ciemnej zieleni, którą wolały szare kapelusze.

- Podoba ci się mój *strasz*, Finch? Czy mój *strasz* robi przyjemne wrażenie? - spytał Heretyk szorstkim, a zarazem piskliwym głosem, stając przed Finchem. Położył nacisk na „robi przyjemne wrażenie”. Jak zwykle, gdy wypróbowywał jakiś nowy zwrot. - Nie? A to

szkoda. *Strasz* to coś nowego i bardzo użytecznego. Już wkrótce oszczędzi nam dużo wysiłku, pozwalając Stronnikom zająć się innymi sprawami.

Finch nie wiedział, co odpowiedzieć.

Finch, szary kapelusz i *strasz* razem zbliżyli się do jego biurka. W nocy Heretyk chodził bez wysiłku. Sprawiał swobodniejsze i bardziej śmiercionośne wrażenie. Może światło dnia zaburzało równowagę szarych kapeluszy.

Heretyk usiadł i puścił smycz. *Strasz* dopadł do pamięciodziury Fincha i zaczął szarpać jej krawędzie wilgotnymi żarłocznymi ustami. Czyścił ją z pasożytów.

Finch zgasił cygaro w popielniczce stojącej na skraju biurka. Stał przed Heretykiem. Przejmij inicjatywę. Odezwał się spokojnym, beznamiętnym głosem:

- Wróciłem do mieszkania. Ciało... jedno z ciał zniknęło.

- Zabrałem je - pośpiesznie odparł szary kapelusz wilgotnym głosem.

Cały czas pobrzmiwała w nim nuta rozbawienia. Oczy wyglądały jak osadzone w gumowej festiwalowej masce.

- Sprawdzamy ciało pod kątem różnych . - Słowo zabrzmiało jak „tiliwirk”.

Finch pokiwał głową, udając, że rozumie.

- Zabraliśmy także kolejną bulwę pamięci od człowieka.

Całkowity paraliż. Nieproszony obraz: twarz Sintry, gdy w nią wszedł. Kiedy westchnęła i wtuliła się w niego, a jego krwawe łzy spadły jej na policzki i usta.

- Co zobaczyliście? - spytał Finch.

Heretyk pokręcił głową. Prosty ruch, który wydał się obcy i przerażający.

- Może najpierw ty mi powiesz, co widziałeś, Finch?

- Wszystko jest w raporcie - odparł Finch. Zbyt szybko.

- Raport. Jak mogliśmy o nim zapomnieć? Może dlatego, że był rozczarowujący. Bardzo rozczarowujący, nie tego się po tobie spodziewaliśmy. - W jego głosie wciąż dało się wyczuć ukryte rozbawienie pomieszane z groźbą.

Finch poczuł skurcz w żołądku. W pomieszczeniu zrobiło się gorąco. Ostatnie szare kapelusze zajęły miejsca przy biurkach. U ich stóp pomocnicy wili się, kwilili, rozglądali.

- Minał dopiero jeden dzień - odparł Finch.

- Finch, czy o wszystkim mi mówisz? - spytał Heretyk.

Bliss zniknął z pokoju o powierzchni dziesięciu stóp kwadratowych. Pozbawionego okien.

- Nie pominąłem niczego istotnego - odrzekł Finch. - Aż do tej chwili.

Heretyk powiedział coś w swoim języku, co zabrzmiało jak klótnia dziecka z

chrząszczem. A potem, dość oczekiwanie, Finch poczuł nóż na gardle.

- A co z kawałkiem papieru, który według Stronnika zabrałeś ze zwłok?

Symbol. Dziwne słowa. Co Heretyk powiedziała by mu o Ciszy, gdyby Finch o nią zapytał? Nic. Zabiłby Fincha. Albo zrobiłby coś jeszcze gorszego.

Nagły strach przerodził się w dziwny spokój. Później Finch zdał sobie sprawę, że czuł się tak, jakby tracił kontrolę, choć starał się ją przejąć. Słyszał odbijający się echem cichy śmiech, który zmienił się w odgłos młotów na budowie dwóch wież w zatoce. A potem w chlupot wody o ścianę w piwnicy Rathven.

Słowa same opuściły jego usta.

- We wspomnieniach pojawił się mężczyzna, którego rozpoznałem. Nie wspomniałem o tym w raporcie, ponieważ chciałem najpierw to sprawdzić. Miało to związek z kartką, którą znalazłem w dłoni trupa. - Kłamał.

Spadanie przez lodowate powietrze i brak czucia w nogach.

- Wyjaśnij.

- Ten człowiek nazywa się Ethan Bliss. - A potem powódź słów: - To agent z Morrow, który działał dla Frankwithe'a i Lewdena podczas Wojny Domów. Dzisiaj namierzyliśmy go razem z Wyte'em, ale... wymknął się nam. Dalej go sprawdzam. Razem z raportem złożyłem wniosek o udostępnienie jego akt.

Jeśli go nie znajdziemy, zabierzemy się za Starka.

Wydawało się, że Heretyk to rozważa. W końcu spytał:

- A co z tamtym kawałkiem papieru?

- Nadal sprawdzam, co on oznacza. Wszystko znajdzie się w jutrzejszym raporcie.

- A lista lokatorów, którą ci dałem?

Finch lekko się rozluźnił.

- Nadal nad nią pracuję. Ale jutro po południu powinienem już wiedzieć więcej. - Jeśli Rathven zdąży.

Heretyk długo rozmyślał nad jego słowami.

- Zataiłeś przede mną informacje - rzekł w końcu. - Nawet nie skończyłeś analizować listy. Od tej pory będziesz składał codzienne raporty. Masz mi mówić o wszystkim. Nie pozostawiaj niczego własnemu osądowi.

Finch otworzył usta, by coś powiedzieć. Heretyk wypowiedział słowa, które zabrzmiały jak „kit wrisdresm zorn”. Pstryknął palcami.

Strasz owinął się wokół nogi Fincha i ją ścisnął. Nagłe mrowienie i paraliż. Finch nie mógł się ruszyć. Nie mógł upaść. Krztusił się własnym oddechem. Razem z paraliżem

pojawiła się wizja bezkresnego pola białych gwiazd, które gasły jedna po drugiej. Otchłań i pustka. Finch jeszcze nigdy tak się nie bał. Ponieważ nie wiedział, na co patrzy i dlaczego.

Staraj się oddychać. Powoli. Oddychaj powoli.

Strasz przesunął się na jego klatkę piersiową. Owinął się wokół szyi. Tak mocno ścisnął, że znieruchomiały Finch ciężko sapał. Czuł na szyi coś, co przypominało ostre liście albo ciernie. Miał wrażenie, że dotykają go usta. Czuł ostry zapach dymu. Połowa gwiazd zgasła. Ciemność wypierała światło.

Zza biurka Fincha, z odległości tysiąca mil, zza grubej ściany, dobiegł głos Heretyka:

- *Strasz* nie jest dla ciebie taki zły jak inne rzeczy, które mogłem ze sobą zabrać.

Strasz ześlizgnął się po ciele Fincha. Puścił go. Finch zatoczył się do przodu, opierając się dłońmi o biurko, by nie upaść. Gwiazdy rozbłysły tak jasno, że prawie stracił przytomność. Po chwili zdołał skupić wzrok na biurku. W nogach czuł igielki powracającego uczucia. Szyja pulsowała bólem.

- Rozumiesz, Finch? - rzekł Heretyk. - Możemy wyjawić, kim naprawdę jesteś. Wszystkim. Możemy też po prostu posłać cię do obozu. Albo zrobić coś znacznie, znacznie gorszego.

Finch kiedyś zabił szarego kapelusza. Gdy służył w nieregularnych oddziałach. Przed Powstaniem. W chaosie wojny domowej. Za pomocą noża i pistoletu. Myślał o tym teraz, patrząc na Heretyka.

- W jaki sposób Bliss zdołał wam uciec? Czekam na odpowiedź w jutrzejszym wieczornym raporcie. Zostaw go na swoim biurku. Przeczytam go i jeśli nie będę zadowolony, to złożę ci wizytę. Znajdź sposób, aby mnie przekonać, że jesteś dla mnie więcej wart żywy niż jako bulwa pamięci. Zrozumiałeś?

- Zrozumiałem - wykrztusił po chwili Finch. Bolało go gardło. Głęboko ukrywał gniew. Po prostu chciał się stąd wydostać. Znaleźć się gdzieś, gdzie mógłby udawać, że jest bezpieczny.

Szary kapelusz wstał.

- Znajdziesz informacje o Blissie w swojej „pamięciodziurze” za pięć minut.

Heretyk oddalił się w głąb pomieszczenia, prowadząc *strasza*. Spod jego stóp wzbijały się w powietrze strużki złośliwych spór. Migotały w ciemności jak malutkie mrugające oczy.

Wbrew rozsądkowi i szokowi wywołanemu przez dotyk *strasza*, Finch się odezwał:

- Co się stało, kiedy zjadłeś bulwę pamięci martwego człowieka? Heretyk obejrzał się z morderczym wyrazem twarzy.

- Nie zjadłem bulwy pamięci. Zrobił to inny *fanaarcensitti*. Niczego nie zobaczył.

Umarł w ciągu kilku minut w straszliwych męczarniach. Najwidoczniej masz bardzo dużo szczęścia, Finch.

Długa salwa okropnego śmiechu, po czym Heretyk zniknął za zasłoną.

* * *

W nocy Finch nie mógł zasnąć. Coś kotłowało mu się w żołądku. Cały czas cierpła mu skóra. Miał odrętwiałą połowę ust, a w drugiej połowie czuł mrowienie, jakby przepływał przez nią słaby prąd. Powłóczył nogami, walcząc z bólem mięśni i kości.

Po powrocie do mieszkania znalazł wsunięty pod drzwi liścik od Sintry: „Dzisiaj mi się nie uda. Jutro wieczorem”. Okazało się, że jego zły nastrój może ulec dalszemu pogorszeniu.

Udał się na dach hotelu, zabierając ze swojej kuchni jedną piątą butelki whisky oraz natarczywego Dzikusa. Dźwigał w zgięciu lewej ręki uspokajający koci ciężar niczym mruczący bochenek chleba. W drugim ręku niósł teczkę Blissa.

Schody ponad jego mieszkaniem były tak obficie pokryte mchem i porostami, że nawet nie skrzypiały. Ciemno. Niebezpiecznie. Ale Finch o to nie dbał. Pogubił się, więc musiał znaleźć jakieś oparcie, zamiast użalać się nad sobą.

Na końcu schodów znajdowała się kłapa w suficie prowadząca na dach. Wepchnął teczkę Blissa pod pachę obok protestującego Dzikusa. Na chwilę odstawił whisky, dzięki czemu mógł pchnąć kłapę, nie tracąc przy tym równowagi. Ponownie wziął butelkę i wyszedł na dach razem z kotem. Poczul orzeźwiający wiatr. Zobaczył morze gwiazd na tle czarnego nieba naznaczonego zielenią.

Nie licząc kawałka przesłoniętego niszczącym neonem, Finch widział stąd całe miasto. Był to jeden z powodów, dla których wybrał właśnie ten hotel. Widok z dachu pomagał mu nanosić zmiany na mapie. Dawał poczucie kontroli, umożliwiał dostrzeżenie wielu rzeczy z jednego miejsca. Jego żołnierska natura zawsze dbała o jak najlepsze rozpoznanie sytuacji.

Przygaszone światła w budynkach po obu stronach. Jakby widziane przez czarną zasłonę. Nawet dwie wieże wydawały się niewyraźne, a ich szmaragdowy blask osłabł. Kilka połyskujących obłoków spór, niebieskich i żółtych, tańczyło daleko na południowym niebie. Poza tym było widać tylko skupione na swoim wnętrzu białe kopuły obozów, na północy zrównoważone przez tętniącą życiem, lśniąca na pomarańczowo-zielono Strefę Hoegbottona i Frankwithe'a. W powietrzu nie wyczuwało się woni grzybów. Zupełnie jakby spoza miasta docierały orzeźwiające podmuchy wiatru.

Jakaś wysoka postać stała przy krawędzi dachu, spoglądając na miasto. Finch zeszytywniał, a Dzikus zaczął syczeć. Detektyw chciał sięgnąć po broń, ale zorientował się, że zostawił ją w mieszkaniu. Kocur zeskoczył mu z ręki. Wtedy Finch zauważył, że to tylko Fotograf, brat Rath. Człowiek, który lubił fotografować wodę i prowadził czarnorynkowy handel ze swojego mieszkania.

Finch widział zdjęcia jego autorstwa. Leżały w stosach obok aparatów. Oblepiały ściany. Powiększone, pomniejszone, rozmazane, ostre. Wywołane na wszystkim, co mogło posłużyć jako papier kontaktowy. Jakby Fotograf wypatrywał w wodzie jednej konkretnej rzeczy. Jakby woda w ogóle go nie interesowała, a szukał czegoś, czego jeszcze nie odnalazł.

Jedna piąta butelki whisky wystarczy na dwóch.

Fotograf odwrócił się, gdy Finch się zbliżył. To był powolny, beztroski ruch. Finch nigdy nie widział, by brat Rathven czymś się niepokoił. A może po prostu był pogodzony z czekającym go losem, jakikolwiek miał być. Finch nie wiedział, co go spotkało w obozach. W ogóle niewiele o nim wiedział, a jednak mu ufał, co nie miało sensu. Fotograf wyraźnie był człowiekiem skrzywdzonym. Obojętnie potraktował pomoc Fincha, który wyostał go z obozów.

Fotograf pokiwał głową.

Finch podał mu butelkę. Mężczyzna pociągnął łyk, po czym ją oddał. Popatrzył na Fincha nieprzeniknionym wzrokiem. Biała twarz i usta o uniesionych kącikach, które nadawały mu demoniczny wygląd. Oczy i kości policzkowe nie pasowały do ust. Oczy były niemal puste, jeśli nie liczyć głęboko ukrytej iskierej. Finch uznawał ją za oznakę ciekawości bądź obsesji. Wysokie kości policzkowe sprawiały, że Fotografa otaczała aura głębokiego lub głęboko skrywanego cierpienia.

- Dzieje się tam coś nowego?

- Kilka rzeczy. - Głos jak cienka trzcina.

- Coś, o czym powinienem wiedzieć?

Fotograf wzruszył ramionami i popatrzył w noc.

- Niedawno widziałem zwiększoną aktywność przy wieżach. Może jakiś problem? Jeśli tak, to szybko zażegnany. Teraz nic. Kilka wyładowań spór na zachodzie. Nie wiem, czy miały ludzkie, czy mechaniczne źródło. Ale w sumie niewiele... Co ci się stało?

Finch prychnął. Pewnie wygląda równie źle jak się czuje. Fotograf nigdy wcześniej nie pytał o jego zdrowie.

- Spotkałem na swojej drodze coś, co mnie nie polubiło. - Nie miał ochoty dzielić się szczegółami. Myślał o tym, że będzie musiał wytrzymać kolejny dzień, zanim spotka się z

Sintra.

Fotograf pokiwał głową, jakby słowa Fincha miały sens. Wrócił do kontemplowania widoku. Nie dbał o towarzyskie rozmowy.

Powoli, sztywno, Finch opuścił się na krzesło. Kilka stóp dalej Dzikus żuł coś, co złapał.

Obok gnijącego neonu wisiały dwie żarówki. Granica rzucanego przez nie światła ledwie sięgała krawędzi krzesła. To wystarczyło do czytania.

Gdy jego oczy przywykły do półmroku, Finch zaczął przeglądać teczkę Bliss. Dwa żałośnie stare zdjęcia. Jedno tak ciemne, że przedstawiało tylko rozmazaną sylwetkę, z której wystawało coś przypominającego szczękę. Sam raport był krótki, treściwy, nakreślony pajęczym pismem szarych kapeluszy. Przetłumaczony z oryginalnych akt. Jaką miały formę? Pewnie tam na dole są rzeczy gorsze od pamięciodziur.

Finch znał większość informacji zawartych w raporcie. Awans Bliss w szeregach F&L. Kompromis z Hoegbottonem. Sojusz z Błękitną Damą. Mimo to, zdziwiło go, że szare kapelusze o tym wiedzą. Zaczął się zastanawiać, jak obszerna była ich wiedza przed Powstaniem.

W raporcie wypatrzył listę pseudonimów, pod którymi działał Bliss: Charles Dinley, George Graansvoort, John Letcher, Grant Shearwater, Dar Sardice. Jak również, wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu, Jasper Marlowe Anthony Blasio. Literówka? Błąd podczas przepisywania?

Najciekawszy okazał się Dar Sardice. Pozostałe nazwiska służyły do dyskretnego przekraczania granic wyznaczonych wewnątrz miasta. Pseudonimu Dar Sardice Bliss używał znacznie wcześniej, podczas kampanii wojsk Ambergris i Hoegbottona przeciwko Kalifowi. „Dar Sardice” był człowiekiem Frankwithe'a, odpowiedzialnym za śledzenie przebiegu wojny z linii zaopatrzeniowych Kalifa. Jaką miał przykrywkę? Niezależny kupiec i przedsiębiorca o stałej trasie handlowej prowadzącej przez ponad osiemset mil pustyni usianej ufortyfikowanymi miastami. Cały Zachodni Front, na który armia Ambergris rzuciła się z niezrównaną zaciekłością i z którego ostatecznie się wycofała. „Był po prostu za duży” - wyjaśnił kiedyś ojciec Fincha. „Przytłaczał nas. Te rozległe, gorące, puste przestrzenie. Dziwaczne miasta. Fakt, że nie znaleźmy języka”. Uciekając, pozostawiali za sobą popsute, wysadzony w powietrze sprzęt. Ciężarówki. Czołgi. Moździerze.

Forteca na pustyni. Upadek z ogromnej wysokości. Ethan Bliss jako Dar Sardice, pojawiający się na każdej ważniejszej arenie pustynnej wojny. Wkrótce pojawił się ponownie jako człowiek F&L w Ambergris. A także we wspomnieniach nieboszczyka. Kiedy zapędzili

go w kozi róg, zniknął, choć kilka minut wcześniej wisiał przybity do ściany.

Czy ta zagadka miała proste rozwiązanie? Jeśli tak, umykało ono Finchowi, tym zwinniej, im bardziej starał się je pochwycić.

Fotograf się poruszył.

- Wracam do środka. Chcesz jeszcze czegoś?

- Tylko informacji - odparł Finch i wypił trochę whisky. Lubił to uczucie, gdy spływała z gardła do żołądka. Uspokajała go, mieszając się z posmakiem cygara.

- Jakich informacji?

Finch zaufał intuicji, czując, że ma odsłonięte tyły.

- Widziałeś ostatnio kogoś dziwnego w hotelu?

Fotograf odpowiedział z niechęcią, jakby mówił coś niestosownego:

- Owszem, widziałem.

Finch wzmógł czujność.

- Możesz go opisać?

- Było ich dwóch, dzisiaj. Przyszli osobno. Pierwszego widziałem około południa. Wysoki Stronnik. Szedł po schodach, kiedy go zobaczyłem. Schodził. - Na twarzy Fotografa pojawił się grymas obrzydzenia.

Czyżby ten sam Stronnik?

- Skąd schodził?

- Nie wiem. Byłem na piątym piętrze. On szedł w dół.

To mógł być każdy. Mógł tutaj przyjść z dowolnego powodu. A Finch nie mógł na to nic poradzić.

- A drugi?

- Zatrzymał się przed budynkiem. Było późne popołudnie. Łysy mężczyzna. Wyglądał groźnie. Porozmawiał z szaleńcem obok posągu. Nie spodobało mu się to, co usłyszał. Potem przez chwilę patrzył w górę na okna. Stał na chodniku, paląc papierosa. Nagle stracił cierpliwość i na chwilę wszedł do holu, ale zaraz wyszedł i niemal natychmiast się oddalił.

Opis pasował do tego, co Bliss opowiadał im o Bosunie. Osilek na usługach Starka. Co oznacza, że mieszkanie Blissa było obserwowane, a szpiegzy niezwykle szybko zidentyfikowali Fincha. Teraz sprawdzali miejsce jego zamieszkania. Ani trochę mu się to nie podobało.

Zdecydowanie nadszedł czas, żeby porozmawiać ze Starkiem.

- Dasz mi znać, jeśli znów ich zobaczysz? Albo kogokolwiek innego, kto tu nie mieszka?

Fotograf pokiwał głową. Następnie ruszył w stronę klapy, stawiając duże kroki, jakby nagle przypomniał sobie, że musi dokąds pójść. Klapa otworzyła się ze skrzypnięciem i Fotograf zniknął.

Po lewej stronie Fincha Dzikus tropił jakąś nową ofiarę za dwiema drewnianymi skrzynkami. Finch wrócił do swojej whisky. Zastanawiał się, czy skoro Bliss/Dar Sardice doprowadził ich do Starka, to Stark doprowadzi ich z powrotem do Blissa. No i kim był Stark? Po prostu kolejnym człowiekiem ze Stockton czy może kimś zupełnie innym?

Cały czas starał się nie myśleć o *straszu*. Pełznącym w górę jego nogi. Owijającym się wokół szyi.

 Nie udawało mu się to.

ŚRODA

P: Kiedy po raz pierwszy postanowiłeś skontaktować się ze Starkiem? Przed czy po spotkaniu z Blissem?

F: Prowadziłem śledztwo w sprawie dwóch zgonów. Po prostu wykonywałem rozkazy.

P: I dla ciebie oznaczało to spiskowanie ze wszystkimi wrogami miasta?

F: Nie, to nie tak. To...

[krzyki, zniekształcone nagranie]

F: Dlaczego to zrobiłeś? Dlaczego? Przecież odpowiadam. Odpowiadam.

P: Ale nie mówisz nic istotnego.

1

Następnego dnia rano ruszyli na poszukiwanie Starka...

Podmuchy wiatru i kropelki deszczu uderzały Fincha w twarz, gdy pędzili w poprzek zatoki ku Kosie. Cieszył się, że chłodna woda moczy mu włosy. Z trudem jednak udawało mu się zapobiegać parowaniu maski osłaniającej oczy, nos i usta. Pod maską skóra swędziała i oblewała się potem. Wyte wyglądał w swojej jak coś, czym straszy się dzieci. Ale lepsze to niż narażanie się na śmierć. Nawet szare kapelusze nie wiedziały, co żyje w powietrzu nad zatoką skażoną ściekami z SHF. Malutcy zabójcy. Niszczą komórki i odbierają oddech...

Finch stał na dziobie łodzi szarych kapeluszy; tylko takie jednostki wpuszczano na wody zatoki. Obok niego Wyte z zieloną skórą na rękach. Bynajmniej nie z powodu choroby morskiej. Na pokładzie zmieściłoby się osiem albo dziesięć osób, ale byli jedynymi pasażerami. Łódź lekko się unosiła, napędzana strumieniem wody wyrzucanym pod powierzchnię. Z daleka przypominała inne jednostki. Tylko że zachowuje się jak żywa. Trasa została zaplanowana przez gburowatego Stronnika, który spotkał się z nimi na brzegu. Stronnik wcisnął jakiś grzyb w otwór na kadłubie, dziwnie przypominający pamięciodziurę. Teraz łódź jakimś cudem wiedziała, dokąd płynąć. Oraz jak wrócić.

Buty Fincha zapadały się w iłową gąbkę „pokładu”. Starał się pamiętać o uginaniu nóg, by utrzymać równowagę. Jednakże równowaga to niepewna rzecz. Wyschnięty język, bolący brzuch. *Strasz* zrobił coś z jego mięśniami. Finch czuł się tak, jakby przez całą noc walczył z olbrzymem. Wcale mu się to nie podobało. Nie podobało mu się, że został pozbawiony naturalnego obycia z pokładem. Kiedyś lubił wodę. W dzieciństwie, razem z przyjaciółmi, których imion już nie pamiętał - Charlie? Sam? - chodzili do portu i wypływali kanu na środek rzeki, żeby łowić ryby. Później, kiedy pracował dla Wyte'a, oglądał z bliska duże zacumowane okręty, które rozładowywano, a następnie napełniano towarami H&S.

Umysł Fincha nawiedzały duchy porannej rozmowy w Wyte'em.

„Większość moich informatorów ucichła. To sprawka Starka. Zajął się przeciekami i ludźmi wsadzającymi kij w mrowisko”.

„Na pewno wiesz o Starku więcej niż to, co zostawiłeś na moim biurku, Wyte”.

„Nie. To wszystko. Nawet nie wiemy, czy naprawdę tak się nazywa”. „Nikt nie nazywa się po prostu Stark”.

Wyte poprosił o pomoc Stephena Daviesa, agenta ze Stockton, który miał pośredniczyć między nimi a Starkiem. Zamierzali dopłynąć do pontonów na północno-wschodnim krańcu Kosy. To znacznie bezpieczniejsze niż podejście lądem. W tamtejszym labiryncie ruin łatwo o wpadnięcie w zasadzkę. Żadnej osłony. Żadnej drogi ucieczki.

Szpiedzy przybywali do Ambergris skromnie i samotnie, a ich pierwszym przystankiem zawsze była Kosa. Podróżowali rzeką. W ciemności, jakby rodzili się na nowo. Nie mieli przy sobie niczego, co mogłoby się przydać szarym kapeluszom. Niczego, co ich mocodawcy chcieliby uchronić przed wpadnięciem w obce ręce. Stopniowo gromadzili środki. Korzystali z pieniędzy i wpływów, które zdobyli w Stockton, Morrow albo jeszcze odleglejszych krainach. Czasami Kosa stawała się dla nich także ostatnim przystankiem.

- Przeklęci cudzoziemcy, ciągle próbują wykorzystać nasze popieprzone miasto.
- Stark będzie taki sam. Gdzie było Stockton podczas Powstania?
- Czekają, żeby dorwać się do ochłapów.

Próbowali się nakręcić. Przekonać siebie samych, że wciąż są lojalni wobec Ambergris. Irytowało ich, że w maskach ich głosy brzmią metalicznie.

- Wygląda na to, że Davies podziwia Starka.
- Jesteś pewien, że to nie strach? Chociaż większość z nich pewnie już wyrosła ze strachu i podziwu...

Wyte tylko wzruszył ramionami. Finch wiedział, że jego partner nie chce o tym myśleć. Nie chce wiedzieć, w jakie gówno mogą wdepnąć na Kosie.

Ujrzeni zarysy wysepek unoszących się na wodzie. Niektóre z nich były zbyt blisko, by je zignorować, ale Finch właśnie tak zrobił. Trupie wysepki zbudowane z ciał pracowników, którzy zmarli w obozach, po czym odrodzili się jako pływający kompost dla zarodników. A głęboko pod nimi rozkładające się doki, zatopiona część Bulwaru Albumuth. Martwi ludzie wciąż byli w budynkach, w których pracowali albo mieszkali - tak gwałtownie nadciągnęła woda. Spadła na nich jak cios. Przez jakiś czas oświetlały ich migające światła olbrzymich kałamarnic, które patrolowały zatokę. Ale te już dawno odeszły, wypędzone przez zanieczyszczenia. Finch nie mógł tego znieść. Nie dzisiaj.

„Woda może się zachowywać jak człowiek” - mawiał jego ojciec. Bywa zdradziecka. Uderza, kłębi się i wiruje. Wciąga łodzie w głębinę.

Przeszłość wcale nie przypominała innego świata. Wydawało się raczej, że nigdy nie istniała. Nie mogła zaistnieć. Zmiana była zbyt ohydna, zbyt koszmarna. Lepiej nie mieć żadnej przeszłości. Nagle zapragnął Sintry. Tak bardzo jej potrzebował. Niemal poczuł zapach jej perfum. Chciał znów znaleźć się w swoim mieszkaniu, przy jej boku.

„Gdzie mieszkasz?”

„W miejscu, które ma cztery ściany i dach”.

„Jakich masz sąsiadów?”

„Hałaśliwych. Smutnych. Tymczasowych...”.

Przez chwilę czuł irracjonalną niechęć do Wyte'a. Jakby Sintra mogła zająć jego miejsce na łodzi. Wesprzeć go. Ale to było niemożliwe.

„Co słyszysz przez swoje okno, Sintro?”

„Detektywów zadających pytania”.

- Finch. - W ustach Wyte'a jego imię zabrzmiało jak ostrzeżenie i wyrwało go z zamyślenia. - Zobacz. - Wyte wskazywał coś palcem; pewnie on także pragnął, by coś odwróciło jego uwagę.

Tuż za nimi: druga łódź. Dużo większa, płynąca z południowego wschodu. Płaskodenna. Głęboko zanurzona.

Lekceważąc rozsądek, Finch zabrał ze sobą broń. Teraz ją wyciągnął. Ale kiedy przyjrzał się uważniej, ponownie schował ją do kabury.

- To tylko więźniowie - rzekł. My też moglibyśmy się wśród nich znaleźć.

Wyte ponownie popatrzył na łódź i pokiwał głową.

Wkrótce jednostka prześlizgnęła się obok ich dziobu, kierując się w stronę wież. Wiozła około trzydziestu osób z obozów. Więźniów pilnowały dwa szare kapelusze i Stronnik. Mężczyźni i kobiety w wyblakłych workowatych ubraniach podkreślających ich funkcję. Niektórzy mieli staroświeckie maski, które mogły, ale nie musiały działać. Pochylali głowy, pogrążeni nie w modlitwie, lecz w rozpacz. Chudzi, o jasnozielonej skórze. Przygarbieni.

- W ciągu dnia? - odezwał się Wyte, niemal błagając, by wyprowadzono go z błędu.

- W ciągu dnia - odpadł rozdrażniony Finch. Najlepiej dziękować losowi, że nie trafiło się do obozu.

Uwagę Fincha przykuł truffidiański kapłan siedzący z tyłu łodzi. Miał na sobie pełny odświętny strój, nawet złote łańcuchy. Tacy sami kapłani maszerowali u boku piechoty podczas inwazji wojsk Ambergris na ziemie Kalifa. Szare kapelusze ich złamały. Teraz traktowały ich niemal jak oswojone zwierzęta. Popatrzyli sobie w oczy i starszek spuścił wzrok, unikając spojrzenia Fincha. Finch zauważył, że kapłan kryje się pod kapturem i lekko drży. Był pod wpływem narkotyków szarych kapeluszy. Robił to w zamian za świeżą dawkę. Zdrajca.

- Dawniej za coś takiego odebrano by mu życie - rzekł Wyte. - I to powoli.

Nam też.

- Co? - zdziwił się Wyte.

- Nieważne.

Wbrew własnej woli Finch przeniósł wzrok poza obozową Łódź, zwabiony ogromem widoku. Popatrzył na wieże upstrzone zielenią i wyzierającymi spod spodu granatowymi plamami. Chronione rusztowaniami budowle migotały, jakby były żywe. Ich niektóre fragmenty przypominały płuca. Oddychały. Szczyty wież, znajdujące się na wysokości co najmniej dwustu stóp, ginęły pośród chmur, deszczu i dziwnych purpuroworóżowych błyskawic. Do wież prowadził szeroki most pontonowy. Na tymczasowej wysepce u podstawy budowli mieszkali robotnicy. Cumowało tam kilka łodzi. Tuziny szarych kapeluszy stały na straży.

Spoglądając poza wieże, w kierunku, z którego przy płynęli, Finch dostrzegł skupisko przygarbionych budynków. W jednym z nich znajdowało się mieszkanie, w którym znaleziono martwego człowieka i szarego kapelusza. Czy Stronnik wciąż tam jest i na niego patrzy? Rozmawia z Heretykiem? Coś przed nim ukrywa?

- Kiedy będą wiedzieli, że wieże są gotowe? - zastanawiał się na głos Finch.

- Dachy, Finchy. Kiedy zobaczysz dachy na szczycie. Wtedy będą gotowe.

Żartował? Mówił poważnie? Finch już nie potrafił ocenić, kiedy Wyte myśli klarownie. Nie był pewien, na co może sobie pozwolić w jego towarzystwie.

Nagle Finch uświadomił sobie, że coś jest nie w porządku z relingiem na dziobie łodzi. Poręcz powinna być nierówna, pokryta drzazgami kłującymi dłonie. Tymczasem była miękka i mięsista. Zabrał dłonie, jakby się oparzył.

Z deszczu wyłaniała się Kosa. Z zaskakującą szybkością zmieniała się z odległej brązowej kreski w coś obdarzonego konkretnym kształtem i teksturą. Łodzie przycumowane jedna przy drugiej, w rzędach po dwadzieścia albo trzydzieści sztuk. Wciąż podskakiwały na powierzchni, chociaż rozpadały się i przeciekały. Dziurawa suwerenność. Spięty łańcuchami legion skazańców unoszących się na wodzie. A to wszystko ustawione przy brzegu w sąsiedztwie ruin Dzielnicy Religijnej. Gdyby szare kapelusze kiedyś postanowiły całkowicie odciąć od siebie nawzajem mieszkańców Ambergris, spaliłyby Kosę, odgrodziły ją murem od Dzielnicy Religijnej. Wyplenilyby Dogghów i Nimblytodów jak chwasty. Upchnęłyby ich wszystkich w SHF i miały spokój.

Czy istnieje jakiś limit tego, co mogą zrobić? Albo zechcą zrobić?

Łódź zaczęła zwalniać. Po chwili delikatnie uderzyli w nabrzeże. Dziób pocałował drewno. Finch zeskoczył z pływającej się łodzi, a Wyte podążył w jego ślady. Zdjęli maski.

Wciągnęli do płuc metaliczne powietrze. Wrzucili maski z powrotem do łodzi. Ta westchnęła i się wyłączyła. Nie wiedzieli, co czeka kogoś, kto spróbowałby wejść na pokład podczas ich nieobecności. Podejrzewali, że nic miłego.

Ani śladu Daviesa. Przed nimi lawina innych łodzi, rozproszone wysokie budynki, naturalnego oraz sztucznego pochodzenia, a w oddali słabe lśnienie przebijające się przez ścianę deszczu. Wiadra poprzywiązywane do nabrzeża bulgotały, napelniając się i opróżniając. Niebieski bączek. Oleista woda. Gnijące deski.

- Wyte, masz jakiś plan, gdyby Davies się nie pojawił?

Wyte nie odpowiedział.

Na skraju pustego nabrzeża pojawił się łysy mężczyzna z bronią w kaburze. Po prostu się pojawił. Finch nie widział, skąd przyszedł. Wyte wyciągnął pistolet.

Twarz jak u boksera, nos szeroki od licznych ciosów. Blizny nad lewym i pod prawym okiem. Od tego samego ciosu nożem? Wysklepiona pierś. Grube ręce. Krwistoczerwona kamizelka włożona na ciemnozieloną koszulę. Czarne spodnie, jeszcze czarniejsze buty.

Mężczyzna zbliżył się z uniesionymi dłońmi. Zupełnie jakby chciał, żeby go skuli kajdankami. Coś trzymał. Podarunek?

Upuścił przedmiot na ziemię. Drewniana rzeźba jaszczurki złapanej w pułapkę.

Mężczyzna odezwał się ze skundlonym akcentem:

- Jestem Bosun. Davies nie mógł przyjść.

Z bliska jego twarz przypominała rzeźbioną owalną kość. Oczyszczoną ze wszystkiego prócz bezpośredniości. Oddech pachniał jakąś przyprawą. Usta mężczyzny wykrzywił lekceważący uśmiech, który zrobił na Finchu równie złe wrażenie jak jego imię.

Wyte zerknął na partnera. Finch wiedział, że Wyte podziela jego zdanie. Bliss nazwał Bosuna prawą ręką Starka. To był człowiek, który nie wzdrygał się przed stosowaniem tortur, a nawet je lubił. Który pomógł wybić całą drużynę Blissa.

- Co się stało z Daviesem? - spytał Wyte, cofając się o krok, by stworzyć między nimi dystans. Finch zniknął w ciemności po prawej stronie, więc nie znajdował się na linii strzału. Wyte trzymał dłoń na pasie. Obok kabury.

- Davies nie mógł przyjść - powtórzył Bosun. - Stark czeka. Chodźcie. Szybko.

Ruszył z powrotem w stronę labiryntu łódek. Wyglądało na to, że nie przejmuje się bronią Wyte'a. Finch zastanawiał się, kto może ich obserwować przez okna o przyciemnionych szybach w pierwszym rzędzie łodzi.

- Jaką mamy gwarancję?! - zawołał Finch w ślad za Bosunem. Miał ochotę spytać: „Po co ta jaszczurka, pieprzony świrze?”.

- Żadnej - odpowiedział Bosun, nawet się nie oglądając. - Możemy tylko obiecać, że nie skrzywdzimy was, jeśli wy nie spróbowacie nas skrzywdzić. I nie będziemy próbowali was wyruchać. Chyba że wy spróbowacie wyruchać nas. - Gardłowe chrypienie przypominające śmiech. Bosun coraz bardziej zagłębiał się w labiryncie, podczas gdy detektywi stali nieruchomo na pokładzie.

Finch popatrzył na Wyte'a. Wyte popatrzył na Fincha.

- Naprawdę tam wchodzimy? - spytał Wyte.

Finch zerknął na drugą stronę zatoki, zobaczył, jak długą drogę przebyli. Kto na Kosie ryzykowałby gniew szarych kapeluszy? Pomyślał o *straszu*. O tym, jak łatwo byłoby ich zasypać gradem pocisków z okien w pierwszym rzędzie łodzi.

Wzruszył ramionami.

- Udawaj, że to Davies, jeśli to cię uspokoi. - Ukrywał własny niepokój.

Ominęli wyrzeźbioną jaszczurkę, jakby mogła im wyrządzić jakąś krzywdę. Po chwili, pod wpływem impulsu, Finch wrócił i pochylił się, mruczając pod nosem jakieś przekleństwo. Podniósł figurkę. Bosun zapewne od początku na to liczył.

Ruszyli za nim w ciemność.

* * *

Kiedys ojciec pokazał Finchowi starą fajkę. „W tej fajce zawiera się cały świat” - powiedział. Finch mógł mieć wtedy około czternastu lat i wciąż był chłopcem na posyłki, jak przystało na lojalnego syna. Od kampanii przeciwko Kalifowi minęło dziesięć lat, a ojciec robił szybką karierę w strukturach Domu Hoegbottona. Siedzieli przy zdobionym biurku w jego gabinecie w ich dawnym domu - tata na swoim miękkim fotelu obitym czerwonym jedwabiem, Finch na taborecie po jego lewej stronie. Pamiątki, które ojciec przywiózł z pustyni, służyły jako ozdoby. Karabin używany przez ludzi Kalifa. Kierownica czołgu. Bułat, który zgodnie z obietnicą kiedyś miał się stać własnością Fincha.

Słoneczny wiosenny poranek. Cętkowany cień wpadający do pokoju przez długi rząd okien w przeciwległej ścianie. Słaby zapach miodu wydobywający się z malutkich białych kwiatków na zadbanych krzakach, które rosły wzdłuż alei przed domem.

- W fajce? - zdziwił się Finch. Nie dowierzał. Spodziewał się jakiejś sztuczki. Może magicznej.

Ojciec wskazał otwór na boku fajki.

- Zajrzyj do środka.

Finch ostrożnie przyłożył fajkę do oka. Westchnął zachwycony. Szkło powiększało

obraz widoczny przez otwór. A w środku rzeczywiście znajdował się świat. Mapa całego znanego świata. Była na niej kropka oznaczająca Ambergris. Kreska rzeki Moth. Miasto Morrow na północy oraz Stockton około pięćdziesięciu mil na południe, po drugiej stronie rzeki. Południowe Wyspy poniżej delty Moth. Imperium Kalifa obejmujące wszystkie tereny na zachód od rzeki. Kolejne egzotyczne miasta naniesione na rozległą pustynię, równiny i wzgórza. Na wschodzie niezbadana dżungla i góry.

- Po drugiej stronie też jest otwór - powiedział ojciec.

Finch odwrócił fajkę. Popatrzył przez kolejne małe szkło powiększające. Ujrzał czarno-białe zdjęcia dwanaściora mężczyzn i kobiet.

- Kto to jest?

- Szpiegdy - odparł ojciec. - Właściciel tej fajki przewodził siatce szpiegowskiej. Mapa po drugiej stronie to tak naprawdę kod. Mówił właścicielowi coś o szpiegach, na których zdjęcia patrzysz. Każdy z nich mieszka w innym mieście zaznaczonym na mapie. Ale trzeba znać kod, by przyporządkować ich do odpowiednich miast. Oraz poznać inne informacje.

Finch oderwał wzrok od fajki i spojrzał na tatę.

- Ale fajnie! - zawołał, ponieważ nie wiedział, co powiedzieć.

- Nie - odrzekł ojciec, marszcząc brwi. - Nie ma w tym nic fajnego. To śmiertelnie poważna sprawa. - Patrzył na syna tak, jakby chciał mu powiedzieć coś, czego Finch jeszcze nie potrafił zrozumieć.

Finch pamięta o fajce, gdy pracuje nad swoją nakładką. To małe okienko na olbrzymi świat uzmysławia mu ograniczenia jego mapy. Przypomina, że poza Ambergris jest coś więcej. Chociaż łatwo o tym zapomnieć.

Myśli o fajce, gdy razem z Wyte'em wchodzi na Kosę. Myśli o szpiegach, którzy prowadzili ekscytujące, niebezpieczne życie we wszystkich zakątkach świata, lecz ostatecznie zostali uwięzieni wewnątrz fajki.

Skrepowani przez reguły.

Przemieszczani po planszy wbrew swej woli.

A przynajmniej tak im się wydawało.

Co za różnica?

2

Przechodzili przez drzwi kolejnych, licznych łodzi. Pomędzy nimi ni stąd, ni zowąd pojawiała się woda. Szara, niebieska, czarna, w zależności od zmieniającego się koloru chmur na niebie. Czasami odstępy były na tyle duże, że musieli skakać, a za chwilę zwięzały się do błękitnej kreski. Łodzie kołysały się, powiązane jęczącą liną. Zapach bagna. Zapach ryb. Pomieszane z osobliwą starą-nową wonią kruchej farby, pozwijanej w paski lub wciąż przylegającej do ścian.

Wchodzili do miejsc, w których woda sączyła się ze starych ran, a powierzchnię wypaczonych desek pod ich stopami znaczyły setki wymyślnych skaz. Wędrowali po trzeszczących pokładach, które ogłaszały ich nadejście przytłumionymi śpiewnymi protestami. Wchodzili i schodzili po stopniach, które zawsze okazywały się zbyt głębokie bądź zbyt płytkie.

Podążali za szerokimi plecami swego milczącego przewodnika. Wyte miał gorzej, gdyż ze względu na swój wzrost musiał za każdym razem schylać się w przejściach. Drzwi stawały się mniejsze, potem większe, potem znów malały. Owalne. Prostokątne. Kwadratowe. Inkrustowane szkłem. Puste futryny z zardzewiałymi zawiasami. W jednym przypadku łopoczący płócienny trójkąt z namalowanym zielono-czerwonym okiem, które jakby śledziło niepewną wędrowną Fincha.

Co to ma oznaczać, na Truffa? To pytanie kilkakrotnie nawiedzało Fincha, gdy spoglądał na wystruganą figurkę, którą dał im Bosun. Pułapka. Schwytna w nią jaszczurka. Rzeźba przypominała mu o Skradku. Finchowi przyszła do głowy absurdalna myśl, że Bosun był w jego mieszkaniu. Kto tworzy takie przedmioty? Kto ma na to czas?

Nagle Bosun zatrzymał się w drzwiach i obejrzał na idących za nim detektywów.

Wyte nie zdążył wyhamować i wpadł na Fincha. Uśpił go sztywny rytm ich marszu. Finch ledwie zdołał uchronić się przed upadkiem.

- Co jest? Jesteśmy na miejscu? - spytał Wyte, zerkając ponad ramieniem partnera. Finch czuł jego oddech, gorący i gęsty.

Bosun się uśmiechnął. Niewyraźnie. Bez cienia wesołości.

Stali niepewnie na malutkim pokładzie, plecami opierając się o ścianę kabiny. Woda chlupotała pomiędzy łodziami. Czapla rechotała pod ciemnoszarym niebem.

- Odrzućcie broń - rzekł Bosun.
- Niby dlaczego? - spytał Wyte.
- Do Starka nie wolno się zbliżać z bronią.
- Szkoda - odparł Wyte.
- Wrzucie ją do wody - polecił Bosun. - W przeciwnym razie was tutaj zostawię.

Obramowany framugą, obmyty szarymi cieniami, Bosun sprawiał niehumanne wrażenie. Nierzeczywiste. Wydawało się, że oddala się od nich, podczas gdy dźwięki Kosy przybierały na sile. Jak odgłos bębna, który cichnie w jednym miejscu, by po chwili odezwać się gdzie indziej w nowym rytmie.

- Powtarzam: a niby, kurwa, dlaczego mielibyśmy to zrobić?

- Ponieważ nie wiemy, gdzie jesteśmy - rzekł Finch. A gdyby on chciał nas zabić, to już dawno by to zrobił.

Bosun uśmiechnął się szerzej, a Wyte zaklął.

- Wiesz, dla kogo pracujemy? - spytał. Pracujemy dla potworów. Pracujemy dla siebie.

Finch, jak we śnie, obserwował samego siebie wyrzucającego pistolet za burtę. Broń przebiła powierzchnię jak nurek głową naprzód. Woda rozstała się przed pistoletem, który zniknął bezgłośnie. Finch poczuł ulgę. Był pogodzony z losem. Przez tę broń miałem same kłopoty. Ciągłe były jakieś problemy.

Wyte popatrzył na Fincha jak na zdrajcę. Zawahał się. Bosun jeszcze bardziej się oddalił. Wyte mógł go zastrzelić. Wtedy zgubiliby się na terytorium wroga. Albo mógł spudłować, a wtedy Bosun i tak by odszedł. Niewykluczone, że jeśli pozbędzie się broni, Bosun i tak ich zostawi. Ale Finch uważał, że tak się nie stanie.

Pomimo oporu Finch odebrał Wyte'owi pistolet i wrzucił go do wody.

- Popelniasz błąd, Finch. Błąd - mruknął Wyte.

- A teraz do Starka - zażądał Finch.

- Do Starka - odparł Bosun, kiwając głową.

Po chwili znów stał się jedynie szerokimi plecami, drzwiami, które prowadziły ich w jakieś niebezpieczne miejsce.

* * *

Kilka minut później Bosun znów się zatrzymał. Tym razem wewnątrz starego holownika. Finch stanął tuż obok niego, z plecami obolałymi od ciągłego schylania. Wyte wciąż był na pokładzie poprzedniej, znacznie większej łodzi. Otaczała go aura porażki.

Nagle zniknął. Finch to wyczuł. Wyte trzymał się za jego plecami, a po chwili już go

nie było. Nagły podmuch. Stłumiony okrzyk. Urwany. Finch obejrzał się i zobaczył zarysy drzwi ciągnących się w nieskończoność w kierunku, z którego przyszli. Poza tym tylko cienie. Gwałtownie odwrócił się w stronę Bosuna, czując, jak pokład unosi się i opada mu pod stopami.

Bosun obserwował go z założonymi rękami.

Finch zwalczył pokusę, by się do niego zbliżyć. Zrobić mu krzywdę. Opanował się. Wiedział, że tylko w ten sposób ocali życie. Może nawet ocali życie Wyte'a. Zrozumiał także, że Stark ma w dupie odwet szarych kapeluszy. Nie obchodzi go, że Heretyk będzie go ścigał, jeśli wykończy dwóch detektywów.

- Gdzie mój partner? Dokąd go zabieracie? - Starł się panować nad głosem.

Jeśli go skrzywdzicie...

Bosun wzruszył ramionami.

- On nie chce się z nim spotkać. Tylko z tobą. Wyte jest niebezpieczny. Nie wiemy, gdzie był. Później się zobaczycie. Zdejmij buty.

- Zdjąć buty? - Polecenie było tak nieoczekiwane, że Finch na chwilę zapomniał o partnerze.

- Buty i skarpety. Muszę zobaczyć twoje stopy. To jakiś problem?

- A co mi, kurwa, po butach, skoro już wyrzuciłem pistolet?

Buty i skarpety poleciały za burtę. Podskakując na pokładzie, Finch kolejno pokazał Bosunowi podeszwy stóp. Zastanawiał się, jak to się skończy. Był wściekły, zmartwiony, wystraszony.

Jednocześnie spoglądał na siebie z zewnątrz i dziwił się: czy teraz tak wygląda praca detektywa? Prowadził śledztwo w sprawie podwójnego morderstwa. Pracował dla okupantów, którzy mogli sprawić, by Stark zniknął w chmurze spór przypominających puch dmuchawca. Nie miał butów. Nie miał skarpetek. Nie miał broni.

- Wystarczy? - spytał. - To już wszystko?

Głowa przypominająca kulę armatnią obojętnie obróciła się w jego stronę. Ciemne oczy lśniły.

- Opróżnij kieszenie.

- Dlaczego?

Bosun wyciągnął broń.

- Bez powodu.

Finch uniósł lewą dłoń.

- Już to robię. Już to robię.

Miał w kieszeniach znacznie więcej niż podejrzewał. Kopię zdjęcia zamordowanego mężczyzny. Złożony liścik od Sintry, pierwszy, a zarazem jeden z niewielu, jakie do niego napisała. „Drogi Finchu, zrobiłam Ci kawę. Dzięki za wspaniałą noc. Twoja S.". Swoje aktualne dokumenty. Kilka niemal bezwartościowych banknotów sprzed Powstania. Dziwną monetę o ząbkowanych krawędziach, którą trzymał na szczęście. Kawałek papieru z bezsensownymi słowami i dziwnym symbolem na odwrocie.

Bosun w końcu oddał mu wszystkie przedmioty.

- Śmieci.

Na chwilę zatrzymał wzrok na kawałku papieru. Trwało to znacznie dłużej niż gdyby po prostu czytał jego zawartość.

3

Trzydzieści minut? Dłużej? Finch stracił rachubę drzwi. Stracił rachubę albo przestało go to obchodzić. Jego plecy pulsowały bólem od ciągłego schylania. Od czołgania się i wspinania. Cały czas widział przed sobą sylwetkę Bosuna. Znajdowali się teraz w sercu Kosy. Bliżej jej środka cumowały większe łodzie - niemal okręty - na których można było zapomnieć, że jest się na wodzie. Maszty wznosiły się pod niebo jak bezlistne drzewa. Labirynty pomieszczeń, przez które Bosun szedł pewnym krokiem, ani na chwilę nie gubiąc drogi.

Przeszli przez bar, w którym sprzedawano bimber w używanych butelkach. Widzieli kobiety flirtujące z tępyimi, rozczochranymi brodatymi mężczyznami w dziwnych czarnych kapeluszach. Kilku samotników o zamierzenie pospolitym wyglądem. Zza baru, z pomieszczeń w głębi, dobiegały odgłosy żywiołowego targowania się o czarnorynkowe towary. Handlowano bronią, jedzeniem, może nawet informacjami.

Gdzie jest Wyte? Jak daleko z tyłu albo z przodu? Czy jeszcze żyje, czy może wyrzucono go za burtę w ślad za pistoletami? Finch zaczął się zastanawiać, czy jego partner skończy tak samo jak Bliss i jego ludzie. Przybity do ściany? Zalany grzybową krwią?

W głowie zaczęły mu kiełkować jeszcze dziwniejsze pomysły. Że Rath, która przekazuje mu informacje w swojej piwnicy, jest tylko wytworem jego wyobraźni. Że Sintra nie prowadzi żadnego sekretnego życia poza ich spotkaniami. Że to on sam napisał słowa znajdujące się na skrawku papieru, który zabrał z dłoni martwego mężczyzny. Że bólu szyi, który odczuwa, nie spowodował *strasz*, ale noc przespana w niewygodnej pozycji. Że obudzi się i odkryje, że Sintra jest jego żoną. Że szare kapelusze nie Powstały. Że wciąż pracuje jako goniec dla Hoegbottona i Synów, a Wyte jest posłusznym terierem o kręconym futrze, którego kupił dla Sintry. Że nie istnieje Kosa. Zatoka. Wieże.

Wkrótce dotarli do głównej siedziby Starka: przez wejście pozbawione drzwi z drzazgami w miejscu zawiasów. Wyrwane? Jak dawno temu?

Bosun się wyprostował. Razem z Finchem weszli do pomieszczenia na pokładzie czegoś w rodzaju promu. Siedzenia pasażerów obdarto, pozostawiając metalowe szkielety. Na wysokim, łukowatym suficie widniało wyblakłe malowidło przedstawiające scenę z opery, bijących brawo widzów na balkonie. Poniżej wisiał żyrandol, z którego zniknęło niemal całe szkło.

Rozciągała się przed nimi długa i szeroka przestrzeń. Jak parkiet. Drewno naznaczone ciemnoczerwonymi zawijasami i smugami. Łagodny zapach mydła nie był w stanie stłumić ostrej woni krwi.

Po przeciwległej stronie: dwa krzesła, biurko i potężna postać wieszająca obraz na ścianie. Gdy się zbliżyli, Finch dostrzegł, że obraz jest reprodukcją. Ukazywał któregoś z dawnych Kalifów odbierającego hołd lenny od zbuntowanego króla Stockton. W czasach, gdy w Stockton jeszcze rządili królowie. Na pierwszym planie stały psy myśliwskie - potworne, o rozdwojonych jęzorach i odsłoniętych dziąsłach, w których tkwiły metalowe sztylety. Wizja raczej surrealistyczna niż wierna. Echo dawno utraconych czasów.

Potężny mężczyzna skinął do nich głową, cały czas przytrzymując obraz. Usiłował zawiesić go na gwoździach tkwiących w ścianie pokrytej dziurami po pociskach oraz ciemnymi rozbryzgami krwi, która zachlapała także podłogę.

W najdalszym rogu pomieszczenia Finch zauważył ciemne płachty. Mniej więcej wielkości człowieka.

- Widzę, że znalazłeś Bosuna - odezwał się mężczyzna głębokim głosem. - Albo to on znalazł ciebie. Tak czy inaczej, przyszedłeś. Nareszcie. - Obraz zaczepił się o gwoździe. Zawisł. - No.

Mężczyzna odwrócił się w ich stronę.

- Możesz mnie nazywać Stark.

Stark sprawiał, że wysoki pokój wydawał się niski. Wzrostowi towarzyszyła równie imponująca masa, za którą mogły odpowiadać mięśnie bądź tłuszcz. Albo jedno i drugie. Prawdę skrywał tarcz pochodziący z wojskowego przydziału Frankwrithe'a i Lewdena. Były do niego przypięte stare medale z imperium Kalifa: czarna iskra z nutą złota na ciemnoszarym tle płaszcza. Sokola twarz z ciemnymi źrenicami pływającymi w zbyt dużej ilości bieli. Silnie zarysowany nos i sterczący podbródek: jak dwie połówki dzioba. W lewym bucie nóż w srebrnej pochwie, która lśniła jakby co godzinę ją polerowano. Broń od razu nie spodobała się Finchowi. Przypominała mu skrzypiące posadzki w budynku numer 239 przy alei Manzikerta. Patrzysz na nóż, a tymczasem cios nadchodzi z zupełnie innej strony. Co jeszcze kryło się pod tarczem? Szabla?

Stark do niego nie podszedł. Nie wyciągnął dłoni. Po prostu stał w miejscu. Za sobą miał obraz. Teraz Finch już widział, że Stark wcale nie starał się zasłonić dziur po pociskach i plam krwi, lecz umieścił malowidło pomiędzy nimi.

- Siadaj - warknął Bosun, popychając Fincha w stronę krzesła. Stark usiadł za biurkiem. Bosun stanął obok i sięgnął po kawałek ciemnego drewna leżący na blacie. Jeden z

wielu. Zaczął rzeźbić. Wykonywał szybkie, dokładne cięcia. Tak szybkie, że trudno było nadążyć za ruchem jego dłoni.

- Gdzie jest Wyte? - spytał Finch.

Stark wydał usta, ignorując pytanie.

- Czego się spodziewaliście? Jestem ciekaw. Myśleliście, że tak po prostu wejdzicie tutaj, na moje terytorium, i zabierzecie mnie na swój główniany posterunek, żeby mnie przesłuchać? Jeśli macie taki zamiar, musicie wrócić z całą armią i przypuścić szturm.

- Co zrobiłeś w Wyte'em? - naciskał Finch.

Stark popatrzył w bok i głośno wypuścił powietrze, po czym wciągnął je ustami.

- Johnie Finchu. Dlaczego uważasz, że ludzie są aż tak głupi?

- A są? Głupi? - odparł Finch, coraz dotkliwiej zdając sobie sprawę z tego, że jest boso. Podłoga była zimna.

- Weźmy na przykład moich poprzedników - rzekł Stark. - Wiedzieli, że nadchodzę. Wiedzieli, że ich przełożeni nie są z nich zadowoleni. A jednak w żaden sposób się nie zabezpieczyli. Wciąż tutaj byli, kiedy się pojawiłem. Sądzę, że zasłużyli na to, co ich spotkało, nie uważasz?

Wzbierający gniew.

- Jeśli skrzywdziłeś mojego partnera...

Stark zbył jego obawy machnięciem dłoni.

- Daruj sobie groźby, których nie możesz spełnić. Wyte'owi nic nie jest. Niedługo się z nim spotkasz. Ale jest odrobinę zbyt... grzybowy... jak na mój gust. Zresztą twój także, z tego co słyszałem.

- Co z moją bronią?

Stark się uśmiechnął, pokazując zęby zaplamione na czerwono. Finch rozpoznał oznaki uzależnienia od substancji pobudzającej zawartej w korze pewnego drzewa, które rosło zarówno w Ambergris, jak i Stockton.

- Możesz do niej dołączyć - odparł Stark - albo możesz więcej o tym nie gadać. Nie jestem tutaj po to, żeby rozmawiać z tobą o pistoletach. - Poplamione zęby sprawiały, że Stark przypominał jednego z wściekłych psów rzucających się na swoją ofiarę na obrazie za jego plecami. Jednakże w spojrzeniu, które kierował na Fincha, nie było nic psiego. Przypominał starych żołnierzy nieregularnych oddziałów Hoegbottona. Oni także mieli szalony wzrok. Jakby płonął w nich czarny ogień.

- Odebranie mi broni może spowodować zdecydowaną reakcję moich przełożonych. - Finch nienawidził Starka za to, że ten zmusił go do chowania się za plecami szarych

kapeluszy.

Bosun rzucił na biurko wyrzeźbioną figurkę kota, po czym się cofnął. Figurka przypominała Dzikusa. Finch znów się zaniepokoił. Za nim ponownie rozległ się odgłos nożatnącego drewno.

- Wszyscy wiemy, o jakich przełożonych ci chodzi, Finch - odparł Stark, ignorując Bosuna. - O te dziwaczne istoty w szarych kapeluszach, chodzące i gadające kupy gówna. Ale powinieneś wiedzieć, że mam to gdzieś. Nie obchodziło mnie to, gdy tutaj przyjechałem, i nie będzie obchodziło, gdy się stąd wyniosę. Wcześniej obracając w ruinę możliwie największą część Ambergris. Ale mam do ciebie pytanie: dlaczego dla nich pracujesz? Tak szczerze. Dlaczego? Oczywiście nie licząc strachu. Nie licząc przeciekającego dachu nad głową i talerza grzybowej papki na stole w kuchni. Sprawia ci to przyjemność?

Finch nigdy dotąd nie musiał odpowiedzieć na to pytanie.

- Dlaczego pozostawiłeś Ethana Blissa przy życiu?

Stark pokiwał głową z uznaniem.

- Moje pytanie było lepsze, ale i tak brawo za zmianę tematu. Załatwiłem jego drużynę, bo nie lubię niespodzianek, a Bliss ma ich pełno w zanadrzu. Dlaczego go nie zabiłem? No cóż, może uznałem, że będzie stanowił kuszącą przynętę. Może chciałem sprawdzić, kto się tutaj zakradnie, jeśli pozostawię go przy życiu... i oto jesteś.

Jego uśmiech był nieco zbyt sztuczny, a odpowiedź zbyt obcesowa.

- Co ci obiecał Bliss? I gdzie mogę go znaleźć?

Stark westchnął.

- Nic nie rozumiesz, Finch. Bliss przypomina mi mechaniczną zabawkę, którą kiedyś miałem. Kiedy ją dostałem, nikt nie był w stanie stwierdzić, co to takiego i do czego służy. Jej futrzana powłoka dawno się wytarła. Po oczach zostały tylko dziury. Kiedy się ją nakręcało, zabawka mamrotała coś i maszerowała w miejscu. Któż może wiedzieć, kim dawniej był Bliss. Wątpię, by on sam to pamiętał. Gdzie jest teraz? Nie ma to dla mnie znaczenia. A tobie radzę, żebyś również przestał się tym przejmować.

Finch poczuł w piersi nagły przypływ wściekłości i dumy.

- Nie przyszedłem tutaj po to, żeby prosić cię o rady.

- Ależ wręcz przeciwnie, detektywie. Chcesz mnie przesłuchać w sprawie tego paskudnego podwójnego morderstwa, którym się zajmujesz. Chcesz, żebym powiedział ci rzeczy, które tylko ja wiem. Czyż to nie jest prośba o radę? - Czarny płomień rozświetlił jego oczy i naznaczył słowa stłumioną, ale żarliwą wściekłością.

Finch pochylił się, stawiając czoło furii Starka.

- Co wiesz o tych morderstwach?

Stark zachichotał.

- Finchy... chyba tak cię nazywa Wyte. Finchy, jestem tutaj od dwóch miesięcy. Dlaczego sądzisz, że wiem cokolwiek o tych morderstwach, poza tym, że je popełniono? Jestem tylko imigrantem, który wciąż przygotowuje się do zejścia na nowy ląd. Sam mam do ciebie wiele pytań.

Finch podjął decyzję. Powoli wyjął z kieszeni zdjęcie martwego mężczyzny. Pchnął je po blacie.

- Znasz tego człowieka? - Im więcej pytań zada Starkowi, tym mniej sam będzie miał na głowie. Przynajmniej taką miał nadzieję.

Stark udał, że dokładnie przygląda się zdjęciu, po czym machnął nim w kierunku Bosuna.

- Już je widziałem - odpowiedział olbrzym i wrócił do rzeźbienia. Stark oddał zdjęcie Finchowi.

- Nie, nie znam go. Ale wygląda dziwnie. Jakby miał bardzo zły dzień, a czekało go coś jeszcze gorszego. Jakby również miał dosyć tego pokazu osobliwości, który nazywacie miastem. Jakby właśnie postanowił to wszystko rzucić i pojechać na wakacje.

- Czyżby? - rzekł Finch, wpatrując się w obraz na ścianie. - Może powinieneś wyjechać razem z nim. - Krew. Dziury po pociskach. Czy Stark rzeczywiście coś wie? Finch próbował panować nad irytacją, ale miał już dosyć tego, że Stark obraża jego miasto.

- Nie bądź taki cwany... to do ciebie nie pasuje. Oho, mamy następną - powiedział Stark, zerkając ponad ramieniem Fincha.

Bosun skończył kolejną figurkę w rekordowym tempie. Postawił ją na biurku z niemal szczerym wyrazem twarzy. Człowiek z grzybową głową. Wyte?

- A co ze słowami „bellum omnium contra omnes”? - spytał Finch. - Dlaczego pytałeś o nie Blissa?

Zatem Bosun wiedział także o tym.

- Bosunie - odezwał się Stark - czy pytałeś Blissa o ten bełkot? Bella... bella... Finchy, pomóż mi trochę.

- „Bellum omnium contra omnes”.

- Nie - odparł Bosun. - Nie wiem, co to znaczy. Tylko przybiłem go do ściany. O nic go nie pytałem.

- Kłamiesz.

- Ja nigdy nie kłamię - odparł Bosun, uderzając Fincha dłonią w tył głowy.

Stark rozłożył ręce w trudnym do odczytania geście.

- Widzisz, detektywie? Naprawdę nie rozumiesz, z kim masz do czynienia. Ale teraz to ja mam pytanie: dlaczego nie aresztowaliście Blissa? Bosun twierdzi, że ty i Wyte wyszliście z jego mieszkania z pustymi rękoma. Ale kiedy wrócił do środka, Blissa tam nie było. Dokąd poszedł? Dobiliście z nim targu? Chociaż gdybyście to zrobili, nie pytałbyś mnie teraz, gdzie się ukrył.

A więc Bosun rzeczywiście ich śledził.

- Niby dlaczego miałbym go aresztować? Był ofiarą. Został poddany torturom, a jego ludzi zlikwidowano.

- Tortury to mocne słowo, Finch - odparł Stark. - A ja jestem gotów się założyć, że nie mówisz mi wszystkiego. Wy, Ambergrianie, jesteście sprytni z natury. Jak lisy. Jak szczury.

Finch zignorował słowa Starka. Zmienił taktykę.

- Dlaczego tutaj przyjechałeś? - spytał.

- Na wakacje.

- Jak długo zamierzasz zostać?

- Dopóki wakacje się nie skończą.

- Dlaczego zaatakowałeś Blissa?

- Dla zabawy.

- Czy wiesz coś o podwójnym morderstwie, które badamy?

- Tym z mieszkania przy alei Manzikerta? Nie.

- Czy tak bardzo podoba ci się w obozach, że mógłbyś tam mieszkać do końca życia?

Stark gwałtownie wstał; wydawało się, że stał się trzykrotnie wyższy.

- Groźby, detektywie? Daj spokój! Stać cię na coś lepszego. Nie masz innych tropów. Czujesz presję, by zakończyć śledztwo. A może nie. Może po prostu chcesz się dowiedzieć, co się dzieje, bo zżera cię niepewność, nie rozumiesz, co jest grane. Taka wielka tajemnica, tak wiele okazji do sprawienia zawodu przełożonym, a tylko jedna droga do ich usatysfakcjonowania. Ale nie jestem tutaj po to, by zgadywać, co tobą kieruje.

- A więc jeszcze raz: po co tutaj jesteś?

- Czyż to nie oczywiste? - odrzekł Stark, wskazując krew i dziury po pociskach. - Jestem tutaj po to, żeby, kurwa, posprzątać. Posprzątać, a przy okazji może zostawić po sobie jakiś ślad. To nic złego zarabiać pieniądze i jednocześnie pomagać ojczyźnie. - Stark wyciągnął z szuflady biurka teczkę, po czym rzucił ją Finchowi. Następnie pochylił się, opierając dłonie na krześle. - Ten drobiazg pomoże nam obu.

Finch podniósł teczkę.

- Co to jest?

- Zapis... rozmowy... którą kilka tygodni temu przeprowadzili dwaj agenci ze Stockton. Z szarym kapeluszem.

To poruszyło Fincha.

- Przesłuchiwaliście szarego kapelusza? - spytał z niedowierzaniem. - Czy wyście powariowali?

- Wręcz przeciwnie, Finch. Jesteśmy całkowicie normalni. Choć samo przesłuchanie z pewnością takie nie było.

Stark i Bosun zachichotali.

- Szaraki za nami nie przepadają - dodał Bosun.

- Ano nie - odrzekł Stark ze złośliwym uśmiechem. - Ale nie zamierzam znaleźć się w jednym pomieszczeniu z którymś z nich. Nie trzeba mnie tego uczyć, nie starego Starka. Bosun pewnie mógłby się z nimi zmierzyć, ale w jego podejściu nie ma niczego wyrafinowanego. Jest jak wilk rozrywający bażanta. Daję ci kopię tego zapisu, ponieważ cię polubiłem, nieważne, czy w to wierzysz, czy nie... mimo że tak naprawdę nie nazywasz się Finch, tak jak i ja nie nazywam się Stark. A lubię cię przede wszystkim dlatego że, jeśli wierzyć plotkom, zabiłeś kiedyś jednego albo dwa szare kapelusze. Sądzę, że nie zapomniałeś, jak to się robi? A więc rzuć na to okiem. Przetraw to. Czy ten zapis pomoże ci w śledztwie? Nie powiem ci, co masz myśleć, ale wiem, że wyświadczam ci przysługę. Przybliżyłem cię do prawdy. Być może nawet uda ci się ująć z życiem, jeśli dobrze wykonasz swoją pracę. To powinno przysłużyć się nam obu.

- Dlaczego nie miałbym oddać cię w ręce szarych kapeluszy? - spytał Finch przez zaciśnięte zęby.

Kolejna figurka. Kobieta. W półleżącej pozycji. Prymitywnie wyrzeźbiona, tak by podkreślić kształt piersi. Finch nie chciał wiedzieć, kogo przedstawia.

- Mógłbyś. Ale czy będę tutaj, gdy przyjdą? Może nie. Może będę w twoim mieszkaniu? Z bronią? A może w domu Sintry? Nie wiesz, gdzie ona mieszka, prawda? Ale może ja wiem. Może właśnie tam będę. Myślę, że jest warta zachodu. Może nawet jej się to spodoba.

Finch zaczął się podnosić. W jakim celu? Bosun od razu pchnął go z powrotem na krzesło i mocno dźgnął w żebra lufą pistoletu. Dojmujący ból. Finch stłumił jęk.

- Niemądrze - rzekł Bosun.

Stark nawet nie drgnął.

- Po prostu chcę ci dać do myślenia, Finch, nic więcej.

- Gdzie jest Wyte? - spytał Finch. Gdyby nie zadał tego pytania, zacząłby wrzeszczeć na Starka.

Z twarzy Starka zniknął uśmiech. Przesunął dłońmi pod oczami, jakby chciał usunąć pajęczyny.

- Co za nudne pytanie. Mam lepsze. Czy kiedykolwiek zastanawiałeś się, dlaczego pozwolili nam zostać? Na tej przeklętej „Kosie”? Dlaczego nie zrobili nalotu i nas nie wybili? Nie masz pojęcia? Naprawdę? No cóż, i tak ci powiem. Ponieważ posyłają za nami szpiegów, Finch. Małych brudnych drani. Większość z nich jest zbyt mała, by ich dostrzec gołym okiem. Ale na szczęście nie na tyle mała, by się ukryć przed okiem mikroskopu. Szpiegują wszystkich. Nawet ciebie, gdy starasz się wykonywać swoją pracę. Co ty na to, Finch? Jak się z tym czujesz?

- Odpieprz się - wykrztusił Finch, usiłując zatamować potok słów. Ale Stark jeszcze nie skończył.

- Właśnie dlatego wcale nie mam ochoty wracać do Stockton, gdy będzie po wszystkim, chociaż to miasto to straszne zadupie. Proces odkażania to prawdziwe piekło. Trwa tygodniami. U niektórych nawet miesiącami. A więc, odpowiadając na twoje pytanie: wkrótce odzyskasz Wyte'a. Nie będzie wiedział, gdzie był ani co widział. Ale nic mu się nie stanie. Nie licząc kilku zdrapanych kawałków skóry. Na wszelki wypadek.

Bosun postawił na stole wyrzeźbioną łódkę.

- Zabierzemy także waszą łódź.

- Nie, nie, Bosunie - rzekł Stark z irytacją. Zepchnął figurkę z blatu. - To byłoby wredne. Niemal okrutne. W jaki sposób wróciliby na posterunek? Wyobrażasz sobie, jakie by mieli pocięte stopy? Jakie czuliby obrzydzenie, stając na czymś miękkim i nie wiedząc, czy to skórka od banana, czy może coś żywego i śmiercionośnego. Mogliby nie przeżyć powrotu łądem, wyruszywszy w drogę bez broni ani butów. Bez niczego.

- Dzięki - odparł Finch. Starał się, by podziękowanie zabrzmiało niczym echo „odpieprz się”. Nagle przyszło mu do głowy, że będzie musiał zabić Starka, by się od niego uwolnić.

- Czas się pożegnać - rzekł Stark z szerokim życzliwym uśmiechem. - Tylko pamiętaj, że będziemy cię mieli na oku. No i od czasu do czasu sprawdzimy, jak ci idzie. Przekazałem ci kilka informacji. Teraz masz wobec mnie dług.

- Jak się z tobą skontaktuję? - spytał Finch, niemal wbrew własnej woli, przygryzając wewnątrz policzka.

- Och, nie będziesz się ze mną kontaktował, detektywie. Jestem na Kosie tylko po to,

by dokończyć porządki. Nie zostanę długo. To byłoby samobójstwo. Sam się do ciebie odezwę. Ja albo Bosun. - Wskazał głową stertę ciał pod plandekami. - Obawiam się, że biednego Daviesa nie udało się dobrze posprzątać. Możesz to przekazać Wyte'owi, choć jestem pewien, że się domyśla.

Gdy Bosun wyprowadzał Fincha z pomieszczenia, Stark odezwał się ponownie, dziwnym tonem, jakby dzielił się smutną refleksją:

- Budowa wież wkrótce się zakończy, Finch. Czy kiedykolwiek zastanawiałeś się, co to będzie oznaczało dla tego żalosnego miasta?

4

Wracali w ciszy łodzią przez zatokę. Finch leżał na pokładzie. Gównno go obchodziło, że ten na niego dyszy. Wbijał wzrok w niebo. Szare wstęgi chmur, deszcz, który zmienił się w mgiełkę. Lekki chłód, coś nieoczekiwanego o tej porze roku. Wyte stał nad Finchem. Gotował się ze złości. Był wściekły. Oburzony tym, jak łatwo go pochwycili. Z tej skróconej perspektywy sińce na jego twarzy i rękach wydawały się długie i wąskie.

Finch czuł, jak łódź gładko sunie po gęstej wodzie. Jak pokład lekko ugina się pod jego ciężarem. Jakby leżał na innym ciecie.

Bez broni. Bez butów. Pozostała mu tylko zawartość kieszeni, ponieważ Bosun jej nie chciał.

Stark: „Jestem tutaj po to, żeby, kurwa, posprzątać”.

Heretyk: „*Strasz* nie jest dla ciebie taki zły jak inne rzeczy, które mogłem ze sobą zabrać”.

Bliss: „Wyglądasz znajomo, detektywie. Powinienem wiedzieć, kim jesteś?”.

Oraz martwy mężczyzna, który śmiał się z nich wszystkich.

Obok głowy Fincha stopy Wyte'a. W czarnych butach ubrudzonych grzybami przypominającymi algi. Malutka społeczność. Miniatura miasta. Finch wyobraził sobie, że widzi tam jakieś istoty. Istoty, które prowadzą nieświadome życie w stanie naiwnego szczęścia. Ostra woń, jakby benzyny pomieszanej z pieprzem. Ich słowna potyczka na śliskim czarnym zboczu.

Ponownie zwrócił wzrok na niebo. Zignorował trzy karmazynowe kosmyki wysuwające się spod płaszcza Wyte'a. Zmęczenie, które odczuwał, nie było spowodowane konfrontacją ze Starkiem, lecz ciągłym poczuciem zagrożenia.

- Wyte. Tak dla jasności... chyba nie zamierzasz się dogadać ze Starkiem? Żeby znaleźć zastępstwo za Daviesa i swoje inne kontakty w Stockton?

- Nie. - Odpowiedź Wyte'a nie zabrzmiała przekonująco.

- Pieprzysz, Wyte. - Finch był rozdrażniony, ponieważ dawniej to Wyte prawił mu kazania o naiwności. Uczulał go, by nie ufał kapitanom statków, gdy zawartość luków nie zgadzała się z fakturą. Zawsze przestrzegał go przed oszustami.

- Nie mam zamiaru się z nim dogadywać!

- Więc o czym rozmawiali z tobą ludzie Starka? - nie ustępował Finch. - A może raczej, kim oni są?

- Nikim! - zaprotestował Wyte. - Nie rozmawiali ze mną. Miałem zakrytą głowę. Nawet ich nie widziałem. Poza tym, skąd mam wiedzieć, czy ty sam nie postanowiłeś wymienić się informacjami ze Starkiem?

- Bo tego nie zrobiłem, Wyte. A wiesz dlaczego? Ponieważ on nie przypomina twoich dawnych kontaktów w Stockton. Z kimś takim jak Stark nie da się ubić interesu. On z uśmiechem na ustach sprzeda ci nóż, po czym podeźrze ci nim gardło, jeszcze zanim zdążysz mu zapłacić.

- Wiem o tym. Pilnuj własnego podwórka.

- Niech będzie.

Cisza, która ciągnęła się aż do nieba. Finch tak naprawdę nie był zły na Wyte'a. Wściekał się na Starka, gdyż ten uczynił go bezsilnym. Upokorzył go.

Po lewej stronie kątem oka dostrzegł jakieś zielone łodygi. Odwrócił głowę. To była dolna część wież. Przekrój rusztowań i wsporników. Wydawało się, że konstrukcja żyje. Składała się z pnączy owijających ściana, które spletały się i rozplatały konwulsyjnie. Finchowi wydawało się, że wewnątrz zobaczył martwego lisa. A potem twarz.

Po chwili minęli wieże i znów otoczyła ich szarość.

* * *

Każdy ma jakąś teorię dotyczącą dwóch wież. Finch poznał je wszystkie, przeważnie podczas rozmów w bezimiennym azylu detektywów. Kiedy już wybrali odpowiednie miejsce, usunęli dzwon z dzwonnicy, by zyskać więcej przestrzeni. Kosztowało ich to niemało wysiłku. Musieli znieść go na dół, a potem wypchnąć przez jedyne okno w taki sposób, by nie zniszczyć budynku. Dzwon powoli zatonął. Bardzo ich to rozbawiło. „Powinien pójść na dno jak kamień” - powiedział Blakely. „To pewnie serce. Może w środku było uwięzione powietrze” - stwierdził Wyte. Na to Finch: „Bzdury. Po prostu postanowił, że łatwo się nie podda”. Wciąż widział go w wodzie. Ciemnej i pofalowanej. Kształt przypominający kulistą głowę jakiejś potwornej ryby.

Rozmowa o jednej wieży doprowadziła do rozmowy o dwóch innych.

Skinner: „Słyszałem, że budują je na ruinach dawnej biblioteki szarych kapeluszy. W jakimś rytualnym celu”.

Wyte: „Słyszałem, że to źródło prądu. Kiedy będzie gotowe, całe miasto znów rozbłyśnie. Oni są bardzo praktyczni”.

Gustat prychnął z pogardą. „Pewnie, że rozbłyśnie, bo to broń. Niby dlaczego stoi w zatoce? Stamtąd mają widok na całe miasto. Wieże będą strzelały jakąś energią. To kolejny sposób, by nas kontrolować. Zaczną od zniszczenia Kosy”.

Blakely: „Pieprzysz głupoty. To potężny posąg ich boga. Albo pomnik. To dopiero jego nogi”.

„Wyspa” wokół ich schronienia składa się z unoszących się na wodzie zbitych odpadków. Sami pomagali je gromadzić. Śmieci zapewniają im kamuflaż. Stabilność. Pewnego dnia to wszystko zgnije. Będą musieli przenieść się w inne miejsce. Ale może do tego czasu miasto znów znajdzie się w ich rękach i będą mogli spotykać się w dowolnej knajpcie. Już nie będą jak więźniowie skuci łańcuchem albo jak drużyna galerników.

Być może pewnego dnia zbudują most. Na razie jednak stworzyli przystań i za pomocą łodzi zwożą niesamowite ilości alkoholu, który zabierają ze wszystkich miejsc zbrodni i przemocy domowej. Alkoholowa historia Ambergris, od Bombowego Todda po Randy’ego Roberta. Zapach potu i piwa. Lepszy niż na posterunku. Nie mają prądu, ale schowali skrzynkę z lodem w wodzie pod gnijącymi deskami podłogowymi w głębi głównego pomieszczenia. Zapewnia wystarczające chłodzenie. W miarę możliwości przywożą jedzenie. Ponadto gromadzą racje żywnościowe szarych kapeluszy. Co prawda smakują jak gówno, ale takie jedzenie - jeśli można użyć tego określenia - nigdy się nie psuje.

Gustat: „Jakiego boga? Oni nie czczą żadnego bóstwa. Są na to zbyt praktyczni, tak jak mówi Wyte”.

Albin: „Zbyt praktyczni? Pod jakim względem? Po prostu przygotowują się do kolejnej Ciszy. Miejmy nadzieję, że buntownicy ich uprzedzą”.

Dapple, niepewnie: „Nieprawda. Mogliby nas wszystkich zabić już teraz, gdyby chcieli. Nie potrzebują więcej pomocy”.

Albin: „Jest ich za mało”.

Znów Blakely: „Niektórzy ludzie uważają, że to rodzaj bramy. Twierdzą, że późno w nocy widać, jak coś przez nią przechodzi. Widać obce gwiazdy”.

Detektywi nigdy nie rozmawiają o pracy. Ale o plotkach? Plotki są jak wieści z jakiejś dalekiej, ciekawszej krainy. Zwłaszcza plotki dotyczące wież.

Kiedyś Finch wyraził następującą opinię. „Przede wszystkim oni mają ograniczenia. Sami widzieliście. Nie udało im się zapanować nad skutkami powstania SHF. Potrzebują pomocy przy budowie wież. Kiedy przyśpieszają z pracami, wznoszą mniej innych budynków. Wysiada prąd. Albo milknie ich stacja radiowa. Mają ograniczenia”.

Obojętne spojrzenia. Nie rozumieją. Łatwiej myśleć o szarych kapeluszach jak o

niepowstrzymanej sile. Takiej jak pogoda. Sile, której nie można się przeciwstawić. Ponieważ, jeśli szare kapelusze zechcą, mogą sprawić, że znikną twoi przyjaciele i rodzina. Do tego nie trzeba nieograniczonych środków.

Wyte i Finch już nie mają wstępu do kryjówki, odkąd wyszło na jaw, że Wyte nigdy nie pozbedzie się swojej przypadłości. Odkąd Finch postanowił, że mimo wszystko go nie opuści.

5

Gdy Finch i Wyte wrócili na posterunek, ujrzeni końcówkę bójki. Blakely i Dapple okładali się w upiornym blasku lamp, pod malutkimi oknami, nie dbając o to, czy szare kapelusze na nich patrzą.

Blakely był do nich zwrócony twarzą. Stał na plamistym zielonym dywanie obok biurka. Krwawił z nosa. Dapple był odwrócony plecami. Kępki włosów sterczały na jego głowie jakby był wystraszony. Trzymał uniesione pięści. Albin przyglądał się wszystkiemu zza swojego biurka. Na jego twarzy malowało się osobliwe połączenie zainteresowania i znudzenia.

Kiedy to jeszcze miało jakieś znaczenie, Dapple stał po stronie Hoegbottona, Blakely zaś wspierał Frankwrithe'a i Lewdena. Teraz obaj wpatrywali się w siebie nawzajem ponad polem bitwy zbudowanym na zdradzie innych ludzi.

Pozostali policjanci zgromadzili się wokół nich.

- Nie zrobię tego - powiedział Dapple.

- Robiłeś to już wiele razy. Zaglądałeś za zasłonę - odparł Blakely z okrutną pewnością siebie. - Co się zmieniło?

- Wtedy byłem do tego zmuszany. Żaden z was mi nie pomógł.

Finch podejrzewał, że bójka wcale nie zaczęła się z tego powodu. Zapewne obaj już nie pamiętali, o co tak naprawdę poszło. Blakely słynął z podpuszczania kolegów. Namawiał ich, by zagląдали za tę przeklętą zasłonę. Wchodzili do nawiedzonego domu. Spacerowali nocą po cmentarzu.

Po spotkaniu ze Starkiem i Bosunem teraz Finchowi wydawało się, że patrzy na Blakely'ego i Dapple'a z góry. Jakby byli dziećmi albo karłami. Usłyszał, jak Wyte mruczy za jego plecami: „Głupie kutasy”.

Blakely zobaczył ich pierwszy. Opuścił dłonie. Napięcie ustąpiło miejsca zdziwieniu.

- Co się stało z twoimi butami, Finch? - spytał z pogardą.

Dapple również się obejrzał. Miał zaczerwienione oczy.

- Nic tak ekscytującego jak to, co się działo tutaj - odparł Finch, przepychając się między policjantami. Za nim podążał z zaciśniętymi ustami Wyte. - Nie wiem, do jakiej sztuki robicie próby, ale nie zapłacę za bilet - rzucił Finch przez ramię.

To wywołało śmiech, chociaż nie u Blakely'ego i Dapple'a. Finch wybronił się przed koniecznością opowiadania o butach.

Kiedy usiedli, a Finch rzucił na swoje biurko teczkę otrzymaną od Starka, pozostali zmierzylili ich wzrokiem, jakby chcieli powiedzieć: „później będziemy do was mieli kilka pytań”. Na razie konflikt pomiędzy Blakelym a Dapple'em wydawał im się ciekawszy. Skinner już próbował ponownie ich skłócić, pytając Dapple'a: „Pozwolisz, żeby tak cię traktował?”.

Na rupieciach pokrywających biurko Fincha leżała karteczka z informacją, by zadzwonił do Rathven. Poczul ukłucie podekscytowania. Podniósł słuchawkę. Wybrał numer. Czekał. Burczało mu w brzuchu. Ale nie zniósłby kolejnych racji żywnościowych szarych kapeluszy. Zje dopiero w domu. Głód pomagał mu się skupić. Wyostrzał umysł. Na jakiś czas.

Telefon wciąż dzwonił.

Wyte zaczął przeszukiwać szuflady.

- Mam gdzieś tutaj zapasową parę butów. Są za duże, ale...

Telefon wciąż dzwonił. Spróbuje później.

- Jeśli je znajdziesz, chętnie skorzystam - odparł Finch.

Nie chciał stawiać ani jednego kroku więcej na bosaka. Łatwo zarazić się czymś paskudnym. Nagle przypomniał sobie, jak pewnego razu ojciec przykleknął, by zawiązać mu sznurówki. Finch miał wtedy osiem lat? Dziewięć? „Nikogo nie obchodzi błoto między twoimi palcami, gdy pływasz w rzece. Ale jeśli postawisz stopę na ulicy, nie dadzą ci spokoju”. W tle odgłosy kłótni jego dziadków; nie pamiętał o co im poszło. Szczeciniasta twarz ojca w odległości zaledwie kilku cali, usta przemienione za sprawą uśmiechu. „Chodź, przejdziemy się”. Finch nigdy nie wiedział, kiedy to oznaczało, że ojciec musi się z kimś spotkać, a kiedy rzeczywiście miał ochotę na spacer.

Wybrał kolejny numer. Dostał go od Sintry. Żaden z automatów, które mijali w drodze powrotnej, nie działał. Finch czuł bezradną potrzebę powiedzenia Sintrze, że coś może jej grozić. Że „człowiek nazwiskiem Stark” może ją śledzić.

Poczul dziwną ulgę, gdy nikt nie odebrał. Bo niby jak miałby jej to przekazać? Nie mówiąc przy tym zbyt wiele?

Wystarczy, że posłuchasz Starka, a on jej nie tknie.

Skąd Stark dowiedział się o Sintrze? Czyżby Bosun obserwował hotel? A potem śledził ją w drodze do domu? Finchowi przyszła do głowy niegodna myśl: może ty też powinienesz być tak zrobić.

Perwersyjne ukłucie zazdrości.

Triumfalny okrzyk Wyte'a, który wydobył z biurka stare zdarte buty.

- W środku nadal są skarpetki!

Rzucił mu je pod nogi. Wszędzie zostawił odciski palców. Czerwone i czarne plamy. Finch, krzywiąc się, włożył skarpetki, a następnie buty. Były za duże, ale musiały mu wystarczyć.

- Dzięki.

- Nie ma sprawy. - Po czym szeptem: - Teraz musimy tylko zdobyć nową broń. Może jest jakaś w szafce z ekwipunkiem, ale Skinner ma kluczyk na swoim biurku.

„Broń też zgubiłeś?”. Nigdy nie zmazałby tej winy.

Finch pokręcił głową.

- Nie. Tym razem zdobędę prawdziwą spluwę. Coś pewniejszego. Mam dosyć ciekających pistoletów.

Wyte uniósł brew.

- Jesteś pewien, że to dobry pomysł?

- Jeśli wpakuję kulkę w Starka, chcę to zrobić skutecznie.

- Jeśli chcesz wpakować kulkę w Starka, to lepiej, żebyś miał dobry powód. No i wcześniej pozbył się jego ludzi - odrzekł Wyte.

Finch nie wiedział, co odpowiedzieć. Rozejrzał się. Blakely stał przy ekspresie do kawy. Śmiał się z czegoś, co powiedział Gustat. Dapple chował się za swoim biurkiem, udając, że pracuje. Dygotał. Niech szare kapelusze same dojdą, co się stało, na podstawie zapisu ze swoich kamer. Skinner i Albin chwilowo gdzieś zniknęli. To dobrze. Na Fincha nie patrzył nikt poza Wyte'em.

Wziął teczkę. Otworzył ją. Zobaczył logo miasta Stockton. Górę strony opieczętowano czerwonym napisem „Ściśle tajne”. W środku znalazł liścik od Starka napisany odręcznym pajęczym pismem. „To mój prezent dla ciebie, Finch. Daj mi znać, kiedy zakończysz śledztwo. Jeśli ono wcześniej nie wykończy ciebie”. Drań.

- Co to jest? - spytał Wyte.

- Nie wiem. - Rzeczywiście nie wiedział. Nie do końca.

Zabrał się za lekturę, zawahał się, po czym zaczął wręczać przeczytane kartki Wyte'owi. Chciał powiedzieć: „Nie mów o tym nikomu”, ale zamiast tego rzekł:

- Pamiętaj, Wyte, prosiłeś, żebym nie starał się ciebie chronić...

A jeśli dogadałeś się ze Starkiem, to i tak przekażesz mu informacje, które już zna...

Raport 2A-ATC-001

Inicjatorzy: utajnione, śledztwo w toku.

Miejsce przesłuchania: ulica Lake'a 22.

Transkrypcja: utajnione.

Szczegóły:

- 14,3 minut ze zniszczonej godzinnej taśmy.
- Przerwy w nagraniu - nieustalonej długości - oznaczono symbolem „---”.
- Słowa lub zwroty ujęte w nawias oznaczają słabą jakość dźwięku, a co za tym idzie

wątpliwości co do ich rzeczywistego brzmienia.

- Na taśmie pojawiają się trzy głosy oznaczone jako Agent 1, Agent 2 oraz Obiekt.

- - -

Agent 1: Włączone?

Agent 2: Kurwa, no pewnie, że włączone. Może powiedzieć coś, co warto zapamiętać.

Agent 1: No to zapamiętasz. Nie musisz zaraz nagrywać...

Agent 2: Nie. Chcę mieć wszystko na taśmie. Żebyśmy nie [zapomnieli]...

Agent 1: To polecenie Starka?

Agent 2: Co to jest, do cholery?

(Odgłosy walki, potem dyszenie. Taśma wyłączona, następnie ponownie uruchomiona).

Agent 2: Zabierz ode mnie... to coś.

Agent 1: Niech to szlag, twarde z nich dranie. Nawet ja czasem o tym zapominam.

Dobra, nagrywaj. W końcu to bez znaczenia, nie?

Agent 2: Chcesz mu zadać pytania?

Obiekt: Nie będę [odpowiadał] na żadne pytania.

Agent 1 albo Agent 2: Zamknij się.

(Głośny odgłos uderzenia otwartą dłonią. Odgłos przewracającego się krzesła?).

Agent 2: Ostrożnie. Ostrożnie. Jeszcze nie zaczęło mówić.

Obiekt: Wasza śmierć będzie długa i bolesna... wnętrzości wybuchną, wargi i policzki popękają. Mózgiem pożywią się ptaki.

Agent 1: Wesoły skurwiel, nie ma co. Wszystkie takie są?

- - -

Obiekt: Nie znam odpowiedzi na wasze pytania. Wasze pytanie brzmi jak [pytanie].

Nie brzmi jak odpowiedź. Czy macie odpowiedź?

Agent 1: Co robiłeś, kiedy cię złapaliśmy? Proste pytanie.

Agent 2: Och, zrób to jak trzeba. Oficjalnie: Obiekt został pochwycony i przetransportowany w to miejsce po tym, jak wyłonił się z dziwnych drzwi. Zza jakiegoś tajemnego panelu, który się za nim zamknął.

Agent 1: Ty głupi jebany grzybie. Odpowiedz na pytanie. Odpowiedz, a ocalisz życie.

Agent 2: Obiekt narysował na stole jakiś symbol, używając czegoś w rodzaju złotego proszku. Półokrąg, potem okrąg, potem linia przecięta kolejną linią. Na końcu jeszcze dwa półokręgi. Później go przerysuję.

Agent 1: Znowu jakieś pierdoły. Wlej w to coś jeszcze trochę wody. Tylko to skutkuje.

(Odgłos przypominający nalewanie wody z dzbanka. Chłapanie. Sapanie. Trzask. Pisk. Długa cisza, ale taśma nadal się kręci).

Agent 1: Słyszysz [mnie]? Wiem, że mnie słyszysz.

Obiekt: Słyszę [cię]. Wszyscy umrzecie. Sam zobaczę, jak pływacie w kanale. Skolonizowani. Nie jesteście...

- - -

Agent 1: No to jeszcze trochę wody.

Agent 2: Umrze.

Agent 1: Mam to gdzieś.

Agent 2: Nie uważasz, że Stark powinien...

Agent 1: Pieprzyć Starka. Jak długo tu jest? Trzy sekundy?

Agent 2: Według papierów [nazwisko usunięte] zezwolił na dalsze torturowanie wodą.

Agent 1: Więc się, kurwa, zamknij i mi pomóż.

(Bulgotanie i odgłosy szamotaniny. Parskanie. Cisza).

Agent 1: Jeszcze raz: skąd się wzięły tamte drzwi?

- - -

Obiekt: ... tam, gdzie was nigdy nie było. Ale nie uda się wam ich odczytać. Dopiero kiedy skończymy wieże.

Agent 1: Co się znajduje za drzwiami?

Obiekt: Nic dla was. Za późno.

Agent 2: Zaczynam tracić cierpliwość. Może to ci pomoże. Przypomnij sobie.

(Długi wrzask. Nieludzki).

Obiekt: Nie rób tego więcej. Nie rób tego więcej. Nie rób tego więcej. Nie...

- - -

Agent 2: On nie [wie], o czym mówi. Powiniennem go zabić.

Agent 1: Jeszcze nie. Jeszcze nie. Opowiedz mi, grzybek, o tym złocie. Skąd ono się wzięło?

(Od tego miejsca słowa Obiektu są zniekształcone, jakby miał uszkodzone usta. Dokładność zapisu stoi pod znakiem zapytania).

Obiekt: Nie został ani jeden [listek]. Jaka [niewyraźne] przyjęłaby mnie w takim stanie?

Agent 2: Co z tym złotem?

Obiekt: Tak, tam jest dużo złota. W innych miejscach też. Złoto jest wszędzie. Złoto i zieleń. Światło, woda...

Agent 1: Masz na myśli drzwi? Czy prawdziwe złoto?

Agent 2: Może zaczniemy od jego nóg? Kurestwo [śmierdzi] jak gówno. Chyba gnije.

Agent 1: W innych miejscach? O jakich miejscach mówisz?

Obiekt: Pewnego dnia przeniesiemy się w inne miejsca, ale wy nadal będziecie tylko tutaj.

Agent 2: Daj spokój. On ma zwidy.

Agent 1: Zaczekaj. Grzybek... powiedz mi coś jeszcze, a może cię wypuścimy. Pod ziemię, gdzie jest bezpiecznie. Chciałbyś tego?

Obiekt: Nigdzie nie jest bezpiecznie. Nie dla was.

- - -

Obiekt: Już nie. Już nie. Może jeśli [dowiecie] się, co to znaczy. Może wtedy nie [niezrozumiałe słowo w mowie szarych kapeluszy].

Agent 2: Wypuścimy cię, jeśli nam powiesz... co to za broń, którą dysponują buntownicy?

Obiekt: [Ciąg słów w mowie szarych kapeluszy].

Agent 1: A ten adres? Kaplica przy alei Stromej numer 1829. Kryjówka buntowników. Coś ci to mówi? Czy to ma jakiś związek z tą bronią. Nasze źródła twierdzą, że tak.

Obiekt: Uśpijcie mnie. Spalcie. Zabierzcie mnie tam, skąd przyszedłem.

Agent 2: On nic nie wie. Przynajmniej tego możemy być pewni.

Agent 1: Zaczynaj od jego nóg.

(Długotrwałe wrzaski).

- - -

Agent 1 (dyszając): Zrobione. Już po wszystkim.

Agent 2: Dokąd się wybierasz?

Agent 1: On już nic więcej nie powie. Jeśli jeszcze żyje... w co wątpię... zabij go i wrzuć do kanału. Nie, czekaj, potnij go na kawałki. Schowaj gdzieś, gdzie długo go nie znajdą.

Agent 2: A co ty będziesz wtedy, kurwa, robił? To mi zajmie od cholery czasu.

Agent 1: Mam pewne plany i nie należy do nich siedzenie tutaj. Wyciągnęliśmy z niego wszystko, co się dało.

Agent 2: Masz tutaj zostać. Tak polecił Stark. Mówię ci...

(Odgłos przewracającego się ciężkiego przedmiotu).

Agent 2: ...Żyje! Uwolnił jedną rękę.

Agent 1: Cholera. Zapal drugie światło. Szybko.

(Walenie w drzwi. Wzywanie trzeciego agenta).

Agent 2: Otwieraj, kurwa! To nie jest śmieszne. Nie widzę go. Był tutaj jeszcze przed chwilą. Jest w kominku? Szlag, przynajmniej rzuć nam broń. I otwórz te jebane drzwi. Kurwa, nic nie widzę.

Obiekt: Ale ja widzę.

(Trzy minuty wrzasków, potem nagranie się urywa).

6

Po przeczytaniu ostatniej strony Finch przez chwilę wpatrywał się w swoje biurko. Czuł, że wzbiera w nim pierwotne przerażenie, chociaż starał się je stłumić. Przy okazji przyszło mu do głowy pytanie: co Stark chce mi przekazać? Co zyska dzięki temu, że otrzymałem wgląd w ten dokument?

Wyte skończył czytać. Oddał kartki jakby były nasączone trucizną.

- Naprawdę uważali, że im się upiecze? - odezwał się słabym głosem. - Zabicie...

- Nie mów tego. - Finch wstał. - Chodźmy się przejść.

Zabrał teczkę. Wyte podążył za nim. Po szmaragdowym dywanie, obok rozsypujących się marmurowych stołów, za którymi dawniej siedziały recepcjonistki. Przez potężne, podziurawione przez korniki podwójne drzwi, niegdyś zdobione złotymi listkami, które już dawno zerwano i sprzedano. Podobnie jak inkrustowane żelazne poręcze.

Wyszli na światło dnia. Na Bulwar Albumuth. Ponad nimi sterczał ostry palec z czerwonych cegieł. Jedyne ślad po tym, że budynek miał kiedyś pięć pięter, a nie dwa. Przed nimi dwie nierówne kamienne barykady, mające zniechęcić zamachowców samobójców, pokryte fioletowo-zielonymi porostowymi czujnikami. Dalej brudna ulica. Tylko kilku przechodniów w maskach gazowych o olbrzymich czarnych owadziach oczach. Ubrani w trencze. Rękawice. Przygarbieni. Patrzący w inną stronę.

Finch przyciągnął Wyte'a do wyblakłej ceglanej ściany. Nie wiedział, czy tutaj jest bezpieczniej, ale tak mu się wydawało. Pamiętał, jak Wyte sprowadzał go w to miejsce, by cierpliwie tłumaczyć mu, co spieprzył, gdy jeszcze pracował jako goniec.

- Może powiesz mi, co o tym wszystkim myślisz.

Wyte przez chwilę patrzył na niego, jakby chciał spytać: „Naprawdę chcesz poznać moją opinię?”.

- Dwaj agenci ze Stockton porwali szarego kapelusza, który wyłonił się z tajemnych drzwi - rzekł powoli. - Może drzwi prowadzących pod ziemię? Jeden z agentów pracował dla ludzi ze Stockton, zanim pojawił się Stark. Drugi zapewne przyjechał razem z nim. Na zewnątrz stał jeszcze trzeci agent, który pilnował bezpieczeństwa, gdy tamci dwaj przesłuchiwali szarego kapelusza.

- Torturowali go wodą - wtrącił się Finch. - Weź to pod uwagę. Nie wpadłbym na taki

sposób. - Przypomniął sobie swoje spotkania z grzybianami podczas wojny.

- A więc przesłuchują szarego kapelusza. Dostyc brutalnie. Pytają go o drzwi, a szary kapelusz sugeruje jakiś związek pomiędzy drzwiami a wieżą.

Agent 2: Oficjalnie: Obiekt został pochwycony i przetransportowany w to miejsce po tym jak wyłonił się z dziwnych drzwi. Zza jakiegoś tajemnego panelu, który się za nim zamknął.

- Istnieje kolejny związek, Wyte. Jeśli pojawiasz się w dziwnych drzwiach, które potem znikają, to może potrafisz także zniknąć w drzwiach, które się pojawiają.

- Bliss?

Bliss albo Dar Sardice. Finch był coraz bardziej podekscytowany. Rozkoszował się myślą, że rozwiąże tę zagadkę.

- Pamiętaj, że Bliss dokładnie wiedział, które grzyby zastosować na swoje rany.

- To prawda - odparł Wyte, ale zmarszczył brwi, jakby nie w pełni się zgadzał. - Potem rozmawiają o złocie, ale nie o prawdziwym. Wygląda na to, że szary kapelusz trochę się z nimi drażni. Następnie sprawdzają informacje, które każą im podejrzewać, że szare kapelusze wiedzą o jakiejś broni buntowników.

Agent 1: Masz na myśli drzwi? Czy prawdziwe złoto?

Agent 2: Wypuścimy cię, jeśli nam powiesz... co to za broń, którą dysponują buntownicy?

- Pojawia się też odwołanie do dwóch wież. - Finch przeszukał kartki i znalazł odpowiedni fragment. - Tutaj: „...tam, gdzie was nigdy nie było. Ale nie uda się wam ich odczytać. Dopiero kiedy skończymy wieże”. Potem jeden z agentów ponownie pyta o drzwi. Co to oznacza?

Wyte pokręcił głową.

- Nie wiem.

Stali nieruchomo. Patrzyli na siebie nawzajem. Jakby mogli przywołać odpowiedź siłą woli.

Co wie Stark? Może nic nie wie. Może stara się zwabić do siebie informacje, tak jak zwabił dwóch detektywów, gdy zadarł z Blissem.

- Broń buntowników. Dziwne drzwi. Złoto, które nie jest złotem. Dwie wieże. - Finch się roześmiał. - Kurwa, nie mam pojęcia, co to znaczy. - Rzeczywiście nie wiedział, chociaż odpowiedzi krążyły na obrzeżach jego myśli.

- Ale może odkryliśmy, w jaki sposób uciekł Bliss - odparł Wyte. Używając magii. Używając zapadni. Może sam zmienił się w drzwi.

Finch postanowił, że pomyśli o tym później.

- Heretyk będzie czekał na kolejny raport. Dziś wieczorem. - Obiecał, że niczego nie przemilczy. Nie miał odwagi tego zrobić. - Przynajmniej zdobyliśmy dwa adresy. - Finch zastanawiał się, czy Wyte również czuje ulgę, że wreszcie wpadli na właściwy trop.

- Chcesz, żebym je sprawdził?

- Tylko jeden.

- Który?

- Ten, gdzie torturowali szarego kapelusza.

Gdzie dwaj agenci zginęli, ponieważ nie doprowadzili sprawy do końca. Odszukał adres w zapisie i wskazał go palcem.

- Aleja Lake'a numer 22. Ale, na litość Truffa, nie idź tam osobiście. Skorzystaj z pomocy jednego ze swoich szpicli, a sam obserwuj budynek z zewnątrz. Jeśli szare kapelusze prowadzą tam inwigilację, lepiej nie wpaść im w ręce.

- A co z drugim adresem?

- Jeżeli to prawdziwy trop, a nie coś, co Stark umieścił w zapisie, żeby z nami pogrywać, to sprawa jest zbyt niebezpieczna - odrzekł Wyte, ścisząc głos, bo drugą stroną ulicy szedł Stronnik. - Kryjówka buntowników? Nie wiadomo, czy szary kapelusz w ogóle wiedział, o co go pytali. To zadanie dla Stronników. Napiszę o tym w raporcie, który złożę Heretykowi. Ale nie mogę wspomnieć o torturowanym szarym kapeluszu ani zdradzić, skąd mamy te informacje. Co oznacza, że będziemy musieli sami sprawdzić adres, pod którym prowadzono przesłuchanie.

- Na co mam zwrócić uwagę?

- Nie wiem.

Wydawało się, że Wyte'a to nie martwi.

- Nie powinno mi to zająć więcej niż godzinę albo dwie. Może trochę dłużej, jeśli po drodze zajrzę do kilku moich szpicli. - Jego rysy stężały, stały się wyraźniejsze. Jakby Finch napelniał go determinacją, która przewyciężała zniechęcenie Wyte'a. Chwilowo.

Gdy weszli do środka, Finch poklepał go po ramieniu. Wyte zabrał swój płaszcz. Poczłapał do biurka Skinnera i na jego oczach zabrał klucz. Podeszedł do szafki ze sprzętem. Już nie dbał o to, co sobie pomyślał. Wyjął broń, załadował, po czym ruszył szybkim krokiem w stronę drzwi.

Blakely popatrzył na drzwi, za którymi zniknął Wyte.

- Co jest, wreszcie zgodziłeś się za niego wyjść? - spytał złośliwie.

Finch go zignorował. Najwyższy czas ponownie zadzwonić do Rath.

* * *

Głos Rath trzeszczał i syczał w słuchawce. Zupełnie jakby kobieta była pogrzebana w podmokłej jaskini.

- Finch - powiedziała - mam dla ciebie wieści. Chyba dowiedziałam się czegoś o...

- O tym, o co pytałem? - przerwał jej, zanim zdążyła powiedzieć „tamtym martwym mężczyźnie”.

- Tak.

Poczuł dreszcz podniecenia. Ale jednocześnie trzeźwiący przyływ ostrożności. Nadal nie był pewien, kto powiedział Starkowi o Sintrze.

- Wpadnę po pracy - odpowiedział spokojnie. Zwalczył pokusę powiedzenia jej, że zaraz u niej będzie.

- Nie chcesz się dowiedzieć już teraz? - W jej głosie pobrzmiwało rozczarowanie.

- Jestem zajęty. Zobaczymy się później. - Miał nadzieję, że zrozumiała. Oni słuchają.

Trzask. Albo Rath odłożyła słuchawkę, albo połączenie zostało przerwane.

Nie opuszczał go entuzjazm. Dyskretnie się uśmiechnął. Chociaż wiedział, że to przedwczesna radość. Zazwyczaj od początku zna się tożsamość nieboszczyka. Tutaj minęły trzy dni i trop ostygł.

Jak przedstawić to wszystko Heretykowi?

Ponownie przekartkował raport Starka. Przypomniawszy sobie spotkanie na łodzi. Zniknięcie Blissa. Jego pojawienie się w wizji wywołanej przez bulwę pamięci.

Co może powiedzieć Heretykowi?

Blakely, Skinner i Gustat pracowali przy swoich biurkach. Kiedyś mógłby zasięgnąć ich rady. Jednakże sprawa Wyte'a pozbawiła go tej możliwości. Czasami nawet miał wrażenie, że lubią Wyte'a bardziej niż jego. Wyte nie miał na to wpływu, ale Finch owszem. Nie musiał stawać po jego stronie.

Zadzwoił telefon. Finch przez chwilę wpatrywał się w aparat. Sintra? Rathven? Odebrał.

- Halo.

- Finchy! - Głos Starka. Mocny i gładki. Finch doznał szoku, słysząc go w słuchawce posterunkowego telefonu. - Widzę, że przeczytałeś zapis naszego małego dramatu, skoro Wyte już popędził do miejsca, w którym Numer Jeden i Numer Dwa heroicznie poświęcili się dla większego dobra.

Finch pochylił się nad biurkiem. Osłonił słuchawkę dłonią.

- Skąd masz ten numer? - spytał cicho. - Czy nie wiesz...

- O czym nie wiem, Finch? Że jestem jednym z twoich informatorów, który dzwoni o umówionej godzinie? Żeby spytać, czy podobało ci się to, co przeczytałeś? - Złowieszczy ton głosu. Naznaczony krwią.

Dać się wciągnąć w grę Starka czy przerwać połączenie? Blakely zaczął dziwnie na niego spoglądać. Dapple także.

Finch odwrócił się do nich plecami, stawiając sobie telefon na kolanach.

- Owszem, podobało. Jeśli to prawda. Chciałbym usłyszeć tę rozmowę na własne uszy.

- Och, nie sądzę - odparł Stark. - Raczej byś tego nie chciał. Jest dosyć melodramatyczna. Właściwie bardzo sztuczna i teatralna. Dawniej świetnie sprawdziłaby się jako materiał na operę.

Tylko że wtedy miałbym pewność, że niczego nie usunąłeś. Ani nie dodałeś.

- A co z Obiektem? - spytał Finch. - Zbiegł? Czy Heretyk coś o tym wie?

- Niestety, nie uciekł daleko. Tragiczny wypadek spowodowany paleniem w łóżku. Takie rzeczy zdarzają się cały czas. Kiedy już Obiekt skończył z naszymi agentami, zasnął. Bardzo głębokim snem.

- Nie wiem, co to znaczy.

- Och, ależ na pewno wiesz, Finch.

- Czego chcesz?

- Czego chcę? To miło, że pytasz. - Ton głosu Starka stał się chłodniejszy. - Chcę wielu rzeczy. Tak wielu, że nie wiem, od czego zacząć. Pieniądze zawsze się przydają. Zwłaszcza złoto. Przydałaby mi się także broń. No wiesz, żeby się bronić przed buntownikami. Myślisz, że mógłbyś mi je dostarczyć? W końcu ja coś ci dałem.

- Dałeś mi tylko plotki - odparł Finch. - Informacje, które wcale nie muszą nas doprowadzić do niczego istotnego.

Chwila milczenia.

- Obawiam się, że nie podoba mi się twoje podejście, detektywie. Może powinienem popracować z kimś innym. Na przykład z twoją dziewczyną. Albo z twoją przyjaciółką Rathven. Albo z twoim partnerem Wyte'em. Albo nawet z tamtym szaleńcem, który mieszka przed twoim hotelem. Czy tak by było lepiej?

- Nie. - Finchowi udało się zachować spokój. - Myślę, że nasza umowa jest w porządku. - Zdał sobie sprawę, że zacisnął wolną dłoń w pięść. Jego knykcie pobielały. Paznokcie wbiły się w ciało.

Na drugim końcu linii rozległ się śmiech.

- Spodziewałem się, że powiesz coś takiego. Że spojrzysz na sytuację z mojego punktu widzenia. Teraz wszystko zależy od ciebie. Tylko pamiętaj: będziemy cię obserwować.

Rozłączył się, zanim Finch zdążył odpowiedzieć.

7

Znów na dachu hotelu. Tutaj Finch mógł zobaczyć wszystko z wysoka. Wyraźnie i z dystansu. Odpędzić bezcelowe myśli o wyrwaniu Starkowi krtani. O zastrzeleniu go na ulicy. Jeśli Heretyk nie uwierzy Finchowi, zabicie Starka nic nie da. Przed wyjściem skończył pisać raport. Wepchnął go do pamięciodziury pełen złych przeczuć. Czy to wystarczy?

Chciał mieć jasny obraz sytuacji, zanim spotka się z Rathven, ale wiedział, że nie może na to liczyć.

Słońce zachodziło. Finch patrzył na rozlewający się wokół pomarańczowo-żółty migoczący blask. Usiłował zignorować wieże, ale nie potrafił. Światło naznaczyło je rozmytą zielenią, jakby były obsypane pyłkami. Od ich lśnienia rozboleły go oczy.

Fotograf wkrótce się zjawi. W drodze na górę Finch zapukał do jego drzwi. Wąski cień pojawił się w szparze. Białe oblicze wyłoniło się z otchłani, by spełnić jego prośbę. Mężczyzna poinformował go, że potrzebuje trzydziestu do czterdziestu minut.

Finch ze zdenerwowania nie mógł usiedzieć na miejscu. Trzymał ręce w kieszeniach kurtki. Lewą dłoń zaciskał na kawałku papieru, na którym zapisał kolejność wydarzeń:

Stark przybywa - znikające drzwi - torturowany szary kapelusz - dwa morderstwa - dziwne słowa na skrawku papieru - Bliss - zamordowani ludzie - Bliss znika - dwie wieże bliskie ukończenia - Stark przekazuje nam informacje - Heretyk naciska w sprawie dochodzenia...

Jak wiele z tych spraw naprawdę było ze sobą powiązanych?

Agent 2: Obiekt narysował na stole jakiś symbol, używając czegoś w rodzaju złotego proszku. Półokrąg, potem okrąg, potem linia przecięta kolejną linią. Na końcu jeszcze dwa półokręgi. Później go przerysuję.

Teraz musiał ponownie się zastanowić nad symbolem szarych kapeluszy na podartym kawałku papieru. Czuł się pewniej, gdy sądził, że cała sprawa kręci się wokół Blissu.

W ciągu godziny pozna tożsamość martwego mężczyzny. Chciał tego, ale jednocześnie obawiał się, że odpowiedź mu się nie spodoba.

Zawarł w raporcie dla Heretyka prawie wszystko, poza informacją o torturowanym

szarym kapeluszu. Wywrzeć presję na Starku. Oprócz tego ani słowem nie zająknął się o Rathven. W końcu jeszcze z nią nie rozmawiał. Musiał jednak wspomnieć o napisie na kartce. Zasugerował, że to może być jakieś hasło.

Wyte wrócił, zanim Finch zdążył wysłać raport, ale nie wniósł do sprawy niczego poza paskudnym nastrojem. Znow wyglądał jak wyciągnięty psu z gardła. Jego informator niczego nie znalazł pod otrzymanym adresem, ponieważ budynek doszczętnie spłonął. Nie było żadnych świadków.

- Nie mam niczego poza tym. - Wyte rzucił na biurko Fincha rzeźbioną figurkę. Trochę przypominała szarego kapelusza. Jego informator dowiedział się także, że Bosun jest młodszym bratem Starka. W Stockton słynął jako rozrabiaka i pijak. To ciekawe, ale co mamy zrobić z tą informacją? Stark nadal stanowił znak zapytania.

Otworzyła się klapa za jego plecami. Z otworu wyłoniła się niezdarna sylwetka Fotografą. Mężczyzna wyprostował się i podszedł do Fincha. Trzymał w długich palcach przedmiot, który jakby pochłaniał światło. Niewielki. Funkcjonalny. Śmiercionośny.

- Masz, to dla ciebie - rzekł Fotograf. Jakby Finch potrzebował zachęty.

Finch zacisnął prawą dłoń na broni, rozkoszując się jej ciężarem i uspokajającym chłodem. Specjał Lewdena: groźny krótkolufowy półautomat. Używał takiego samego podczas wojen. Zabrał go trupowi. Lubił tę spluwę. Niemal za bardzo. Umożliwiała szybkie przeładowanie. Była bardzo celna. Strzelała pociskami, które nie pozostawiały złudzeń. Pociskami, które wybuchały wewnątrz ciała. Nawet szary kapelusz mógł się od nich nabawić niestrawności. Finch nie spodziewał się czegoś tak dobrego.

Posłał Fotografowi szelmowskie spojrzenie.

- Czym dokładnie się zajmowałeś przed Powstaniem?

Uśmiech Fotografą był raczej ponury.

- Robiłem zdjęcia. - Nie zamierzał zdradzać niczego więcej.

Finch przez chwilę mu się przypatrywał, po czym odpuścił.

- Amunicja?

- Tak - odparł Fotograf. Podał Finchowi dziesięć magazynków. W każdym po dwadzieścia pocisków.

Finch uniósł brwi. Prosił tylko o pięć magazynków. Popatrzył na Fotografą, jakby chciał spytać: „Czy wiesz coś, o czym ja nie wiem?”.

- Ile?

- Teraz nic. Później, może jakaś przysługa.

- Tylko zgłoś się, kiedy jeszcze będę wyświadczał przysługi. - Gorzki śmiech.

- I kiedy sam jeszcze będę ich potrzebował. - Wyraz twarzy Fotografę był obojętny.

Finch słuchał tylko jednym uchem. Myślami krążył wokół zapisu przesłuchania. Dwie wieże. Dziwne drzwi. Buntownicy mają broń.

„Którzy buntownicy?” - rozległ się głos w jego głowie. „Ci w Ambergris, czy ci w SHF?”.

Odwrócili się, by popatrzeć na miasto o zmierzchu. W kilku miejscach lśniła poświata. Niczym przedśmiertne drgawki słońca. Od zatoki bił przytłumiony zielony blask. Praca nad wieżami nie ustawała nawet na chwilę. Finch oczami wyobraźni już niemal widział gotowe budowle.

- Jak myślisz, po co są te wieże? - spytał.

W trupio czarnych oczach Fotografę pojawił się błysk zaciekawienia.

- Czasami śni mi się, że to olbrzymi aparat, który robi zdjęcia miejsc, których nie widzimy.

* * *

Rathven wpuściła go bez słowa. Szybko zamknęła drzwi na klucz.

- Od dwóch dni po budynku kręcą się jacyś obcy - wyjaśniła.

- Wiem - odparł.

Niektórzy z nich mogli nawet przyjść do ciebie. Cieszył się z broni, która ciążyła mu w kieszeni kurtki. Finch nie lubił tracić do kogoś zaufania. Ale był na to przygotowany.

- Jak myślisz, co tutaj robią?

- Nie mam pojęcia. - Nie była to do końca prawda.

Woda chwilowo się wycofała, pozostawiając na podłodze i ścianach poza największym pomieszczeniem dziwne ślady, które świadczyły o pływach i zawirowaniach. Pozostałości minerałów. Pozostałości książek, które nie przetrwały. Miotła oparta o ścianę, używana do zgarbiania wody. Całe sterty książek. Osobliwie ciemny tunel prowadzący... dokąd? Gdzie ona sypia?

Rathven podniosła dwie książki ze starego fotela, po czym położyła je na stole. Stara lampa olejna oświetliła poszarpane i poplamione tomy migotliwym blaskiem. Książki były zniszczone przez pleśń i robaki. Finch kichnął od gęstego kurzu. Pod stołem leżała absurdalna lista otrzymana od szarych kapeluszy.

Rath poprosiła go, by usiadł. Nie podobało mu się, że fotel jest tak wygodny. Czuł, że mógłby w nim usnąć. Miał ochotę zapytać swobodnym tonem: „Odwiedził cię człowiek nazwiskiem Bosun? A może niejaki Stark?”. Nie zrobił tego. Ta rozmowa mogła poczekać.

Zresztą nie musiał dodatkowo ostrzegać Rath, gdyż i tak miała mnóstwo powodów, by zachować ostrożność.

Przysunęła do stołu stare drewniane krzesło. Odwróciła je i położyła ręce na oparciu. Wyglądała na spiętą. Niespokojną. Niewzruszone spojrzenie, którym go obdarzała, traciło na wymowie za sprawą szybkich zerknięć w stronę tunelu. Czyżby spodziewała się, że ktoś stamtąd nadejdzie?

- Chcesz herbaty albo kawy? - spytała.

Z jakiegoś powodu obecnie smakowała mu tylko herbata, ale w tej chwili nie miał na nic ochoty.

- Jestem zmęczony, Rath. Nie jestem w nastroju. Czego się dowiedziałas?

Rathven się skrzywiła.

- A więc interesują cię tylko informacje, tak?

- Co się stało? - spytał, czując, że ją obraził. - Widzę, że coś się stało.

Popatrzyła na niego dużymi piwnymi oczami.

- Nie spodoba ci się to, co odkryłam.

Finch zaczął się śmiać. Aż z oczu popłynęły mu łzy. Zgiął się wpół na fotelu.

- Nie spodoba mi się to, co odkryłaś? Nie spodoba mi się? Zerknął na nią, ocierając twarz rękawem. Zobaczył, że jest zdezorientowana.

- Rath, nie podoba mi się nic z tego, czego dowiedziałem się od poniedziałku. W całym tym dochodzeniu nie ma niczego, co mogłoby się podobać. Niczego. Dziś rano wybrałem się na przesłuchanie podejrzanego i wróciłem bez skarpetek, butów oraz broni.

To wywołało na jej twarzy półuśmiech, ale wciąż miała nieufne spojrzenie. Jakby ta wizja zarazem ją rozbawiła i przeraziła.

- Skarpetki? Chodziłeś na bosaka? Po Ambergris?

Pokiwał głową. Otrzeźwiało.

- A więc czego się dowiedziałas?

Rathven głęboko wciągnęła powietrze do płuc. Wyglądała jak istota przywykła do ruchu, którą zatrzymano w pół kroku, by zadać jej jakieś istotne pytanie dotyczące jej egzystencji.

- Wczoraj przeczytałam wszystkie nazwiska z twojej listy. Długo mi to zajęło. Potem stworzyłam znacznie krótszą listę składającą się z nazwisk, które rozpoznałam.

- Na przykład?

- Nazwisk ludzi, którzy zaistnieli w historii. Nie było tam nikogo, kogo znałabym osobiście, ale pojawiło się kilka postaci z przeszłości. Średnio sławny powieściopisarz.

Rzeźbiarz. Uznana pani inżynier. Postanowiłam poczytać o nich w różnych książkach historycznych. Sprawdzić, czy mieli powiązania z ludźmi żyjącymi obecnie.

- Niepewny trop - odrzekł, ale był pod wrażeniem metodyczności jej działań.

- Owszem. Jednocześnie zaczęłam sprawdzać nazwiska z ostatnich trzydziestu lat w pozostałościach miejskiego archiwum. Ale nie dotarłam zbyt daleko.

- Dlaczego?

Rathven pochyliła się, balansując krzesłem na dwóch nogach.

- Ponieważ natrafiłam na informacje o jednej z osób z listy. O kimś, kto dawno temu mieszkał w tamtym lokalu.

- Kto to taki?

Rathven podała mu nazwisko. Nic dla niego nie znaczyło, ale rozbrzmiało mu w głowie jak wystrzał.

- Duncan Shriek - powtórzył. - Kim on był?

- Dobrze pytanie. Musiałam trochę pogrzebać, ale wydawało mi się, że już kiedyś o nim słyszałam. Tylko nie byłam pewna gdzie. Musiałam pożyczyć dwie książki, żeby się dowiedzieć.

- I co?

Wydawało się, że Rath zwleka z odpowiedzią, co sprawiło, że Finch również przestał się śpieszyć. Jakby zwłoka mogła mu zapewnić bezpieczeństwo i ochronić go przed uczuciem, które zaczęło wzbierać w jego żołądku i wywoływało ucisk w klatce piersiowej.

Rathven zaczerpnęła tchu, po czym kontynuowała:

- I rzeczywiście wiele się o nim dowiedziałam. Shriek był niezależnym historykiem. Głosił dosyć radykalne teorie dotyczące Ciszy i szarych kapeluszy. Chociaż dzisiaj wcale nie wydałyby się nam one radykalne. Raczej słuszne. Zanim ktokolwiek zdołał to dostrzec, Shriek odszedł. Zniknął. Ponad sto lat temu.

Finch poczuł się rozczarowany.

- Jaki to ma związek z terażniejszością? Jak może mi pomóc?

Rathven ponownie odchyliła się do tyłu.

- Zerknij na dwie książki leżące na stole.

Nieprzyjemne doznanie w żołądku jeszcze się nasiliło. Finch popatrzył na kobietę. Potem na stół. Znów na nią. Wyprostował się w fotelu. Delikatnie wziął książki. Poczul kurz na dłoniach. Otworzył pierwszą na stronie tytułowej. *Shriek: Posłowie*, napisana przez Janice Shriek oraz Duncana Shrieka.

- Janice? To jego żona? - Wzbierało w nim dziwne uczucie, inne niż przerażenie.

Bezkształtny smutek. Czujność.

- Nie - odparła Rathven beznamiętnym tonem. - Siostra.

- To fikcja czy literatura faktu?

- Rodzaj pamiętnika Janice opatrzonego komentarzami Duncana. Ona była właścicielką galerii. Główną sponsorką wielu ówczesnych artystów. Zniknęła, podobnie jak jej brat. Oboje mniej więcej w tym samym czasie. Ale powinieneś się bliżej przyjrzeć drugiej książce.

Finch odłożył *Shrieka: Posłowie* i wziął do ręki drugi tom. *Cinsorium i inne historyczne baśnie*, przeczytał. Autorstwa Duncana Shrieka". Poczul ukłucie irytacji albo niechęci. Czy Rath nie może przejść do sedna?

- Popatrz na wewnętrzną stronę tylnej części obwoluty - powiedziała. Otworzył książkę. Zobaczył zdjęcie autora. Zaskoczenie odebrało mu zdolność racjonalnego myślenia.

Mężczyzna miał czterdzieści pięć lub pięćdziesiąt lat, kasztanowe włosy, ciemne brwi oraz brodę, która najwyraźniej składała się z grzybowych kosmyków.

- O kurwa.

Mężczyzna znów się roześmiał. Oślepiające, niewiarygodnie jasne światło niczym blask słońca wtargnęło przez okno. Rozerwało nocne niebo.

Zdjęcie było bardzo stare. Poplamione. Rozpadało się. Ale nie kłamało. Twarz na obwolucie pasowała do twarzy nieboszczyka w mieszkaniu.

Finch był oszołomiony. Zrobiło mu się zimno. Rozparł się w fotelu z książkami na kolanach. Zamknął *Cinsorium*, żeby nie oglądać zdjęcia. Nie zaginie.

- Kiedy on tutaj mieszkał? Pokaż mi wpis.

Rathven schyliła się po listę.

- Zagięłam ją na odpowiednim miejscu. Podała mu długą kartkę.

Shriek, Duncan, zamieszkały przez 17 miesięcy 5 dni 15 godzin 4 minuty 56 sekund - pisarz i historyk; odszedł nagle, zniknął, uznany za zmarłego.

- To niemożliwe - rzekł Finch, a lista wyslizgnęła mu się z dłoni na podłogę. - Niemożliwe.

Czuł się obnażony. Bezbronny jak nigdy wcześniej. Półautomat przy jego boku nie zapewniał mu żadnej ochrony. Stark ze złośliwie wykrzywionymi ustami. Bosun i jego psychotyczne figurki. Bliss jako młody agent F&L brnący chwiejnie przez pustynię Kalifa. Trup przemawiający do Fincha, u jego boków kot i jaszczurka.

Rathven pokiwała głową.

- To niemożliwe. Ale to on.

Książki ciążyły mu na kolanach.

- Albo jego brat bliźniak. Albo praprawnuk.

- Naprawdę w to wierzysz, Finch? - spytała Rathven.

- Nie.

Nie wierzył. Nie pozwalała mu intuicja.

Oszłomiła go nowa skala śledztwa. W jego umyśle prowadzona sprawa właśnie rozrosła się niczym lista Heretyka. Sięgnęła niewyobrażalnie daleko w przeszłość.

Jak przed tym uciec?

Nie jestem detektywem.

Teraz rozumiał spojrzenie Rathven.

Udręczone.

* * *

Dla jego ojca udręka rozpoczęła się podczas wojny z imperium Kalifa, w inżynierskim oddziale armii Hoegbottona. W tamtym okresie coś dostało się do jego płuc. Lekarze w klinice nie potrafili znaleźć lekarstwa, nawet gdy zbliżał się koniec. Chodziło o pył. Różne rodzaje pyłu. Tysiącletni pył na drodze prowadzącej do imperium. Pył podczas ucieczki. Pył podczas walki o utrzymanie Ambergris w całości. Pył, gdy zdradził swoje miasto.

Wcześniej kampanię prowadzono w atmosferze optymizmu, odurzającej pewności siebie. Pokonane wojska Domu Frankwithe'a wycofały się do Morrow. Wydawało się, że liczba szarych kapeluszy ponownie zmalała, a dzięki wojnie, Ambergris zyskało potężną armię.

Jak kiedyś powiedział ojciec: „Nie chcieli tego zmarnować. Poza tym bali się, że młodzi oficerowie pozostawieni w domu staną się zbyt ambitni. Panowała atmosfera klaustrofobicznego niepokoju, którą teraz pewnie trudno zrozumieć. Ludzie chcieli być częścią Ambergris, ale jednocześnie trzymać się od niego z daleka. Czuli się skrępowani, osaczeni... a wschodnie skrzydło imperium Kalifa znajdowało się tak blisko, wojska Kalifa były tak rozproszone, zmuszone do obrony całego terytorium. To było nazbyt kuszące. Zbyt proste”.

Jednym z pierwszych zadań, które zlecono ojcu, było przeprowadzenie armii na drugi brzeg rzeki Moth w sposób umożliwiający szybki powrót. Dokonał tego za pomocą łodzi oraz

plywających mostów, które można było rozebrać i wykorzystać w innym celu. Od tamtej pory „Kombinator”, jak zaczęto go nazywać, uczestniczył w ponad tuzinie bitew. Pomagał zajmować stanowiska obronne. Znajdował sposoby na przebycie pozornie niepokonanych gór. Gdy tylko potrzebowano inżyniera, był na miejscu. Miał na to dowody w postaci zdjęć, które Finch później rzucił w płomień. Na fotografiach szczupły, gładko ogolony mężczyzna pozował na tle kanionu, miejskiego pejzażu, tłącego się czołgu. Jeśli nawet z czasem jego sylwetka stawała się bardziej przygarbiona i zrezygnowana, a uśmiech wyblakły, można to było usprawiedliwić starzeniem. Ale Finch wiedział, że to, co ojciec tam odnalazł, w końcu go zabije.

Pewnego dnia ojciec powiedział Finchowi, że kiedyś będzie mógł odejść z wojska i zająć się cywilnymi projektami, które bardziej go interesują. Stwierdził, że dostrzega zwiastuny nowego wieku wielkiej architektonicznej ekspansji, tak jak w czasach Pejorana. Miasto zostanie wymyślone na nowo i zrekonstruowane w sposób wykraczający poza zwykłą odbudowę i renowację. Złoża minerałów, które napędzały wojnę, mogą napędzać pokój.

Niestety, tak się nie stało, zupełnie jakby pył imperium, który powoli zmieniał ojca, zmienił także Ambergris. Podjęty przez Dom Hoegbottona wyścig mający na celu podbicie nowych terytoriów w imieniu Ambergris wymagał nieangażowania się w walki na odsłoniętych skrzydłach: utrzymywano miasta, ale nie ziemię. Aż wreszcie nastąpił powolny odwrót do rzeki Moth, a jedyne, co pozostało po przejściu wojska, to banda dzieciaków mieszanej krwi, porzucony sprzęt oraz wszystkie projekty inżynieryjne ojca. One także zostały uwiecznione na zdjęciach. Ojciec trzymał je w osobnym albumie. Kartkował go wieczorami, trzymając Fincha na kolanach, jakby chciał zaprzeczyć temu, co nastąpiło potem.

Obrazy z jakiegoś innego życia. Kilka przedstawiało kobiety o charakterystycznych zachodnich rysach. Wyblakłe. Zniszczone. Zagubione.

Kiedy ojciec wrócił do wyczerpanego Ambergris, Dom Frankwrithe'a właśnie starał się na nowo zagościć w sercach ludzi, wykorzystując fakt, że Dom Hoegbottona zaniedbał miasto, by skupić się na Kalifie. Brakowało jedzenia i prądu.

W czasie kolejnej dekady ojciec Fincha przeobraził się w dziwnie neutralną postać. Gdy podziały między Domami Hoegbottona i Frankwrithe'a się zacierały, a miasto rozpadało się na regiony, frakcje i dzielnice, otrzymał pracę na państwowej posiadzie jako były bohater wojenny. Zajmował się mostami. Odbudową dróg. Wszystkim, co mogło przywrócić równowagę, choćby na miesiąc lub rok.

„To była inżynieryjna partyzantka” - kiedyś wyznał Finchowi. „To, co ja odbudowywałem, ktoś inny burzył”.

Finch wierzy, że ojciec poczuł ulgę, gdy został zdemaskowany. Wreszcie mógł zrezygnować z wyczerpującej gry na dwa fronty. Z szukania pracy. Z tajemnic. Rola wygnańca mniej mu ciążyła.

Myśli o tym, zmagając się z zagadką Duncana Shrieka.

Czy Duncan Shriek jest pyłem, który nadciąga sprzed stu lat, by go zabić?

8

Mógłby być jego bratem bliźniakiem. Albo praprawnukiem. Ale nie był.

Finch wspinał się po schodach do swojego mieszkania, niosąc dwie książki. Rath próbowała go zatrzymać, jakby nie chciała zostać sama z tym, co odkryła. On jednak musiał przemyśleć to w samotności.

Wciąż czuł się zagubiony. Możesz harować całymi latami, myśląc, że jakoś się trzymasz i dajesz sobie radę, a może nawet robisz coś dobrego, gdy nagle coś się wydarza i zdajesz sobie sprawę, że nic nie rozumiesz. Finch wiedział, że gwałtowny wstrząsający impuls, który popycha go w stronę Sintry, to tylko odruch. Nieprawdziwy. Potrzebował go, by zapomnieć. Chociaż powinien pamiętać.

Schody jakby nie miały końca. Były jak połykająca go gardziel.

Starał się ochronić Rath przed chaosem. Poprosił ją, by dalej sprawdzała ten trop. Zasugerował, że musi istnieć jakieś racjonalne wytłumaczenie. Mimo że sam w to nie wierzył. Nawet napomknął, że wie coś, czym nie może się z nią podzielić.

Jak dużo czasu minie, zanim dowie się Heretyk? Może już wie.

Wszedł na siódme piętro. Zobaczył, że drzwi jego mieszkania są lekko uchylone. Od razu zapomniał o Duncanie Shrieku i przypomniał sobie o Starku. Starku i Bosunie. Chyba że to Sintra?

Czy zostawiłaby otwarte drzwi?

Był dziwnie spokojny. Czyżby tak bardzo przyzwyczyił się do wizji intruzów w swoim mieszkaniu, że teraz nie odczuwał zaskoczenia?

Położył książki na podłodze. Wyjął Specjał Lewdena i go odbezpieczył. Szerzej uchylił drzwi. Zobaczył szare i czarne sylwetki mebli w swoim salonie, kuchnię oraz okno naprzeciwko wejścia. Z zewnątrz wpadało mgliste zielono-białe światło.

W mieszkaniu nikogo nie było.

Nic nie wskazywało na to, by kiedykolwiek był tu ktoś obcy. Może już wyszli?

Może to on zapomniał zamknąć drzwi? Raczej nie.

Powoli wszedł, zerkając wzdłuż lufy broni. Wciąż czuł się tak, jakby w jego żyłach płynęła lodowata woda. Nawet ciemność postrzegał zaskakująco wyraźnie.

Zatrzymał się po lewej stronie okna. W cieniu regału z książkami. Nasłuchiwał.

Usłyszał czyjś oddech w sąsiednim pokoju. Ktoś się tam poruszał. A jeśli to Sintra?

Postanowił zaczekać. Pozwoli, by intruz wyszedł do salonu. Jego serce wreszcie mocniej zabiło. Wyobraził sobie, co może się stać, jeśli popełni błąd. Zobaczył Sintre z przestrzelonym czołem. Potem Wyte'a.

Drzwi sypialni się otworzyły. Wyłonił się z nich jakiś cień. Finch nie widział twarzy intruza. Nie widział także broni.

- Mam pistolet. Nie ruszaj się, bo będę strzelał! - zawołał.

Cień się zatrzymał i zerknął w jego stronę. Potem puścił się biegiem w stronę okna.

Okna?

Finch ruszył do przodu i pociągnął za spust. Ryk Specjału Lewdena. Przytłumiony trzask pękającego regału z książkami. Spudłował.

Postać skoczyła. Finch skoczył za nią, zmniejszając dystans. W powietrzu pojawił się krąg zielonego światła okolony ogniście złotą obręczą, a w środku naznaczony najczystsza czernią. Postać wskoczyła w okrąg, a Finch podążył jej śladem, zderzając się z plecami uciekiniera. Chwycił go za ramiona. W dłoni wciąż trzymał pistolet.

Czerń się rozszerzyła. Poza podłogę.

Finch westchnął, potem krzyknął. Poczuł, że spada. Kurczowo trzymał się postaci, która usiłowała go zrzucić. Piekła go twarz. Wokół zapadła całkowita ciemność.

Spadali w gardziel *strasza*. Spadali w nicość. Wypadali przez okno. Na spotkanie śmierci. Finchowi przewracał się żołądek. Nie mógł przestać krzyczeć.

Cały czas spadali.

Jeszcze nic nie jest stracone.

Wszystko stracone.

CZWARTEK

P: Dlaczego nienawidzisz Stronników?

F: Wcale ich nie nienawidzę.

P: Wszyscy mamy jakieś zadanie do wykonania.

F: Nie lubię aparatów.

P: Dokąd poszedłeś podczas przyjęcia?

F: Donikąd. Do domu. Poszedłem do domu.

P: Widziano cię na ulicy po godzinie policyjnej. Stronnik cię widział.

F: To musiał być ktoś inny. Nie. Nie. Proszę. Nie! [płacz] Nigdzie nie poszedłem. Nie pamiętam.

P: Kto to był? Stark? Błękitna Dama? Bliss? Ktoś inny?

F: Wszyscy. Nikt. Nie ma znaczenia, co ci odpowiem. Twoja odpowiedź zawsze jest, kurwa, taka sama.

P: Już ja się postaram, żebyś sobie przypomniał.

1

Światło. Oślepiło go. Obaj ciężko upadli na jakąś twardą powierzchnię. Broń wypadła mu z dłoni. Ostry ból w lewej ręce, żebrach. Krzyknął. Puścił ramiona uciekiniera. Miał wrażenie, że coś pełza po jego całej skórze. Jakby przeleciał przez rój szerszeni. Przez chwilę łapały go skurcze, mięśnie odmawiały posłuszeństwa. Mózg płonął. To było gorsze niż *strasz*. Leżał, ciężko dysząc. Szorstkie kamienie i coś miękkiego pomiędzy nimi. Przenikliwe klaskanie, które najpierw stało się głośniejsze, a za moment przycichło.

Drugi mężczyzna przetoczył się na bok. Zaczął wstawać. Finch sięgnął w jego stronę. Chwycił go za obutą stopę i przyciągnął z powrotem do siebie. Lekko rozchylił powieki pomimo straszliwego blasku. Zobaczył twarz przeciwnika.

- Bliss! Bliss! - syknął. Wciąż ogarniała go ciemność. Przyciągnął Blissa, który wierzał, próbując się uwolnić. Wskoczył na niego. Uderzył go pięścią w nerki. Raz. Drugi. Trzeci. Aż rozboleły go knykcie. Bliss stęknął. Finch zdzielił go łokciem w twarz, przebijając się przez gardę. Bliss sflaczał. Zatrzepotał powiekami, a źrenice uciekły mu do góry.

Finch chwiejnie wstał. Co mi zrobiłeś? Spróbował się skoncentrować. Kopnął Blissa w żebra. Rozległo się udręczone kaszlnięcie i Bliss zwinął się w kłębek na boku.

Finch zamierzał wymierzyć mu kolejnego kopniaka, ale się powstrzymał. Jego uwagę zwróciła ziemia, która ich otaczała. Bładoczerwone płyty. Wyrastające spomiędzy nich żółto-zielone chwasty.

Podniósł wzrok. Zdjęty nagłą paniką zrozumiał, że straszliwy blask to światło słońca. Stał na środku pustego dziedzińca. Zardzewiała, rozsypująca się fontanna. Puste błękitno-bursztynowe oczy jakiegoś dawno umarłego bohatera siedzącego na rdzewiejącym koniu. Obok niego plamiste brązowe ryby wypluwające powietrze.

Ponad ścianą stojącą przed nim: potężna biała kopuła jednego z obozów. Szybko się obejrzał. Zielony migoczący blask dwóch wież widoczny przez łukowate przejście. Krążące stado gołębi. Klaskanie.

Znajdował się pomiędzy Kosą a Dzielnicą Religijną.

Po przeciwnej stronie zatoki niż jego mieszkanie.

Na niebie świeciło słońce.

W środku nocy.

Finch zaczął dygotać. Stłumił mdłości.

- Coś ty, kurwa, zrobił, Bliss? - wysapał. Nie potrafił się powstrzymać przed zadaniem tego pytania. W ustach czuł smak żwiru, a na skórze mrowienie.

Bliss uniósł głowę, wciąż leżąc na boku.

- Nie bój się - rzucił przez zakrwawione zęby. - Przeszliśmy przez drzwi. Zwyczajne drzwi.

Finch ponownie go kopnął. Tym razem Bliss nie krzyknął, tylko nieruchomo leżał. Finch znalazł swoją broń. Kucnął obok Bliss'a i przystawił mu lufę do lewego policzka. Przycisnął twarz mężczyzny do kamieni.

- Odpowiadaj na moje pytania. Bez pieprzenia. - Mówił spokojniej niż się czuł.

Nie po raz pierwszy przystawił komuś pistolet do twarzy. Ale groził człowiekowi, który w swoim poprzednim wcieleniu wygłaszał przemowy i prowadził parady, a dziś upadł tak nisko, że po zmroku węszył w cudzych mieszkaniach.

- Odpowiem! Przestań mnie bić. - Z tej niewygodnej perspektywy Bliss próbował łyapać na Fincha silnie przekrwionym okiem. Jego twarz pociemniała od siniaków, jak niebo podczas burzy.

- Wstawaj - rzekł Finch. Postawił niższego mężczyznę na nogi, ciągnąc go za jedną rękę. Rozejrzał się. Dwa wyjścia. Łukowato sklepione przejście za jego plecami. Kolejne po przeciwległej stronie. Nieufnie zerkał na powybijane szyby, które oślepiały go refleksami słońca. Każdy mógł ich stamtąd obserwować.

Zaciągnął Bliss'a w cień najbliższej arkady. Kontrast pomiędzy ciemnością a ostrym światłem niemal go oślepił. Wszędzie widział czarne plamki.

Pchnął Bliss'a na poszarzałą ścianę białoną wapnem. Spod zaprawy wyzierały cegły, jak ciemnoczerwone zęby tkwiące w gnijących ustach.

Zbliżył się do Bliss'a i przystawił mu broń do podbródka. Przygwoździł go do ściany pięścią owiniętą kołnierzykiem jego koszuli.

Ręce przestały mu drżeć. Jeszcze nie poddawał się szokowi. Może to nigdy nie nastąpi.

Bliss zaczął rzeźić, gdy Specjał Lewdena nacisnął mu na krtań. Spróbował przełknąć ślinę.

- A teraz powiedz mi, co się stało. - Finch zwolnił nacisk. Bliss zakaszał, po czym wykrztusił głuchym głosem:

- Jak już mówiłem, nie ma powodów do paniki. Po prostu przeszliśmy przez drzwi.

W Finch'u coś pękło. Groził mu Stark. Heretyk ze *straszem*. Spadał poprzez ciemność z

Blissem jakby przechodził przez kolejne drzwi na Kosie lub przemieszczał się przez gardziel *strasza* wielkiego jak behemot.

Uderzył Blissa w twarz pistoletem. Poczul satysfakcję, gdy ciało ustąpiło pod dotykiem metalu i prawy policzek przecięła rana. Bliss wydał z siebie odgłos raczej zaskoczenia niż bólu. Chciał się skulić, ale Finch go podtrzymał. Krew popłynęła po twarzy Blissa i zachlapała mu ramię. Kolejny zdziwiony dźwięk. Jakby nie mógł uwierzyć, że Finch mu to robi.

- Już mówiłeś, że to drzwi. Powiedz mi coś nowego.

Głowa Blissa opadła na piersi. Finch lekko poklepał go po twarzy.

- Nie uciekaj mi! - zawołał, po czym puścił kołnierzyk koszuli Blissa. - Masz. - Wręczył mu swoją chustkę. - To dla ciebie.

- Dzięki - odparł Bliss, a w jego głosie zabrzmiał morderczy ton. Przyłożył chustkę do twarzy; szaro-biały materiał szybko nasiąknął czerwienią.

- Jeśli powiesz mi wystarczająco dużo, puszcę cię wolno - obiecał Finch. Starał się brzmieć rozsądnie. W stopniu, w jakim to było możliwe, gdy celował do Blissa z pistoletu. Prawdę mówiąc, jeszcze nie wiedział, co z nim zrobi.

Po chwili Bliss odezwał się przytłumionym głosem:

- Przeszliśmy przez drzwi do innej części miasta. Przez coś w rodzaju mostu.

- Właśnie tak uciekłeś nam za pierwszym razem. Nie było żadnego ukrytego wyjścia.

- Nie, nie było - odrzekł Bliss.

- Jeszcze kilka chwil temu była noc. - Finch nie potrafił ukryć zaskoczenia.

- Sądząc po położeniu słońca, teraz może być południe. Niewykluczone, że to następny dzień.

- Następny dzień?

- Tak. Jeśli mamy szczęście. Zaskoczyłeś mnie. Nie miałem czasu na... dokładność.

Niemożliwe. Niczym historyjka o szarych kapeluszach, opowiadana, by wystraszyć dzieci. Zwalczył pokusę ponownego uderzenia Blissa w twarz pistoletem.

Skup się na tym, co ma sens. Zignoruj resztę.

Jest na dziedzińcu, czuje ciepło płyt chodnikowych pod gównianymi butami, które pożyczyl mu Wyte. Wieje wiatr. Świeci słońce. Te rzeczy są prawdziwe.

- Co robiłeś w moim mieszkaniu?

Nagle Bliss zaczął mówić z większym ożywieniem.

- Uwierz mi, Finch, nie chcesz wiedzieć. Nie uratuje ci życia to, czego się dowiesz, ale to, gdzie stoisz. Tkwisz w centrum wydarzeń, których nie jesteś w stanie kontrolować. To cię

przerasta. Nie powinieneś się przejmować mną ani tym, co robiłem. Powinieneś się martwić o siebie.

- Odpowiedz na moje pytanie.

Bliss zapewne usłyszał groźbę ponownie pobrzmiewającą w głosie Fincha, gdyż spróbował pokornie się uśmiechnąć, jakby z zażenowaniem.

- Szukałem informacji na twój temat - odparł łagodnym, ale chrapliwym głosem.

- I co odkryłeś?

- Nic. Nie zdążyłem niczego znaleźć.

- Dla kogo pracujesz?

- Dla Morrow.

- Nie wierzę ci. - Rzeczywiście nie wierzył. Nie do końca.

- Moja odpowiedź się nie zmieni, niezależnie od tego, jak bardzo mnie sponiewierasz.

Finch miał co do tego wątpliwości. Twarz Blissa była zalana krwią, ale pozostało jeszcze wiele ran do zadania.

- Cofnijmy się do pytania, które zadałem ci, kiedy zdjęliśmy cię ze ściany. Dlaczego pojawiłeś się we wspomnieniach tamtego martwego człowieka? - Bliss sprawiał wrażenie szczerze zaskoczonego. Samym pytaniem? Czy tym, że Finch je zadał? - Zjadłem jego bulwę pamięci. Widziałem cię. W pobliżu jakiejś fortecy na pustyni.

Coś w rodzaju lustra. Oko. Cofa się i widzi dziwnie znajomą postać, a potem imię: Ethan Bliss. Następnie kamienny krąg i drzwi pokryte symbolami szarych kapeluszy. Aż wreszcie wyskakuje w pustynne powietrze ku drzwiom unoszącym się na środku nieba, ścigany przez szarego kapelusza, zanim świat pogrąży się w ciemności.

- Nie należy ślepo ufać bulwom pamięci. Dobrze o tym wiesz. Można w nich zobaczyć niemal wszystko.

Finch nie potrafił stwierdzić, kiedy Bliss kłamie.

- Co mają z tym wszystkim wspólnego wieże?

- A kto twierdzi, że tak jest?

- Stark.

Bliss splunął pogardliwie.

- Stark to bandzior. Nic nie znaczy. Nic nie wie.

- A jednak zabił wszystkich twoich ludzi i przybił cię do ściany.

Bliss się skrzywił, jakby połknął garść piachu.

- Szczęście nowicjusza. Jego dni są policzone. W tym mieście albo się przystosowujesz, albo giniesz.

Finch nadal mu nie wierzył.

- A ty się przystosowałeś? Z asa wywiadu na usługach Frankwrithe'a przedzierzgnąłeś się w polityka albo kogoś w tym guście? - Po czym dodał: - Co robiłeś podczas wojny z Kalifem? Pracowałeś dla F&L i Morrow? Dla Hoegbottona?

Bliss się uśmiechnął, ale patrzył na Fincha lodowatym wzrokiem.

- Służyłem swojemu miastu.

- Któremu?

- Tak jak wspomniałem: albo się przystosowujesz, albo giniesz.

- Co obiecałeś Starkowi w zamian za darowanie życia?

- Nic. Stark to ugrzeczniony bandzior. Wszystko, co ode mnie usłyszał, sam chciałem mu przekazać. Ponieważ nic z tego, co wiem, nie powstrzymałoby go przed zabiciem mnie, gdyby rzeczywiście miał taki zamiar.

- Więc co takiego chciałeś mu przekazać?

Bliss tylko pokręcił głową.

- Jak podróżujesz pomiędzy drzwiami?

- Być może są pewne rzeczy, o których nigdy ci nie powiem.

Blask słońca i fakt, że nie powinno go być na niebie, cały czas drażniły Fincha. Zaburzały jego myśli.

- Zatem jeszcze raz porozmawiajmy o wieżach.

Oblicze Blissa wyrażało obojętność. Patrząc na twarz szpiega, nie sposób było odgadnąć jego myśli.

- Wieże są na ukończeniu. Szare kapelusze angażują w budowę wszystkie środki. Ignorują całą resztę. Nawet swoich Stronników. Ale mimo to, nadal bardzo się interesują tą sprawą. Ciekawe, czyż nie?

- Masz jakieś teorie?

- Wiesz już więcej niż powinieneś. Wystarczająco dużo, by stracić życie.

Fincha ogarnęło znużenie. Coś było nie tak z jego skórą. Co by się stało, gdyby zemdłał w obecności Blissa? Gdzie by się obudził? Mdłości coraz bardziej się nasilały.

- Oto teoria. Właśnie przyszła mi do głowy, więc równie dobrze mogę ją przetestować na tobie. Myślę, że ofiara morderstwa cię widziała. A stało się tak dlatego, że byłeś w to morderstwo zaangażowany. Może przeprowadziłeś ją przez drzwi takie jak te, przez które właśnie razem przeszliśmy. Może drzwi przycięły szarego kapelusza. Ale ty poprowadziłeś ofiarę na śmierć. Chociaż nie wiem, dlaczego miałbyś to zrobić.

Bliss miał już dosyć. Opuścił chustkę.

- Spróbujesz mnie doprowadzić na posterunek? Czy po prostu znów zaczniesz mnie bić? - spytał wyzywająco. Wydawał się zadowolony z siebie.

Przez jedną straszliwą chwilę Finch pomyślał, że nie wyrządził Blissowi żadnej krzywdy. Że Bliss tylko udawał. Nieobecne oczy mężczyzny rozbliły.

Finch głęboko odetchnął. Opuścił broń. Odepchnął Bliss.

- Idź. Spieprzaj.

Bliss wyglądał na zaskoczonego.

- Tak po prostu?

Finch posłał mu zmęczony uśmiech.

- Tak po prostu. Skończyły mi się pytania. A ty i tak wskoczyłbyś w te swoje drzwi, zanim doprowadziłbym cię na drugą stronę zatoki. - Czuł, że za chwilę zwymiotuje. Nie wiedział, czy wtedy będzie potrafił zapanować nad sytuacją.

- To, że puszczasz mnie wolno, nie znaczy, że zapomniałem, co zrobiłeś z moją twarzą, Finch.

- Mogło być gorzej. Nie przychodź więcej do mojego mieszkania, bo cię zabiję. - Nie zbliżaj się do Sintry. Nie zbliżaj się do Rathven. Do nikogo.

- Zobaczymy się ponownie, kiedy ja będę tego chciał - odrzekł szpieg lodowatym, potępiającym tonem. - Nie wcześniej.

Finch się odwrócił. Naprawdę nie chciał patrzeć, jak Bliss odchodzi.

- Wiesz, że mógłbyś uciec - rzekł Bliss. - Mógłbyś po prostu zniknąć.

- Już kiedyś próbowałem. Nie udało się. Wciąż tutaj jestem.

Chwila ciszy. Potem odgłos jakby implodującej ciemności i krótki błysk zielono-złotego światła.

Bliss zniknął. W powietrzu unosił się zapach limety.

Finch zaklął i zadrżał, gdy coś sobie przypomniał: dłonie Bliss'a nie były zabandażowane. Wyglądały na zdrowe. Czyje rany goją się tak szybko, nawet z pomocą grzybów?

Pochylił się. Zwymiotował obficie na płyty dziedzińca.

Kiedy doszedł do siebie, ciężko usiadł na krawędzi fontanny. Całkowicie wyczerpany.

Zastanawiał się, jaki jest dzień tygodnia.

* * *

Zapukał do dziesięciorga drzwi. Troje z nich się przed nim otworzyło. Dopiero w ostatnim mieszkaniu znalazł działający telefon. Zdążył oddalić się o kilka przecznic od

dziedzińca. Błysnął odznaką. Wychudzona kobieta w kwiecistej sukience wpuściła go do środka, ale najpierw sprawdziła, czy nie widzi tego żaden z sąsiadów z piętra. Miała duże przekrwione oczy. Mogła mieć od czterdziestu do sześćdziesięciu lat. Na jej lewym ramieniu znajdowała się fioletowa narośl, jak olbrzymie znamię.

Wewnątrz łysy mężczyzna w skarpetkach, ale bez butów siedział na wiklinowym krześle naprzeciwko ściany w skromnie urządzonej salonie. Wpatrywał się w kiepski obraz przedstawiający plażę na Południowych Wyspach. Miał na sobie poplamiony biały podkoszulek i brązowe szorty.

Kobieta stanęła obok mężczyzny, kładąc mu dłoń na ramieniu w opiekuńczym geście, podczas gdy Finch oparł się o blat w kuchni.

Wykręcił numer posterunku. Numer Wyte'a. W słuchawce rozległ się dzwonek, potem drugi, dziesiąty. Finch wciąż czuł suchość w ustach i widział wszystko odrobinę nieostro. Miał brudną kurtkę. We włosach pełno piasku. Zapasowe buty Wyte'a zdarły się od kopania Blissa. W uszach słyszał dźwięk, którego nie potrafił zidentyfikować. Był zmęczony z niewyspania? Czy z powodu stresu?

Usłyszał trzask i po chwili pośród zakłóceń rozległ się głos.

- Stanowisko Wyte'a.

- Z kim rozmawiam? - spytał Finch.

- Z Blakelym. Kto mówi?

- Blakely? Tutaj Finch. Gdzie Wyte?

- Finch. Gdzieś ty się podziewał, do cholery?

Teraz się dowie.

- Tak długo mnie nie było?

- Cały przeklęty ranek. - Blakely sprawiał wrażenie roztrzęsionego i lekko pijanego.

Perwersyjna ulga. Stracił tylko pół dnia, może mniej.

- Musiałem sprawdzić pewien trop. Połączysz mnie z Wyte'em?

- Wyte'a nie ma. Przyszedł Heretyk. Był wściekły z powodu twojego śledztwa. Kazał Wyte'owi sprawdzić jakiś adres. To chyba ma związek z czymś w twoim raporcie. Wyte miał zabrać ze sobą Dapple'a. Biedaczysko.

- Psiakrew. - Oto skutki szczerości wobec Heretyka. - Jak dawno wyszli?

- Przed godziną. Może trochę wcześniej. - To znaczy, że wciąż może ich dogonić. Jest po właściwej stronie zatoki.

- Popłynęli łodzią?

- Tak. Zachodnim kanałem.

Jakie doświadczenie mają Wyte i Dapple w badaniu kryjówek buntowników? Takimi tropami zazwyczaj zajmują się Stronnicy i ich szpicle. W Finchu zapłonęły gniew i poczucie winy. Gniew na Starka, który przekazał im te informacje. Poczucie winy, ponieważ umieścił je w raporcie.

- Przypomnisz mi ten adres?

- Aleja Stroma numer 1829. Wyte kazał mi go zapisać.

- W porządku.

Skraj Dzielnicy Religijnej. Terytorium kontrolowane przez Dogghów. Wciąż toczyła się tam niewielka wojna pomiędzy lokalnymi powstańcami a szarymi kapeluszymi. Wojna, o której wszyscy zapomnieli. Albo szare kapelusze już nie uważały tego powstania za zagrożenie, albo wieże zajmowały całą ich uwagę. A może Finch po prostu wypadł z obiegu.

- Dapple i Wyte razem. To jak misja samobójcza.

- Co ty nie powiesz? Ale Heretyk się uparł; twierdził, że Wyte zna tamte okolice.

- Tylko dlatego, że pracował jako kierownik załadunku dla Hoegbottona. Dwanaście lat temu. Albo jeszcze dawniej.

- To nie ja ich tam posłałem - odparł z irytacją Blakely.

Trzaski w słuchawce zmieniły się w ryk, który wszystko zagłuszył, by po chwili ucichnąć.

- Blakely? Słyszysz mnie?

- Słabo. Były do ciebie dwie wiadomości. Jedna od kogoś o nazwisku Rathven. Druga od kobiety, która przedstawiła się tylko jako „S”.

- Co to za wiadomości?

- Masz do nich zadzwonić, to wszystko. Lepiej, żebyś wrócił na posterunek, i to jak najszybciej. Ludzie opowiadają dziwne rzeczy, na przykład, że wieże zostaną ukończone już w tym tygodniu. Wszyscy siedzimy jak na szpilkach.

Nie wiedziałem, że was to obchodzi.

- Najpierw muszę znaleźć Wyte'a.

- Jesteś idiotą - odparł Blakely, po czym się rozłączył.

Kobieta drgnęła. Posłała Finchowi oskarżycielskie spojrzenie. Wciąż trzymała dłoń na ramieniu mężczyzny.

- Teraz już pan pójdzie? - spytała. Nietrudno było się domyślić, że szare kapelusze albo Stronnicy skrzywdzili jej męża. Nic dziwnego, że teraz obwinała nieznanego z odznaką.

- Jeszcze jeden telefon i już mnie nie ma.

Przez chwilę patrzyła mu w oczy. Potem odwróciła się w stronę obrazu, jakby to było okno.

Finch wykręcił numer, który dała mu Sintra. Rathven mogła poczekać.

Po chwili w słuchawce rozległ się czyjś głos. Finch nie był pewien, czy to ona.

- Sintra?

- Finch?

- Tak.

- Finch. - W tym jednym słowie zabrzmiała ulga, lecz także coś innego, czego nie potrafił rozpoznać. - Martwiłam się. Poszłam do twojego mieszkania. Drzwi były otwarte. Ciebie nie było. Wszystko w porządku?

Czasami mniej do siebie mówili, gdy byli razem.

- Nic mi nie jest. - Poczuł ból w gardle. Dłoń trzymająca słuchawkę zdrząła. Nie, wcale nie czuł się dobrze. Był wyczerpany. Umierał z głodu. Wciąż starał się zrozumieć, jak mógł w mgnieniu oka stracić dwanaście godzin. Jakoś się trzymał, bo nie miał nikogo, na kim mógłby się oprzeć.

- Wróciłeś do domu? Kiedy zobaczyłam, że drzwi są otwarte, zamknęłam je.

- Dziękuję.

- Gdzie jesteś, Finch?

Gdzie jest? Kurczowo trzyma się liny bezpieczeństwa. Wcześniej zamierzał ją ostrzec, by była ostrożna. Ale teraz miał wrażenie, że rozmawia z kimś obcym. Jakiś głos w jego głowie powtarzał mu, by miał się na baczności. Jak Stark dowiedział się o Sintrze? A co, jeśli to ona mu powiedziała o Finchu? Czy to możliwe?

- Prowadzę dochodzenie.

- Ale dlaczego twoje drzwi były otwarte? W środku leżały poprzewracane rzeczy, jakby ktoś tam walczył.

- Później ci opowiem.

- Mogę przyjść dziś wieczorem?

- Jasne - odrzekł z zaciśniętym gardłem. - Zadzwoń tylko po to, żeby usłyszeć twój głos. Miałem ciężki dzień.

- Finch, naprawdę wszystko w porządku?

- Nie - odparł, postanawiając skoczyć na głębię. - Niezupelnie. Za chwilę wpakuję się w niebezpieczną sytuację w okolicach Dzielnicy Religijnej. Mamy sprawdzić pewien adres.

- No to nie idź. Po prostu nie idź.

- Muszę. Nie mam wyboru. - Zwłaszcza że jest tam Wyte, który ma za wsparcie tylko

Dapple'a.

- Przerażasz mnie, Finch - odrzekła Sintra.

- Teraz się rozłączę. Do zobaczenia wkrótce. Uważaj na siebie. - Trzask przerwane połączenia. Nie wiedział, czy go usłyszała.

Kobieta patrzyła na niego bez słowa. Nawet gdy jej podziękował. Nawet gdy zostawił na blacie talon na jedzenie szarych kapeluszy. Nawet gdy wycofał się na korytarz.

Jeśli w tym mieście choć na chwilę stracisz czujność, jesteś trupem.

2

Godzinę później Finch stał na grzbiecie wzgórza. Daleko w dole widział ciemnoniebieski kanał wijący się jak wąż. Dwóch detektywów w łódce. Powoli zmierzali na północny wschód. Finch znajdował się około trzystu stóp ponad nimi. Z tej odległości Wyte wyglądał jak duży cień z białą twarzą, a łódka jak pływająca trumna. Dapple był niewiadomą. Znaleźli się w niekorzystnym miejscu. Każdy mógłby ich stąd obserwować. Mieli szczęście, że robił to tylko Finch.

Pod jego stopami strome zbocze. Śmieci. Kamienie. Kawalki metalu. Cegły. Skamieniałe pyski kilku czołgów. Rozerwane gąsienice. Powywracane wagony kolejowe usiane bliznami i dziurami. Poszarpane, wysuszone skrawki ubrań, które kiedyś mogły być ludźmi.

Nad tym wszystkim unosiła się sucha woń, czasami zakłócana przez smród czegoś martwego, co jeszcze nie rozpadło się w proch. Finch już kiedyś się tutaj pojawił, ale wtedy było to zwykłe trawiaste zbocze. Przyjemne miejsce, w które zakochani mogli się wybrać na piknik. Nie wierzył, by jeszcze kiedyś mogło powrócić do tamtego stanu.

Pogoda się popsowała. Niebo poszarzało. Dziwny gorący wiatr chłostał odpadki na ulicach. Dmuchał Finchowi w twarz. Na północnym wschodzie: Dzielnicą Religijną. Odległe skupisko zniszczonych wież, iglic i kopuł. Otulone wielowarstwową mgiełką w kontrastowych odcieniach zieleni. Z daleka wyglądało jak senna wizja. Finch wiedział, że z bliska stanowi tylko blade wspomnienie dawnego Ambergris, miasta, którym niegdyś rządził kompozytor oper, przesyconego czerwienią i zielenią.

Kanał prowadził w głąb Dzielnicę Religijną, ale Wyte i Dapple będą musieli zejść na ląd znacznie wcześniej. Ich ceł znajdował się tuż przed granicą dzielnicy.

Finch wrócił wzrokiem wzdłuż kanału ku cywilizacji. Skupił się na serii szybko poruszających się kropek trzymających się jakieś dwieście stóp za łodzią. Mroczne postacie. Patykowate. Kościste. Chowały się za zaroślami porastającymi przeciwległy brzeg kanału. Stronnicy. Śledzili Wyte'a.

Finch z absurdalnym niedowierzaniem patrzył na historię rozgrywającą się przed jego oczami. Zaklął pod nosem. Wycelował w Stronników, ale byli za daleko. Opuścił broń.

Może Wyte wie o Stronnikach? Może zapewniają mu wsparcie? Nie. Blakely by o tym

wspomnień. Powiedziałby mu o Stronnikach. Pewnie wysłano ich, by się upewnić, że Wyte wykona zadanie. Czy jest z nimi tamten Stronnik, czy może nadal pilnuje zwłok w mieszkaniu?

Przez chwilę Finch stał nieruchomo na grzbiecie wzgórza pod szarym niebem. Z zazdrością obserwował krążącego sępa, który przecinał powietrze niczym ciemne ostrze.

Łatwo byłoby teraz zawrócić. Heretyk się go tutaj nie spodziewa. Wyte nie wie, gdzie Finch się podziewa. Później mógłby powiedzieć, że sprawdzał jakiś inny trop. Wrócić na posterunek. Zapomnieć, że cokolwiek widział. Zaczekać aż wróci. Jeśli wróci.

Bliss: Nie uratuje ci życia to, czego się dowiesz, ale to, gdzie stoisz... Nie powinieneś się przejmować mną ani tym, co robiłem. Powinieneś się martwić o siebie.

Śmiertelnie zmęczony. Głodny. Słowa Bliss'a wciąż krążyły mu w głowie. Długi upadek przez drzwi nadal pożerał jego siły. Finch obejrzał się w kierunku, z którego przyszedł. Potem popatrzył w dół na Wyte'a i Dapple'a. Przypomniawszy sobie, jak Dapple pewnego razu usiadł przy swoim biurku i wykorzystał chwilę wolnego czasu, by napisać kilka wersów poezji. Przypomniawszy sobie, jak Wyte szkolił go do pracy gońca w firmie Hoegbottona. Jego cierpliwość i serdeczność. Długie wieczory w ich domu, śmiech i żarty nie tylko z Wyte'em, ale i z Emily. Zanim nastał kres historii.

Teraz stał na szczycie góry śmieci, usiłując zrozumieć, jak się tam dostał.

- Pierdolę - powiedział w stronę sępa. W stronę fałszywego blasku Dzielnicy Religijnej. - Pierdolę was wszystkich.

Potem ruszył po skosie w dół zbocza. Starał się trzymać w cieniu i chować za śmieciami, by Stronnicy go nie zauważyli.

Czuł, że będzie musiał ciężko zapracować na szczęśliwe zakończenie.

* * *

Finch dogonił ich, gdy cumowali łódź do kołławej przystani pod kępą wierzb. Skryci w cieniu stłamszonego przez porosty, na wpół zatopionego kamiennego łuku, który obecnie prowadził donikąd. Woda w kanale lśniła metalicznym błękitem. Nic nie zaburzało jej powierzchni. Szara łódź miała cętkowany, ciastowaty wygląd, którego Finch tak nienawidził. Jakby była zbudowana z mięsa.

Nie odezwał się. Po prostu wyszedł z cienia drzew i oparł się o łuk. Czekał, aż Wyte go zauważy.

Wyte właśnie zakładał ostatnią pętlę liny na palik. Gdy zerknął w stronę Fincha, początkowo nie uwierzył własnym oczom.

- Finch?! - zawołał. - Finch. - Na jego zmartwioną twarz powoli i niepewnie wypłynął uśmiech. Szczera ulga złagodziła jego surowe rysy. - Dobrze znów cię widzieć.

Dapple wyskoczył z łodzi.

- Skąd wiedziałeś, gdzie nas znaleźć? - spytał ostro. Przepelniał go gniew zdesperowanego człowieka.

- Spokojnie. Blakely mi powiedział - odparł Finch. - Akurat byłem po tej stronie zatoki.

Ale twarz Dapple'a spochmurniała, gdy usłyszał nazwisko Blakely'ego. Teraz wyglądał na jeszcze bardziej zdenerwowanego. Poruszał się jak mysz albo szczur. Co chwila wstrząsały nim drgawki. Miał dwa pistolety, oba wydane przez szare kapelusze. Jeden trzymał w dłoni, drugi zatknął za pas. Był ubrany w za dużą pstrokatą zieloną koszulę oraz czarne spodnie wpuszczone w brązowe buty. Wyglądał jak lalka ubrana na wojnę.

Wyte jak zwykle miał na sobie obszerny, szczelnie zapięty płaszcz. Na czoło wystąpiła mu wściekle czerwona plama. Zakryła połowę jednego oka. Policzek. Podbródek. Wydłużyła i poszerzyła jego twarz. Sprawiała, że jego głowa przypominała element porowatego marmurowego popiersia. Na dłoniach miał czarne rękawiczki. Z rękawów płaszcza wystawały czerwone i białe nitki. Poruszały się samoistnie.

Wyte zbliżył się ciężkim krokiem i wyciągnął rękę. Popatrzył na Fincha z wdzięcznością, gdy uścisnęli sobie dłonie. Dłoń Wyte'a była silna, ale miękka. Jakby rękawiczka była pełna wilgotnego chleba. Finchowi udało się nie wzdrygnąć z obrzydzeniem, gdy poczuł, jak coś porusza się wewnątrz każdego z palców.

- Gdzie byłeś dziś rano? - spytał Wyte.

Dapple stał za nim, skryty w jego cieniu.

- Później ci opowiem.

- Może jednak teraz? - W głosie Wyte'a Finch usłyszał lęk.

- Nie - odparł stanowczo.

Wyte przez chwilę to rozważał. Wydawało się, że odmowa Fincha zbudowała między nimi mur. Obejrzał się na łódź, jakby chciał z powrotem do niej wsiąść.

- Czy Blakely zdradził ci, na czym polega nasze zadanie?

- Powiedziałem Wyte'owi, że powinniśmy. Powinniśmy uciec - wtrącił się Dapple. - Że to nas. To nas zabije. - Czasami Dapple przerywał w połowie zdania. Jak aktor starający się dopracować swoją kwestię.

- Posłuchaj, Wyte - rzekł Finch, ignorując Dapple'a. - Zszedłem ze szczytu wzgórza. Śledzą was Stronnicy. Trzymają się kilkaset stóp za wami. Teraz pewnie nas obserwują. Albo

rozpracowuje cię ich szpieg, Wyte, i wcale nie muszą nas obserwować.

Wyte się skrzywił. Dapple wpatrywał się w wodę, jakby się spodziewał, że coś z niej wyskoczy.

- Co zrobimy? - spytał, chociaż nie oczekiwał odpowiedzi.

- Zamknij się, Dapple - szepnął Wyte.

- Wykonamy naszą misję. Wrócimy żywi do domu. Jak zawsze. - Finch położył nacisk na „naszą”. Bolało go gardło. Wyte na pewno zrozumie, że Finch nie zszedłby ze wzgórza dla nikogo innego.

To nieważne, że już nie jesteś tamtym Wyte'em, którego pamiętam. Nagły błysk w oczach Wyte'a. Coś w nich zaśniło, po czym niemal natychmiast zgasło.

- Jak za dawnych lat - odparł z gorzkim uśmiechem Wyte. - Jak wtedy, gdy uczyłem cię, jak sobie radzić z kapitanami w porcie. - Jego głos sypał się jak zburzona ściana. Krawędzie słów się zacierały.

Finch był zbyt zmęczony, by przyjąć ten atak.

- Powinniśmy już iść.

Pragnął działania, by nie myśleć.

O niczym.

3

Mgiełka spowijająca Dzielnicę Religijną coraz bardziej się przybliżała. Nad nimi wznosiło się sztuczne bajkowe miasto w mieście. Nie widzieli śledzących ich Stronników. Tylko raz usłyszeli odgłos osuwającego się żwiru, a potem odległe przekleństwo.

Po okresie wspinaczki teren się wyrównał. Dotarli do długiego, wysokiego muru biegnącego równoległe do wyboistej drogi. Mur ciągnął się daleko przed nimi. W niektórych miejscach zawalił się i popękał, zupełnie jakby miał trudności z ujarzmieniem tego, co powinien trzymać w ryzach. Ponad murem przedostawał się zapach limety oraz bujna zieleń Dzielnicy Religijnej. Rozległy sojusz i zaślubiny grzybów z drzewami, jak zatrzymana w czasie ognista eksplozja. Kilka tuzinów dziur po pociskach. Czarniawe rozbryzgi krwi w miejscach, w których komuś zabrakło szczęścia. Pod tym wszystkim sploty grzybów. Ledwie widoczne. Promieniujące słabym zielonym blaskiem.

- Oto aleja Stroma - rzekł Wyte. - Byłem tutaj przed Powstaniem. Drzewa rosnące wzdłuż ulicy. Ładne domy. Bary, restauracje i sale balowe. Małe altanki, w których ludzie składali ofiary swoim bogom. Oddawali się ulubionej rozpuście, by za chwilę zmazać winy modlitwą. Między wojnami stały tutaj ładne latarnie z kutego żelaza oraz uliczne stragany.

Finch zmarszczył brwi. Wyte zazwyczaj nie lubił wspominać przeszłości.

Nie pozostało im nic innego jak tylko powędrować wzdłuż muru.

Ludzie pojawiali się w drzwiach domów. Opierali się o rdzewiejące latarnie. Stali na balkonach. Wszyscy mieli ciemną karnację i nosili dziwne nakrycia głowy. Patrzyli im prosto w oczy. Milcząco pytali przybyszów, co tutaj robią. Czasami stawali na rogach ulic w grupach po sześciu albo siedmiu. Finch, za każdym razem, gdy widział zgromadzenie składające się z więcej niż czterech osób, uznawał, że szare kapelusze muszą być zajęte czymś innym.

- Schowajcie odznaki - rzekł niespodziewanie.

Dapple trzymał swoją odznakę tak, by każdy mógł ją widzieć. Zaprotestował, nawet gdy Wyte posłuchał Fincha.

- Widziałeś tu jakichś Stronników? - spytał Finch.

- Nie.

- Widziałeś kogoś, kto przejmowałby się twoją odznaką?

Dapple nie odpowiedział.

- I nie zobaczysz - ciągnął Finch. - Nie tak blisko muru. Nie licząc tych, którzy nas śledzą.

Zapewne byli ciężko uzbrojeni. W grzybową broń. Maszerowali w zwartym szyku. Jeśli ich zadanie nie ograniczało się do śledzenia Wyte'a i Dapple'a, to po nich mogły nadejść także szare kapelusze.

Spod ziemi.

* * *

Pod numerem 1829 przy alei Stromej z muru sterczała kaplica. Kiedyś była skromnym dwukondygnacyjnym kościołem przykrytym srebrzystą metalową kopułą. Dziś kopułę pokrywały liczne plamy i porastała lśniąca miedziano-brązowo-bursztynowa pleśń, która mieszała się z morzem pełznących ku górze zieleni i błękitów. Kopuła miała małe zaokrąglone okna. Idealne do prowadzenia ostrzału.

Poniżej zielona i biała farba złuszczyła się z zaokrąglonych ścian, odsłaniając suche ciemne drewno. Na środku budynku zamontowano duże ozdobne podwójne drzwi. Po obu ich stronach znajdowały się wnęki, zapewne ślepe, przed nimi zaś wznosiła się fasada z arkadami.

Od bocznej ściany kaplicy do jej frontu sięgała przypominająca podkowę barykada zbudowana z sześciu albo siedmiu czołgów oraz worków z piaskiem. Czołgi tuliły się do siebie jakby spały. Stały tam co najmniej od siedmiu lat. Wypalone. Rozpadające się. Ze starymi insygniami Hoegbottona na bokach. Opanowały je delikatne śnieżnobiałe grzybki. Zielone kosmyki przypominające paprocie wyrastały z ich przerdzewiałych wieżyczek: tylko tyle pozostało z ludzi, którzy zostali wypłoszeni ze środka.

Niecałe sto stóp od wejścia do kaplicy i worków z piaskiem. Nie wiadomo, kto stanowił załogę czołgów. Nie wiadomo, kiedy to było. Wrogie armie oraz oddziały milicyjne maszerowały i uciekały przez te zniszczone tereny przez ponad czterdzieści lat.

Teraz nikogo nie było w zasięgu wzroku. Co również stanowiło jakiś znak.

- Kurewsko dobre miejsce na zasadzkę - rzekł Finch, gdy stanęli przed kaplicą. Za ich plecami, za czołgami i workami z piaskiem, znajdował się labirynt ulic. Spalone szkoły, mieszkania, porzucone firmy.

- Mnie też się tu nie podoba - odparł Wyte.

- A jeśli to test? Żeby sprawdzić naszą lojalność? - odezwał się Dapple. - A nie kryjówka buntowników.

- Zamknij się - rzucił Wyte. Przeniósł ciężar ciała z jednej nogi na drugą, jakby coś mu doskwierało. - Jeśli ktoś tam będzie, zadamy kilka pytań - powiedział do Fincha. - Postaramy się zdobyć trochę informacji, żeby zadowolić Heretyka. Potem wyjdziemy.

Finch pokiwał głową. Wiedział, że jeśli zastaną kogoś w budynku, to rozpęta się strzelanina, jeszcze zanim uda im się cokolwiek powiedzieć. Kryjówka buntowników. Trzej detektywi pracujący dla szarych kapeluszy, wpierani przez Stronników. Lepiej od razu oddać broń i prosić o łaskę. Być może.

Dapple był bliski łez.

- Powinniśmy stąd. Spieprzać.

- Zmieniłeś zdanie? To może zostać na zewnątrz - powiedział Finch. - Popilnujesz drzwi. Jeśli zauważysz coś podejrzanego, zajrzysz do środka i dasz nam znać. - Wierzył, że jako strażnik Dapple narobi mniej szkód.

- Mam tu zostać ze Stronnikami? - zaprotestował Dapple.

Finch sprawdził magazynek w półautomacie. Odbezpieczył broń.

- Zrobisz to, Dapple, i to z uśmiechem na ustach. Aha, jeszcze jedno. Nie próbuj uciekać. Znajdziemy cię.

- Wystarczy! - wtrącił się Wyte. - Miejmy to już z głowy.

Język śmiertelnie przerażonych ludzi.

Wyte włożył dłoń do olbrzymiej lewej kieszeni płaszcza. Tej z rozszerzającą się zaśnieżoną płamą. Tej, w której trzymał broń. Wszedł przez środkowe drzwi, a Finch podążył za nim.

* * *

W środku było ciemno i chłodno. Zaledwie kilka stóp dalej znajdowały się kolejne drzwi. Wyte otworzył je pchnięciem. Finch go ubezpieczał.

Gdy jego oczy przyzwyczyły się do mroku, Finch zbadał pomieszczenie. Woń wilgotnego, gnijącego drewna. Wysoki sufit, który sprawiał, że każdy krok odbijał się echem pod krokwiemi. Dwanaście podwójnych rzędów ławek prowadzących do podwyższonej drewnianej platformy otoczonej zdobioną, rzeźbioną poręczą. Dalej czerwone zasłony. Wsporniki żyrandola zwieszające się z sufitu. Jednakże samego żyrandola nie było. Po prawej stronie podestu kręte żelazne schody pięły się pod kopułę.

- Co to jest, do cholery? - odezwał się Wyte, wskazując palcem.

Gdy oczy Fincha przywykły do ciemności, zobaczył, że wzdłuż prawej strony podestu ciągnie się długi, niski przeszklony kontuar. Nie widział, co znajduje się w środku.

- Nie wiem.

Wyprzedził Wyte'a, przeszedł po dywanie i wspiął się na podest po stopniach z prawej strony.

Kontuar. Pod ubrudzonym szkłem leżały ręce i głowy. Ręce wyglądały jak protezy, ale głowy o pustych oczodołach wprawiły go w konsternację.

- Dlaczego w kościele? - zdziwił się Wyte.

Finch go uciszył.

Za kontuarem znajdowały się drzwi zakryte gobelinem przedstawiającym Manzikerta poskramiającego szare kapelusze.

Finch ruszył w stronę gobelinu, trzymając pistolet w pogotowiu. Wyte pokręcił głową. To zbyt niebezpieczne. Krok w nieznaną. Finch przytaknął.

Wyte wycofał się i skrył w cieniu po lewej stronie kontuaru. Wyciągnął broń z kieszeni. Z pistoletu wyciekły na płaszczyznę spirale ciemnego płynu. Finch przykucnął za kontuarem i wycelował w gobelin.

- Jest tam kto?! - zawołał. Na tyle głośno, by usłyszano go za drzwiami.

Coś upadło. Jakby słoik albo puszka.

- Jest tam kto? - powtórzył Finch. Jego serce przypominało drobne zwierzątko, które usiłowało się uwolnić, boleśnie obijając się o klatkę. Finch przekładał broń z ręki do ręki, na zmianę wycierając spocone dłonie o koszulę.

Za drzwiami panowała cisza, pełna napięcia i niepewności. Potem ktoś ostrożnie odsunął gobelin. Pojawiła się niska, szczupła kobieta.

Gdy stanęła za kontuarem, Finch podniósł się z bronią trzymaną przy boku. Wyte wyłonił się z cienia.

Kobieta miała siwe włosy mocno związane w kucyk. Była ubrana w bezkształtną niebieską sukienkę z czarnym paskiem. Miała mocno pomarszczoną twarz. Lewy kącik jej ust opadał, jakby kiedyś doznała udaru. Albo została ranna. Finchowi wydawało się, że widzi cienką bliznę przecinającą policzek.

- Proszę skierować swoją broń gdzie indziej, panie detektywie - powiedziała, patrząc na Wyte'a. Miała szorstki głos. Finch nie miał wątpliwości, że dowodzenie ludźmi nie jest jej obce.

Płyn cały czas skapywał na drewnianą podłogę. Finch nie wiedział, czy wypływa on z pistoletu, czy z ciała Wyte'a. Wyte opuścił broń.

- Kto powiedział, że jesteśmy detektywami? - odezwał się Finch.

Jej oczy miały kolor ostrza noża.

- To broń szarych kapeluszy.

- Prowadzimy dochodzenie w sprawie morderstwa - odparł Finch. - Tylko dlatego tutaj jesteśmy.

- Tylko? - powtórzyła.

Finch zastanawiał się, jakie zrobili na niej wrażenie. Wyte się przeobraża. On sam jest zmęczony i brudny. Na nogach ma gówniane buty.

- Jak się pani nazywa? - spytał Wyte.

Nie uzyskał odpowiedzi.

- Moglibyśmy panią zatrzymać i przesłuchać - dodał.

- Ale nie zrobią tego panowie, bo jestem starą kobietą - odpowiedziała szeptem. - A panowie są porządnymi ludźmi.

Wyte parsknął, tracąc cierpliwość.

- Noc w celi może pani rozwiązać język.

Spoglądała na Wyte'a, skupiając na nim spojrzenie jastrzębich oczu.

- Chce pan poznać moje nazwisko? Jane Smith.

Wyte otworzył usta. Ponownie je zamknął. Finch czujnie przyjrzał się Wyte'owi.

- Co tutaj robią te wszystkie części? - spytał kobietę.

- Prowadzę interes. Ludzie wypuszczani z obozów przychodzą tutaj, jeśli stracili nogę albo rękę.

- Albo głowę? - spytał Finch.

- Widzę, że pan swojej nie stracił, detektywie - odburknęła.

- Czy to pani jest Błękitną Damą? - spytał Wyte.

Finch wiedział, że Wyte żartuje, ale olbrzym już nie potrafił sprawić, by jego głos zabrzmiał wesoło.

Na chudej twarzy kobiety pojawił się wyraz niedowierzania. Zmarszczki przy oczach stały się bardziej widoczne. Zaniósła się śmiechem. Był to najbardziej szorstki i prymitywny rechot, jaki Finch kiedykolwiek słyszał z ust kobiety.

- Powinni panowie stąd odejść - powiedziała, gdy doszła do siebie. - Natychmiast.

- „Bellum omnium contra omnes” - rzekł Finch, kładąc na te słowa nacisk. Jakby chciał, by wywarły na nią fizyczny wpływ. Sam nie wiedział, co go podkusiło, by je wypowiedzieć. Wyte westchnął.

Kobieta szeroko otworzyła oczy. Jej policzki nabrały kolorów.

- Istnieje sposób - odpowiedziała. Zawahała się. Jakby popełniła błąd.

- „Bellum omnium contra omnes” - powtórzył Finch.

Twarz kobiety stężała.

- Chyba jednak nie wiem, o czym pan mówi.

- Myślę, że pani wie - odparł Finch. Nie podał właściwego odzewu, ale był blisko.

Wyte wyciągnął broń, minął Fincha i przystawił lufę do twarzy staruszki.

- Wyte... - rzekł Finch ostrzegawczym tonem.

- Nie, Finch - odparł Wyte. - Mam tego dosyć. Dosyć. Ona kłamie. Chcesz, żeby było tak samo jak z Blissem? Ja nie chcę. - Oparł lufę o czoło kobiety, aż płyn ściekł jej po twarzy. Zamknęła oczy i się skrzywiła.

- Nie wiem, co to oznacza. Naprawdę - powtórzyła.

- Wyte, w ten sposób niczego się nie dowiesz - rzekł Finch.

Wyte na chwilę odwrócił bladą, potworną głowę.

- Gówno prawda.

- Na litość Truffa, Wyte! Odlóż, kurwa, ten pistolet!

- Jeśli to zrobię, ona nas zabije - odparł Wyte. Broń ślizgała mu się w dłoni, ale wciąż mocno trzymał palec na spuście. - Nie czujesz tego? Zginiemy tutaj przez nią. - Mówił cicho i niewyraźnie. Jego ciało pod płaszczem zmagало się z jakimś strasliwym atakiem.

Kobieta zamrugła, po czym znów zamknęła oczy. Czekwała na strzał, a Wyte czekał na odpowiedź.

Finch wiedział, że nie zdąży dosięgnąć Wyte'a, nim ten ją zastrzeli. Sytuację uratował Dapple, który zawołał ostrzegawczo zza drzwi:

- Stronnicy!

Wyte popatrzył w stronę wejścia. Opuścił broń. Jednakże coś dziwnego pojawiło się w jego oczach. Coś obcego. Kobieta błyskawicznie się schyliła.

Przednia część kontuaru eksplodowała w obłoku pyłu i szczątków.

Siła wybuchu rzuciła Fincha na poręcz, a Wyte'a powaliła na jedno kolano. Jego pistolet potoczył się po podłodze. Kawałek drewna otarł Finchowi lewą rękę. W uszach dzwoniło mu od huku eksplozji. Przez pozostałości kontuaru dostrzegł wielką jak armata broń, która spowodowała te zniszczenia. Była osadzona na metalowym stojaku.

Kobieta skoczyła w stronę spiralnych schodów. Wołała do kogoś na górze. Finch, kaszląc, wystrzelił w jej kierunku, ale trafił tylko w stopnie u jej stóp. Po chwili staruszka zniknęła w ciemności.

Wyte znalazł swoją broń i zaczął się przemieszczać w stronę schodów. Finch ruszył za nim i złapał partnera za rękaw płaszcza.

- Kurwa. Poczekaj.

- Poczekać, Finch? Poczekać? - Wyte próbował wyrwać się z jego uścisku. - Psiakrew, ona ucieka!

Odgłos strzałów. Dobiegający ze szczytu kaplicy. A także tupot wielu par nóg na schodach za drzwiami przesłoniętymi gobelinem.

- Nie! Nie słyszałeś Dapple'a? Nadchodzi cała pieprzona armia.

- Cholera. - Wyte przestał się wrywać.

Pobiegli z powrotem po dywanie. Minęli ławki.

Grad pocisków uderzył w zewnętrzne ściany kaplicy. Rozległ się stłumiony krzyk Dapple'a.

Gwałtownie zatrzymali się przed podwójnymi drzwiami.

Finch popatrzył na Wyte'a. Wyte odwzajemnił spojrzenie. Wiedzieli, że myślą o tym samym. Lepiej być na zewnątrz ze Stronnikami, niż utknąć tutaj z buntownikami.

Finch usłyszał, że ktoś odsuwa gobelin, akurat w chwili gdy wypadli na zewnątrz przez podwójne drzwi. Na światło dnia. Potknęli się o Dapple'a, który leżał na plecach w piachu pomiędzy drzwiami a arkadami. Miał nieruchomą twarz. Trafił go grzybowy pocisk. Jego lewe ramię już stawało się czarne. Szyję pokrywały zapętlone ciemnoczerwone żyły, które upodabniały go do obscenicznej mapy. Zaczynały nim wstrząsać konwulsje. Miał nieobecny wzrok. Mamrotał coś zaślinionymi ustami. Jego pistolety leżały obok.

Finch zauważył Stronników ukrytych za workami z piaskiem, pomiędzy czołgami. Były ich tuziny. Blade oblicza. Ciemne ubrania. Celowali w szczyt kaplicy, a strzelcy wyborowi zasypywali ich pociskami z góry.

Na chwilę zamarł, utknąwszy między dwoma złymi wyborami. Nie wiedział, kto trafił Dapple'a.

Potem obok niego rozległ się ryk. To ryczał Wyte. Stał wyprostowany, nie dbając o to, czy dostanie kulkę. Finch widział, jak Stronnicy przemieszczają się tam i z powrotem pomiędzy swoimi schronieniami. Błyskały ciekące lufy.

- Wyte, nie! - Ale było już za późno. Wyte zaczął do nich strzelać i nie zamierzał przestać. Pociski przeszywały pył. Uderzały w kamienne arkady.

Stracili szansę na porozumienie. Teraz musieli uciec sprzed frontowych drzwi.

- Wyte! Chodź! - Finch pchnął go w kierunku wnętrza po ich prawej stronie. Wlekł za sobą Dapple'a, który milczał na skutek szoku. Wyte cały czas strzelał, oszalały pod wpływem presji. Drażnił się ze Stronnikami. Wyśmiewał ich. W oczach roztrzęsionego Fincha ich skonsternowane blade oblicza wyglądały jak smugi tłuszczu.

Pomiędzy wnątką a przeciwległą arkadą było wystarczająco dużo miejsca, by Dapple i

Finch mogli się schować przed ostrzałem.

Jednakże Wyte całkowicie się zatracił, co zaczynało przerażać Fincha. Grzybowy pocisk wbił się w ramię olbrzyma, bezustannie odpowiadającego Stronnikom ogniem. Pocisk po prostu utknął w ciele, które go wchłonęło.

Finch oddał w kierunku Stronników dwa strzały. Półautomat szarpnął jego ręką. Pojawił się kwaśny zapach dymu. Żaden ze Stronników nie upadł. Finch miał około dziesięciu pocisków w pistolecie. Kolejne magazynki w kieszeniach.

Ale i tak zostaliby podziurawieni jak sito. Nagle podwójne drzwi się otworzyły. Buntownicy zaczęli strzelać do Stronników. Zza drzwi. Z kopuły.

Wyte wepchnął do pistoletu kolejną porcję lepkich grudek, które wyjął z prawej przedniej kieszeni. Nie przestawał strzelać. Hałas był nie do zniesienia. Pociski Wyte'a po trafieniu wydawały głuchy odgłos odbijający się echem. Pociski z broni Fincha uderzały w cel z trzaskiem. Strzały Stronników przypominały dźwięki drewna pękającego w ogniu. Wokół unosiła się stęchła metaliczna woń grzybowej amunicji.

Jeden ze Stronników krzyknął. Potem kolejny. Finch, który opierał się plecami o ścianę i osłaniał Dapple'a, miał tylko częściowy widok na pole bitwy.

Grzybowy pocisk uderzył w piach po ich prawej stronie, w sporej odległości. Czerwone żyły rozpełzły się po ziemi. Szukały. Tropiły. Zatrzymały się obok jaszczurki, która wygrzewała się na słońcu, nieświadoma zagrożenia.

- Co się dzieje, Wyte?! - zawołał Finch, przekrzykując zgiełk.

- Zabijam ich, kurwa! Wszystkich pozabijam! - ryknął Wyte.

Konwencjonalny pocisk uderzył go w bok głowy, pozostawiając krwawy ślad, odrywając kawałek miękkiego ciała. Olbrzym ponownie ryknął, tym razem z bólu. Skierował broń w lewo, ku buntownikom bądź kolejnym Stronnikom. W odpowiedzi spadł na niego grad pocisków, który zmusił go do chwilowego poszukania schronienia. Finch strzelał na oślep. Starał się mierzyć wysoko, ale też nie za wysoko.

Twarz Wyte'a lśniła. Wytrzeszczał oczy o rozszerzonych źrenicach; uśmiechał się.

- Postrzały nie bolą - powtarzał. - W ogóle nie bolą.

- W końcu cię zabolą, do cholery! - Finch ponownie strzelił.

Dapple dostał konwulsji. Krew pociekła mu z ust. Pozbawione życia oczy skierowały się ku niebu.

- Kurwa.

Finch chwycił Wyte'a za rękaw koszuli. Przyciągnął go do siebie. Bładozielona twarz. Fioletowy język. Oczy jak czarne kulki, w których tkwią złote larwy. Pocisk wbity w lewy

policzek. W kształcie monety. Jak osobliwe znamię.

- Wyte! Musimy się stąd wydostać. Rozumiesz?

Wydawało się, że Wyte budzi się ze snu. Ślina pociekła mu z ust.

- Przebijemy się przez Stronników - powiedział, nie przestając strzelać z pistoletu trzymanego w wyprostowanej prawej ręce. Pociski uderzały go w bok. Finch słyszał, jak wbijają się w ciało i zostają wchłonięte. - Za nimi jest uliczka. Jeśli pobiegniemy wzdłuż głównej ulicy, będziemy martwi. Ale jeśli szybko przedrzemy się przez ich szyki...

- Niby jak mamy to, kurwa, zrobić?! - krzyknął Finch.

- Pójdę przodem i będę cię osłaniał. - Zniecierpliwiony Wyte niemal warknął na Fincha.

- Własnym ciałem? - odparł z niedowierzaniem Finch. - To szaleństwo.

Wyte wyszczerzył się do niego, jednym okiem zerkając na ulicę.

- To wszystko i tak jest popieprzone. Jedno więcej szaleństwo nie zrobi różnicy. Zaufaj mi, Finch.

- Zginiesz, jeśli tego spróbujesz - odparł Finch.

- Nie, nie zginę. - Wyte jeszcze nigdy nie był taki pewny siebie.

Wirujący pocisk wbił mu się w udo. Wyte nawet nie drgnął. Finch uśmiechnął się ponuro.

- Kocham cię, Wyte. - Zrozumiał, że to prawda.

Wyte odpowiedział uśmiechem, jak za dawnych czasów przed Powstaniem.

* * *

Gdy Finch później wspominał te wydarzenia, w jego umyśle pojawiała się chaotyczna mieszanka krzyków, wrzasków i latających pocisków. Bieg jak najbliżej za plecami Wyte'a i potykanie się o coś, co spelzało z jego nóg. Wyte wyskakujący ze schronienia, odrzucający płaszcz, by ukazać ciało, które stało się czymś innym. Ogrodem grzybów. Ręce rozdymające się w jaskrawe fioletowo-czerwono-pomarańczowe skrzydła. Nogi zagubione w zielono-niebieskich szelfach, równinach i iglicach. Plecy szerokie, szalenie silne i szare. Głowa nadspodziewanie wydłużona i rozszerzona. Gdy biegł, z jego ust wydobywał się wysoki krzyk, który przerażał Fincha i rozkrwawiał uszy Stronnikom.

Pociski. Wyte przyjmował je jak podarunki. Rozrywały jego kończyny, grzęzły w tułowiu. Pozostawiały dziury, które przepuszczały światło słońca, po czym się zasklepiały. Biegając w cieniu tej wspaniałości, słysząc, jak krzyk Wyte'a ponownie zmienia się w ryk podczas szturm na fortyfikacje Stronników, Finch czuł się tak, jakby podążał za jakimś

bogiem, a jego własna broń, z której strzelał w kierunku kaplicy, by trzymać buntowników na dystans, wydawała się zaledwie zabawką.

Głos Wyte'a brzmiał niezrozumiale i dziwacznie. Gardłowo i zwierzęco. W tych chwilach nie pozostało w nim nic z człowieka. Tylko raz obejrzał się na Fincha, by się upewnić, że ten nadal za nim biegnie. Skolonizowane białka oczu. Źrenice niczym uwięzione. Uwięzione na zawsze we własnym ciele.

Przez chwilę wydawało się, że Wyte użyczył Finchowi swojego wzroku, gdyż Finch widział nadlatujące pociski. Zupełnie jakby się unosił. To była ekstaza lub jakieś dziwaczne niebo. Zaskoczone blade oblicza Stronników, gdy Wyte wdzierał się na ich stanowiska. Próbował wyprzedzić coś, czego nie dało się wyprzedzić. Macki wyrastające z piersi Wyte'a wrywały się do przodu, by przebijać wrogów. Płacząca lufa jego broni raziła ich w nogi i głowy. Szarżując, deptał ich twarze. Grzybowe oczy wciąż trzaskały, choć ciała leżały martwe. Nawet ostrzał buntowników stał się chaotyczny pod wpływem szoku wywołanego nowo objawioną chwałą Wyte'a. Potwora.

Potem wszystko runęło i Finch znów znalazł się we własnej skórze. Ostatni rzut oka ukazał mu szaleńczy obraz ludzi poległych, upadających, strzelających i biegających z nieprawdopodobną szybkością. Tak bardzo się od nich oddalili, docierając do labiryntu uliczek, że postrzegali ich jako sylwetki zepsutych, miotających się lalek.

Finch zdał sobie sprawę, że wrzeszczy tak samo jak Wyte. Jednocześnie łzy spływały mu po twarzy. Strzelał za siebie jeszcze długo po tym, jak wróg rozplynał się w oddali i przeszłości.

4

Bez tchu. Obolały. Z potłuczonym bokiem. Obok Wyte'a, za którym coś wlekło się po gruzowisku. Czekać na strzał w tył głowy, który nigdy nie nastąpił. Pośród ostrej woni zużytej amunicji. Odpoczynek w cieniu łuku. Łódka wciąż unosząca się na kanale. Ciemnoszare niebo.

Wyte jeszcze nie otrząsnął się z tego, co go opętało. Jego gładki głos był podszyty mocą.

- Jak przez pszenicę. Jak przez papier. Przedzierać się. Po prostu przez nich biec - mamrotał.

Finch wybełkotał coś w odpowiedzi. Rozradowany. Serce nadal tłukło mu się w piersi.

Twarz Wyte'a odzyskała dawny wygląd, skóra zasklepiła się nad pociskami. Znów wyglądał na wymizerowanego i osłabionego. Jednakże Finch cały czas widział, jak jego partner zabija Stronników.

Wyte zapiął trenecz. Podarta podszewka zwisała do ziemi. Płaszcz był zachlapany błotem. Zachlapany krwią. Było w nim około tuzina dziur po pociskach. Przez otwory wyglądały kapelusze małych pomarańczowych grzybków. Kolejne przebiły się przez tkaninę. Obok guzików przecisnęły się fioletowe grzyby badające teren.

- Wyte, Dapple nie żyje - odezwał się Finch.

- Wiem. Widziałem. Wsiadaj do łodzi.

Finch wszedł do łódki i usiadł. Mocno się przytrzymał, gdy Wyte odcumował łódź i do niej wskoczył. Udało mu się dokonać tej trudnej sztuki, nie wywracając przy tym łódki. Usiadł naprzeciwko Fincha. Łódź sunęła po rzece w kierunku, z którego przybyła. Jakby za sprawą czarów.

- Ocaliłeś mi życie, Wyte - powiedział Finch. To była prawda. Potworna prawda. Wpatrywał się w Wyte'a z podziwem. Siła jego partnera objawiła się w niewiarygodny sposób.

- Ale nie Dapple'owi - odparł Wyte. - Dapple nie żyje. A ja czuję się pokonany i poobijany.

Czy Wyte już minął punkt bez odwrotu? Z kołnierza jego płaszcza wysuwały się kolejne byty, które skolonizowały jego ciało. Wylewały się z nogawek spodni. Wystrzeliwały

czerwono-zielonymi wzorami z jego butów. W powietrzu unosił się przytłaczający słodki smród. Zapach zepsucia.

- Nie wracaj na posterunek - powiedział Finch. - Nie dzisiaj.

- Posłano nas na śmierć, prawda? - spytał rzeczowym tonem Wyte. Za moje grzechy.

- Może nie - odrzekł Finch, myśląc o Stronniku stojącym nad ciałem Shrieka. Pouczającym go, że Stronnicy widzą więcej niż szare kapelusze. - Może to wszystko się rozpada. Na naszych oczach. Wszystko.

Wyte wydał z siebie wilgotny odgłos przypominający gdakanie. Usiłował się zaśmiać.

- Czyż nie rozpadło się już dawno temu?

Finch wiedział, że Wyte ma na myśli swoją żonę, dzieci, domek, w którym kiedyś razem mieszkali.

Nie chciał tego roztrząsać, więc zerknął w stronę szczytu wzgórza. Każdy mógłby ich stamtąd zastrzelić. Każdy.

- Zostań w domu. Kiedy to rozgryzę, od razu do ciebie zadzwonię.

Wyte ponownie pokiwał głową i oklapł na ławce. Jego twarz oblał dziwny zielono-złoty blask.

Albo ty zadzwonisz do mnie. Finch powstrzymał dreszcz.

Obraz rozmazywał mu się przed oczami. Zbyt wiele rzeczy musiał w sobie tłamsić. Za każdym razem, gdy myślał, że zapanował nad jedną sprawą, kolejna wyrywała się na powierzchnię.

Długa cisza. Na bełkoczących ustach Wyte'a pojawił się uśmiech.

- Wiesz, Finch, wydaje mi się, że znacznie się zbliżyliśmy do rozwiązania tej sprawy.

Zdziwione spojrzenie Fincha. Powstrzymany uśmiech.

- Tak, Wyte. Oczywiście. A teraz odpocznij. Prześpij się. Ja będę stał na straży.

Wyte pokiwał głową. Zamknął oczy.

Jakiś płatek wylądował na ramieniu Fincha. Potem kolejny i jeszcze jeden. Finch podniósł wzrok i stwierdził, że pada śnieg. Śnieg w Ambergris.

Gdy obserwował białe płatki spadające z nieba, nagle ogarnęło go przeczucie. Obejrzał się i zobaczył, że biała kopuła najdalszego obozu zniknęła, a zastąpiła ją kłębiąca się biel. Zarys tego, co było kiedyś. Finch zrozumiał, że opadają na nich kawałki grzybów.

Po chwili zaczął padać deszcz: duże, ale nieliczne krople. Finch strząsał je mruganiem z oczu. Wreszcie się roześmiał. Pełną piersią. Obnazając zęby.

„Śnieg” wciąż padał. Osiadał na obwisłej twarzy Wyte'a. Roztopiał się. Wnikał w ciało.

5

Kiedy Finch wrócił do hotelu, zasypiał na stojąco. Tylko płonące bólem lewe ramię nie pozwalało mu stracić przytomności. W prawym rękawie kurtki widniała dziura po kuli. Dostałby, gdyby był grubszy. Czuł ostry ból w kostce, gdy wspinał się po schodach do holu. Burczało mu w pustym brzuchu, mimo że kupił trochę żałośnie wyglądających śliwek. Na kredyt. Grożąc sprzedawczyni, która wyłożyła je na tarasie jak Bosun prezentujący swoje rzeźby. Zjadł owoce w drodze do hotelu. Powoli.

W środku minął Fotografę. Mruknął coś na powitanie. Fotograf tylko zmierzył go wzrokiem.

Tobie też wszystkiego najlepszego.

Skręcił w lewo na dziedzińcu i zszedł po schodach. Zatrzymał się przed drzwiami Rathven. Zapukał.

Drzwi otworzyły się powoli, niechętnie. Wydostał się zza nich długi klin światła. Kiedy Rathven podniosła wzrok na Fincha, wydawało mu się, że w jej oczach dostrzega błysk tajemnej wiedzy, którą dzielili.

Jej twarz stężała.

- Czego chcesz? - Jedną rękę trzymała za plecami, coś ukrywając. Miała na sobie zgrzebne spodnie i koszulę, które upodabniały ją do żołnierza nieregularnej armii.

- Dzwoniłaś do mnie, pamiętasz?

Przez chwilę jakby się nad tym zastanawiała, próbując ocenić, czy Finch kłamie. Wydawało się, że nie pamięta, by do niego dzwoniła.

- Mogę wejść? - spytał z naciskiem Finch.

- Nie. To znaczy, nie teraz. Koszmarnie wyglądasz. Co ci się stało? Na korytarzu czuł się obnażony.

- Po prostu mnie wpuść - powiedział, popychając drzwi. Sprawdzał, czy ustąpią. Sprawdzał, czy ona ustąpi. - Pewnie, że źle wyglądam. Miałem ciężki dzień.

- Zostań tam, gdzie jesteś - odparła Rathven. Była silniejsza niż na to wyglądała. Drzwi nawet nie drgnęły. Może czymś je zablokowała. - Jesteś pijany? - spytała.

Pokręcił głową, zaskoczony pytaniem.

- Nie, oczywiście, że nie. Przynajmniej powiedz mi, dlaczego dzwoniłaś. - Miał

wrażenie, że do jego nóg przytwierdzono kamienne bloki. Świat rozmywał mu się przed oczami. Słowa wypowiedane przez Rath docierały do niego zarazem szybko i powoli. Nie czekał na jej wahanie. - Tylko nie mów mi, że to nic ważnego. Widzę, że stało się coś złego. Nie jesteś sobą.

Płomień w jej piwnych oczach. Pogardliwe ułożenie ust. Sztywna postawa.

- Dziwisz się? - prychnęła. - Ty też nie jesteś „sobą”. Nie wiem, kim jesteś. Pracujesz dla szarych kapeluszy, ale pomagasz mi wydostać kogoś z obozów. Pomagasz ludziom w tym budynku, ale w ciągu dnia wychodzisz i robisz Truff wie co. Dla nich. Dla nich. Masz dobry nastrój. Masz zły nastrój. Ponury. Nieobecny. Nagle przyjacielski. Lubisz kawę, a za chwilę herbatę. Dlaczego nie miałabym być nieufna?

Jej słowa spadły na niego jak cios. Korytarz zawirował mu przed oczami.

- Muszę usiąść - powiedział. - Jeśli będę zmuszony, usiądę tutaj. - Mdłości powróciły. Znow zobaczył Blissa i tunel, którym spadali. Trzymanie się ramion Blissa uczyniło to wspomnienie prawdziwym i trudnym do odpędzenia.

- Przynosisz mi listy - ciągnęła Rathven. - Listy martwych ludzi. Każesz mi je sprawdzać, a potem okazuje się, że prowadzisz śledztwo w sprawie morderstwa kogoś, kto nie mógł być żywy. Taka wiedza to duże brzemie. Myślę sobie, że może wcale nie prowadzisz dochodzenia. Może po prostu oszalałeś.

Każde słowo było jak kawałek liny, której Finch próbował się przytrzymywać, spadając. Lina wyślizgiwała mu się z dłoni. Parzyła skórę.

Zobaczył zbliżającą się podłogę, a potem sufit w górze, gdyż udało mu się wylądować na plecach. Jego ramię było jak pokruszone szkło. Dłoń drapała podłogę. Zwinął się w kłębek w ciemności. Ale, na szczęście, nie była to ciemność Blissa. Tutaj nic nie ważył. Nie czuł mdłości. Nie docierały do niego żadne myśli.

Poza pierwotnym pytaniem: co Duncan Shriek robił w tym mieszkaniu?

* * *

Widma perlistego światła na nierównej powierzchni belek pod sufitem. Odzyskał przytomność we własnym mieszkaniu, na kanapie. Na stoliku obok jego głowy stała lampka. Rathven pochylała się nad nim i go obserwowała. Na stole pomiędzy nimi leżała jej broń. Stary poobijany rewolwer. Ciężki. Sprzęt, który z bliskiej odległości wyrwałby mu serce i odrzucił go na drugą stronę pokoju. Tego Finch się po niej nie spodziewał. Obok pistoletu leżały zwinięta lista Heretyka oraz *Shriek: Posłowie* i *Cinsorium i inne historyczne baśnie*.

Finch z trudem usiadł.

- Jak długo byłem nieprzytomny?

- Tylko kilka minut.

Przyszła mu do głowy nagła podejrzliwa myśl.

- Jak mnie tutaj przeniosłaś? - Sięgnął po swoją broń. Znalazł ją na miejscu. Spróbował elegancko zamaskować ten gest. Za późno. Kiedy podniósł wzrok, zobaczył, że Rathven znów zmarszczyła brwi.

- Czego się boisz? - spytała. - Że jestem bardzo silna czy że miałam współnika? A może, że cię zastrzelę?

- Nie, po prostu...

- Mój brat pomógł mi cię tutaj przynieść.

Finch pokiwał głową i przeciągnął dłonią po twarzy. Skóra na jego dłoni przypominała łuski jaszczurki. W głowie słyszał szum fal.

Powoli zdał sobie sprawę, że jego mieszkanie wygląda jakoś inaczej. Początkowo myślał, że ma problemy ze wzrokiem. Ale nie: książki leżały porozrzucane po podłodze. Obrazy były połamane lub krzywo wisiały na ścianach. Ktoś poprzewracał meble. Także kuchnia została wywrócona do góry nogami. Finch skrzywił się pod wpływem bólu w ramieniu.

- Psiakrew, Rathven. Co się tutaj stało?

- Nie wiem. Tak to wyglądało, kiedy weszliśmy. Ostatnio po hotelu kręciło się zbyt wielu nieznajomych. Jak myślisz, dlaczego teraz noszę przy sobie broń?

- Wcześniej tego nie robiłaś? - Zignorował spojrzenie, które mu posłała. - Muszę się umyć.

- Zaczekam.

Sprawdził stół w sypialni, na którym trzymał mapy. Leżały na podłodze. Nakładka była podarta i naznaczona śladem buta. Czyżby przez Stronnika? Tego, którego nienawidził? Chociaż po cichu na to liczył, nie zauważył go podczas szarży Wyte'a.

Mapa, którą otrzymał od ojca, była nienaruszona. Wciąż leżała na stole. Pościel na łóżku rozgrzebano. Poduszki na podłodze, ściągnięte prześcieradło. Na materacu widniały ślady noża.

Przez chwilę się nad tym zastanawiał. Potem poszedł do łazienki. Pysznic nie działał. Cienka strużka wody nad zlewem. Powoli zdjął ubranie. Trzeszczały mu kolana, jak staruszkowi. Umył się myjką. Cierpliwie czekał na wodę. Była zimna. Orzeźwiająca. Dużo piachu. Zwłaszcza na stopach. Włożył czyste ubranie. Tę samą kurtkę. Pomimo dziury po kuli. Znalazł jakieś skarpetki i stare buty. Wreszcie poczuł się jak człowiek. Jednakże

wymizerowana twarz w lustrze wyglądała na pokonaną. Wpatrywały się w niego nieznajome oczy.

Gdy wrócił do salonu, Rathven właśnie zmiatała potłuczone szkło w kuchni. Zdążyła już poodkładać na półki dużą część książek.

- Rath, nie musisz tego robić.

- Zgadza się, nie muszę - odparła, nie przestając zmiatać.

Ktokolwiek zdemolował mieszkanie, nie tknął zapasów whisky. Finch znalazł szklaneczkę i nalał sobie solidną porcję. Alkohol palił go w ustach. Oczyść mnie. Skrzywił się, gdy poczuł napięcie w ramieniu. Mogło być gorzej. Mógłby dostać w prawe ramię. To by mu przeszkadzało w posługiwaniu się pistoletem. Albo szablą.

Zdrową ręką podniósł i ustawił krzesło. Usiadł, spoglądając na Rathven krzątającą się w kuchni. Podziwiał ją za to, że potrafiła się skupić na zwyczajnych czynnościach.

- Widziałas Dzikusa? - spytał.

- Nie. Na pewno wystraszył się tego, co się stało.

- Czy drzwi były otwarte, kiedy mnie przynieśliście?

- Nie, zamknięte. Na klucz. Musiałam wziąć klucze z twojej kieszeni.

Zamknięte na klucz? Jak to możliwe?

- Znasz człowieka nazwiskiem Ethan Bliss? - Musiał o to zapytać.

Rathven na chwilę przestała zmiatać.

- Bliss? Nie.

Nie przekonała Fincha.

- Ethan Bliss. Niższy ode mnie. Ciemne oczy. Przed Powstaniem mogłaś go znać jako zwolennika Frankwrithe'a i Lewdena... To on był w moim mieszkaniu wczoraj w nocy.

Tylko że wtedy nie miał czasu go zdemolować.

Żadnej reakcji. Co także stanowiło pewnego rodzaju reakcję.

- Biliśmy się - kontynuował Finch. - Po części właśnie dlatego tak wyglądam.

Rathven oparła się o miotłę. Jej oczy się zwięzły.

- A jak on wygląda?

- Nie rozumiem...

- Bo nie wiem. Nigdy go nie widziałam.

- Nigdy? Przed Powstaniem był potężnym człowiekiem w obozie Frankwrithe'a.

- Nie.

Trudno było ją przejrzeć. Dlatego czasami kusiło go, by poprosić szare kapelusze o jej teczkę. Powstrzymywał jednak to pragnienie. Nie chciał, by Heretyk spytał go o powód.

- Podejrzewasz mnie? - spytała cicho. Wydawało się, że chce dodać: „po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłam”.

- Nie, oczywiście że nie. - Rozpaczliwie szukał jakiegoś wytłumaczenia. - Chciałem cię prosić o przysługę. On ma kilka pseudonimów, które muszę sprawdzić.

Poszukał kartki. Zapisał „Graansvoort” i „Dar Sardice”.

Tak naprawdę nie potrafił sobie wyobrazić, by Rathven mogła go skrzywdzić. Przynajmniej nie celowo. Podejrzewał, że coś ukrywa. Ale to nie musiało mieć nic wspólnego z jego osobą. W tym mieście każdy miał jakieś tajemnice.

Popatrzyła na nazwiska na kartce.

- To wszystko staje się coraz bardziej skomplikowane, Rathven. Ciężko mi to ogarnąć.

- Bardziej skomplikowane niż Duncan Shriek?

- Znacznie bardziej.

Drzwi, które były czymś więcej niż drzwiami. Wyte, który stał się czymś więcej, a zarazem mniej od człowieka. Niespodziewanie miasto przekształciło się w kilka miast. Czas w kilka czasów. Jakby spoglądał na swoją mapę oraz nakładkę i nagle zrozumiał, że potrzebuje więcej nakładek, by ujrzeć prawdziwe Ambergris.

Zapewne nie potrafił ukryć konsternacji, bo Rathven posłała mu półuśmiech. Jakby wyciągała rękę na zgodę.

- Niedługo skończę. Wtedy powinieneś się przespać.

W mieszkaniu, które Bliss może odwiedzić, kiedy tylko przyjdzie mu na to ochota?

Usiłował odwzajemnić uśmiech.

- Dlaczego zadzwoniłaś? Tak naprawdę? - Zachwiał się. - Dwie wieże. *Strasz Heretyka*. Nieprawdopodobna szarża Wyte'a. Dapple rozciągnięty na piachu. Martwy.

Patrzyła mu w oczy tak długo, że poczuł się nieswojo. Jakby chciała mu przekazać coś, czego nie mogła wypowiedzieć na głos.

- Sintra przyszła do hotelu dzisiaj rano.

- Wiem. Mówiła mi.

- Powiedziała ci, że przyszła do mnie?

Finch nagle oprzytomniał.

- Nie...

- Powiedziała ci, że pytała o twoje śledztwo?

- Rozmawialiśmy tylko chwilę przez telefon. - Już zaczynał wznosić barykadę z kamieni, worków z piaskiem i wraków czołgów.

- No cóż, właśnie tak było, Finch - odparła Rathven. - Pytała mnie o śledztwo.

Rozmawialiśmy o nim.

- Powiedziałaś jej o Shrieku? - spytał z niedowierzaniem.

Rath odpowiedziała beznamiętnym, martwym głosem. W jej oczach nie było ani cienia wesołości.

- Nie. Już o nim wiedziała.

* * *

Dzikus zaczął drapać w drzwi mniej więcej dziesięć minut po wyjściu Rathven. Szalał, gdy Finch otwierał zamki. Rozpaczał z powodu przegapionego posiłku. Że też na świecie jest miejsce dla takiej niesprawiedliwości. Wbrew sobie Finch się uśmiechnął.

Zamknął drzwi na klucz za Dzikusem. Ponownie wpełchnął oparcie krzesła pod gałkę. Nałożył kotu podwójną porcję jedzenia. Potem położył się na kanapie i zmusił do spożycia paczki prowiantu szarych kapeluszy. Paczka była porowata. Jej obrzmiała zawartość miała fioletowy kolor. Smakowała jak cebula, sól i kurczak. Finch wiedział, że nie ma z nimi nic wspólnego.

Z zadowoleniem powitał zmęczenie. Opróżniało jego głowę z myśli. Utrudniało roztrząsanie niewyobrażalnych kwestii. Rano wróci na posterunek. Wszystko wyjaśni. W jakiś sposób. Mieszkanie wciąż wyglądało koszmarnie, ale zastał je w znacznie gorszym stanie. Finch miał szczerą nadzieję, że to Bliss wrócił, by dokończyć dzieła. Bo jeśli nie, to oznaczało, że Stark zwiększył presję. Albo na scenie pojawił się jakiś nieznany gracz.

Był zbyt zmęczony, żeby spać. Nalał sobie kolejną szklaneczkę whisky. Usiadł i wziął ze stołu *Shrieka: Posłowie* oraz *Cinsorium i inne historyczne baśnie*. Siedział naprzeciwko drzwi wejściowych; obok lewej nogi położył pistolet. W razie konieczności mógł po niego łatwo sięgnąć. Gdy siedział, ramię mniej go bolało.

Cinsorium wyglądało na streszczenie teorii Duncana Shrieka. Zaczął czytać, ale po chwili odłożył książkę. Potrzebował czegoś, co pozwoliłoby mu lepiej poznać charakter Duncana.

Zaczął kartkować *Shrieka: Posłowie*. Od razu zauważył, na czym polega koncept książki: głos Duncana w nawiasach komentujący opowieść Janice o rozbitej rodzinie i pierwszej wojnie pomiędzy Domami. Przeskoczył na koniec, przeczytał posłowie redaktora. Zniknięcie Duncana. Zniknięcie i możliwa śmierć jego siostry. Maszynopis znaleziony w pubie, który zapewne został zalany albo zburzony wiele lat temu. Uwagi nabazgrane przez Duncana na stronicach książki. Czyli wciąż żył, gdy Janice zaginęła.

Finch wrócił na początek. Prześledził rozwój i upadek Duncana jako historyka,

zwolennika niekonwencjonalnych teorii dotyczących szarych kapeluszy. Niemal wszystkie z nich okazały się prawdziwe. Potem obsesja na punkcie studentki w akademii, gdzie wykładał historię. Długi, nieszczęśliwy romans. Duncan zmienił się w prześladowcę. Został zdyskredytowany. Stał się niewiarygodny. Finch ominął opis rozwoju kariery Janice w świecie sztuki. Ona go nie interesowała. Wydała mu się denerwującą narratorką. Ukrywała informacje, kłamała, zwlekała z wyjawieniem prawdy. Wszystko po to, by szkodzić i naginać fakty. Jak wyjątkowo zręczny przesłuchiwany.

Finch stopniowo zaczynał rozumieć tragiczne życie Duncana. Widział, jak blisko sukcesu był Shriek. Mógł się stać kimś w rodzaju proroka. niesprawiedliwość jego losu przemawiała do Fincha. Szokowała go świadomość utraconej szansy. Odrzuconej drogi. Prowadzącej do Ambergris, w którym Duncan Shriek byłby podziwiany, a do Powstania nigdy by nie doszło. Albo zostałyby powstrzymane. Przerazało go, że w ciągu ostatnich stu lat tak naprawdę nic się nie zmieniło. Domy toczyły kolejne wojny. Miasto było bardziej podzielone niż kiedykolwiek. Pozostałoby podzielone, nawet gdyby szare kapelusze jutro zniknęły.

To wszystko wydawało się przygnębiająco znajome, a jednak Finch wyraźniej niż wojnę zapamiętał krótkotrwały okres pokoju. Niezależnie od tego, jak bardzo starał się go zapomnieć. Lepsze życie. Lepsza droga.

Przeglądał notatki na marginesach, szukając odpowiedzi na pytanie, dlaczego Duncan pojawił się martwy w mieszkaniu, w którym mieszkał sto lat wcześniej. Znalazł wzmiankę o przeprowadzce w celu uniknięcia szarych kapeluszy. Kolejną wzmiankę o pracy przewodnika i mieszkaniu przy placu Trilliana. To miejsce zostało zniszczone na długo przed Powstaniem. Finch zastanawiał się, czy nieliczne dzieci dorastające w mieście w ogóle wiedzą, kim był Trillian.

Była jeszcze obsesja Shrieka na punkcie Manzikerta. Na punkcie Ciszy. Oraz Samuela Tonsure'a, mnicha, który towarzyszył Manzikertowi podczas podziemnych wędrówek i choć nigdy nie wrócił, to jego dziennik - będący po części zapisem pechowej ekspedycji, a po części zbiorem bredni szaleńca - pojawił się sześćdziesiąt lat później.

Byłem już pewien, że dziennik stanowi zagadkę, zapisaną jakimś szyfrem, osłabionym i rozcieńczonym, który ledwie daje się wyczuć w jednolitym kolorze tuszu kopii, monotonnej sterylności czcionki.

Jeden z cytatów z książki, z której korzystał Duncan, zatytułowanej *Odbicie światła w*

wiezieniu, niepokojąco współgrał z obrazem pustynnej fortecy z wizji wywołanej przez bulwę pamięci Shrieka.

Tam, gdzie wschodnie rubieże Imperium Kalifa rozplywają się w niezdobytach górach, zrujnowana forteca Zamilonu stoi na straży czasu i gwiazd. Wewnątrz fortecy... truffidiańscy mnisi strzegą ostatniej prawdziwej strony słynnego dziennika Tonsure'a.

Czyżby Zamilon był miejscem, które ukazało mu się w wizji? Przeczytał także o podziemnych wyprawach Duncana śladami Tonsure'a.

Potrafiłem zamaskować się przed szarymi kapeluszami, ale nie przed ich sługami - sporami, pasożytami, małutkimi kapeluszami, grzybami i porostami. Odnajdywały mnie i przenikały do mojego wnętrza - czułem ich macki, mięsiste-suche-zimne-ciepłe nibynóżki, rzęski i nitki, które powoli wsuwały się pod moją skórę niczym setka małych dłoni. Usiłowały przekształcić mnie na własne podobieństwo.

Tak jak Wyte'a. Kilka stron dalej fragment, który Janice zaczerpnęła z dziennika Duncana. Opowiadający o drzwiach. O wejściu. Opis z czymś się Finchowi kojarzył, tak że w głębi duszy czuł, że powinien uważnie go przeczytać.

Maszyna. Szkło. Lustro... Jednakże ona nie działa poprawnie. Nie działa od samego początku, odkąd ją zbudowano. Zawodzi jakaś część, mechanizm, równowaga - coś, czego nie rozumieją... Jej powierzchnię mącą widma obrazów, jakby raz za razem bezmyślnie ścieranych nieostrożną dłonią drobiazgowego i niecierpliwego artysty. Olbrzymia smagana wiatrem pustynia, ospała pod ciężarem swych wydm. Niezmacony ocean, którego powierzchnię zakłócają jedynie cienie wiszących nad nim chmur, a woda ma tak doskonały turkusowy odcień, że aż rani oczy... Miejsca, których - o ile tylko istnieją na świecie - nigdy nie widziałeś, nigdy też nie słyszałeś o ich istnieniu. Nigdy... Po kilku dniach twoje spojrzenie zaczyna błędzić i tracić ostrość, a ty powoli mrugasz i na samym dole lustra zauważasz drzwi... Odległość dzieląca cię od nich jest nieskończona. Ta odległość jest tak niewielka, że mógłbyś sięgnąć i ich dotknąć.

Ominął kilka stron. Natrafił na miejsce, w którym Janice relacjonowała swoją rozmowę z bratem.

Duncan: Drzwi w Maszynie nigdy nie otwierają się do końca.

Janice: Co by się stało, gdyby się otworzyły?

Duncan: Uwolniłyby się.

Janice: Kto?

Duncan: Szare kapelusze.

Janice: Od czego by się uwolniły?

Duncan: Usiłują przedostać się w jakieś inne miejsce, ale nie potrafią. Maszyna nie działa. Mimo swoich możliwości i tego, kim są, nie umieją sprawić, by ich lustro, ich szkło zadziało prawidłowo.

I jeszcze na temat Ciszy:

Źle cię uczono. To się nie wydarzyło. Było inaczej... Oni zniknęli, nie pozostawiając po sobie nawet kropli rozlanej krwi. Nawet kawałka kości. Nie. Nie zostali zabici. Przynajmniej nie bezpośrednio. Spróbuj sobie wyobrazić inną odpowiedź: nagły błąd w obliczeniach, nieudany eksperyment, usterka Maszyny. Wszyscy ci ludzie. Całe dwadzieścia pięć tysięcy. Mężczyźni, kobiety, dzieci - oni nie umarli. Zostali przeniesieni. Drzwi otworzyły się na sposób, którego szare kapelusze nie oczekiwały, nie mogły oczekiwać, i wszyscy ci ludzie zostali omyłkowo przeniesieni. Maszyna zabrała ich w jakieś inne miejsce. Owszem, być może umarli, może nawet straszliwą śmiercią, ale dążę do tego, że to był wypadek. Pomyłka. Potworny błąd.

Ponadto wzmianka o symbolu, który znalazł na odwrocie kartki: „Byłem pewien, że Manzikert I spowodował Ciszę swoimi działaniami poprzedzającymi założenie Ambergris. Samuel Tonsure w jakiś sposób skatalogował i wyjaśnił naturę szarych kapeluszy podczas swojego uwięzienia pod ziemią”.

W całej książce Janice jak refren powtarzała pewne stwierdzenie. Choć niewykluczone, że były to słowa Duncana. „Nikt się nie wywinie”. A pod koniec, gdy Duncan najwyraźniej ponownie zaginął pod ziemią, napisała następujące zdanie: „Być może istnieje jakiś sposób”. Coś podobnego odpowiedziała mu kobieta w kaplicy, gdy wyrzucił z siebie

słowa „bellum omnium contra omnes”.

Nikt się nie wywinie. A jednak: Być może istnieje jakiś sposób. Janice uważała, że to metafora. Że Duncan odnosił się do sfery ducha. Ale może mówił dosłownie.

Finch nie mógł przestać myśleć o słowach zapisanych na skrawku papieru w dłoni Shrieka: „Nie zaginie”. Jak hasło i odzew. Istnieje sposób. Nie zaginie. Czy właśnie tak powinien był odpowiedzieć kobiecie?

Bezwiednym ruchem pogłaskał Dzikusa, który wskoczył mu na kolana i zaczął ocierać się łebkiem o jego klatkę piersiową. Wychylił kolejną szklaneczkę whisky. Alkohol zaczynał znieczulać mu ramię. Ponadto pomagał odpędzić zmartwienia.

Finch uporczywie powracał do faktów.

Mężczyzna, którego ostatnio żywego widziano przed stu laty, pojawia się martwy w mieszkaniu, które kiedyś zajmował. Razem z nim zjawia się martwy szary kapelusz, który został przecięty na pół tak zręcznie, jakby zabito go w rzeźni.

Martwy mężczyzna to Duncan Shriek, niegdyś zdyskredytowany historyk i badacz podziemi. Stark, as wywiadu ze Stockton, uważa, że w mieszkaniu ukryto broń buntowników, ale znajduje się tam tylko ciało Shrieka.

Stark zabija wszystkich ludzi Blissa, lecz jego samego pozostawia przy życiu. Bliss wędruje po mieście za pomocą drzwi, które nie są drzwiami - drzwiami, przez które wychodzi się w przyszłość.

Shriek, który znajduje się w centrum tego wszystkiego, twierdził, że szare kapelusze zbudowały drzwi prowadzące do innego miejsca, a Cisza była skutkiem awarii.

Finch wyjął zdjęcie Shrieka, które dał mu Stronnik. Zerknął także na fotografię na obwolucie *Cinsorium i innych historycznych baśni*. Wcześniej dokładnie się im nie przyglądał. Zresztą, teraz również tego nie zrobił. Na obu zdjęciach widniały jasne i ciemne plamy, które otaczały mężczyznę z zamkniętymi oraz otwartymi oczami.

Kim on jest? Kim był?

Zamknięte Oczy miał grzybową brodę. Surową twarz. Ogorzałą, jak ktoś, kto zbyt często wystawia głowę na wiatr. Dobrze się trzymał jak na swoje lata. Otwarte Oczy miał krótko przystrzyżoną zwyczajną brodę. Lekko naiwne oblicze. Uśmiech zdradzający zbyt wiele zadowolenie z siebie. Wygląd przyszłego męczennika.

Zamknięte Oczy uśmiechał się jak człowiek, który ma jakąś tajemnicę.

6

Obudziła go nagle zmiana ułożenia cieni. Niejasno zdał sobie sprawę z czyjejś obecności. Usłyszał odgłos przypominający tysiąc cichych wystrzałów. Śniło mu się, że zszedł w głąb dziury za zasłoną na posterunku. Do podziemia. Znalazł tam szare kapelusze. Leżały na boku ze zwieszonymi głowami. Jak śpiące rybiki. Heretyk i *strasz* odpoczywali na materacu z wijących się paproci. Finch chciał do nich dołączyć, ale od razu zamienił się w obłok spór. Był jednocześnie wszędzie i nigdzie.

Bolała go głowa. Czuł, że ma opuchnięte usta. Słyszał huk ulewy. W ciemności obok jego łóżka klęczała kobieta.

- Sintra.

Jej skóra pachniała trawą i wodą. Chciał się w nią zapaść. Chwycić ją tak, jak chwycił Blissę, gdy razem spadali w ciemność. W tej chwili nie dbał o to, co mu powiedziała Rathven.

Niestety, nie potrafił rozszyfrować wyrazu jej twarzy. Czujność pomieszana ze smutkiem. To sprawiło, że się powstrzymał.

- To mógłby być każdy - powiedziała. - Jesteś zbyt ufny.

- Ale to nie jest każdy. - Drażnił się z nią.

Sintra wstała i upuściła coś na łóżko. Finch to podniósł. Zapasowy klucz do jego mieszkania.

- Zatrzymaj go. - Próbował go jej oddać.

- Nie - odparła.

Zmarszczył brwi, ale nie cofnął ręki z kluczem.

- Należy do ciebie, nie do mnie. - Zdenerwowała go. Zakłóciła jego spokój. Są różne rodzaje drzwi.

- Ktoś włamał się do twojego mieszkania - odpowiedziała. - Nie chcę, żebyś mnie podejrzewał. Zatrzymaj klucz. Może później go odbiorę.

Finch zapalił lampkę stojącą przy łóżku. Teraz mógł ją wyraźnie zobaczyć. Biała bluzka, która odsłaniała krągłość piersi. Czarne spodnie i stylowe buty, które musiała kupić dawno temu. Do tego ciemnozielony trencz do kolan. Cały czas ten sam wyraz twarzy. Niemal ponury. Niemal zagniewany.

Opuścił rękę. Klucz w jego dłoni wydawał się zimny i mały. Finch poczuł się słaby,

gdy pomyślał, że Sintra się go pozbywa.

- Jesteś pewna? - Nie mógł bardziej zaryzykować.

- Tak - odparła i skrzyżowała ręce na piersiach.

Wstał. Wyciągnął rękę, by dotknąć jej włosów. Odsunęła się.

- Co się stało?

- Nie chcę tutaj zostać. Chcę wyjść. - Nie patrzyła na niego.

A więc to tak. Wiedział, że nie może jej zatrzymać.

- Dobrze, a więc wyjdziemy.

- Ty nie musisz - odrzekła, jakby nagle straciła pewność siebie. Myślała, że Finch zrozumie. Ale on był niespokojny. Dotychczas wychodzili razem dopiero dwukrotnie.

- Ale chcę. - Nie kłamał. Chciał się wydostać do świata. Nawet jeśli ten świat był całkowicie popieprzony.

- Mogę iść sama.

Dotknął jej twarzy jednym palcem, odgarniając kosmyk włosów. Chciał poczuć miękkość jej policzka. Przyciągnął ją do siebie. Pocałował w czoło.

- Ubiorę się i wyjdziemy. Dokąd tylko zechcesz. Nieważne jak daleko.

Nie chciał jej męczyć szczegółowym opisem swojego dnia. Wyte wyskakujący z ruin rozkładu swego ciała, by ocalić ich obu. Szaleńcza szarża w poszukiwaniu bezpieczeństwa. „Śnieg” opadający na nich obu. Pełen cierpienia świat, który chciał pozostawić za sobą.

- Pójdziemy dokąd tylko zechcesz - powtórzył, ubierając się w sypialni. Wściekle. Jakby nic go nie obchodziło. Zdawał się na nią. W mieszkaniu i tak nie będą bezpieczni. Ściana w każdej chwili może się stać portalem. Można umrzeć i umierać bez przerwy przez sto lat.

Wrócił do salonu i ostentacyjnie wsunął pistolet do kabury. Objął Sintre, pomimo bólu. Otworzył drzwi. Dzikus wyskoczył przez szparę i zniknął.

Równie ostentacyjnie zamknął za nimi drzwi kluczem Sintry.

- Wyglądasz na wypoczętego - powiedziała, gdy schodzili. - To dobrze.

Wcale nie czuł się wypoczęty. Już nie.

* * *

Sintra: „Dziś w nocy odbywa się czarnorynkowe przyjęcie. Pójdziemy tam. Znam drogę. Zresztą pojawią się drogowaskazy”.

Noc naznaczona pośpiechem. Tocząca się w niebezpiecznym tempie. Na niebie w pewnej odległości: zielone wieże, podświetlone niczym lśniącą festiwalową wystawą.

Wznosiły się niemożliwie wysoko. W innym mieście i innym czasie ich nieczyste rozmazane światło mogłoby się wydawać romantyczne.

Deszcz utrudniał szukanie drogowskazów, które zresztą wcale ich nie przypominały. Linia namalowana białą farbą w rynsztoku. Odprysk światła nagle wydobywający się zza drzwi. Słowa wymamrotane przez pijaka leżącego na rogu ulicy. W nocy świeciła tylko połowa latarni. Jednakże całe niebo otulała i zalewała pulsująca mglista poświata. Grupy obszarpanych uciekinierów z obozów wyglądały jak szare smugi. Zapach dymu i silna woń kwaśnych perfum, którą wydzielaly kwitnące grzyby o wyglądzie jasnoniebieskich kielichów. Nie mieli parasoli. Zbyttnio przypominały kapelusze grzybów.

Tulili się pod markizami. Przebiegali przez otwarte dziedzińce. Przywierali do ścian budynków. Rozchlapywali kałuże. Odprężyli się na tyle, by się z tego śmiać. Jak dzieci. Jakby Powstanie nigdy się nie wydarzyło. Jakby ona nigdy nie oddała klucza.

Weszli na most nad kanałem. Światła z obu stron skręcały i opadały kaskadami przez wodę marszczącą się w dole. Stali tam przez kilka minut. Deszcz zelżał. Teraz nadciągał falami, pomiędzy którymi panował spokój. Noc zrobiła się chłodniejsza.

Wziął ją za rękę. Przyjrzał się jej przemoczonym włosom i policzkom wilgotnym od deszczu. Pragnął jej. Bardzo. Jednocześnie miał ochotę zapytać: „Skąd wiedziałaś o Duncanie Shrieku?”.

- To niemal zwyczajna noc.

- A jak wygląda całkowicie zwyczajna? - Uśmiechała się. Lekko.

- To taka noc, gdy moje mieszkanie nie zostaje dwukrotnie zdemolowane.

- Jak myślisz, czego chcieli?

- Pewnie pieniędzy. - Nie potrafił na nią patrzeć, gdy kłamał. - A co u ciebie? - spytał.

- Miałam zwyczajny dzień. - Uśmiechnęła się do niego, pokazując prawie idealne zęby. Finch zastanawiał się, czy Sintra korzysta z typowej dla Dogghów znajomości ziół.

Nie mógł już dłużej wytrzymać.

- Sintro, czym ty się właściwie zajmujesz? - Cóż za obcesowe pytanie. Przecięło powietrze jak grzmot.

Przyjrzała mu się uważnie. Światło promieniujące od kanału odbijało się w jej oczach. Na dnie mogło leżeć wszystko, od zgniłych liści po martwe ciała.

- Mogę być każdym, Johnie - odparła. - Mogę być kimś, kto bardzo ci się nie spodoba.

- Może mam o tym większe pojęcie niż ci się wydaje.

- Nie. Nie masz pojęcia. A co, jeśli mam troje dzieci? Jeśli jestem wyszkoloną zabójczynią? Jeśli jestem prostytutką? - Szybkim ruchem odebrała mu broń i w niego

wycelowała. - Jeśli jestem kimś, kto chce cię zabić?

Cofnął się o krok, zasłaniając się rękami. Był zbyt zaskoczony, by zrobić coś więcej.

Sintra błyskawicznym ruchem nadgarstka podała mu pistolet rękojeścią do przodu.

- Celna uwaga - odpowiedział. Przyjął broń. Przełknął ślinę. Z trudem.

- Może powinnam powiedzieć, że szpieguję dla buntowników. Chyba to najbardziej przypadłoby ci do gustu? Tylko dlaczego to takie ważne? Dlaczego teraz?

- Nie wiem - odparł Finch. Ale wiedział. Oddała mu klucze. Podczas gdy wszystko wokół niego się sypało.

Stali naprzeciwko siebie. Jak przyjaciele albo wrogowie.

- Co chciałbyś wiedzieć? - spytała. - I dlaczego?

- To, co możesz mi powiedzieć - odrzekł Finch. Coś, co uczyni cię bardziej rzeczywistą.

Popatrzyła na połyskującą wodę.

- Wierz mi, lepiej dla ciebie, żebyś nie wiedział. Nic z tego, co mogę ci zdradzić, nie pomoże ci bardziej niż to, co już masz w głowie.

- Co się stało? - spytał. - Co tak naprawdę cię dręczy?

Nie mrugnęła ani się nie odwróciła. Ale także nie odpowiedziała. Po prostu ujęła go za rękę.

- Nadal chcesz za mną pójść?

* * *

Poprowadziła go obok opuszczonej fabryki rozświetlonej jak płonący okręt. Niczym element wyjęty z Kosy. Okna śliskie od deszczu. Finch podszedł bliżej i zobaczył, że budynek skolonizowały grzyby czerwone jak neon. Dwie ulice dalej Stronnicy pokrzykiwali i z kogoś drwili. Mignęły mu dwa cienie, które mogły być szarymi kapeluszami. Oto część ryzyka związanego z poszukiwaniem nielegalnego przyjęcia. Zupełnie jakby robili coś niebezpiecznego. Finch przez cały czas trzymał dłoń na rękojeści pistoletu.

Wreszcie znaleźli budynek o rozsadzonym dachu. W środku ściany całkowicie pokrywało lśniące graffiti. Finch już dawno stracił orientację. Zaufał Sintrze.

Towarzyszył im ciężar i odgłosy deszczu. Ociekali wodą, ale o to nie dbali. Wszyscy byli przemoczeni.

- Kiedyś to był teatr - wyszeptała Sintra, zbliżając się do Fincha. - Widziałam tutaj przedstawienie o życiu Vossa Bendera. Wybrałam się na nie z tatą, gdy miałam czternaście lat. Potem kupiliśmy lody od ulicznego sprzedawcy i poszliśmy na długi spacer do parku.

Wokół było mnóstwo ludzi. Piękny wieczór. Wtedy chyba po raz pierwszy elegancko się ubrałam. Mama była chora, więc z nami nie poszła, ale opowiadałam jej o wszystkim przez całą noc.

- Przestań - rzucił Finch.

- Rok później ponownie wybuchła wojna i park zniknął. Ludzie już nie mogli spacerować ulicami. Było zbyt niebezpiecznie. Mama wyzdrowiała, ale tata stracił rękę po trafieniu grzybowym pociskiem. Długo nie mógł pracować, wpadł w depresję. Był dziennikarzem. Zdawałam sobie sprawę ze swojego pochodzenia, ale dopiero wtedy dowiedziałam się o nim czegoś więcej, gdyż ojciec postanowił wrócić do korzeni. Myślę, że w ten sposób próbował znów stać się całością.

- Przestań - powtórzył Finch. Każdy szczegół coraz bardziej ją od niego oddalał.

- A ty, Johnie? Co ty chciałbyś mi powiedzieć? Jest coś takiego? - W jej głosie pobrzmiwała mieszanka goryczy i współczucia. Może nawet czułość.

- Nie.

- Poczuleś się lepiej czy gorzej, gdy ci to wszystko opowiedziałam?

Prowokowała go, by na nią popatrzył. Ale on nie chciał.

- Gorzej - przyznał z rezygnacją.

- Ponieważ nie możesz mi się zrewanżować - odparła. - Ponieważ mi nie ufasz. Nikomu nie powinienesz ufać.

Ponieważ wtedy przestałabyś być tym, kim chcę, żebyś była. Objęła go.

- Teraz rozumiesz? - szepnęła mu do ucha. - Jesteśmy samotni, Johnie, nawet kiedy jesteśmy razem. - Pocałowała go w policzek.

Nie chciał tego, ale przyjął pocałunek.

- Lepiej poszukajmy przyjęcia. - Miał ochotę się napić. Wielką.

* * *

W dół po schodach. Korytarzem ogołoconym ze szczegółów. Im głębiej, tym więcej światła. Gazowe lampy. Gołe żarówki. Migoczące świece wzdłuż trasy ich wędrówki.

Z półmroku zaczęli się wyłaniać ludzie. Całujące się pary. Uliczni fryzjerzy zapędzeni do środka. Mężczyzna opierający się o ścianę i sprzedający cygara. Kolejni handlarze. Winem. Narkotykami. Jedzeniem. Słodyczami. Garnkami i patelniami. Zegarkami. Tkaninami. Zapach czegoś pikantnego.

Finch kupił butelkę wina za trzy racje żywnościowe szarych kapeluszy. Sprzedawca wyjął korek. Finch podał butelkę Sintrze. Łyknęła po męsku, roześmiała się i przyciągnęła go

bliżej, jakby przepraszająco. Pocałowała go z języczkiem. Poczł każdy nerw w swoim ciele. Odsunęła się, podała mu butelkę i wyszeptła:

- Czyż to nie lepsze od słów, Johnie?

Upił duży łyk. Wino było słodkie, bogate w smaku. Ekspłodowało w zetknięciu z kubkami smakowymi. Zaczynało krążyć w jego ciele. Miało gorzki posmak, ale nie dbał o to. Naprawdę nie dbał.

W dół po kolejnych schodach. Odgłosy przyjęcia na zmianę stłumione i jazgotliwe. Jakby się zbliżali, a potem oddalali. Dotarli do drzwi zakrytych czarną płachtą. Niski mężczyzna o niewyraźnym, zachrypniętym głosie i brudnych czarnych włosach przyjął od nich zapłatę: trzy strąki z jedzeniem i scyzoryk, który przyniosła Sintra. Wpuścił ich do światła.

Podniesiona platforma wznosząca się nad olbrzymim pomieszczeniem, które kiedyś zapewne służyło jako magazyn. Teraz wypełniały je setki osób, których głosy, choć przytłumione, brzmiały ogłuszająco. Salę otaczały szare łuki. W razie czego jakakolwiek obrona była niemożliwa.

Z każdego łuku zwisały lampy olejne dające miękkie światło, które odpędzało ciemność, ale tworzyło głębokie cienie. W powietrzu unosiła się woń potu.

W lewym narożniku w głębi sali grał zespół muzyczny. Wiolonczela. Bęben sporządzony z pokrywek od kubków na śmieci. Stary akordeon. Obok ludzie wymieniali się kartkami. Pewnie opowiadaniem, wierszami, rysunkami. Szarych kapeluszy to nie obchodziło, ale Stronników owszem. Kilku milczących, potężnych mężczyzn stało na obrzeżach tłumu. Pewnie bramkarze zatrudnieni przez handlarzy.

Finch pociągnął kolejny łyk wina. Ostatnio widział tyle ludzi na tak małej powierzchni, gdy miał czternaście lat i ojciec zabrał go na przyjęcie zorganizowane przez wicekróla z obozu Frankwithe'a, trzy miesiące po podpisaniu zawieszenia broni z Domem Hoegbottona. Męczył się wtedy w ciasnym garniturze. Ojciec przedstawił go wszystkim dygnitarzom, a później, gdy ci byli zajęci, Finch zakradł się do komnat wicekróla i zabrał dokumenty, których potrzebował ojciec.

Niewiele myśląc, przyciągnął do siebie Sintrę, objął ją ramieniem za szyję i położył dłoń na jej piersi. Odwróciła się w jego stronę.

- Schodzimy?! - krzyknęła mu do ucha.

Pokiwał głową i razem zanurzyli się w chaosie. Uspokajał ich, chociaż widzieli jego pretensjonalność i tandetę. Finch był zbyt dobry w odgrywaniu ról, by nie zauważyć, że ktoś inny udaje.

Rozpaczliwy, niemal histeryczny taniec kobiet. Twarze unoszące się ku nim jak maski w półmroku. Niepewny rytm zespołu. Jakby w każdej chwili do sali mogli wtargnąć Stronnicy. Wszyscy obficie raczyli się alkoholem. Pośpiesznie, na zapas.

Więcej wina. Kolejny pocałunek od Sintry. Wydawało mu się, że na jej twarzy dostrzega desperację. A może to była rezygnacja?

Przedostali się na drugą stronę sali, do zespołu. Dołączyli do tańczących. Wpadli na nich mężczyzna i kobieta, oboje bez koszul. Ponownie zniknęli w wirze rąk. Kolejna para, tuląca się i tańcząca wolno do szybkiej piosenki. Ostry zapach jakiegoś narkotyku. Przypominał kadzidło. Otaczające ich ciała stały się jak jedno ciało, by po chwili rozpaść się jak kończyny w kryjówce buntowników. Głowy. Nogi. Ręce. Wyte szarżujący na Stronników.

Finch potrzebował więcej wina. Dla nich obojga. Ludzie się do nich uśmiechali. Znali wspólny sekret. Życie może być piękne. Jeśli tylko uda ci się wystarczająco oddalić od siebie samego. Porzucić. Zapomnieć.

Piosenka się skończyła. Tak jak poprzednia i jeszcze wcześniejsza. Ale tym razem Sintra powiedziała: „Chodź za mną” - po czym poprowadziła go za rękę w ciemność bramy, gdzie zgasła lampa. Nagły dotyk zimnego kamienia. Po drugiej stronie znajdowały się pomieszczenia przypominające katakumby. Blask przyjęcia osłabł. Stłumiony. Tutaj mężczyźni i kobiety łączyli się w pary. Jęki, szepty, niespodziewane gorąco.

Znaleźli kawałek wolnej ściany za rogiem. Dopili wino. Upuścili butelkę, która pękła i odturlała się na bok. Sintra zaczęła rozpinąć swoją białą bluzkę, w oczach miała dziki blask. Finch jej pomagał, ulegając rozpaczliwej potrzebie. Ustami dotknął jej piersi. Językiem pieścił delikatny brązowy sutek. Potem wyprostował się i pocałował ją w usta. Westchnęła. Rozpięła mu spodnie. Jego fiut pulsował, gdy ujęła go w dłoń. Z ust Fincha wyrwało się długie westchnienie. Wplótł palce w jej włosy.

Oparł ją o ścianę. Ściągnął jej spodnie. Wsunął pod nią rękę, ignorując ból ramienia. Wślizgnął się w jej ciasną wilgoć. Stęknął. Trzymała dłoń z tyłu jego głowy. Ręką obejmowała plecy. Ekstacycznie wbijała w nie paznokcie. Wszedł w nią głębiej, jak zwierzę, pchając i mruczając obsceniczne słowa do jej ucha. Zachęcała go. Wsunął język do jej ust. Odnalazł jej język. Odsunął się, by popatrzeć na jej spoconą twarz w ciemności. Cień. Zjawą. Te oczy. Oparła się o niego, obejmując go obiema rękami, i zaczęła ssać jego ucho w sposób, który doprowadzał go do szaleństwa. Wszystko skupiło się w tej jednej chwili, gdy w nią wszedł, a następnie rozszerzyło, aż znalazł się wszędzie. Nagle Sintra doszła, gryząc go w ramię, a on warknął, każąc jej gryźć mocniej. Dotyk jej zębów sprawił, że Finch krzyknął i szczytował głęboko w jej wnętrzu. Przytrzymała go w sobie jeszcze długo po tym, jak

skończyli. Ona także była wykończona.

Niechętnie pozwolił jej stanąć na nogach. Podciągnął spodnie, ona także. Zapięła bluzkę. Ponownie go pocałowała. Pocałunek był słony i głęboki. Zaszokował go.

Wrócili pod łuk i zajrzeli do głównej sali. Chłonęli hałas. Światło. Ruch.

- Zostań tutaj - szepnęła. - Przyniosę więcej wina.

- Teraz?

- Teraz. Muszę się napić. - Objęła go i zawisała mu na szyi jak dziecko. - Uważaj na siebie, Johnie - szepnęła mu do ucha.

Kiedy się od niego odsunęła, wyglądała na tak bezbronną, że Finch niemal zdradził jej wszystko, co wiedział. Wydawało się, że oddała się od niego z wielką prędkością. A on nagle poczuł strach.

Potem zniknęła. Wymknęła mu się z rąk. Zanurzyła się w tłumie. Zaginęła. Został zupełnie sam.

Ruszył za nią. Nie wiedział dlaczego. Przecież tylko poszła po wino. Nie zostawiła go na zawsze. Ale powstrzymał go widok znajomej twarzy.

Bosun. Wszedł od strony podniesionej platformy po przeciwnej stronie sali. Za nim stało pięciu twardzieli w trenczach. Bosun przyglądał się tłumowi. Czyżby wypatrywał Fincha?

Finch ponownie rozejrzał się za Sintrą, ale nigdzie jej nie dostrzegł. Postanowił cofnąć się w głąb łukowato sklepionego przejścia. Zejść im z oczu.

Za sobą wyczuł jakiś ruch. Czyjaś dłoń zakryła mu usta. Zanim zdążył zareagować, poczuł ostry ból w ręce. Upadł, widząc przed oczyma przesuwane się lampy, które zmieniły się w płonący skrawek papieru wyjęty z dłoni Shrieka, a następnie w świece na torcie podczas jego jedenastych urodzin. Zaczął je zdmuchiwać. Z każdą z nich wygaszał kolejny trop. Zgasł Shriek. Zgasł zapis przesłuchania otrzymany od Starka. Tuż za świeczkami w powietrzu unosiła się twarz ojca. Tajemnicza. Mroczna. Uśmiechnięta.

7

Ktoś go spoliczkował.

- Obudź się. Obudź się.

Finch otworzył oczy. Noc. Leżał na plecach. Na trawie. Popatrzył na zielone gwiazdy. Zadrżał. W niczym nie przypominało to nieba nad Ambergris.

Kobieca twarz przesłoniła mu widok. Przez chwilę w ciemności wydawało mu się, że to kobieta z kryjówki buntowników. Miała broń. Nie rozpoznał modelu.

- Ty... - odezwał się, wciąż zamroczony.

- Nie zmuszaj mnie, żebym zrobiła ci krzywdę - powiedziała, po czym się odsunęła.

Czyjeś dłonie brutalnie postawiły go na nogi. Wykręciły mu ręce za plecami. Zakuły w kajdanki wrzynające się w nadgarstki. Finch czuł się niemal równie źle jak po przejściu przez drzwi w ślad za Blissem.

- Gdzie jestem? - spytał.

- Zamknij się - odparła kobieta.

Wyte kiedyś mu powiedział: „Wiesz, co powiadają o buntownikach? Buntownik to człowiek Hoegbottona, który popełnił błąd i wziął ślub z człowiekiem Frankwrithe'a”.

Stali na zboczu trawiastego wzgórza. W dole Finch widział ciemno połyskującą płataninę zmiażdżonych czołgów i innego wojskowego sprzętu. Wiatr hulający wśród setki metalowych skorup wydawał odległe, zniekształcone, śpiewne odgłosy. Dalej znajdowała się czarna sylwetka zrujnowanego miasta, poszarpana i spaczona. Na środku wznosiła się kopuła z przyćmionego pomarańczowego światła.

- Czy to Ambergris? - spytał z niedowierzaniem.

- Zamknij się - powtórzyła.

Po obu jego bokach pojawili się dwaj mężczyźni. Mieli na sobie ciemne spodnie wpuszczone w buty. Koszule w maskujące wzory. Pasy z amunicją. Karabiny przewieszane przez ramię. Wojskowe hełmy.

- A może w jakiś sposób znaleźliśmy się wewnątrz SHF? - spytał Finch. Jego broń zniknęła z kabury. W ustach czuł suchość. Bolały go ręce.

- Nie jesteśmy w SHF, Johnie Finchu - odpowiedziała kobieta.

- Co tutaj robisz? - Starł się zapanować nad wzbierającym lękiem. Jestem tutaj dlatego,

że pracuję dla szarych kapeluszy...

- Ruszaj - rzucił jeden z mężczyzn i pchnął go do przodu.

- Idziemy na szczyt wzgórza - odezwała się kobieta w ciemności przed Finchem. - Bez gwałtownych ruchów, bo cię zastrzelimy. Zrozumiałeś?

- Tak, rozumiałem. - Rozumiał także, że Sintra go zdradziła. Zdał sobie sprawę, że już od dawna spodziewał się tego ciosu.

Niektóre gwiazdy na niebie się poruszały. Powoli przemieszczały się tam i z powrotem. Wiał lodowaty wiatr. Trawa szeptała wokół jego butów.

Dotarli na szczyt wzgórza. Pod osłoną zawałonego muru dawnej fortecy stał namiot służący jako wiatrochron dla dwóch krzeseł oraz stołu, na którym stały dzbanek, dwie szklanki oraz dwie lampy promieniujące przyćmionym blaskiem, umieszczone w taki sposób, by pozostawały niewidoczne z dołu wzgórza.

Obok krzeseł stała jakaś postać. Ubrana w długą szatę. Wiatr lekko unosił jej siwiejące włosy.

Błękitna Dama.

Bez wątpienia. Finch wpatrywał się w nią bez słowa. Nie dowierzał. Zapomniał, że porywacze go popychają. Zapomniał o niebezpieczeństwie. Nigdy wcześniej jej nie widział, a teraz ujrzał ją przy świetle gwiazd. Na wzgórzu pod dziwnym nocnym niebem. W otoczeniu jakiegoś martwego miasta.

W nieregularnej armii Hoegbottona obietnica spotkania z Błękitną Damą była gwarancją lepszych czasów. Gdy leżeli w okopach. Gdy chodzili od domu do domu, wybijając powstańców. Gdy jedli twarde czerstwy chleb i spleśniałe owoce. Gotowali zupę z kleju, wody i soli. Teraz, prowadzony przez jej ludzi, Finch przypominał sobie tamte dawne czasy.

Była od niego niższa. Miała około pięciu stóp i sześciu cali wzrostu. Zbliżała się do sześćdziesiątki albo niedawno ją przekroczyła. Szczupła i sprawna. Miała zmarszczki w kącikach oczu i na czole. Światło lamp podkreślało gorzki uśmiech, który niemal nie znikał z jej ust, oraz mieszaninę smutku i rozbawienia w oczach. Jej spojrzenie jakby mówiło, że jest obecna tu i teraz, lecz zarazem przebywa w tuzinie innych miejsc.

- Podobno nazywasz się John Finch - odezwała się Błękitna Dama. - Mnie nazywają Błękitną Damą. Masz do mnie pytania, choć mogę znać mniej odpowiedzi niżbyś chciał. Usiądźmy. - W jej głosie pobrzmiwał spokój wynikający z doświadczenia, a także obcesowość, której próżno było szukać w jej audycjach radiowych. To wstrząsnęło Finchem. Przyszło mu do głowy, że może jednak nie ma do czynienia z Damą.

Porywacze go rozkuli. Pchnęli go na krzesło stojące naprzeciwko Błękitnej Damy. Wycofali się poza krąg światła.

Finch potarł nadgarstki. Kiedy usiadł na krześle, poczuł w piersi wielki ciężar. Zastanawiał się, czy to skutek tego, w jaki sposób tutaj trafił. A może obecności Błękitnej Damy.

- Gdzie jesteśmy? Co tutaj robię? - Wiedział, że jego głos brzmi słabo. Ponieważ jestem słaby. Wciąż miał na sobie zapach Sintry. Czuł, że jest w potrzasku.

- Gdzie jesteśmy? - powtórzyła Błękitna Dama. - Może znasz to miejsce. Może na przykład zwie się Alfar. Albo jest jedną z jego wersji. Czy to ma jakieś znaczenie? Nie. Moglibyśmy się znajdować wszędzie. Tego jednego się nauczysz.

Pochyliła się i naląła przezroczystego płynu z dzbanka do szklanki, po czym mu ją podała. Przyjął naczynie, ale nie wypił jego zawartości.

- Śmiało. Gdybym chciała cię zabić, nigdy byś się nie obudził.

- Może jesteś okrutna - odparł Finch. Ale w końcu się napił. Woda ochłodziła mu gardło. Odpędziła mdłości.

- Czy wiesz, dlaczego tutaj jesteś, „Finch”? - spytała, odchylając się na krześle. Zmierzyła go wzrokiem.

- Tylko ty to wiesz. - Sposób, w jaki wymówiła słowo „Finch”, sprawił, że poczuł się nagi, obnażony. Jego podziw wobec Damy słabł. Zastępowała go chora niechęć. Ta kobieta pomogła zniszczyć jego ojca.

- „Bellum omnium contra omnes” - powiedziała, a Finchowi stanęły dęba włoski na karku. - Może kiedy wypowiem te słowa trzykrotnie, obudzisz się ze snu, w którym żyjesz, i przypomnisz sobie swoją misję.

- Nie wierzę ci - odparł. Zaczynało do niego docierać, że został porwany. Że znalazł się w niebezpieczeństwie. Kobieta zasugerowała, że zna jego prawdziwe nazwisko. Wiedziała, że Finch pracuje dla szarych kapeluszy. Wiedziała, że był w kryjówce buntowników.

Błękitna Dama się roześmiała.

- Oczywiście, że nie wierzysz, ponieważ, niestety, masz rację. Nie jesteś tajnym agentem ruchu oporu.

- Co oznaczają te słowa? - Dopóki będzie zadawał pytania, dopóty sam nie będzie musiał na żadne odpowiadać.

- Może to język pochodzący z innego miejsca, o którym nie wiedzą szare kapelusze. Może tylko my go rozumiemy. Te słowa oznaczają: „Wojna wszystkich przeciw wszystkim”.

Ale po dzisiejszym dniu już nie będziemy ich używać. Ty się o to postarałeś.

- „Nie zaginie” to odzew.

- Część odzewu.

- My tylko wykonywaliśmy swoją pracę - rzekł Finch. - Zamierzaliśmy zadać kilka pytań i odejść. Nie mieliśmy ochoty narażać życia.

Wiatr wiejący od strony miasta osłabł. Finch usłyszał dziwne kwilenie i jęki. Potem odgłos przypominający szelest miliona liści. Błękitna Dama skrzyżowała ręce na piersi.

- Może lepiej porozmawiajmy o postępach w twoim śledztwie.

- Nie ty pierwsza się nim interesujesz.

Jej uśmiech był równie niewesoły jak widok ostrza noża.

- A więc jedna osoba więcej nie zaszkodzi, prawda? Powiedz mi, co wiesz.

Finch przypomniał sobie zapis przesłuchania otrzymany od Starka.

- W mieszkaniu, w którym znaleźliśmy martwego mężczyznę, znajduje się broń. To wy ją tam zgubiliście.

- Straciliśmy tam agenta, Finch - beznamiętnie odparła Błękitna Dama. Duncana Shrieka.

- Jak on się nazywał? Tamten zabity mężczyzna? - spytał Finch. Na jej twarzy pojawiło się niezadowolenie.

- Rozczarowujesz mnie, Finch, i to aż z trzech powodów. Po pierwsze, nie mam dużo czasu, a ty go marnujesz. Po drugie, widzę, że próbujesz przetrwać, rzucając mi nędzne ochłapy. A po trzecie, nie jestem twoim tępym szefem - szarym kapeluszem. - Nie udało jej się ukryć pogardy.

- Odeszliście - rzekł Finch. - Zostawiliście nas wszystkich. Musieliśmy żyć w tym mieście przez sześć lat. Nauczyć się przetrwać za wszelką cenę.

Porzuciliście nas. Za tym wybuchem kryła się cała tłumiona frustracja wywołana niemal ośmioma latami udawania. Odgrywania wielopoziomowych ról.

Błękitna Dama pokiwała głową jakby się z nim zgadzała, ale odparła:

- Wydaje ci się, Finch, że my się tutaj dobrze bawiliśmy? Myślisz, że spokojnie czekaliśmy na koniec świata? Nie. Uczyliśmy się. Zbieraliśmy siły. Czekaliśmy na właściwy moment. Było nam równie ciężko jak wam. Może nawet ciężiej.

Przynajmniej zmieniliście otoczenie.

Finch nie odpowiadał, więc Błękitna Dama dodała:

- Powiedz, jak się nazywał mężczyzna w mieszkaniu. Możesz to uznać za próbę zaufania.

Już to wiedzieli. Finch nie miał żadnej przewagi.

- Nazywał się Duncan Shriek. Tylko że umarł sto lat temu. Właśnie tego nie rozumiem.

Martwy mężczyzna siedział na fotelu naprzeciwko kanapy. Uśmiechał się.

- Czy ktoś mu towarzyszył?

- Połówka martwego szarego kapelusza.

Spadanie przez lodowate powietrze i brak czucia w nogach.

- Czy ciało wciąż znajduje się w mieszkaniu?

- Szarego kapelusza nie, tylko Shrieka.

- Czy na ciele Shrieka znajdują się jakieś widoczne obrażenia?

- Nie.

- W jaki sposób umarł?

- Nie wiem. Wygląda na to, że mógł spaść z dużej wysokości i skręcić kark.

- Czy nie czujesz się lepiej, mówiąc prawdę?

- Owszem - odparł szczerze.

Na chwilę umilkła, jakby zbierała ukryte siły.

- Skoro już mówimy prawdę, Finch, to muszę ci się przyznać, że znałam Johna Crossleya. Johna Marlowe'a Crossleya.

Gwałtownie wciągnął powietrze, nie panując nad swoją reakcją. Już dawno nikt nie wypowiedział w jego obecności tego nazwiska. On również nie robił tego od wielu lat. Próbował wyrzucić je z pamięci.

- John dziwnie pojmował honor - ciągnęła Błękitna Dama. - Ostro się z nami kłócił. Tak jak właściwie z każdym. Właśnie dlatego tak boleśnie upadł. Dlatego nikt nie potrafił go ochronić. Byłoby łatwiej, gdyby był zwykłym agentem szpiegującym dla jednej ze stron, a nie pracował dla Kalifa.

- Nie wiem, o czym mówisz - odparł Finch, ale zdawał sobie sprawę z beznadziejności sytuacji. Czuł się jak krab pustelnik wyciągnięty ze skorupy.

Błękitna Dama skinęła głową, ale nie w stronę Fincha.

Potężny cios spadł na jego nadwerężone ramię. Finch krzyknął i zsunął się z krzesła na trawę. Jęczał z bólu. Obrócił się, chroniąc ramię.

Błękitna Dama wstała. Stała obok niego. Wyglądała groźniej i straszniej niż kiedykolwiek.

- Dobrze wiesz, o czym mówię, Jamesie Scotcie Crossleyu. Dobrze wiesz.

Poczuł się tak, jakby zerknął w lustro i ujrzał odbicie, które nie do końca do niego

pasowało. Był Finchem od tak dawna, że już nie znał Jamesa Scotta Crossleya. Ot, zwykły nieznajomy, który nie przetrwał Powstania. Biedak, który nigdy nie wrócił do domu, tak jak wielu innych.

Odsunęła krzesło od stołu i usiadła.

- Czy teraz mogę liczyć na twoją uwagę?

- Tak - wykrztusił przez zaciśnięte zęby. Nie chciał pamiętać Crossleya. Crossley zmarł. Umarli obaj.

- Zmieniłeś wygląd. Masz jaśniejsze włosy i zgoliłeś brodę. Jesteś masywniejszy. No i oczywiście starszy. Ale to nadal ty. Co by zrobili ludzie, gdyby się dowiedzieli? Biorąc pod uwagę reputację zdrajcy, która ciążyła na twoim ojcu? Może z tobą postąpiliby surowiej, nawet dzisiaj. Może oderwaliby się od swoich zajęć i znaleźli czas, by wyrównać dawne porachunki. Co innego chronić klucz do broni, a co innego odkryć, że ten klucz ma bliskie powiązania z kimś, kto zdradził miasto obcym siłom. Może obudziłbyś się z kulą w głowie. Pamiętaj o jeszcze jednym, Johnie: twój ojciec sam zgotował sobie taki los. Nie miej co do tego złudzeń.

- Pierdol się - syknął Finch. - Pierdol się, Alessandro Lewden.

Dostał za to kopniaka w żebra. W milczeniu leżał na ziemi. Przygwożdżony jej słowami. Potłuczone szkło przesywało jego ramię.

Wreszcie się uspokoiła i odezwała niemal serdecznym głosem:

- Ale nie po to tutaj jesteś, „Finch”, jeśli wolisz, abym tak cię nazywała. Jeszcze rok temu? Być może. Ale teraz? Nie.

- Więc czego chcesz? - rzucił przez zaciśnięte zęby.

- Mamy dostatecznie dużo czasu, by o tym porozmawiać - odparła. - Wkrótce stąd odejdziemy. Niebezpiecznie jest zbyt długo pozostawać w jednym miejscu. Wstawaj.

Finch wstał. Trzymał się za ramię.

- Popatrz - rzekła Błękitna Dama, wskazując przyćmioną pomarańczową kopułę wznoszącą się za potężnymi wrakami czołgów.

- Na co mam patrzeć?

- Zaczekaj.

W tej samej chwili kopuła eksplodowała. W górę wzbiło się tysiąc wstęg w intensywnych odcieniach czerwieni i oranżu. Niczym naziemne słońce. Jego zakrzywione macki uniosły się pod niebo. Przez jakiś czas wisiały w powietrzu, po czym rozpadły się w olbrzymi obłok, skłębioną masę cząsteczek, które szumiały i promieniowały stałym światłem, aż całe miasto wypełniło się jakby blaskiem świtu. Miasto odpowiedziało zwierzęcym rykiem

setki gardeł. Dziwne fraktalne istoty zaczęły błyskawicznie wyrastać na każdej wolnej powierzchni. Tymczasem pomarańczowa kopuła - znacznie zmniejszona - jakby oddychała. Poza obłokiem cząsteczek trwała niewzruszona ciemność.

- Nastął świt, Finch - odezwała się Błękitna Dama. - Właśnie tak on u nich wygląda.

- Dobrze, ale co to za miejsce? - spytał Finch, niemal błagalnie. - Gdzie jestem?

- To miejsce, w którym echo SFH... zaledwie jej echo... zniszczyło miasto. Sprowadziło na nie nieustający sztuczny świt. Teraz nikt tam nie mieszka. Nikt. Tylko ciała, które służą jako żyzna gleba... dla czegoś innego. SFH jest jak rana, która powstaje, gdy nóż przecina więcej niż jedną warstwę. Więcej nie musimy ci pokazywać. Ostatnie sześć lat nie było dla nas przyjemne, Finch. Raczej nie.

Skinęła głową na kogoś za jego plecami. Jeden z mężczyzn podszedł do Fincha i założył mu duszący chwyt na szyję. Finch zaczął się wrywać. Rozpaczliwie wierzgał nogami. Kobieta zbliżyła się do niego od przodu. Wbiła mu igłę w rękę.

Gwiazdy zawirowały i rozplynęły się w okrąg, a następnie w mgiełkę.

Świat ponownie zniknął.

* * *

James Crossley był niedojrzałym, egocentrycznym i niecierpliwym kobieciarzem. Żadna z tych cech nie charakteryzowała Fincha, który był bezpośredni i szorstki oraz lubił czarny humor. Crossley bywał wybredny jeśli chodzi o jedzenie. Finch ostatecznie go z tego wyleczył w ciężkich czasach, gdy żywił się zupą ze skórzanych pasków oraz psów i szczurów.

Crossley nigdy nie przeklinał. Finch nauczył się tego, by dopasować się do otoczenia oraz zaburzyć swój naturalny rytm mowy. Crossley lubił rzekę. Finch cały czas spodziewał się, że coś z niej wyskoczy. Obaj lubili cygara i whisky. Obaj byli godni zaufania, obojętni na muzykę i nienawidzili rozmów o niczym. Chociaż Crossley miał ku nim więcej okazji.

W młodości Crossley stanowił część siatki wywiadowczej swojego ojca. Dowiedział się o tym dopiero później, choć niewykluczone, że coś przeczuwał.

Ojciec przekazywał Hoegbottonowi informacje na temat Frankwrithe'a, a Frankwrithe'owi informacje na temat Hoegbottona. Budował różne obiekty dla Hoegbottona, po czym instruował ludzi Frankwrithe'a, w jaki sposób wysadzić je w powietrze. Wykorzystywał swoje kontakty, by dostarczać Hoegbottonowi kluczowe dane dotyczące ruchów wojsk, powołując się na „źródła”. Żadna ze stron nie wiedziała, jak dogłębna była to zdrada, dopóki oba Domy nie połączyły sił, by walczyć z szarymi kapeluszami. Wtedy stało

się jasne, że John Crossley otrzymywał rozkazy od kogoś pracującego dla Kalifa. Zaprowadzał chaos, jednocześnie pozwalając tajnym służbom Kalifa poznać od wewnątrz obie frakcje.

Ale dlaczego? Dlaczego? Ani James Crossley, ani John Finch nie mieli pojęcia. Ojciec nigdy im tego nie powiedział. Kiedyś stwierdził tylko, że każdy potężny człowiek ma wrogów. „Zbyt wielu ludzi niewłaściwie cię postrzega” - wyjaśnił. Wtedy już ukrywał się w opuszczonej posiadłości na północy Ambergris. Kaszłał krwią, trawiony przez chorobę, którą zaraził się podczas kampanii na terytorium Kalifa.

„Popatrz, nigdy bym się nie spodziewał, że moją twarz wydrukują na kartach do gry”. Jedna z pięćdziesięciu najbardziej poszukiwanych osób na liście buntowników.

Finch ponownie przypomniał sobie fajkę, którą pokazał mu ojciec.

Crossley to przeszłość. Finch żyje w teraźniejszości i spogląda w przyszłość. Czeką, aż oczyści się powietrze. Aż to wszystko przeminie.

Jednakże zgadzali się w dwóch sprawach.

Obaj nadal wierzyli w swojego ojca i nie potrafili go potępić. Mimo że wiedzieli, co zrobił.

Obaj go kochali.

8

Finch obudził się, czując pod sobą nierówną powierzchnię wrzynającą się w plecy. Ponad nim migoczące światło wydobywało z mroku pofałdowaną czarną skałę. Lśniące stalaktyty sterczały ze stropu.

- Jesteśmy w podziemnych jaskiniach - odezwał się ktoś.

Finch usiadł. Ściany jaskini promieniowały głębokim ciemnozłotym blaskiem. Po nich, pulsując światłem, przemieszczało się coś, co wyglądało jak migające rozgwiazdy. Wokół unosiła się woń podobna, a zarazem niepodobna do zapachu słonej wody. Zimniejsza, mniej wyraźna. Finch nadal nie miał broni. Czuł się słaby i mały. Ona wie, że jestem Crossleyem. I wcale jej to nie przeszkadza. Co oznaczało, że zamierza go poprosić o jakąś dużą przysługę.

Błękitna Dama stanęła obok niego. Była ubrana w prosty bladozielony mundur szeregowca albo żołnierza nieregularnej armii - koszulę z krótkim rękawem i spodnie o zwężających się nogawkach. Trzymała latarenkę i patrzyła na podziemne morze. W oddali kłębiły się czarne cienie i błyskały światła przypominające nowo narodzone gwiazdy. Na brzegu stała łódź wiosłowa.

- Przestańcie faszerować mnie narkotykami - rzekł Finch. Czuł się ociężały.

- Im mniej wiesz, tym lepiej.

- Jak długo byłem nieprzytomny?

- Nieważne.

- Dla mnie ważne.

- Odurzamy cię, ponieważ pewnych rzeczy nie możesz zobaczyć.

- Na wypadek gdyby ktoś mnie przesłuchiwał. Ktoś inny.

Zignorowała go i obszernym gestem wskazała jaskinię.

- To tutaj szare kapelusze zostawiły Samuela Tonsure'a - wyjaśniła. - Wiesz, kim był Tonsure? Nie każdy to wie.

Pokiwał głową.

- Mnichem, na punkcie którego miał obsesję Shriek. Tym, który zniknął.

- Właśnie tutaj odebrali mu dziennik. Pozostawili go, by sam radził sobie w ich świecie.

Duncan w swojej książce: „Byłem już pewien, że dziennik stanowi zagadkę, zapisaną jakimś szyfrem, osłabionym i rozcieńczonym, który ledwie daje się wyczuć w jednolitym kolorze tuszu kopii, monotonnej sterylności czcionki”.

- Czyli gdzie dokładnie? - wykrztusił Finch. Miał opuchnięty język i ociężałą głowę. Czymkolwiek go nafaszerowali, złagodziło ból w ramieniu.

- Należałoby raczej zapytać „kiedy”, ale to twoje pytanie. Odpowiedź brzmi: jesteśmy wszędzie. Ale w tej chwili głęboko pod miastem. A przynajmniej jednym z miast.

Błękitna Dama weszła do łódki i zawiesiła latarenkę na haku znajdującym się na dziobie.

- Chodź - powiedziała. - Czekają nas podróże.

Finch się zawahał. Wycierpiał w swoim życiu już zbyt wiele podróży. Od ulicznej strzelaniny po upadek przez drzwi w czasie i przestrzeni. Wejście na łódkę przypominało powolne tonięcie. W kolejnym śnie.

- Nie masz wyboru - warknęła Błękitna Dama. - Nie chcę cię zmuszać. Ale to zrobię.

Była sama. Finch nie widział u niej broni, tylko długą żerdź. Ale nie wątpił, że mogłaby mu zrobić krzywdę.

Niezdarnie wstał. Wsiadł do łódki za Błękitną Damą. Łódź zakołysała się pod jego ciężarem.

- Siadaj - poleciła kobieta.

Usiadł.

Poprowadziła łódkę przez niewielkie morze, z siłą, której się po niej nie spodziewał. Widział zarys jej tricepsu, gdy odpychała się żerdzią.

Za burtą, w świetle latarenki, cienkie jak igła ryby o zielonych płetwach przecinały wodę. Zobaczył kolejne rozgwiazdy. Dwie delikatne czerwone krewetki. Nie było głęboko; dostrzegał srebrzysto-złote refleksy światła na dnie. Nierealny półprzezroczysty blask wprawiał go w zakłopotanie.

Działał uspokajająco, lecz Finch nie pozwalał sobie na odprężenie. Wciąż groziło mu niebezpieczeństwo.

- Dokąd płyniemy? - spytał. - Co to ma wspólnego z Duncanem Shrikiem?

- Zjedz coś - odparła. - Napij się.

Przy jego stopach leżały kanapki i piersiówka. Odwinął jedną z kanapek. Z kurczakiem i jajkiem. Zwyczajna. Normalna. Smaczna. W piersiówce był orzeźwiający trunek. Rozgrzewał go, rozprzestrzeniając się po całym ciele.

- A dopóki jesz, wysłuchaj mnie. Nic nie mów. Tylko słuchaj...

* * *

[Powiedziała:] Przez chwilę wyobraź sobie wszystko z punktu widzenia szarych kapeluszy, Johnie Finchu. Jamesie Scotcie Crossleyu.

Na początku. Dawno, dawno temu. Wasza niewielka grupka straciła kontakt ze swoim światem podczas wyprawy. Zaginęła. Wystąpił jakiś problem lub błąd w działaniu przejść łączących światy. Nagle pomiędzy wami a waszym domem pojawiły się setki albo tysiące drzwi. Zdryfowaliście na obcy brzeg nad dziwną i potężną rzeką. Nie potraficie znaleźć drogi powrotnej, choć początkowo bardzo się staracie.

Po wielu próbach i niepowodzeniach postanawiacie osiedlić się w miejscu, do którego trafiliście; założyć kolonię, którą później nazwiecie „Cinsorium”. To dla was najlepsze miejsce na wygnaniu. Życie długo, lecz wolno się rozmnażacie, więc izolacja wam służy. Żadnej konkurencji. Żadnych prawdziwych zagrożeń. Wznosicie budynki, które przypominają wam o domu. Bez narożników, same okręgi. Udaje się wam zapanować nad miejscowymi grzybami, ponieważ jesteście zbudowani ze spór i na nich opiera się wszystko, co robicie. W Cinsorium i okolicach macie mnóstwo materiału do wykorzystania.

Jednakże cały czas szukacie drogi powrotnej, drogi wyjścia. Niewykluczone, że jesteście już blisko celu, kiedy kappan Manzikert wypływa w górę rzeki ze swoimi rozbójnikami. Ale gdy tylko się pojawia, wracacie do punktu wyjścia, a nawet cofacie się jeszcze dalej. Manzikert niszczy waszą kolonię, wpędza was pod ziemię. Pali wasze archiwa, wszystkie zbiory biblioteki. Nie tylko zgromadzone wskazówki dotyczące powrotu do domu, ale całą skarbnicę wiedzy. Kluczowe teksty.

Cóż za ironia. Manzikert to barbarzyńca, a jednak wydaje się, że za pomocą tego brutalnego czynu ocalił nas wszystkich. Nie rozumiał tego nawet Duncan Shriek.

Zatem zostajecie pod ziemią, by się odbudować. Jesteście ostrożni, znaleźliście się daleko od domu i jest was niewielu. Nigdy nie staniecie się bardzo liczni, niezależnie od tego, co zrobicie. Pozwalacie ludziom na górze poczuć się pewnie. Przyczailiście się.

Potem próbujecie ponownie. Wreszcie. By ostrożności stało się zadość, budujecie pod ziemią. Drzwi. Maszynę.

Niestety, drzwi nie działają poprawnie. Coś poszło nie po waszej myśli. Nikt nie wie, co dokładnie zawiodło. Może chodzi o niewłaściwe położenie. A może po prostu porwaliście się z motyką na słońce. Ginie wielu z was. A wszyscy mieszkańcy Ambergris znikają, nie licząc załóg statków rybackich. Umierają albo zostają gdzieś przeniesieni. Rozrzuceni po różnych światach i czasach. Niezdolni do powrotu. (Tylko pomyśl, Finch - gdzieś zapewne

istnieją jedna albo dwie kolonie ocalałych Ambergrian. Wyobrażasz sobie, jacy mogą być po tylu latach na wygnaniu? Powtarzają mgliste opowieści o innym miejscu, okrutniejszym bądź spokojniejszym, bardziej lub mniej gościnnym).

Może właśnie wtedy dochodzicie do wniosku, że to już koniec. „Jesteśmy skazani na śmierć w tym zacofanym świecie. Nigdy nas nie odnajdą”. Ale nie tracicie cierpliwości. Jesteście sprytni. Pracowici. Uczycie się na swoich błędach. Czasami wychodzicie spod ziemi podczas festiwalowych nocy. Prowadzicie eksperymenty przybliżające was do celu. Zdarza się nawet, że porywacie ludzi i wykorzystujecie ich jako króliki doświadczalne. Staracie się zaszczerpić lęk w umysłach mieszkańców powierzchni, chcecie, by uważali was za potężniejszych niż jesteście w istocie - jak dziki kot, który jeży sierść, gdy staje oko w oko z wrogiem.

Wreszcie pojawia się szansa. Hoegbotton i Frankwrithe tracą siły we wzajemnej walce - korzystając z broni, którą im dostarczyliście - a miasto zamienia się w ruiny. Podejmujecie olbrzymie ryzyko. Dlaczego ryzyko? Ponieważ wciąż jest was mało w porównaniu z populacją ludzi.

Angażujecie wszystkie swoje siły w Powstanie. Trudno was zabić, ale nie jesteście w stanie długo utrzymać miasta w obliczu zbrojnego oporu, więc prawdziwa okupacja nie wchodzi w grę. To jednak nie musi trwać długo. Wystarczy, że sprawicie wrażenie przytłaczającej siły.

To działa. Wybucha Powstanie. Wykorzystujecie swoje zdolności inżynieryjne oraz znajomość podziemi, by zatopić miasto. Wykorzystujecie spory do odwrócenia uwagi, dając magiczny pokaz. Owszem, możecie zabijać ludzi, ale nie tak wielu i nie tak szybko, jak sądzi wróg. Poza tym, atmosfera strachu jest dla was bardziej korzystna - właśnie tak działali wasi agenci w całej historii Ambergris. Odwoływali się do wyobraźni ludzi, których uczono lęku przed wami. (Często bardzo słusznie).

Zmuszacie połączone armie Hoegbottona i Frankwrithe'a, by zmierzyły się z wami na waszych warunkach i terenie. Jednocześnie pozostawiacie wolną drogę ucieczki, by wrogowie nie musieli walczyć o przetrwanie. Mogą wybrać odwrót.

Znów odnosicie sukces. Żołnierze ruchu oporu się wycofują - a kiedy są już wystarczająco daleko, za pomocą kolejnej erupcji energii i doświadczenia chwytnie ich w SHF niczym w sieć i rozpraszacie pośród drzew. W ten sposób ostatecznie rozprawiacie się z ruchem oporu i wzbudzacie w ludziach nowe pokłady strachu.

Prowadzicie okupację sprytnie i pomysłowo. Wykorzystujecie mieszkańców, by pilnowali siebie nawzajem i sami sobą zarządzili - w stopniu, w jakim to jest możliwe. Gdy

sytuacja się normuje, nie licząc kilku odizolowanych ognisk oporu, podejmujecie ostatnią próbę zbudowania drzwi. Drogi do domu. Dwóch wież, które tak naprawdę nie są wieżami, lecz rodzajem złożonej bramy. Umiejscowionej dokładnie tam, gdzie powinna, by zagwarantować wam sukces.

Tymczasem gracie na czas. Mechanicznie wykonujecie niezbędne czynności. Z jednej strony zapewniamie mieszkańcom prąd, jedzenie i narkotyki. Z drugiej, przynosicie im obozy, Stronników i represje. Nie musicie kontrolować terytorium w normalny sposób. Nie postrzegacie miasta z lotu ptaka jak ludzie. Widzicie je spod ziemi. Kontrolujecie podziemia. Oto wasza ojczyzna z dala od domu. Możecie swobodnie wybierać miejsca na powierzchni, nad którymi chcecie zapanować, dopóki władacie wszystkim na dole. Dopóki jesteście w stanie blokować dostęp do każdej części Ambergris.

Pozostawiacie spalone czołgi na ulicach i nie sprzątacie SHF, nie po to, by przestrzec ludzi, ale dlatego, że jest was zbyt mało, gdyż wszyscy pracujecie nad wieżami. Poza tym, tak naprawdę to wszystko was nie obchodzi. Zwłaszcza sprawowanie władzy. Liczą się tylko dwie wieże.

A wiesz dlaczego? Bo chociaż przez cały czas nazywamy je drzwiami, oknem albo maszyną, są one czymś bardziej złożonym. To nie tylko drzwi. To drogowskaz. Ponieważ oni nie będą potrzebowali olbrzymich drzwi, gdy znajdą drogę do domu. Przynajmniej nie według naszej wiedzy. Szare kapelusze potrzebują tak dużego przejścia, by sprowadzić tutaj swoich pobratymców. Do Ambergris. Do naszego świata.

Cisza? Wszystko, co Duncan Shriek napisał o niej w starych książkach, jest prawdą. Pomylił się tylko w jednej sprawie. Otóż oni odkryli, że im się tutaj podoba. Chcą zostać. Na zawsze. Wszyscy.

Czy to dokładny opis przebiegu zdarzeń? Zapewne nie, ponieważ nie potrafimy do końca zrozumieć ich sposobu myślenia. Być może to jeszcze nie są drzwi, a jedynie drogowskaz. Może jeszcze nie odnaleźli domu.

Ale to, co ci opowiedziałam, jest bliskie prawdy. Wystarczająco bliskie według naszych źródeł.

Możesz mi nie wierzyć, Finchu-Crossleyu, ale to nic osobistego. Oni postępują tak, jak im dyktuje ich natura oraz sytuacja. Potrafię to uszanować. Kieruje nimi chore poczucie honoru. Ale to nie oznacza, że zrezygnuję z dokończenia tego, co zaczął Manzikert. Ponieważ, jak już odgadłeś, mamy nową broń. Nową broń, która jest bardzo stara.

* * *

W końcu morze ustąpiło przed lądem i dotarli na drugi brzeg. Łódź trąciła płaską skałę prowadzącą do nawisu wyrzeźbionego w czarnym kamieniu. Pod nim znajdowały się skamieniałe pozostałości dawnego ogniska, a dalej ślady ludzkiej bytności.

To wszystko było niemal równie nierzeczywiste jak opowieść Błękitnej Damy. Finch zadrżał, czując w powietrzu wilgoć i chłód.

Nie był pewien, czy powinien wierzyć kobiecie. Nie wiedział, czy to ma jakieś znaczenie. Nic z tego, co powiedziała, nie brzmiało bardziej ani mniej wiarygodnie niż tezy zawarte w książkach Duncana Shrieka. Jednakże Finch rozumiał wagę tego, co mu pokazała. Instynktownie czuł, że to poważna sprawa.

Chciał jej powiedzieć, że żyje w innym świecie. W świecie, w którym Stark chce skrzywdzić jego najbliższych, Heretyk może go zabić bez mrugnięcia okiem, a stan Whyte'a stale się pogarsza. Surowym świecie, który błyskawicznie karze za błędy. Już nie jest synem Crossleya. Nie bez powodu teraz nazywa się Finch. Chce przetrwać.

- Dlaczego milczysz? - spytała.

- Słyszałem gorsze teorie - odparł Finch, ponieważ uznał, że powinien coś powiedzieć. Czuł się przytłoczony.

Błękitna Dama spojrzała na niego z zaciekawieniem, przekrzywiając głowę.

- Nie przekonałam cię? Szkoda, bo niewiara do niczego cię nie doprowadzi. A teraz wysiadaj z łodzi i mi pomóż.

Płytką, szokująco zimna woda ostatecznie go rozbudziła. Wypchnęli łódź na brzeg. Błękitna Dama zdjęła latarnkę z haka i ruszyła przodem.

- Co to za miejsce? - spytał Finch, gdy stanął na suchym lądzie.

- Poczekaj, a sam zobaczysz - odpowiedziała. Zachęciła go, by podszedł do nawisu.

Przytulna niewielka kryjówka osłonięta skałą. Gruba warstwa pyłu pokrywała nierówne podłoże. W świetle latarnki wszystko było nieostre. Na ścianie w głębi płatanina wyrzeźbionych liczb i słów sięgająca aż do stropu. Tak wiele symboli, że sprawiały wrażenie hałaśliwej kakofonii. Finch poczuł atak klaustrofobii.

W narożniku kryjówki, na kocu, który rozpadł się na pojedyncze włókna i niewielkie fragmenty, leżał szkielet. Nienaruszony. Żółknący. Ludzki. Delikatny, niemal ptasi. Zwinięty jak do snu. Na boku.

Przypatrując się drobnym kościom, Finch poczuł nagły, niewytłumaczalny przyływ smutku.

- Czy to ten mnich?

Odzywa się w mowie szarych kapeluszy, wydając z siebie młaśnięcia i gwizdy. A

potem nagle i potworne olśnienie, którego nie sposób ująć w słowa.

- Tak, według Shrieka to Samuel Tonsure - odrzekła Błękitna Dama. - Właśnie tutaj umarł. Jako pustelnik. Na wygnaniu. Truff jeden wie, dlaczego szare kapelusze zgotowały mu taki los. Oślepiiony. Samotny. W ostatnich latach pewnie popadł w obłąd.

Wskazała drugi narożnik. Duży ślad na podłożu. Jasnozielony. Pierścienie wewnątrz pierścieni. Jak przekrój pnia drzewa.

- Tutaj znaleźliśmy Duncana. Nie byliśmy pewni, czy jest człowiekiem i czy żyje. Wyglądał jak szary kapelusz o nogach zespolonych z ziemią. Kiedy go do mnie przyniesiono, nawet nie wiedział, kim jest. Nauczył się niepostrzeżenie wędrować pośród szarych kapeluszy. Przez wiele lat podróżował za pośrednictwem drzwi. Aż w końcu wrócił do domu, sam, osamotniony. Żeby zrezygnować z człowieczeństwa. Na wpół oszalały. Dostrojony do rytmów grzybów i spór. Spoczął u boku Tonsure'a. Jak pies pilnujący grobu swojego pana. Pewnie myślał, że obudzi się po tysiącu lat i wszystko będzie inaczej. Albo że nigdy się nie obudzi.

Finch przypomniał sobie słowa Duncana: „Odnajdywały mnie i przenikały do mojego wnętrza - czułem ich macki, mięsiste-suche-zimne-ciepłe nibynóżki, rzęski i nitki, które powoli wsuwały się pod moją skórę niczym setka małych dłoni. Usiłowały przekształcić mnie na własne podobieństwo”.

- A ty znalazłaś sposób, by go wykorzystać. - Jego głos odbił się echem od kamieni. To miejsce bardziej przypominało pomnik niż dom.

- Tak. Po jakimś czasie. Gdy już zdołaliśmy mu przypomnieć, że jest człowiekiem. Zdziwiająca, jak długo nam to zajęło.

- Co się stało potem?

- Chcesz poznać tajemnicę? - spytała z bolesnym uśmiechem.

Dla świętego spokoju pochylił się w jej stronę. Z tak bliska sprawiała wrażenie wytrąconej z równowagi. Coś dziwnego kryło się w jej oczach. Pachniała cygarami. Maskowała ten zapach świeżą wonią delikatnych ziół.

- Duncan Shriek nie umarł - wyszeptwała. Potem ukuła go w szyję.

Nie zdążył się zdziwić. Zdążył tylko runąć w gardziel *strasza*. Ponownie.

9

Pojawia się: Nocą na blankach fortecy. Pograżone w mroku stanowiska dział wyglądają groźnie.

Duncan Shriek nie umarł. Na chwilę traci równowagę. Potem ktoś podpira go od tyłu. Nie wierzę. Nie Crossley, nie Finch.

Marznie od podmuchów wiatru. W górze niebiosa usiane gwiazdami, które się grupują, tworząc srebrno-złotą falę przelewającą się przez niebo. Za murami rozległa pusta przestrzeń. Pustynia? Na niej wykwita tysiąc zielonych płomieni. Zna to miejsce. Pojawiło się w wizji wywołanej bulwą pamięci. We wspomnieniach Shrieka. Bliss tutaj był.

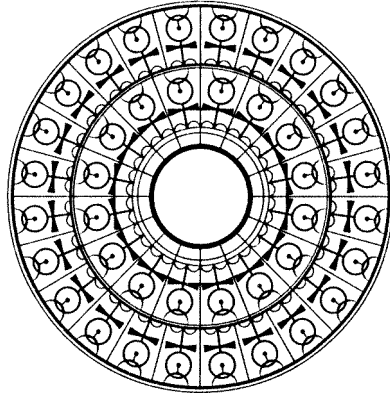
Obok niego ponownie stoi Błękitna Dama otoczona kilkoma tuzinami żołnierzy pochłoniętych przenoszeniem zapasów, staniem na straży lub czyszczeniem broni.

- Oto klasztor-forteca Zamilonu, a przynajmniej jedna z jej wersji - rzekła Błękitna Dama, jakby czytając mu w myślach. - Opuszczona przez wiele dziesięcioleci, dopóki my się tutaj nie pojawiliśmy.

Duncan: „Tam, gdzie wschodnie rubieże Imperium Kalifa rozplývają się w niezdoitych górach, zrujnowana forteca Zamilonu stoi na straży czasu i gwiazd. Wewnątrz fortecy... truffidiańscy mnisi strzegą ostatniej prawdziwej strony słynnego dziennika Tonsure'a”.

Poniżej blanków potężne cienie jakiejś maszynerii. Machiny wojenne po obu stronach szerokiej drogi prowadzącej do olbrzymich drzwi, które wyglądają jakby były zrobione w połowie z wulkanicznej skały, a w połowie ze zwęglonej okładki książki. W drzwiach kolejne, mniejsze, a w nich następne, jeszcze mniejsze.

Na wszystkich powierzchniach widnieją namalowane bądź wyrzeźbione rozchodzące się promieniście wzory utworzone z symbolu, który Finch znalazł na skrawku papieru:



- Co to jest? - spytał Finch, wskazując wzór.

- Tak podróżujemy przez drzwi. To część... mechanizmu. Ale dla szarych kapeluszy ma inne znaczenie. Na nas działa inaczej niż na nie. Na szczęście.

Popatrzył poza blanki. Jakieś postacie poruszały się ukradkiem, czasami przesłaniając płomienie. Dostrzegł zarysy długich, szerokich kończyn. Niekształtnych głów.

- A tam?

- Ogniska w obozach wroga. To nie są szare kapelusze ani ludzie, tylko coś innego. Nie wiedzą, co o nas myśleć, a my nie wiemy, co myśleć o nich. Ale musimy utrzymać pozycję. Chcesz wiedzieć dlaczego?

Finch znów poczuł się jakby spadał.

- Nie jestem pewien.

Błękitna Dama obróciła go i przytrzymała za ramiona, ściskając jak w imadle. Była niehumanie silna. Finch już rozumiał, w jaki sposób przez tyle lat wytrzymała trudy walki.

- Nie możesz liczyć na ten luksus, Jamesie Scotcie Crossleyu. To, co tam widzisz, to drobiazg. Najnowsza przeszkoda, która ma nas osłabić i sprawić, byśmy zwątpili. - Puściła go. - Na samym początku nic nie rozumieliśmy. Musieliśmy szybko się uczyć.

- Czytałaś dziennik Samuela Tonsure'a?

- Nie tylko. Także książki Shrieka, po tym jak go odnaleźliśmy.

- Tak dowiedzieliście się o Zamilonie?

- Ciężko zapracowaliśmy na tę wiedzę. Ale teraz już rozumiemy: Zamilon jest osi wszystkich drzwi. Istnieje w naszym świecie, ale jednocześnie w wielu innych światach.

- A Duncan musiał przez niego przejść podczas swojej misji? Wykonywał dla was jakieś zadanie?

- Tak. Ale on jest nieprzewidywalny. Podejrzewamy, że udał się dokądś, dokąd nie powinien. Uruchomił pułapkę. Nie wiem, czy kiedykolwiek dowiemy się, co poszło nie tak, jeśli Shriek sam nam tego nie powie.

- Zatem podróż przez drzwi jest niebezpieczna?

Zwróciła wzrok ku gwiazdom.

- Możliwe. Korzystamy tylko z drzwi, które łączą się z Zamilonem. Inne próby zakończyły się katastrofą. Nie wiemy dlaczego. Ale Duncan nie przejmuje się takimi ograniczeniami...

Wspomnienie Kosy: „Przechodzili przez drzwi kolejnych, licznych łodzi... Drzwi stawały się mniejsze, potem większe, potem znów malały. Owalne. Prostokątne. Kwadratowe. Inkrustowane szkłem. Puste futryny z zardzewiałymi zawiasami”.

- Kto wie o tych portalach, o drzwiach?

Błękitna Dama się roześmiała.

- Na pewno Duncan Shriek. Ale może niektórzy ludzie zawsze o nich wiedzieli. Pierwsi królowie Ambergris mogli dysponować tą wiedzą, a potem ją utracić. Kiedyś wiedziało każde dziecko. Ponieważ w każdej strasznej opowieści szare kapelusze potrafią się błyskawicznie przemieszczać... Jak dotąd udało nam się zachować to w tajemnicy przed komórkami buntowników działającymi w mieście. Nie możemy ryzykować, że szare kapelusze ich złapią i zmuszą do mówienia. Z drugiej strony, szare kapelusze najwyraźniej nie wtajemniczyły Stronników.

- Jak wiele szare kapelusze o was wiedzą? - Jak wiele wie Stark? Oraz Bliss?

- Wiedzą, że tutaj jesteśmy. Ale na szczęście skupiają się na wieżach. Dzięki temu możemy swobodnie działać.

- A co ja tutaj robię? - spytał Finch, choć nie chciał poznać odpowiedzi.

Twarz Błękitnej Damy stężała. Kobieta odwróciła wzrok.

- Czekaj cię niebezpieczne zadanie. Dlatego chciałam, żebyś wszystko zrozumiał i instynktownie wiedział, o jaką stawkę toczy się gra. Ponieważ wojna, którą tocymy, nie rozgrywa się w Ambergris, tylko tutaj. Polega na otwieraniu i zamykaniu drzwi. Utrzymywaniu pozycji wokół miejsc takich jak Zamilon. Za pomocą niewielkich sił, którymi dysponujemy. Nie mamy sprawnej armii. - Wskazała otaczających ją ludzi. - Najwyżej tysiąc dobrze wyszkolonych żołnierzy. Reszta jest rozproszona. Dwadzieścia tysięcy ludzi pochwyconych w SHF i rozrzuconych pośród drzwi.

Tylko pomyśl. Każdy ciśnięty w inne miejsce, jak naszyjnik z pereł rozsypujący się na marmurowych schodach. Tylko że w chwili gdy naszyjnik pęka, pojawia się tysiąc ciągów marmurowych schodów i na każdy z nich spada jeden koralik.

- Oni nie zginęli? - spytał z niedowierzaniem Finch.

Błękitna Dama pokręciła głową.

- Nie. Większość z nich po prostu zaginęła, a my musimy ich sprowadzić... Kiedy Duncan nie wykonał swojej misji, a my ustaliliśmy, gdzie pojawiło się jego ciało, niektórzy z nas zaproponowali rezygnację z misji, by zminimalizować straty. Zamiast tego chcieli spróbować sabotażu na wieżach. Nie pozwoliłam. Powiedziałam, że znalazłam twojego ojca. Na tyle dobrze, by wiedzieć, że w tej sprawie możemy ci zaufać i że nas zrozumiesz, a przynajmniej ja sprawię, byś zrozumiał.

- Co rozumiał? - odparł Finch. - Co jeszcze pozostało do zrozumienia? - Czuł wzbierającą wściekłość. - Może to, że kiedy wrócę, będę miał przeciwko sobie tajne służby nie jednego, a dwóch państw? A może to, że szare kapelusze zabiją mnie, jeśli nie doprowadzę do końca tego śledztwa? A może to, że mój partner zapewne umiera? Co chcesz, żebym zrozumiał?

Błękitna Dama popatrzyła na niego zdziwiona. Jakby już dawno nikt nie odzywał się do niej takim tonem.

- Jeśli się nie mylę, jesteś jedyną osobą, która może bezpiecznie pojawić się przy zwłokach. Dla każdego innego jest to śmiertelna pułapka. Oboje już wiemy, że Duncan Shriek żyje. A jeśli uda ci się do niego przedostać, to będziesz mógł z nim wrócić i pomóc mu wypełnić misję.

- Jakiego rodzaju broń stanowi Shriek? Czy jest bombą? - To jedyne, co przyszło Finchowi do głowy. Przypomniał sobie zamachowców samobójców, których buntownicy wykorzystywali w przeszłości.

- Nie. Jest bronią, a zarazem drogowskazem. A także drzwiami. - Uśmiechnęła się. Był to szeroki i piękny uśmiech, który przeszył Fincha na wylot. Na szczycie fortyfikacji. Ponad pustynią. W miejscu, które mogło, lecz nie musiało należeć do jego świata. - Być może istnieje jakiś sposób.

- Powiedz wprost.

- Chcemy wziąć drzwi szturmem. Zająć je. Przejść przez nie z wojskiem. Duncan Shriek odnajdzie naszych zaginionych ludzi i sprowadzi ich przez bramę utworzoną przez wieże, zanim szare kapelusze zdołają przeprowadzić swoich pobratymców.

- To szaleństwo. Ryzyko...

- Gdybyśmy mieli lepszy plan, skorzystalibyśmy z niego.

- Nawet jeśli Shriek żyje, skąd wiecie, że jest w stanie tego dokonać? Sprowadzić żołnierzy z powrotem?

- Już nam pokazał, do czego jest zdolny.

- Jak ich odnajdzie? - Każde pytanie odcinało mu kolejną drogę ucieczki.

- Wszyscy zostali naznaczeni przez tamto wydarzenie. Każdy mężczyzna. Każda kobieta. Odnajdzie ich za pomocą drzwi i triumfalnie powróci do Ambergis.

W jej oczach rozbłysło dziwne światło. Jakby właśnie spełniało się marzenie, które uznawała za nieosiągalne.

- A jeśli mnie zabiją? Zjedzą moje wspomnienia? - spytał Finch. - Co wtedy?

Błękitna Dama popatrzyła na niego uważnie.

- Co tak naprawdę cię niepokoi, Finch? Boisz się? A może chodzi o coś innego? - Ponownie obejrzała się na pustynię. - Tamte istoty - szepnęła. - To szare kapelusze i ludzie. Połączeni. W jaki sposób? Nie wiem. Może przybyli tutaj podczas Ciszy. Niewykluczone. Ale pomimo swojej niewiedzy, rozumiem. Ponieważ my także się zmieniamy, Finch. Nie ma wśród moich podwładnych ani jednego człowieka, który nie zostałby w jakiś sposób odmieniony. Jednak ważne jest, jak dalece się zmienimy. Jeśli za bardzo, nie będziemy się różnić od Shrieka, a nawet od szarych kapeluszy. Wtedy nawet zwycięstwo okaże się porażką. Ale jeśli dostosujemy się tylko w takim stopniu, w jakim to będzie konieczne? Właśnie tego od ciebie oczekuję. Dostosowania.

Miała odpowiedź na wszystkie pytania. Finch jednak wiedział, że nie przestanie ich zadawać. Czuł się jak starzec. Jakby na jego ramionach spoczął ciężar całego świata.

- A jeśli odmówię? Jeśli chcę jedynie, żebyś mnie, kurwa, zostawiła w spokoju?

Przestań się opierać, radził mu jakiś głos. Nie bój się skoczyć na głęboką wodę. Ale nie potrafił. Jeszcze nie. Błękitna Dama westchnęła.

- Kalif też na tym straci, jeśli szarym kapeluszą się uda. Nie obchodzi mnie, dla kogo pracujesz albo nie pracujesz. Nie obchodzi mnie szpiegowska kariera twojego ojca. Wiem jedynie, że nienawidzisz Stronników, a twój ojciec nie pałał sympatią do szarych kapeluszy.

- Jak możecie mnie ochronić?

- Nie możemy. Ale postaramy się, żebyś nie został złapany.

- Czyli mnie zabijecie. - Zrobiło mu się słabo. Zrozumiał, że pod pewnymi względami Błękitna Dama nie różni się od Starka. Wyrzucić nacisk. Przydusić. Dostać to, czego się chce.

Błękitna Dama sprawiała wrażenie surowej, a zarazem pełnej współczucia. Odezwała się cichym głosem:

- Chodzi mi o to, że wiesz zbyt wiele, Johnie Finchu. Czasami musimy rozegrać partię takimi kartami, jakie otrzymaliśmy, i postarać się zrobić to jak najlepiej. Nie możesz odrzucić kart, ponieważ już je obejrzałeś.

Zatem jednak. Powiedziane wprost. Z jakiegoś powodu jeszcze bardziej mu tym zaimponowała. Roześmiał się gorzko, ale z uznaniem.

- Więc nie mam wyboru.

- Jeśli to cię pocieszy, być może nigdy go nie miałaś. Nigdy tak naprawdę nie mogłaś zawrócić. - Miała na tyle wyczucia, by odwrócić wzrok. - Nasz człowiek skontaktuje się z tobą, gdy nadejdzie odpowiednia chwila.

Finch przewidział ukłucie igły na sekundę przed tym, jak wbiła mu się w szyję.

* * *

Kiedy pozwolili Finchowi ponownie wmieszać się w tłum na czarnorynkowym przyjęciu, wszystko było inaczej. Początkowo dźwięki go omijały. Potem miał wrażenie, że już ich nie słyszy. Wypatrywał Sintry, ale nigdzie jej nie było. Szukał Bosuna, i jego także nie znalazł. Nie wiedział, jak wiele czasu minęło. W każdym razie, zespół zrobił sobie przerwę.

Poddawał się nerwowej atmosferze, ale wiedział, że sam jest sobie winien. Nie potrafił wyrzucić z myśli widoku Błękitnej Damy. Na wzgórzu. W łodzi. Na murach fortecy. Obrazy wbijały się w niego, groziły mu szaleństwem. Czego mi nie powiedziała?

Na chwiejnych nogach przeszedł na drugą stronę pomieszczenia. Nie chciał wpaść na Bosuna, ale nadal nigdzie go nie widział. Poszukał dłonią broni. Z ulgą stwierdził, że wróciła na swoje miejsce.

Przemierzał korytarze. Wodził wokół tępym wzrokiem. Niczego nie widział. Wyszedł na deszcz. Wieże parowały zielenią ponad szczytami budynków. Na ulicy było niemal pusto.

Dwa kroki dalej napotkał przeszkodę nie do sforsowania. Bosun wyłonił się z ciemności i wykręcił Finchowi rękę za plecami. Był silny, składał się z samych mięśni. Finch poczuł, jak olbrzym drugą ręką szuka jego broni, po czym mu ją odbiera. Ponownie.

Czuł gorący oddech Bosuna na swoim uchu, gdy ten prowadził go w stronę bocznej uliczki. Bezbronny jak dziecko.

- Znalazłeś moją figurkę? - mruknął Bosun.

Finch spróbował się wyrwać z niewygodnego uchwytu.

- Na Truffa, nie musisz mi łamać ręki.

- A więc nie znalazłeś. - Bosun sprawiał wrażenie rozczarowanego.

- Jakiej figurki? - stęknął Finch. Wygiął ciało, szukając ulgi.

- Nie szarp się. W twoim mieszkaniu. Zostawiłem ją, kiedy wywracaliśmy to miejsce do góry nogami. Załatwiłbym twojego kota, ale się schował.

Kolejna rozwiązana tajemnica. Tym razem bez znaczenia.

- Pierdol się. Z gęby śmierdzi ci gównem.

Bosun tylko się roześmiał.

- Jak będziesz miał pecha, twoja gęba zaraz zacznie cuchnąć krwią. W uliczce czekał Stark. Z pięcioma innymi mężczyznami. Bosun puścił Fincha i pchnął go do przodu.

- Finch, cóż za niespodzianka! - odezwał się Stark. - Wiem, że właśnie wracasz z przyjęcia, ale my także urządziliśmy tutaj małą imprezę. Cieszę się, że wpadłeś.

Bosun uderzył Fincha w brzuch, zanim ten zdążył zareagować. Miał pięści jak kamienie. Finch skulił się na ziemi. Z trudem łapał powietrze.

Powoli wstał, nie wiedząc, czy powinien. Nie miałby nic przeciwko temu, gdyby nagle z ciemności wyłonił się Wyte.

Pograżona w mroku twarz Starka przypominała złowrogi półksiężyc. Trudno było uwierzyć, że Bosun jest jego bratem.

- Dokąd poszedłeś, Finch? Gdzie zniknąłeś na półtorej godziny? Bosun twierdzi, że rozpląnąłeś się w powietrzu.

Pytanie znacznie skromniejsze od odpowiedzi. Finch poczuł pogardę dla przesłuchującego. Jakiś wywiadu osobiście pojawia się w zasadzce? Tylko ktoś, kto nigdy nie wyszedł poza proste techniki zastraszania. Kto błyskawicznie uderza i uważa, że to wystarczy.

W tym przypadku to za mało.

Tajna wiedza dodawała mu sił.

- Po prostu bawiłem się na przyjęciu.

Stark go okrążył.

- Nie wątpię. Widziałem, jak twoja egzotyczna dziewczyna wychodzi. Wyglądała na zadowoloną. Dobrze jej było z tobą? Powinieneś się cieszyć, że jestem tak wyrafinowanym człowiekiem, Finch, w przeciwnym razie z nami byłoby jej jeszcze lepiej.

- To wszystko, co masz mi do powiedzenia? - spytał Finch.

Bosun skinął głową i dwóch jego żołnierzy boleśnie wykręciło Finchowi ręce za plecami.

- Niezupełnie. Musimy omówić kilka poważniejszych spraw. Czy wiesz, że wyznaczono nagrodę za głowę Błękitnej Damy? - Stark zbliżył się i popatrzył Finchowi w oczy. - Chyba wiesz. To dotyczy również wszystkich jej współników, zarówno po mojej, jak i po twojej stronie.

- Nie wiem, o czym mówisz.

Stark skinął głową. Bosun ponownie uderzył Fincha w żołądek. Finch stęknął. Zwalczył ból. Zbiry postawiły go na nogi.

- Myślę, że jednak wiesz, Finch. Myślę, że wiesz. A przynajmniej tych dwóch tak

twierdziło. Pokażcie mu, chłopcy.

Przyciągnęli go do ściany. Zobaczył cztery blade stopy; resztą ich ciał skrywały cienie.

- Bosun widział, jak ci dwaj kretyni cię zabrali. Niewiele powiedzieli przed śmiercią.

Ale to, co wyznali, w zupełności nam wystarczy.

Finch nie sądził, by zabici cokolwiek zdradzili.

- Nie mam pojęcia, kto to jest.

- Jasne że nie, Finch - odparł z obrzydzeniem Stark. - Nie widziałeś ich twarzy. Nie mówiąc o stopach. A więc jeszcze raz: dokąd poszedłeś?

- Donikąd.

Stark przez chwilę mu się przypatrywał.

- Donikąd? Donikąd. Za chwilę powiesz nam, że nie poczyniłeś żadnych postępów w śledztwie.

- Nie ma żadnych postępów, Stark.

- Mimo że dałem ci tamten smakowity zapis przesłuchania? Wydaje mi się, że kłamiesz.

- A mnie się wydaje, że specjalnie sprzedałeś nam adres zawarty w zapisie - buńczucznie odrzekł Finch. - Omal przez to nie zginęliśmy. Na próżno. A ja straciłem cały dzień. Dlatego nic dla ciebie nie mam.

Stark się odsunął, jakby chciał lepiej się przyjrzeć Finchowi.

- Mówisz poważnie? Bo słyszałem coś innego. Słyszałem, że to Wyte wszystko spieprzył. Twój partner zamienił się w jakiegoś kurewskiego potwora i wparował na scenę. Tak mi doniesiono. Trudno to nazwać właściwą procedurą. Nie tak powinien postępować detektyw. Ale może się mylę. Może w tym zaszranym mieście oklaskuje się takie teatralne transformacje. A tak w ogóle, to co się dzieje z Wyte'em? Jest jakaś tajna broń?

- Jest chory - odparł Finch.

- Bardziej chory niż Duncan Shriek? - spytał Stark, łypiąc porozumiewawczo. - Bo słyszałem, że pan Shriek nie żyje. Utknął w mieszkaniu przy alei Manzikerta, gdzie pisze swoje pamiętniki z zaświatów. - Starka opuszczała elegancja. Mówił teraz bardziej szorstko, z akcentem prosto z rynsztoka.

- Dlaczego sam nie sprawdzisz? - odparł Finch. - Może znajdziesz jakieś tropy.

Stark uderzył go kolanem w krocze. Finch jęknął. Nie mógł upaść, gdyż podtrzymywali go dwaj mężczyźni.

- Wydaje ci się, że jesteś zabawny? Dobrze wiem, że to strefa śmierci. Nic nie kumasza, Finch. Myślisz, że zależy mi na tym śmierdzącym mieście? Gówno mnie obchodzi ten chlew

- wyszeptał mu do ucha. - Może się spalić do gołej ziemi. To nie jest, kurwa, moje miasto. Ale nie lubię, gdy się mnie okłamuje. I nie lubię, gdy ludzie stają mi na drodze.

Najwidoczniej nikt tego nie lubi. Ani Stark. Ani Błękitna Dama. Ani Heretyk. Finch był już tym zmęczony.

Stark chwycił go za włosy i odciągnął głowę do tyłu.

- Całą noc pracowali w wieżach, Finchy. Całą noc. Jakby nagle zawisł nad nimi ostateczny termin. Zmuszają ludzi do pracy ponad siły, aż ci umierają i spadają z rusztowań. Po co to robią, Finch? Dlaczego wieże są tak ważne? I co to wszystko ma wspólnego z tamtym mieszkaniem? Albo z kryjówką buntowników, Finchy? Co mogę na tym zyskać?

Z każdym kolejnym pytaniem Stark wydawał się mniejszy. Bardziej prymitywny.

Fala gwiazd. Podziemne morze. Tysiąc zielonych świateł na pustyni.

- To ty jesteś zawodowym szpiegiem, Stark. Może sam to rozgryziesz? - Słowo „zawodowym” wypowiedział pogardliwym tonem. Z jakiegoś powodu to rozbawiło Starka.

- Staram się, Finch. Uwierz mi, że się staram. Ale ludzie tacy jak ty mi to utrudniają. - Skinął głową.

Pozwolili Finchowi upaść. Bosun rzucił mu jego broń. Stark się pochylił.

- Tutaj nie ma żadnych zawodowców, Finchy. Wszyscy jesteśmy amatorami. Właśnie to czyni nas niebezpiecznymi. Lepiej postaraj się o jakieś wyniki. Pomyśl o przyszłości. O tym, co z niej pozostało. W przeciwnym razie wszyscy ci kochani ludzie w twoim otoczeniu zaczną cierpieć, i to prędzej niż myślisz. A jeśli to nie zadziała, weźmiemy się za ciebie. Zostało mało czasu. To ostatnie ostrzeżenie.

Jego słowa brzmiały jak oklepana formułka.

Stark się oddalił, a pozostali podążyli za nim. Pozostawili Fincha obok dwóch trupów.

Ponad nimi wszystkimi: wieże. Finch zauważył, że czerń pomiędzy nimi różni się od czerni po bokach. Nie było w niej widać gwiazd. Obraz był rozmazany, jakby błyskawicznie przesuwały się tam jakieś mroczne widoki.

Teraz już wiedział dlaczego.

* * *

Wrócił do hotelu. Dochodziła północ, ale nie znał dokładnej godziny. Gdy wspiął się na półpiętro pod siódmą kondygnacją, usłyszał syczenie Dzikusa. Zobaczył migoczące złote światło, które układało się w wydłużony i nachylony ognisty krąg, dodatkowo zniekształcony przez warstwę grzybów na ścianach korytarza. Wokół unosiła się zjełczała woń, niczym zapach zbyt silnych perfum.

Bliss? Stronnik?

Finch wyjął pistolet. Powoli wspiął się po schodach. Zobaczył Dzikusa, który stał cały najeżony kilka stóp od jego drzwi i wpatrywał się w źródło światła. Coś przyczepiło się do drzwi. Przypominało złotą broszkę z filigranowymi detalami na falujących gałązkach albo kosmykach. Z tego kąta Finch dostrzegał przejrzyste rżęski poruszające się pod spodem. Obiekt wyglądał jak większy kuzyn rozgwiezdy, którą napotkał w podziemnej jaskini.

Podszedł bliżej, celując z pistoletu. Ręka lekko mu drżała.

Dzikus zauważył swojego pana i podbiegł do jego nogi. Z krtani kocura wydobył się niski pomruk.

Z odległości dziesięciu stóp przednia część organizmu wyglądała jak czyste złoto. Kształtem przypominała kwiat. Na środku znajdował się zamknięty otwór podzielony na cztery części.

Z istoty wydobył się snop światła. Na chwilę oślepił Fincha, po czym zniknął.

- Finch! - rozległ się głos Heretyka. Upiornie drżący.

Finch opuścił broń. Nie wiedział, czy powinien czuć ulgę, czy wściekłość.

- Szkoda twojego czasu, Dzikusie.

Wiadomość od Heretyka. Trochę bardziej efektowna niż zazwyczaj.

Nagle otwór rozwarł się i wyskoczył z niego *strasz*. Finch wrzasnął. Zatoczył się do tyłu. *Strasz* rozwinął się do pełnej długości zaledwie cal przed jego twarzą. Następnie wycofał się i zaczął kołysać w miejscu, długi i czarny. Potem zwinął się ku dołowi, a Finch zrozumiał, że to wcale nie *strasz*, tylko chory żart. Po chwili obiekt oderwał się i spadł na podłogę.

Dzikus postąpił krok naprzód. Syknął na leżący przedmiot i uderzył go pazurami, po czym natychmiast odskoczył do tyłu.

Nikt nawet nie drgnął w okolicznych mieszkaniach. Finch nie miał o to pretensji do lokatorów.

Ował na środku się rozszerzył. Pojawił się na nim wizerunek przypominający twarz Heretyka. Szary kapelusz wyglądał niemal radośnie. Jakby się domyślał, jak bardzo *strasz* przerazi Fincha.

- Finch - wychrypiał Heretyk - długo cię nie było. Już zacząłem podejrzewać, że nas zostawiłeś. Myślałem, że uciekłeś. Dopóki znów się nie pojawiłeś, by podążyć śladami Wyte'a...

Większa część wiadomości okazała się niezrozumiała. Miała postać serii mlaśnieć, gwizdów oraz wilgotnych odgłosów. Bulgotania potwora. Jakby Heretyk już nie dbał o rozkazy Fincha. Albo jakby coś się popsulo podczas nagrywania komunikatu. Albo jakby

wszystko się rozpadało.

Finch przez minutę słuchał tego ohydneho trajkotania. Potem wpakował kilka pocisków w twarz Heretyka. Złoty organizm sapnął i powoli ześlizgnął się na podłogę korytarza, gdzie zaczął się zwijać w kłębek.

Finch wziął Dzikusa na ręce, otworzył drzwi, zamknął je za sobą na klucz i położył się spać.

PIĄTEK

P: Kiedy po raz pierwszy zrozumiałeś, jak bardzo jesteś zaangażowany?

F: Nie rozumiałem. To znaczy, nigdy nie było to dla mnie jasne.

P: To kłamstwo. Znów coś ukrywasz.

F: Więc mnie zabij i użyj bulwy pamięci, by poznać prawdę. Draniu.

P: Możemy cię zabić tylko raz. Kiedy już będziesz martwy, pozostanie nam jedynie twoja bulwa. One nie są niezawodne.

F: No to mi zaufaj.

P: Ludzie kłamią. Bezustannie. Aż w końcu w ogóle nie pamiętają prawdy. Czy na tym polega twój problem, Finch?

F: Nie jestem detektywem, dlatego nie umiem odpowiedzieć na twoje pytania.

P: Uczynili cię detektywem, więc nim byłeś. Dlaczego nigdy tego nie pojąłeś?

1

Łóżko zadrżało pod Finchem, zupełnie jakby westchnęło. Sięgnął po broń, czując, jak głębokie dudniące wibracje wstrząsają hotelem. Rozległ się pogłos przypominający rozdzieranie, a następnie trzeszczenie osiadających belek, jak na starym okręcie. Zaspany Finch początkowo myślał, że to jego nadwerężone ramię tak hałasuje.

Dopiero po chwili zrozumiał, że dźwięk dobiega spoza budynku. Włożył spodnie. Gdy podbiegł do okna w kuchni, hotelem wstrząsnął kolejny huk. Finch popatrzył w dół przez brudną szybę. Na ulicy zobaczył tylko kilkoro biegnących ludzi. Wyjrzał z łazienki. Dziedziniec był pusty.

Jakiś ruch na zewnątrz. Ludzie na schodach. Czyżby pożar? A może Stronnicy wyłapują mieszkańców? Żałował, że nie ma z nim Whyte'a.

Włożył i zapiął koszulę, a następnie wsunął na nogi buty bez skarpetek. Zdenerwowany Dzikus miauczał obok jego stóp. W powietrzu unosił się zapach spalenizny. A może to tylko złudzenie? Zatknął pistolet za pasek i szybko wyszedł z mieszkania.

Potknął się o resztki wiadomości od Heretyka, które przypominały zwiniętą skorupę. Lokatorzy wspinali się po schodach prowadzących na dach. Sąsiad staruszek obserwował ich z korytarza. Otaczała go nierówna plama niebiesko-szarego grzyba na ścianie.

- Co się dzieje? - spytał Finch.

- Wieże! Wieże rozpoczynają wojnę. - Mężczyzna wypluwał kolejne słowa. - Wszyscy chcą popatrzeć. Idioci! Ja zostaję tutaj.

* * *

Na dachu woń spalenizny była jeszcze silniejsza. Bezchmurne niebo. Oślepiająco błękitne. Jeszcze nigdy nie widział w jednym miejscu tylu mieszkańców hotelu. Czarnorynkowi handlarze. Pracownicy kliniki. Obozowi strażnicy. Zamiatacze ulic. Narkomani. Wszyscy trzymali przy ustach maski gazowe. Na wszelki wypadek. Wszyscy spoglądali w stronę zatoki.

Odgłos, teraz już nietłumiony przez ściany, przypominał chrapliwy ryk. Rozbrzmiewał gwałtownie niczym huk armaty strzelającej tuż obok głowy. Z każdym nowym hukiem wśród ludzi rozlegały się szmery rozmów. Bali się? A może byli zachwyceni? Finch przepchnął się

przez tłum aż do krawędzi dachu.

W zatoce szmaragdowe światło wystrzeliwało ze szczytów wież w postaci osobiwie grubych kulistych skupisk iskier. Kule leciały w stronę Kosy. Uderzały w łodzie. Wyrzucały w powietrze obłoki pary i płomienie. Wydawało się, że przyczepiają się do celów. Kosa płonęła. Niektórzy powiedzieliby „nareszcie”, ale co będzie potem? Pokaz fajerwerków dla nielicznych dzieci, które biły brawo.

W obserwowaniu tych wydarzeń z daleka było coś nierzeczywistego. Kosa wydawała się taka malutka. Łodzie wyglądały jak drzazgi. Jak wykałaczkki. Kołyszące się na olbrzymim morzu. Tyrania odległości. Kilka jednostek zerwało cumy i dryfowało po zatoce. Bez celu. Połowa płonęła. Czy Stark i Bosun nadal tam byli? Czy rozpaczliwie przemieszczali się z łodzi na łódź, kierując się w stronę brzegu? Finch szczerze w to wątpił.

Zastanawiał się, czy Wyte na to patrzy, czy może nadal zмага się ze swoją przypadłością.

Niebo pomiędzy wieżami pociemniało i zabarwiło się na bursztynowo. W tle pojawiło się stado ptaków oraz sylwetka wyspy, której nie powinno tam być.

Ludzie wokół Fincha rozmawiali o zielonym świetle.

- Pozbywają się tego gniazda szpiegów. Powinni to zrobić już dawno.
- To nigdy nie byli przyjaciele Ambergris.
- Ale co dalej? Gdzie to się skończy?

Finch popatrzył na SHF. Pasma migoczącej pomarańczowo-czerwonej grzybowej mgły wściekle wzbijały się w niebo. Niczym szalejące zakażenie. Przypomniawszy sobie wzgórze, na którym stał razem z Błękitną Damą. Ten obraz powrócił do niego z taką mocą, że na chwilę przesłonił mu wzrok. Skłębiona masa cząsteczek, które szumiały i promieniowały stałym światłem, aż całe miasto wypełniło się jakby blaskiem świtu. Miasto odpowiedziało zwierzęcym rykiem setki gardeł.

- Po co oni w ogóle cokolwiek robią?
- Już wszyscy nie żyją. Albo właśnie umierają.

Czy Błękitna Dama mogła mieć rację, a zarazem się mylić? Może Duncan Shriek rzeczywiście żyje, ale wieże mają zupełnie inne przeznaczenie? Wpatrywał się w jaskrawobłękitne niebo, nie znając odpowiedzi. A co, jeśli jest tylko przynętą? Służy odwróceniu uwagi? Ponownie zabolął go rozdźwięk pomiędzy tym, co mu pokazała, a Ambergris, jakie znał. Eteryicznym pięknem, które już tutaj nie mieszka. Snem, w który można uwierzyć bądź mu zaprzeczyć. Wizją odmienną dla niego, Wyte'a i Rathven.

- Miasto walczy samo ze sobą. To bezcelowe...

Obok niego stanął Fotograf. Na jego szyi wisiały okulary. Trzymał mały woreczek na sznurku.

- Oszłamiające, czyż nie?

- Nie - odparł Finch. - Raczej kurewsko paskudne.

- Tylko popatrz, jak się zachowuje woda - rzekł Fotograf. - Spójrz na te wzory. - Był zachwycony.

Erupcja pomarańczowych płomieni ponad Kosą. Spirale czarnego dymu. Kolejny wybuch. I jeszcze jeden. Budynek już się tak nie trząsał. Jakby się przyzwyczaił. On albo Finch.

- Kiedy to się zaczęło?

- Dwadzieścia minut temu? Nagle większość robotników zeszła ze szczytów wież. Teraz są przy podstawach i nadal coś budują.

Finch poczuł nagły rozbłysk nadziei. Nie zdawał sobie sprawy, że wciąż jest do niej zdolny.

- A więc jeszcze nie skończyli.

- Prawie. Z Kosą też już niemal koniec.

Finch posłał Fotografowi ostre spojrzenie, ale nie dostrzegł u niego oznak triumfu.

- To wyraźne ostrzeżenie - stwierdził Fotograf. - Przygotowują na coś miejsce.

- Ciekawe, co zrobią, gdy skończą z Kosą - mruknął Finch pod nosem.

Fotograf wskazał na wschód.

- Czego brakuje?

Zniknęła kopuła drugiego obozu. Pozostał po niej tylko upiorny biały zarys złamany nakrapianą szarością. Z powodu tego braku zielenie Dzielnicy Religijnej jeszcze silniej płonęły w blasku słońca. Za tą płataniną znajdowały się echa i cienie odległych kopuł oraz minaretów. Jak sen. Jak pułapka. Czy Sintra patrzy stamtąd na to wszystko?

- Kurwa.

Nowa faza Powstania.

Ludzie zaczęli zdawać sobie sprawę, że na dachu może być niebezpiecznie. Tłum się przerzedził. Pozostało tylko kilka osób. Pięćdziesięciokilkuletnia kobieta ubrana w szlafrok, mocno obejmująca się rękami. Para dwudziestolatków, którzy nigdy nie zaznali niczego innego niż wojna i Powstanie. Trzej staruszkowie w eleganckich strojach, uroczyście wpatrujący się w dal.

Większość wołała skulić się w swoich mieszkaniach i nie widzieć nadchodzącego końca. Albo wyjść na ulice w ostatnim akcie sprzeciwu. Wobec czego?

Wieże nie przestawały atakować Kosy. Dym zmienił kolor z czarnego na biały. Wydawało się, że grube zielone kule uderzające w Kosę rozpuszczają się i przekształcają w obłoki lub gęstą mgłę.

- Mam coś dla ciebie - powiedział Fotograf, po czym włożył Finchowi woreczek do ręki. - Wygląda jak bulwa pamięci, ale nią nie jest. Miej to zawsze przy sobie.

Finch popatrzył na woreczek. Potem na Fotografa. Nie krył zaskoczenia.

- Jeśli cię nie złapią, przyda ci się podczas misji - rzekł Fotograf. - A jeśli cię złapią, odgryź jeden kęs. Tylko jeden.

- I co wtedy?

Oblicze Fotografa było pozbawione wyrazu.

- Nic z ciebie nie zostanie. Nic, co mogliby namierzyć. Nic, co mogliby odczytać.

Nic nie zostanie. Koniec z bólem. Koniec z ukrywaniem się. Nicość.

„Ponieważ my także się zmieniamy, Finch. Nie ma wśród moich podwładnych ani jednego człowieka, który nie zostałby w jakiś sposób odmieniony. Jednak ważne jest, jak dalece się zmienimy. Jeśli za bardzo, nie będziemy się różnić od Shrieka, a nawet od szarych kapeluszy. Wtedy nawet zwycięstwo okaże się porażką”.

Pod wpływem impulsu usiłował zwrócić woreczek Fotografowi, ale ten cofnął się i włożył ręce do kieszeni kurtki.

- Nie rozmawiaj o tym w swoim mieszkaniu - rzekł Fotograf, jakby nic się nie stało. - Kiedy tam jesteś, niczego nie zapisuj.

- Dlaczego?

- Wczorajsza wiadomość pozostawiła intruzów. Nie możemy ich dyskretnie zagłuszyć.

Finch nawet nie próbował się nad tym zastanawiać, obracać tego w myślach. Ot, kolejny kłopot w życiu, które jest ich pełne. Nie miał siły się złościć.

- Jeszcze dzisiaj ktoś przekaze ci pozostałą część tego, czego potrzebujesz - ciągnął Fotograf.

Zakładając, że to zrobię. Lecz gdy tak stał z woreczkiem w dłoni, odmowa wydawała się niemożliwa. To jedyne wyjście. Przejąć kontrolę nad dochodzeniem, zanim ono posypie mu się na głowę. Niech to przestanie być śledztwem. Niech się stanie czymś innym.

- Zawsze podejrzewałem, że to tamten szaleniec przed budynkiem - rzekł Finch.

Na ustach Fotografa pojawił się wąski uśmiech.

- To tylko szaleniec.

- Czy muszę tutaj zostać?

- Rób to co zawsze. Ktoś pójdzie za tobą. Będziemy wiedzieć, gdzie jesteś,

dokądkolwiek byś się udał.

- Czy Rathven wie? - spytał po chwili Finch.

- Nie - odparł Fotograf.

- Ona wcale nie jest twoją siostrą, prawda?

- Żegnaj, Finch - powiedział Fotograf i podał mu dłoń. Uścisk okazał się mocniejszy i dłuższy, niż Finch się spodziewał.

Zatem już nie wróci.

- Co z twoimi zdjęciami?

- Możesz je zatrzymać, jeśli chcesz. Już ich nie potrzebuję. Potem zszedł po schodach i zniknął.

Wieże w zatoce ucichły. Pozostała tylko ściana ciężkiego czarnego dymu unoszącego się z południowo-wschodniego brzegu. Finch już słyszał gniewne głosy dobiegające z ulicy. Widział tłumy gromadzące się na skrzyżowaniach daleko w dole.

Przez chwilę nie ruszał się z miejsca. Spoglądał na miasto. Nie dowierzał, że przyszłość Ambergris rzeczywiście jest w jego rękach.

2

Blakely zabarykadował drzwi posterunku dwiema szafkami i pustym biurkiem. Finch prześlizgnął się przez wąską szparę, którą Gustat szybko za nim zamknął. Blakely zionął whisky, nieskutecznie maskując tę woń aromatem kawy. Miał czerwoną twarz kogoś, kto od dłuższego czasu rozpaczliwie usiłuje się upić. Gustat bez większych sukcesów manipulował przy swoim radioodbiorniku. Nigdzie nie było Wyte'a. Jak również Albina i Skinnera.

- Co tu się, kurwa, dzieje?

- Przecież widziałeś - odparł Blakely. - Wkrótce staniemy się celami. Może uda nam się ufortyfikować dzwonnice. Jeśli sytuacja się nie polepszy.

Finch zmierzył go wzrokiem.

- Ufortyfikować dzwonnice? - Stawić ostateczny opór. Przeczekać oblężenie w żalonym domku na drzewie, pocieszając się kilkoma tuzinami butelek whisky i piwa. Przez chwilę Finch widział w Blakelym małego pryszczatego łobuza, który siłą wpycha się do lokalnej świetlicy.

- Masz lepszy pomysł? - spytał Blakely. Na jego twarzy malował się strach.

- Nie ma lepszych pomysłów - mruknął Finch.

Blakely miał rację. Ludzie na ulicy byli załęknieni i żądni krwi. Finch przez całą drogę trzymał w dłoni odznakę detektywa. Drugą rękę opierał na pistolecie. Nie podobało mu się, że niebo uczyniło wszystko tak wyraźnym i czystym. Nie podobało mu się, że w kieszeni niesie podarunek od Fotografą. Stronnicy wyłapywali wszystkich, którzy wciąż mieli na sobie obozowe uniformy. Rozdawali ciosy na lewo i prawo. Szare kapelusze jeszcze się odezwały. Pech chciał, że tego dnia grzyby wydzielają narkotyki. Wszyscy chcieli się zaopatrzyć, z myślą o nadchodzącej katastrofie.

Finch podszedł do swojego biurka. W celi piętrzyła się sterta ciał. Na wierzchu leżeli mniej więcej trzydziestopięcioletni mężczyzna w podartym brązowym garniturze oraz dwudziestokilkuletnia kobieta w eleganckiej czerwonej sukience. Ich twarze zaczęły się pokrywać lawendowymi porostami. Pod nimi leżał jeszcze tuzin zwłok. Finchowi wydawało się, że rozpoznaje kilka osób widzianych w kaplicy.

- O co tutaj chodzi? - spytał ostro.

Długo panowała cisza. W końcu przerwał ją Blakely.

- Heretyk powiedział, że to zdrajcy. Wspólnicy buntowników. Przyprowadził ich tutaj wczoraj wieczorem. Stwierdził, że muszą zostać zlikwidowani.

Gustat nie patrzył na Blakely'ego. Starał się nigdzie nie patrzeć.

- Zatem Heretyk był tutaj? - spytał Finch.

- Tak, wczoraj wieczorem.

- Macie zamiar po prostu zostawić tutaj te ciała? - Nie udawało mu się ukryć obrzydzenia. Nimi? Zastaną sytuacją?

- Tak nam kazał.

- Mówi się, że szare kapelusze przygotowują się do oczyszczenia całych dzielnic za pomocą obłoków spór - wtrącił się Gustat. - Zamknęli ulice położone najbliżej zatoki i wież. Ukończą budowę w ciągu najbliższego dnia, najwyżej dwóch. - W jego głosie pobrzmiwała mieszanka podziwu i przerażenia.

- Już skończyli - odparł Finch. - Jeśli nie zauważyliście, dziś rano rozpieprzyli Kosę w drobny mak. Gdzie są pozostali?

- Posłali ich do pracy przy wieżach, więc najwyraźniej jeszcze nie wszystko gotowe - odrzekł Blakely.

Finch usiadł przy swoim biurku. Wzbierał w nim gniew. Drażniło go, że musi udawać zaangażowanie, a jego stanowisko zmusza go do okrucieństwa.

Na jego biurku leżały nowe notatki służbowe. Napisane odręcznie przez Blakely'ego. Rodzinna kłótnia. Uliczny napad. Ktoś ukradł komuś jedzenie. Komuś zginął pies, a właściciel zgłosił zaginięcie osoby. Zadziwiające, że takie przyziemne pierdoły nigdy się nie kończą. Nawet w obliczu zagłady. Finch ponownie spróbował ustalić kolejność wydarzeń, które doprowadziły go do tej chwili. Nie potrafił.

- Odzywał się do was Wyte? - spytał, chcąc skupić się na czymś innym.

- To on żyje? - Gustat sprawiał wrażenie zaszokowanego.

- Tak, kurwa, wyobraź sobie, że żyje. - Nagle przypomniał sobie, że nie zadzwonił na posterunek po strzelaninie. Muszę zadzwonić do Wyte'a. - Ale Dapple zginął. Uczestniczyliśmy w strzelaninie z udziałem buntowników i Stronników. - Poinformował ich o tym tak beznamiętnie. Tak spokojnie.

- Dapple zginął - powtórzył Gustat, cały czas trzymając dłoń na pokrętle radia. Tępo wpatrywał się w dal. Zaczął płakać. Zupełnie jakby przyjaźnił się z Dapple'em, a nie tylko z trudem go tolerował.

Blakely roześmiał się chrapliwie.

- Przykro nam, że nie jesteśmy na bieżąco z waszymi wyczynami, ale wczoraj

wieczorem byliśmy zbyt zajęci pilnowaniem sterty trupów.

- Zdarza się, Gustat - odparł z udawaną surowością Finch. Ignorował Blakely'ego. Nie spodziewał się łez Gustata. Wielu rzeczy się nie spodziewał. Zastanawiał się, jak długo jeszcze wytrzyma. Kiedy zabraknie mu sił?

- Zajrzyj do swojej pamięciodziury, Finch - rzucił Blakely.

Wiadomość? Finch się pochylił i niepewnie wydobyl strąk, czując na sobie wzrok pozostałej dwójki. Dopełnił rytuału otwarcia. W środku znalazł tylko krótki liścik. Od Heretyka.

Plany uległy zmianie. Złóż końcowy raport w sprawie śledztwa. Potem razem z Wyte'em zgłóście się w wieżach, gdzie otrzymacie szczegółowy harmonogram pracy.

Znaczna poprawa w porównaniu z poprzednią wiadomością. Na twarzy Blakely'ego strach mieszał się z samozadowoleniem.

- Odebrał ci dochodzenie. Powiedział nam, zanim odszedł. To koniec śledztwa.

- Kto mnie zastąpi? - spytał z niedowierzaniem Finch.

- Nikt. Praca w wieżach jest karą za to, co się wydarzyło w kryjówce buntowników. Jeśli chcesz poznać moje zdanie, to sądzę, że i tak wam się upiekło. Był w dobrym nastroju. Spokojny. Niemal szczęśliwy. Nawet wtedy, gdy ich usypiał. - Wskazał głową celę.

- Ale będziecie musieli popracować w wieżach - rzekł Gustat, nie przestając walczyć z radiem. Miał dziwny wyraz twarzy, zawieszony pomiędzy srogą miną a uśmiechem.

- Dzięki za przypomnienie - odparł Finch. - A teraz się odpierdol.

- Rozchmurz się - rzucił Blakely. - Heretyk już raczej nie wróci. Chyba nikt nie wróci.

Zegar tykał. Telefon na biurku Fincha kilkakrotnie zadzwonił. Zgłaszali się głównie ludzie przerażeni zniszczeniem Kosy. Mimo że od tamtej pory wieże nic nie zrobiły. Niektórzy z dzwoniących nawet nieśmiało liczyli na to, że Finch im pomoże. Najwyraźniej żyli wspomnieniami o dawnych czasach. Przeszłością, która nigdy nie istniała.

Finch pracował nad końcowym raportem. Udawał zaangażowanie. Polegał na rutynie. Czekał, aż ktoś poklepie go po ramieniu i zdradzi mu resztę planu. Wkrótce skontaktuje się z Wyte'em. Musi tylko zdobyć się na odwagę.

Zaczął pisać piórem. Same brednie. Pierdol się... Czy jestem tylko przynętą?... Nie ma tutaj niczego, co ci się przyda... Jesteś potworem...

Na chwilę sparaliżowało go wspomnienie twarzy Sintry, gdy ostatnio się rozstawali. Kurczowo chwycił się jej słów, chociaż wtedy kazał jej zamilknąć. „Mama wyzdrowiała, ale

tata stracił rękę po trafieniu grzybowym pociskiem. Długo nie mógł pracować, wpadł w depresję. Był dziennikarzem".

Wyrzucił bzdurne notatki. Przesiadł się do maszyny do pisania i wkrótce miał przez sobą prawdziwy raport, bezbarwny, ale sensowny. Czy usatysfakcjonuje Heretyka i pozwoli Finchowi ukończyć misję? Nie miał pojęcia. Przeczytał go po raz ostatni.

W tej sprawie nie sposób wyciągnąć ostatecznych wniosków. Nie udało mi się ustalić tożsamości martwego szarego kapelusza. Zabity mężczyzna może być powiązany z mało znanym historykiem Duncanem Shrikiem, który zajmował to mieszkanie ponad sto lat temu, wygląda to jednak na zbieg okoliczności. Podczas dochodzenia wielokrotnie pojawiały się dwa nazwiska! Ethan Bliss, agent na usługach Morrow, oraz tak zwany „Stark”, szpieg pracujący dla Stockton. Obaj są tylko pośrednio związani ze sprawą, lecz zgodnie twierdzą, że zabity mężczyzna miał przy sobie broń, którą buntownicy stworzyli w celu walki z *fanaarcensitii*. Uważam, że mężczyzna spadł z dużej wysokości, a następnie został przeniesiony do mieszkania - umarł w innym miejscu. Zarówno Bliss, jak i Stark mogą wiedzieć coś więcej, ale się ukrywają, a my nie dysponujemy środkami, które pozwoliłyby na ich wytropienie. Jeśli denat należał do spisku buntowników, to ich plan najwyraźniej zawiódł. Proponuję, by *Fanaarcensitii* skupili się na odnalezieniu Blissa i Starka. Ich przesłuchanie może pozwolić na zdobycie dodatkowych informacji. Pozostałe ustalenia znajdują się w załączonych służbowych notatkach oraz poprzednich raportach.

- Detektyw John Finch

Zdawkowy. Chronił tych, których miał ochronić. Ujawniał tych, którzy się o to prosili.

Tchórzliwy. Ukrywał śmierć, rozpacz, zniszczenie.

Finch odłożył go na bok.

Pisał dalej, mocno wciskając klawisze:

Wydarzenia rozgrywają się poza wami. Nie możecie nic na to poradzić. Wcale nie jesteście tacy sprytni. Pójdziecie na dno, zastanawiając się, jak do tego doszło. Nigdy was nie zrozumieję, ale wy także nigdy nas nie zrozumiecie.

Czuł się jak dziecko. Wziął ze sobą także tę drugą wiadomość, po czym wrócił do

swojego biurka. Przyglądał się im obu, jakby stanowiły test jego etyki zawodowej.

Po kilku minutach dzwonek telefonu wyrwał go z zamyślenia.

- Finch. - Wyte. Jego głos zmienił się niemal nie do poznania. Brzmiał nieludzko. -
Musisz mi pomóc.

„Kiedy przyjdzie czas, prawda, Finch?”. „Jasne, Wyte. Kiedy przyjdzie czas”.

- Finch. Jesteś tam?

- Tak.

- Przyszedł czas.

Wspomnienie o jego niezwykłym partnerze z poprzedniego dnia rozpadło się na kawałki. Finch poczuł, że zaciska mu się gardło. Świat wokół niego zawirował, stał się niewyraźny. Blakely garbił się nad swoim biurkiem. Po lewej stronie widniała czerwono-biała plama. Finch miał wrażenie, że okna się zbliżają.

- Jesteś pewien?

- Jestem pewien.

- Dobrze, Wyte. Dobrze.

- Aha, Finch, obawiam się, że nie odejdę po cichu jak Richard Dorn.

Głos Wyte'a, niegdyś głęboki i chropawy, zmienił się od czasu pierwszego spotkania z Finchem. Stał się miękki jak woda, łagodniejszy, a zarazem przytłumiony.

- Gdzie jesteś?

- W swoim mieszkaniu.

„Będziesz wiedział, co robić”. „Będę wiedział, co robić”.

- Już idę.

Wyte się rozłączył.

Finch przez chwilę siedział lekko pochylony nad biurkiem. Jego łokcie wbijały się w drewno. Zbierał siły.

Dasz radę. Musisz dać radę. Obiecałeś mu.

Podniósł jedną rękę, po czym trzasnął pięścią o blat. Chciał poczuć ból promieniujący aż do ramienia. Wstał. Zgarnął wszystko z biurka. Wydał z siebie dźwięk przypominający ryk. Przypominający jęk. Blakely i Gustat również wstali; nie spuszczała z niego wzroku.

Kości Tonsure'a w małym domku nad brzegiem podziemnego morza. Obce gwiazdy. Spadanie razem z Blissem w ciemność. Wydostanie się do światła. *Strasz* Heretyka wspinający mu się po nodze. Sintra znikająca w ciemności.

- Na co się, kurwa, gapiacie? - warknął Finch. Zaczął rozbijać przedmioty leżące na podłodze na małe kawałki, które mogły się zmieścić w pamięciodziurze. Połamane ołówki.

Podarte kartki. Rozwarta szczeka zszywacza. Wpychał je do otworu, który chrypiał i protestował.

Potem podarł swój raport oraz żalną wiadomość. Je również wrzucił do pamięciodziury.

- Podoba ci się to, Heretyku? Podoba? - Może nawet wykrzyczał te słowa. Nie dbał o to.

Blakely próbował go odciągnąć, kładąc mu dłoń na ramieniu. Finch strząsnął jego rękę, odwrócił się i popatrzył na Blakely'ego tak, jakby go nie poznawał. Zobaczył, że detektyw wyjął broń. Finch odzyskał panowanie nad sobą i wyciągnął przed siebie dłonie skierowane ku podłodze.

- Już w porządku. - Ale nic nie było w porządku. Co jeszcze może się rozpaść? Co pozostało? - Muszę tylko zabrać kilka rzeczy ze swojego biurka i już mnie nie ma.

Fotograf powiedział, że będą go obserwować. Teraz zobaczą, jak radzi sobie z Wyte'em.

Blakely się cofnął. Nie opuszczał broni.

- Oszalałeś, Finch - powiedział. - Oszalałeś. - Gustat stał nieruchomo z szeroko otwartymi ustami.

Finch sięgnął pod biurko. Wyjął z ukrycia ceremonialny bułat w pochwie.

Blakely jeszcze bardziej się cofnął.

- Co to jest, do cholery?

- To mój bułat - odparł Finch. Zapiął pas z pochwą na biodrach. - Nigdy nie widziałeś szabli, Blakely? - Miał już pistolet. Nie potrzebował niczego więcej. Ani teraz, ani nigdy więcej.

Chciał zatrzymać się przy drzwiach i coś powiedzieć. Ale nie miał nic do powiedzenia, więc tylko odsunął na bok szafkę.

Blakely i Gustat zostali w pomieszczeniu, które nagle rozrosło się do olbrzymich rozmiarów. Wyglądali jak zagubieni chłopcy.

3

Na drzwiach Wyte'a wisiał przekrzywiony numer siedemnaście. Drzwi były na wpół skryte w cieniu, a na wpół oświetlone słońcem odbitym od ozdobnej kamiennej ściany biegnącej równoległe do mieszkań. Niebieską farbę znaczyła rdzawa plama. W lewym górnym rogu pyszniła się stara dziura po kuli. Wyblakła, podarta wycieraczka. Pot, pleśń i zwietrzały smród szczyn. To wszystko przygnębiało Fincha. Jak dotąd odwiedzał Wyte'a tylko kilka razy. Urządzali nocne popijawy. Wygłaszali buńczuczne mowy o ucieczce bądź przyłączeniu się do ruchu oporu, z których rano niczego nie pamiętali. Finch pocieszał Wyte'a po separacji z żoną. Pomagał mu znieść tęsknotę za dziećmi.

Przyszedł okrężną drogą, by zgubić ewentualnych szpiegów.

Zapukał raz. Drugi. W jednej dłoni trzymał pistolet, w drugiej szablę.

Nic. Ponownie zapukał.

Tym razem usłyszał jakiś dźwięk. Jakby głos. Głos, który tonął, zalewany przez dziwne fale. Być może ktoś powiedział: „Wejdz, Finch”.

Wewnątrz: popękana żółta tapeta. Zdjęcie żony Wyte'a stojące na chwiejnym stoliku. Krótki korytarz prowadzący do kuchni przypominającej kambuz. Kilka przekrzywionych wyblakłych akwareli pokazujących okręty Hoegbottona podczas polowania na króla kałamarnic. Baśnie z minionych czasów.

Dalej salon. Prawie żadnych mebli. Jakby Wyte'a już nie było.

Ale był. Leżał w kącie salonu, a słaby blask starej lampki skapywał na jego ciało. Lampka przyjechała aż z Południowych Wysp, przywiozła ją babka Wyte'a. Na podstawie nadal tkwiły przyklejone muszelki.

Lampka wydawała się malutka w porównaniu z Wyte'em. Leżał bezwładnie. Potworny. Olbrzymi. Rozlewał się w dziwaczny sposób. Jakby w pokoju niespodziewanie pojawiło się porośnięte mchem wzgórze.

Pelzające kosmyki na obrzeżach. Powyżej: twarz wewnątrz twarzy, skierowana ku Finchowi. Malutkie oczy. Białe na tle nacierającego mroku. Bacznie go obserwujące.

Kto zastawił pułapkę na Wyte'a? Na samym początku? W pewnym sensie sam to uczynił, gdy w nią wpadł.

Wyte przemówił. Gardłowym, wilgotnym głosem, który jakby się rozpuszczał:

- Dziękuję, że przyszedłeś, James.

Jakby nic się nie zmieniło. Cztery dni temu tropiliśmy Blissa.

- Wszystko będzie dobrze, Wyte.

- Nie musisz mnie okłamywać. Nie będzie dobrze. Nic z tego. Dobrze o tym wiem. Nawet jeśli Otto nie wie. - Zaśmiał się chrapliwie, jakby kaszłał.

- Jesteś wśród przyjaciół.

Istota w kącie zadrżała. Roześmiała się?

- Miło, że znów mogę nazywać cię Jamesem. To chyba było najtrudniejsze. Pamiętać, by mówić do ciebie Finch. Albo John.

- Nie wydałeś mnie, Wyte. Nigdy ci tego nie zapomnę.

Istota niezdarnie wzruszyła ramionami. Kopiec z oczami Wyte'a.

- Powiedz Emily. Powiedz jej...

- Ona wie. Ja też wiem, Wyte. Nikomu nie trzeba niczego mówić. - Finch nie miał pojęcia, gdzie obecnie mieszka Emily.

Stworzenie. Potwór. Obcy.

Finchowi trzęsły się ręce. Czy potrafi to zrobić? Sprawdzał, do czego jest zdolny. Jako Crossley i Finch. Czy którykolwiek z nas potrafi to zrobić? Przypomniał sobie Wyte'a, który dawno temu siedział za biurkiem u Hoegbottona. Pokazywał Finchowi tajniki zawodu. Cierpliwie wyjaśniał, na czym polega jego praca.

Tamten świat ostatecznie zgasł jak wypalona zapalka wrzucona do rynsztoka.

- James?

- Tak?

- Wspomniałem przez telefon, że już nad sobą nie panuję. Niewiele ze mnie zostało. Reszta może się bronić. Ale wiedz, że to nie będę ja.

Kilka miesięcy temu podczas chwili szczerości wyznał Finchowi: „Nie chcę nikogo skrzywdzić. Nie chcę stracić kontroli, a jednocześnie wciąż tam być i wiedzieć, co robię”.

- Wiem, Wyte - odrzekł Finch, zgrzytając zębami. Ugryzł się w policzek, aż popłynęła krew. Wzbierał w nim niemy krzyk. - Wszystko będzie dobrze.

Ale nie było.

Zamknął za sobą drzwi.

Gdy wyjął szablę, łzy spływały mu po twarzy.

Zabicie przekształconego człowieka wymagało niemal tyle samo wysiłku co zabicie szarego kapelusza. Finch kiedyś dokonał tego drugiego. Przed Powstaniem, jako James

Crossley. Podczas wojny pomiędzy Domem Hoegbottona a Domem Frankwrithe'a i Lewdena. Dzielnice patrolowali wtedy tylko słabo wyszkoleni żołnierze nieregularnej armii. Sprawdzali, czy wrogowie nie czają się w szczelinach. Wykurzali ich ze zrujnowanych budynków, na które spadły bomby zapalające. Z opuszczonych teatrów. Z dziedzińców, które wciąż pamiętały dawne masakry. Oficjalnie siły Hoegbottona uznawały szare kapelusze za „cywilów”, dopóki któryś oddział nie poczuł się przez nie zagrożony. Nieoficjalnie patrole zachęcano do atakowania ich i przepędzania, „niszczenia” bądź zabijania. W tamtych czasach szare kapelusze dostarczały broń i amunicję Frankwrithe'owi i Lewdenowi.

Tamtej nocy to Crossley stał na czele patrolu. Wyszli z labiryntu ulic na złomowisko otoczone spalonymi budynkami, gdzie kiedyś znajdował się plac zabaw. Chwilę wcześniej zatrzymali, a następnie wypuścili troje młodych ludzi bez dokumentów. Młodemu udało się przekonać Crossleya, że są u siebie, a przynajmniej sprawić, by zrezygnował z aresztowania ich i zamknięcia w celi, w której mogli nie doczekać poranka.

Jedynym źródłem światła stanowiły połowiczny księżyc oraz słabe latarnie uliczne oddalone o sto stóp. Mimo to, Crossley dostrzegł coś, co przemieszczało się zrywami po złomowisku.

Patrol składał się z siedmiu ludzi. Byli odświeżeni. Crossley początkowo nie był pewien, co zobaczył, ponieważ szare kapelusze rzadko pojawiały się na otwartej przestrzeni. Poczł się tak, jakby ujrzał delfina w miejskim basenie. Dał swoim ludziom sygnał, by się rozproszyli, nie wiedząc, z czym mają do czynienia. Mieli okrążyć teren i zacisnąć pętlę.

Gdy podczołgał się bliżej po połamanych dźwigarach oraz śmieciach, odkrył szarego kapelusza. Grzybianin chodził w kółko i mówił do siebie. Nie wydawał się ranny, ale coś było z nim nie tak. Jakby się upił.

Kiedy szary kapelusz ich zauważył, przerwał swój chwiejny taniec. Próbował uciec, ale już go otoczyli. Miał zęby ostre jak igły. Pazury na palcach. Wydzielał grzybową mgiełkę, jednak żołnierze założyli maski gazowe.

Crossley strzelił pierwszy. Szary kapelusz się zatoczył. Odzyskał równowagę. Pobiegł w kierunku innego punktu na obwodzie. Trafiły go dwa pociski. Ponownie się zatoczył, ale szybko się otrząsnął. Krzyknął. Skoczył niczym tancerz. Jakby wreszcie zrozumiał zagrożenie. Crossley-Finch nigdy tego nie zapomni. Stwór zawirował obok żołnierzy. Ale zamiast uciekać, próbował zmniejszyć dystans. Jakby był wściekły. Albo chory. Jego oczy płonęły zielonym, wiecznym blaskiem. Zaatakował jednego z mężczyzn pazurami, wytrącił mu karabin. Kosztowało go to kolejne trafienie, ale udało mu się rozerwać krtań wroga. Żołnierz upadł skulony na ziemię. Crossley błyskawicznie wycelował w istotę. Wydawało mu

się, że szary kapelusz się uśmiecha.

Skoczył. Przemknął. Zniknął. Potem znów się pojawił. Daleko, za chwilę blisko. Wszyscy mieli trudności z nadążeniem za nim. Stękali, przeklinali i pocili się, jakby to była normalna praca. Jak kopanie rowów albo grobu. Zbyttnio się zaangażowali. Wiedzieli, że już nie mogą się wycofać, a szary kapelusz postanowił walczyć.

Gdziekolwiek stanął stwór, spod jego stóp wzbijał się w powietrze złoty pył. Obłoki czerwono-zielonych spór unosiły się z jego ciała jak para. Maski gazowe zapewniały żołnierzom ochronę.

Kończyła im się amunicja. Nie przestawali strzelać, a on przyjmował pociski.

„Bagnet na broń” - rozkazał Finch. Zostało ich czterech. Przeciwno jednemu szaremu kapeluszowi. Przypomniawszy swoim ludziom, że bagnety nie mogą ugrząźć w ciele wroga. Wtedy stwór by ich dopadł i kolejno wykończył. Niestety, broń jednego z mężczyzn utknęła, a żołnierz zapomniał ją puścić. Szary kapelusz natychmiast pociągnął go do przodu i rozerwał na strzępy, po czym odwrócił się, czując ze wszystkich stron nowe cięcia. Zostało ich trzech. Stwór tracił kawałki ciała, ale nie krwawił. Nie okazywał bólu. Wykrzykiwał coś w swoim języku, czasami wplatając ludzkie słowa. Miał syczący głos.

Nie odpuszczali. Byli zbyt zaaferowani, by się bać. Zbyt zaaferowani, by krzyżeć. Wewnątrz ciała stwora było czarne, przypominało harmonijkę.

Crossley miał okazję dokładnie mu się przyjrzeć, gdy zaatakował szarego kapelusza od tyłu. Ten akurat dopadł kolejnego żołnierza i zaczął go gryźć. Finch uderzył myśliwskim nożem w nogę stwora. Poczł, że ostrze przecina coś twardego i grubego. Wyszarpnął nóż, odcinając kawałek czarnego ciała w kształcie klina. Szary kapelusz oddalił się, kuśtykając. Nie był już tak sprawny. Warknął. Finch i pozostali zaczęli strzelać mu w twarz, pierś, ręce i nogi.

On jednak nie przestawał atakować. Zbliżał się i oddalał, choć jego twarz zmieniła się w odbarwioną miazgę. Oczy wyzierały z poszarpanego ciała. Gdy szary kapelusz odwrócił się, by stawić czoło jednemu z ludzi, Crossley skoczył naprzód i wbił ostrze jeszcze głębiej w jego nogę. Umknął, gdy tylko stworzenie spróbowało się okręcić.

Wcześniej poczuł, że coś ustępuje pod nożem. Trysnęła fioletowa krew.

Cofnął się. Zobaczył, że szary kapelusz stoi na jednej nodze.

- Mordercy - zawodził stwór. - Mordercy. W naszym mieście.

W tamtej chwili Crossley z całego serca pragnął go zabić. Żeby zamknąć mu usta. Ogarnęła go żądza krwi tak pierwotna, że wróg wydał mu się nieziemsko piękny w blasku księżyca. Nieobecny i oderwany od tego, co mu robili.

Osaczyli go we trzech. Nie mógł im uciec. Czy płakał, gdy rozrywali go na strzępy? Nie. Jedyne wpatrywał się w surowe gwiazdy, jakby stanowiły przedłużenie jego oczu. Odrabali i urwali mu ręce. Siekali. Obdzierali ze skóry. Odrzucali kawałki na bok. Czerwień jego nogi. Cały czas patrzył. Obłok spór wystrzelił z czubka jego głowy i rozwiął się w powietrzu. Cięli także korpus, aż została tylko głowa przytwierdzona do szczątków szyi. A on się uśmiechał. Wydawało się, że nadal żyje. Odruchowym życiem ogona jaszczurki.

Zaczęli kląć i szlochać. Gdy żądza krwi ich opuściła, nie potrafili zrozumieć, jak mogli się do tego posunąć. Jak mogli coś takiego zrobić. Mimo że wciąż chcieli go zabić. Krzyczeli. Wołali. Nie dbali o to, czy wróg ich słyszy. Byle tylko zatłuc go na śmierć.

W końcu go spalili. Pozostały tylko martwe roześmiane oczy, które pytały, czy było warto.

Wkrótce także one wybuchły, zmieniając się w spory.

4

Nic nie pozostało z Fincha, gdy skończył z Wyte'em. Zupełnie nic. Był przesiąknięty krwią lub czymś, co ją przypominało. W lewej dłoni kurczowo ścisnął rękojeść szabli o okrwawionym jelcu. Wyte nie mógł liczyć na pogrzeb. Nie mógł na nic liczyć. Znalazł się na krótkiej, stromej drodze ku zapomnieniu. Nikt nie mógł go przed tym ocalić.

Lewe ramię Fincha promieniowało bólem po otrzymanym ciosie. Lewe kolano uginało się, po tym jak Wyte go podciął. Blisko końca. Ostatni odruchowy atak istoty, która nie chciała umrzeć. Finch przez cały czas czuł się tak, jakby to wszystko spotkało jego. Ciężko stawał stopy, przytłoczony tym brzemieniem.

Musiał znieść straszliwe odgłosy. Coś żyło wewnątrz Wyte'a. Kiedy się wydostało, Finch to postrzelił, a potem rozplatał szablą przy wtórze głośnego kwiczenia. Czy to była część Wyte'a? A może jakaś pozostałość Otta? Wszystko jedno. Finch po prostu chciał to zabić. Upewnić się, że Wyte nie powróci.

Ta istota nie miała nic wspólnego z ojcem rodziny i mężem, którym Wyte był przed Powstaniem. Nie było związku pomiędzy jego ówczesnym życiem a śmiercią. To było szaleństwo. Coś nieprzewidywalnego. Gdy przesiadywali na werandzie dawnego domu Wyte'a i popijali z jego srebrnej piersiówki, Finch nigdy nie zagaił: „Kiedyś zmienisz się w potwora, Wyte, a ja zabiję cię ceremonialnym bułatem wykutym w imperium Kalifa”.

Czy wskrzeszenie Duncana Shrieka byłoby czymś odwrotnym? Czymś lepszym czy gorszym?

Gdy wychodził, w mieszkaniu zadzwonił telefon. Finch się zawahał. Wrócił do środka. Zamknął drzwi na klucz.

Aparat stał w kuchni. Finch unikał patrzenia w kąt pokoju. Bezruch był przytłaczający. Woń intensywna, prawie namacalna. Musiał zakryć nos kołnierzykiem koszuli.

Podniósł słuchawkę zakrwawioną dłonią. Czekał.

- Halo. Finch? - Stark. Sprawiał wrażenie niemal wesołego.

- Czego chcesz?

- Wydajesz się trochę roztrzęsiony. Co się stało?

- Czego chcesz?

Zrozumiał, że ludzie Starka go śledzili. Przekazali Starkowi, gdzie jest. A Stark zna

numer telefonu Wyte'a.

- Nieważne jest to, czego ja chcę, tylko to, czego ty chcesz - odparł Stark. - A najwyraźniej chcesz, żebym dalej cię ranił. Widzę, że tylko w ten sposób dostanę to, na czym mi zależy.

Finch roześmiał się szczekliwie.

- Miasto jest skończone. Rozpieprzyli Kosę. Niemal ukończyli wieże. Za dzień albo dwa to, czego pragniesz, nie będzie miało żadnego znaczenia.

- Otóż to, mój drogi. Dlatego, zanim ten dzień dobiegnie końca, musisz mi powiedzieć wszystko, co wiesz. Szkoda twojego czasu na opowiadanie mi o losie tego gównianego miasta - odrzekł aksamitnym głosem Stark. - Powinieneś raczej przejmować się tym, że możemy bez trudu dotrzeć do Sintry. Jeśli nie wyjawisz mi wszystkiego przed zachodem słońca, ona umrze.

Ta sama Sintra, która wydała mnie buntownikom. Przez którą wciąż mam burdel w głowie i boli mnie serce.

- Skoro jeszcze jej nie dopadliście, to nie wiecie, gdzie jest. - Podobnie jak ja. Finch podniósł głos do krzyku. Bolało go gardło. Bolało go całe ciało. Skąd Stark zna numer Wyte'a?

W słuchawce rozległ się długi, niski śmiech.

- Finchy, chcę dostać to, co znajduje się w mieszkaniu z trupem Shrieka. Jeszcze dzisiaj. Więc się postaraj. W przeciwnym razie Sintra będzie następna. Albo Rathven. Wszystko mi jedno. Popatrz, co zrobiliśmy Wyte'owi. To prawda, że i tak był niemal po drugiej stronie, ale pomogliśmy mu wykonać ostatni krok. Chcesz wiedzieć jak? Rozejrzyj się po mieszkaniu, zanim wyjdiesz. Może znajdziesz coś na blacie albo w zlewie. Po prostu się rozejrzyj. Zrozumiesz, jak bardzo zdesperowany był twój przyjaciel. Oraz z kim masz do czynienia.

- W tamtym mieszkaniu nie ma niczego poza Shrikiem - odparł Finch.

- Zatem dostarcz mi Shrieka.

Finch się rozłączył.

Gardził sobą za to, że posłuchał Starka i zaczął się rozglądać po mieszkaniu. Nie znalazł niczego na blacie ani w zlewie. Za to w koszu na śmieci pod zlewem natrafił na małą białą kopertę oraz liścik.

W liściku napisano ozdobnym odręcznym pismem: *Zażyj je, Wyte. Pomogą Ci, tak jak obiecałem. Pozdrawiam, Stark.* Wewnątrz koperty Finch odkrył pokruszone pozostałości jakiegoś grzyba, który wcale nie pomógł Wyte'owi.

Zmusił się, by to sobie wyobrazić. Wyte. Przerazony coraz szybciej postępującą zmianą. Sprzedał informacje, choć Finch go przed tym przestrzegał. Może myślał, że gdy spełni część żądań Starka, ten przestanie naciskać na Fincha.

Potem Stark wręczył Wyte'owi jakiś rodzaj grzyba, wiedząc, że w ten sposób przyspieszy przemianę. Liścik wysłano dwa dni wcześniej, co oznacza, że Wyte spędził ostatnie dwie noce w domu. Ujrzał w wiadomości od Starka szansę na rozwiązanie swoich problemów. Ufał mu. Nie ufał mu. Rozpaczliwie szukał czegoś, co go ocali, chociaż na jakiś czas. Doprowadziła go do tego strzelanina. Doprowadziły go do tego wszystkie bezmyślne, okrutne komentarze udawanych przyjaciół, wliczając Fincha. Był zbyt upokorzony i zawstydzony, by powiedzieć Finchowi, co zrobił. Żeby przyznać się do tego, jak głupio postąpił. Nawet na samym końcu. Zwłaszcza wtedy.

Przez chwilę Finch zmagał się z przytłaczającą pogardą dla samego siebie. Myślał, że zapadnie się pod ziemię.

Telefon ponownie zadzwonił. Finch go zignorował.

Krew skapywała mu z włosów do oczu. Jego krew. Pewnie Wyte zahaczył go pazurem, gdy pod koniec walki raz za razem zmieniał kształt. Otarł ją dłonią. Wrócił do szczątków Wyte'a. Niewiele z niego zostało. Ciało już powoli gniło. Finch zaczął grzebać w kieszeni kurtki partnera. Musiał się upewnić. To niczego nie zmieni, ale być może zaspokoi jego poczucie sprawiedliwości.

Najwyższy czas zająć się Starkiem.

Zasady Ambergris. Najpierw zlikwiduj bezpośrednie zagrożenie.

Dwie godziny później Finch skończył. Lekko odchylił zasłonę. Wyrzał jednym okiem przez szparę. Oślepiające słońce. Ziarnista szara ściana oraz wąski zakrzywiony fragment łukowato sklepionego przejścia. Po drugiej stronie ulica. Chwasty pomiędzy płytami chodnikowymi. Rząd zawilgoconych, gnijących magazynów. Samotne drzewo, wykrzywione i pozbawione liści.

Jeśli go śledzą, to pewnie się niecierpliwią. Będą musieli podejść bliżej. Zwłaszcza jeśli otrzymali też inne rozkazy.

Wyjął broń i strzelił w głąb pokoju. Pocisk utknął w ścianie obok kuchni. Huk był równie głośny jak poprzednie. Teraz już słyszeli, jak walczy z Wyte'em, widzieli, jak wychodzi, po czym wraca, oraz słyszeli strzał i następującą po nim ciszę.

Może to wystarczy, by ich zwabić.

Minęło trzydzieści sekund. Na chodniku pojawiło się dwóch mężczyzn. Ciemne stroje.

Broń wybrzusząca się pod kurtkami. Dość wysocy. Jeśli Stark przydzielił do niego cały zespół szpiegów, na przykład czteroosobowy, to ci zapewne się rozdzielili. Dwaj będą czekali na zewnątrz. Kolejny podejdzie do drzwi, a czwarty będzie go krył od strony ściany. Albo jeden stanie przy oknie na tyłach. Tylko że Finch już sprawdzał tamtą stronę budynku. Znajdowała się tam długa, wąska uliczka zagracona częściami pojazdów mechanicznych. Wystawił głowę, ale nikogo nie zauważył. To zbyt niebezpieczne. Oni zapewne też nie znają okolicy. Może nawet nie wiedzą, że na tyłach budynku jest okno. Po drugiej stronie wąskiej uliczki wznosił się kolejny, wyższy, budynek mieszkalny.

Zaraz powinni się pojawić. Finch wyobrażał sobie, że słyszy ich kroki. Wszedł do łazienki. Stał na sedesie. Podciągnął się i wyszedł przez okno, ignorując ból ramienia. Kucnął w ulicze. Otoczony zużytymi oponami i metalowymi wnętrzościami. Było tu wszystko oprócz całych pojazdów. Pachniało gumą. Z oddali dobiegała także woń oleju. Długa, wysoka ściana sąsiedniego budynku była na wyciągnięcie ręki. Nikt go nie obserwował. Chyba że czekali w ukryciu.

Z bronią w rękę i szybko bijącym sercem dotarł do drugiego końca uliczki. Nad sobą widział kawałek błękitnego nieba. Dalej wznosiły się ponure szaro-brązowe budynki. Zerknął za róg. Droga wolna. Pobiegł wzdłuż bloku mieszkalnego Wyte'a w stronę kolejnych ulic. Potem cofnął się i znów wyjrzał zza rogu na ścianę z łukowatymi przejściami, za którymi kryło się mieszkanie Wyte'a.

W prześwitach mignął mu mężczyzna, który wyszedł frontowymi drzwiami i ruszył korytarzem. Był niski. Muskularny. Sprawiał wrażenie poparzonego. Po chwili kolejny mężczyzna wyłonił się zza budynku, skąd Finch przed chwilą przyszedł. Był wyższy, szczuplejszy, łysy. Trzymał w rękę broń. Finch wycofał się w cień werandy i poczekał, aż nieznajomy oddali się na bezpieczną odległość.

Niższy z mężczyzn chwycił wyższego za przód kurtki. Nagle wyższy się odsunął, a niższy padł na kolana i zwymiotował do zniszczonego ogródka. Wyte zrobił na nim wrażenie.

Wyższy z mężczyzn machnął ręką i u ich boku pojawili się dwaj obserwatorzy. Szybka narada. Kilka nerwowych gestów. Głowa pochylona pod wpływem rozpacz, bólu albo jakiejś innej emocji, której Finch nie zdołał zinterpretować. Zgubili swój cel i teraz będą musieli zameldować Starkowi o niepowodzeniu.

Po kilku chwilach ruszyli ulicą, oddalając się od Fincha. Podążył za nimi, najdyskretniej jak potrafił. Starł się trzymać raczej za daleko niż za blisko. Dopóki nie dotarli do bardziej ruchliwych ulic, przy których mieszkali głównie byli więźniowie obozów. Nadal mieli na sobie uniformy. Niektórzy poruszali się o kulach. Kilku miało zabandażowane

głowy i ręce. Z wymizerowanych twarzy i nieobecnych spojrzeń większości z nich dało się wyczytać głód, stres albo jeszcze gorsze doświadczenia. Przypominające mech znaki na ciele, których nabawili się w obozach, lśniły jaskrawo.

Znacznie ułatwiali Finchowi zadanie. Chował się. Śledził.

W obliczach mijanych osób dostrzegał Wyte'a. To podtrzymywało w nim gniew i smutek. Żył wbrew przeciwnościom losu.

5

Stark urządził swoją główną siedzibę w grzybowym domu przy ulicy Aquelusa, około pół mili od bulwaru Albumuth, milę od mieszkania Whyte'a i niewiele dalej od posterunku. Miał stamtąd również dobry dostęp do Kosy, lecz ta trasa była teraz bezużyteczna.

Wykorzystanie grzybowego domu świadczyło o geniuszu, a zarazem szaleństwie Starka. Budynek miał trzy piętra. Był jasnozielony, ozdobiony niebieskimi metalicznymi prążkami, które nadawały mu eteryczny połysk. Nie licząc zakrzywionych i zaokrąglonych ścian oraz okien, które otwierały się i zamykały bez udziału wiatru, budowla bardzo przypominała zwyczajne domy w tej okolicy.

Finch zatrzymał się po przeciwnej stronie ulicy. Od siedziby Starka dzieliły go cztery domy. Od tyłu zasłaniała go weranda, od przodu zaś kilka wysokich krzewów o liściach w kształcie łopat. Przed wojną ta dzielnica należała do Frankwrithe'a i Lewdena. Wojna łagodnie się z nią obeszła. Spokojna ulica. Niewielu przechodniów. Zapewne odstraszał ich grzybowy dom. Albo ludzie Starka.

Mężczyźni, których śledził Finch, weszli do budynku. Kilka minut później Stark i Bosun na chwilę pojawili się na schodach przed domem. Finch nie słyszał, o czym rozmawiają, lecz wydawali się wzburzeni - ich głosy były jak miecze albo płomienie. Potem wrócili do środka. Finch czekał, rozważając swoje możliwości. Nie mógł przypuścić samotnego szturmu. Przy drzwiach nie było strażników, ponieważ zbytnio zwracaliby na siebie uwagę. Nawet śmieci zostawiano na zewnątrz, pozwalając, by zarastały je grzyby.

Finch dostrzegł cienie dwóch mężczyzn siedzących plecami do okna na trzecim piętrze. Oczywiście, w środku przebywało więcej ludzi. Kolejni zapewne kryli się w domu naprzeciwko, skąd prowadzili obserwację. Finch się tym nie przejmował. Choćbyś z oddaniem bronił swoich pozycji, to i tak będziesz miał przejebane, jeśli wróg uderzy w innym miejscu. Większą wagę przywiązywał do faktu, że Stark niemal wszystkich swoich ludzi zwerbował spośród miejscowych bandziorów. Jeśli Finchowi uda się rozprawić z przywódcą, to żołnierzom nie będzie zależało na tym, by go dopaść. Będą mieli dosyć własnych problemów.

Godzinę później Stark i Bosun wyszli z domu razem z niskim mężczyzną, który był w mieszkaniu Wyte'a, oraz z wysokim mężczyzną, który wtedy czekał za budynkiem. Ruszyli w

kierunku Fincha przeciwną stroną ulicy.

„Nie wydałeś mnie, Wyte. Nigdy ci tego nie zapomnę”.

„Już nad sobą nie panuję. Niewiele ze mnie zostało. Reszta może się bronić. Ale wiedz, że to nie będę ja”.

Chciał to załatwić szybko i schludnie. Ale stało się inaczej.

Gdy go minęli, wybiegł z ukrycia i otworzył ogień. Huk wystrzałów go zaszokował. Ochroniarze padli na ziemię. Jeden dostał w klatkę piersiową i pogrążył się w nicości, zwinięty w kłębek na chodniku. Drugi obficie krwawił z postrzelonej nogi. Wrzeszczał. Rzucił się.

Bosun odwrócił się w tej samej chwili co Stark i dostał kulkę w ramię. Bardzo się zdziwił, lecz szybko doszedł do siebie. Schylił się i rzucił do ucieczki, miotając przekleństwa.

Pech. Finch nie miał czasu, by ponownie do niego strzelić. Stark już prawie wyjął broń. Finch go staranował i wyrwał mu pistolet z ręki. Potem uderzył go w twarz. Stark przyklęknął na jedno kolano, ogarnięty bólem i wściekłością.

- Bosun! - wykrzyknął, jakby wydawał rozkaz.

Finch dzielił go w bok głowy i zaczął odciągać od dwójki leżącej na ziemi. Stękał z wysiłku. Stark mruczał coś pod nosem, starając się odzyskać zmysły. Finch nie widział, dokąd pobiegł Bosun. Musiał szybko usunąć się z ulicy.

Pocisk wbił się w ziemię obok jego stóp. Finch częściowo zasłonił się Starkiem, ale było mu o wiele niewygodniej niż się spodziewał.

Bosun znajdował się po drugiej stronie ulicy. Chował się za latarnią i stertą śmieci.

- Puść go, to daruję ci życie! - zawołał. W obu dłoniach trzymał pistolety. Nie jakieś główniane podróbki, tylko rewolwery wyprodukowane na zamówienie.

- Dalej, Bosunie - wymamrotał Stark. - Nie czekaj, tylko zaryzykuj.

Finch postawił Starka na nogi. Przystawił mu Specjał Lewdena do głowy, a drugą ręką objął go w pasie. Mężczyzna wciąż był oszołomiony.

- Zabiję go! - odkrzyknął Finch. - Zabiję go tu i teraz!

- I tak to zrobisz! - rozpaczliwie zawołał Bosun.

Finch cofał się w głąb uliczki. Miał nadzieję, że nie czeka tam na niego nic nieprzyjemnego. Stark bardzo mu ciążył, coraz trudniej było go utrzymać. Finch bał się, że upadnie, a wtedy Bosun natychmiast się na niego rzuci.

Bosun strzelił kilka razy w powietrze.

- Jeśli go skrzywdzisz, będziesz trupem.

W grzybowym domu już panowało zamieszanie. Atak trwał zaledwie kilka sekund, ale

ludzie Starka znali się na rzeczy.

- Jeśli za mną pójdziesz, to amunicji wystarczy mi dla was obu, ty draniu! - odpowiedział Finch.

Dotarł do uliczki. Posłał kilka pocisków w stronę Bosuna, żeby go zniechęcić.

Kilkaset metrów dalej uliczka rozdzielała się na trzy odnogi. Finch wciągnął Starka za róg. Wykręcił mu lewą rękę za plecami, niemal ją łamiąc. Stark stęknął. Finch przystawił mu lufę pistoletu do podbródka.

- Idź dalej. Dalej. - Nie miał ochoty mówić. Nie miał ochoty słuchać. Prowadził Starka przez labirynt ulic równie pogmatwany jak przejścia na Kosie, dopóki nie poczuł się na tyle pewnie, by się zatrzymać. Bosun nie znał Ambergris tak dobrze jak Finch. Wiedział, że będzie musiał zachować ostrożność podczas poszukiwań brata.

Finch przycisnął Starka twarzą do ceglanego muru w wąskiej bocznej uliczce. Pozbawione okien ściany prostokątnych nieciekawych budynków okaleczonych przez pożary blokowały światło bijące z góry. Schody pięły się po murach jak rdzewiejące kręgosłupy. Na chodniku stała woda. Różowe grzyby sterczały ze ściany kilka cali nad ziemią. Stark zahaczył o nie stopami i ubrudził skórzane buty.

Chciał coś powiedzieć, ale wtedy Finch uderzył go pięścią w nerki. Stark zgiął się wpół, stracił oddech. Dopiero po chwili odzyskał równowagę. Z trudem łapał powietrze.

- Jeśli zabiłeś Bosuna, to przysięgam, że... - wysapał, po czym urwał, jakby zapomniał roli.

- Kiedy ostatnio widziałem twojego brata, ruszał za mną w pogoń. Miał tylko draśnięte ramię. Ale masz teraz większe problemy na głowie.

- Ty także, Finch, chyba że mnie wypuścisz.

Finch już nie brał tego pod uwagę.

- Gdybyś tylko nie naciskał, Stark. Gdybyś odpuścił, może teraz by cię tutaj nie było. Zdejmuj buty.

- Co takiego? - Twarz Starka zmieniła się nie do poznania pod wpływem pulsującej wściekłości.

Finch przyłożył mu pistolet do skroni.

- Ale już!

Z ostentacyjnym wstrętem i pogardą Stark zdjął jeden, a potem drugi but.

- Opróżnij kieszenie.

- Po co?

- Po prostu to zrób. - Finch zdał sobie sprawę, że krzyczy. Włosy nadal miał

pozlepiane od krwi Wyte'a.

Stark splunął, wywracając kieszenie na lewą stronę. Niewiele w nich miał. Trochę pieniędzy. Zdjęcie jakiejś staruszki. Kilka kluczy.

- Nie lubię nadmiernie się obciążać - wyjaśnił.

Nic, co pozwoliłoby Finchowi dowiedzieć się o nim czegoś więcej. Finch wyjął z kieszeni bulwę pamięci.

- Wiesz, od kogo pochodzi?

Na twarzy Starka na chwilę zagościła dzika, zblazowana wesołość, która jednak szybko zgasła. Zastąpiło ją coś, czego Finch jeszcze u Starka nie widział. Niepewność.

- Od Wyte'a. To jego bulwa pamięci. Jak myślisz, po co ją przygotowałem?

- Pierdol się - warknął Stark. - Pierdol się. Sam ją zeżryj, Finch. Zeżryj ją i bądź przeklęty.

- Chciałeś informacji. Chciałeś, żebym ci pomógł. A więc to zrobię. Przez chwilę pomieszkasz w głowie Wyte'a.

- Nie zjem jej - odparł Stark. Pobladł. Nerwowo zerkał z boku na bok. Szukał drogi wyjścia.

- Dlaczego nie zabiłeś Blissa? O czym rozmawialiście? - Nadal go to ciekawiło.

- Rozmawialiśmy o petuniach, Finch - odparł Stark. - O sztuce, literaturze i pogodzie. A jak ci się, kurwa, wydaje, o czym mogliśmy rozmawiać? O tym, dlaczego nie powinienem go zabić.

- Jak cię przekonał?

- Obiecał, że zdobędzie dla mnie informacje, pieniądze, wpływy. Na początek dał mi adres tamtej kryjówki buntowników. Miał mi pomóc oczyścić całą okolicę. Ale od tamtej pory nie widziałem się z tym draniem.

Finch przez chwilę przyglądał się Starkowi. Patrzył mu w oczy. W końcu uwierzył jego słowom. A przynajmniej uznał, że nawet jeśli ten kłamie, to i tak nie powie mu niczego innego.

- Na kolana.

- Nie.

Przycisnął Starkowi pistolet do policzka.

- Goście mają prawo wyboru. Jesteś tutaj nowy, więc traktuję cię jak gościa. Bulwa czy kulka? Kulka czy bulwa?

Stark powoli opadł na kolana. Ponownie spróbował szczęścia.

- Mogę cię uczynić bogatym, Finch. Mogę nawet wydostać cię z Ambergris. Nadal

mamy wiele możliwości.

- Tak uważasz? Ja nie.

- Wiesz, kim jestem w Stockton? Wiesz, co się stanie, jeśli podniesiesz na mnie rękę? -
Dolna warga Starka drżała.

- Nie, nie wiem. Ponieważ nie chcesz mi powiedzieć, kim jesteś. Otwórz usta.

W oczach Starka płonęła bezgraniczna i niepokohamowana nienawiść. Truczna, która chciała zmniejszyć dystans i wniknąć w Fincha. Stark chwycił bulwę pamięci i rozgryzł ją z arogancją. Finch zrozumiał, że Stark uważa, że może wyjść z tego cało. Że jest zbyt potężny, by cokolwiek mogło go zniszczyć.

Pozostała minuta do chwili, w której bulwa pamięci zacznie działać. Finch przystawił lufę do twarzy Starka.

- Chciałbyś coś powiedzieć, nim zapomnisz, kim jesteś? Stark zaśmiał się z wyniosłą pogardą.

- Na pewno nie tobie, Finchy. Może tylko tyle, że jeszcze za to zapłacisz. Jestem następcą tronu incognito. Zaczarowaną zabą. Ktoś cię dopadnie.

Wrogość Starka osłabła, gdy bulwa pamięci zaczęła działać. Finch popatrzył mu w oczy. Niczego tam nie znalazł. Niczego, co warto by ocalić. Stark był zwykłym intruzem, który postanowił zarobić na nieszczęściu miasta. Bandziorem, który sądził, że jest twardszy od innych. Grał w grę, w której jedyną strategią było ciągle zwiększanie presji. Fincha już nie obchodziło, kim jest Stark. Po prostu chciał się go pozbyć. Zastanawiał się bez większego zainteresowania, co teraz zrobi Bosun.

Źrenice Starka zaczęły się rozszerzać. Powieki zatrzepotały jak skrzydła kolibra. Rozległ się głos, który zabrzmiał, jakby dobiegał z bardzo daleka.

- Nie, nie zrobię tego. Nie chcę. - Stark usiadł na piętach i bezwładnie zwiesił ręce.

Finch podszedł bliżej. Podtrzymał mu głowę. Wyjął kolejny woreczek. Zasypał język Starka proszkiem konserwującym przypominającym piasek. Zamknął mężczyźnie usta, przełamując niemrawy upór. Zmusił go do przełknięcia. Raz. Drugi.

Puścił Starka. Cofnął się. Dwukrotnie miał okazję zobaczyć, jak Heretyk wmusza w więźnia bulwę i proszek. W obu tych przypadkach ofiara zmarła w ciągu godziny.

Stark dostał drgawek i uderzył głową o ścianę. Tak mocno, że na cegłach pozostały włosy i krew. Jego źrenice uciekły do góry. Przewrócił się na bok. Zaczął się miotać. Krew płynęła mu z nosa. Zaczął coś mówić niskim głosem. Bardzo szybko. Nie robił przerw między zdaniami.

Potem zaczął się śmiać. Najpierw cicho, jakby dyszał, lecz po chwili coraz bardziej

wrzaskliwie. Turlał się po ziemi, zanosząc się śmiechem. Krew cały czas ciekła mu z nosa. Mocno obejmował się rękoma. Jego usta zastygły w półksiężycu wymuszonej wesołości. Dźwięki wydobywające się z jego krtani już nie przypominały śmiechu. Raczej krzyk. Jakby ktoś kroił go na kawałki nożem.

Głos, który tonął, zalewany przez dziwne fale.

Co widział Stark? Czyżby Whyte'a? Jego wspomnienia? Dodatkowo zniekształcone za sprawą proszku? A może coś zupełnie innego?

Finch cofnął się i uniósł broń. Ale nie potrafił strzelić. Opuściły go wściekłość i szaleństwo.

W końcu opuścił pistolet. Zostawił Starka wijącego się w błocie i kałużach. Wierzgającego nogami. Zmagającego się z samym sobą. Śmiejącego się chrapliwie, jakby coś złego stało się z jego krtanią.

Stark już z tego nie wyjdzie. A zanim nadejdzie koniec, trafi do piekła, takiego samego, jakiego doświadczył Wyte i w jakim teraz znajdował się Finch. Czy Bosun będzie go ścigał? Finch nie wiedział, ale chwilowo o to nie dbał.

Zasady Ambergris.

* * *

Mógłbyś zamknąć oczy na wieki i wciąż być w tym samym miejscu co zawsze. Finch tylko raz widział, jak jego ojciec ucieka się do przemocy. Miał wtedy dwanaście lat. Gorąca noc. Za sprawą grzmiącej artylerii na południu. Wokół sylwetek budynków pojawiały się erupcje pomarańczowych płomieni na tle brązowego dymu. W oddali głucho huczały działa oraz riposty czołgów. Dom Hoegbottona i Dom Frankwrithe'a prowadziły walkę, z bezcelowości której nikt jeszcze nie zdawał sobie sprawy. Zawieszenie broni nie przetrwało.

Musieli się wyprowadzić ze swojego domu, który znalazł się w strefie wojennej. Finch siedział skulony przy oknie mieszkania na trzecim piętrze, gdzie znaleźli tymczasowe schronienie. Czekał, aż ojciec wróci z kilkugodzinnej wyprawy w poszukiwaniu jedzenia i innych zapasów.

Okno o brudnej szarej ramie stało się dla Fincha czymś w rodzaju ruchomego obrazu, równie intensywnego jak zoetrop. W dole rozciągał się bulwar Albumuth, niegdyś jeden z najbogatszych traktów handlowych na świecie, teraz zasypany gruzem i rozszarpanymi ciałami. Poprzedniego dnia ludzie i czołgi walczyli pośród tego pejzażu, podświetleni od tyłu czerwono-zielonym światłem. Jęki i krzyki współgrały z intensywnością barw. Finch patrzył na to wszystko bez mrugnięcia okiem. Czasami na obrzeżach dostrzegał przemykające szare

kapelusze.

Nagle za jego plecami otworzyły się drzwi.

W progu stanął strzelec wyborowy z insygniami Domu Hoegbottona. Był zaledwie pięć lat starszy od Fincha, ale jego twarz przypominała oblicze starca.

- Na podłogę - rozkazał, wchodząc do salonu. Miał długie, delikatne palce. Złoty zarost na policzkach. Cuchnął potem i prochem strzelniczym. - Włóż pod krzesło.

Finch zszedł snajperowi z drogi i zgodnie z poleceniem schował się pod krzesłem. Patrzył, jak strzelec rozsuwa zasłony, uchyla okno i wkłada w szparę długą stalową lufę automatycznego karabinu. Z perspektywy Fincha leżącego na podłodze mężczyzna wyglądał jak olbrzym. Odrzutowi broni towarzyszył głuchy, satysfakcjonujący dźwięk. Zużyte łuski toczyły się po podłodze w stronę Fincha. Dotknął jednej z nich, ale szybko cofnął oparzony palec.

Mężczyzna przeklinał, gdy pudłował. Milczał, gdy trafiał w cel.

- Nie powinienes wstąpić do milicji? - spytał Fincha podczas przeładowywania broni, oparty plecami o ścianę. Jeszcze nikt nie próbował odpowiedzieć ogniem. Później Finch zastanawiał się, czy snajper nie strzelał do cieni. - Jesteś dostatecznie duży.

Finch nie wiedział, co odpowiedzieć. Jeszcze od nikogo nie usłyszał, że jest dostatecznie duży.

Nagle w pomieszczeniu pojawił się jego ojciec z pistoletem w dłoni. Lśniące zielone oczy. Elegancko przystrzyżone wąsy i broda. Szerokie barki. Zrogowaciałe dłonie.

Snajper odwrócił się i zaczął unosić broń.

Ojciec pokręcił głową. Wpatrywał się w mężczyznę ponurym, zdeterminowanym wzrokiem. Finch jeszcze nigdy nie widział u niego takiego wyrazu twarzy. To nie było oblicze inżyniera. Było w nim coś znacznie bardziej pierwotnego.

Młody strzelec również to zauważył. Opuścił karabin. Wstał. Na sztywnych nogach minął ojca Fincha i wyszedł na korytarz. Jak pies, który stara się wyglądać na większego niż jest w istocie.

Ojciec odwrócił się i wycelował w tył głowy snajpera. Finch widział, że próbuje podjąć decyzję. W końcu opuścił pistolet i zamknął drzwi na klucz.

Przez chwilę chłopiec nie miał ochoty wyjść z ukrycia. Nie poznawał tego człowieka, który wyglądał jak jego ojciec.

6

Finch ruszył w drogę powrotną na posterunek. Śmierć Wyte'a była jak ciężki kamień tkwiący w jego krtani. Utrudniała mu oddychanie. Napełniała go niepokojem.

Nagle zza rogu wyłonił się tłum. Otoczył Fincha jak letnia burza. Strumień krzyczących ludzi. Spoconych, brudnych i wystraszonych. Na ramionach nosili opaski dawno umarłej, ale odrodzonej sąsiedzkiej milicji. Niektórzy odważyli się wyeksponować także niebieskie opaski buntowników. Wyczuwali, że nadszedł ich czas. Czy rzeczywiście? Finch tego nie wiedział. Otaczało go tak wiele osób w obozowych uniformach, że zaczął się zastanawiać, czy szare kapelusze wypuściły więźniów, by wywołać chaos i odwrócić uwagę od tego, co ma się stać. Tłum był skupiony na jakimś innym celu. A może po prostu Finch im się nie spodobał. Wpatrywał się przed siebie jak otępiały. W kaburze miał pistolet, a w prawej dłoni trzymał szablę.

Ambergris wracało do życia, lecz jako odrębne plemiona, a nie zjednoczone miasto. Finch zastanawiał się, kto jako pierwszy wyrówna dawne porachunki.

* * *

Gdy był niecałe ćwierć mili od posterunku, światem wstrząsnął ogłuszający huk i trzask, a raczej cała ich seria. Dobiały zewsząd, z bliska i z daleka. Potem zapadła cisza. Pod wpływem hałasu Finch otrząsnął się z transu. Odczuł wstrząs w kościach.

Czyżby wieże ponownie zaatakowały? Nie mógł tego potwierdzić, gdyż stąd ich nie widział. Przesłaniały je brudne zielone marmury luksusowych hoteli opanowanych przez porosty i otoczonych wysokimi drzewami o żółknących liściach. Ludzie wychylali się z okien na czwartym, piątym piętrze, wymachiwali flagami i coś wołali. Wskazywali na północny wschód i północny zachód.

Na ulicy stała drobna staruszka w wyblakłej sukience w kwiaty. Obok niej brudny chłopiec gryzł pomarszczone jabłko. Trzej Stronnicy wpatrywali się w niebo. Wszyscy czekali na kolejny cios.

Ale zielone światło nie rozbłysło. Nie rozległa się druga seria wybuchów.

Zamiast tego po idealnie błękitnym niebie zaczęła się wić wstęga czarnego dymu. Finch rozpoznał ten znak. Już kiedyś widział coś takiego, gdy buntownicy zdetonowali

bombę, by wysłać sygnał do reszty miasta. Usłyszał krzyki i wrzaski, które wznosiły się w niebo tak samo jak dym. Przytłumione. Odległe. Zamaskowane.

Ogarnęło go dziwne przeczucie. Poczł paskudny ucisk w żołądku.

Puścił się biegiem w kierunku dymu. Minął poranione witryny. Minął porzuconą drewnianą skrzynkę i nożyczki ulicznego cyrulika. Minął olbrzymi czerwony narkotyczny grzyb przesłaniający niebo, który złowieszczo, a zarazem uspokajająco szumiał blaszkami.

Skręcił w bulwar Albumuth i zbliżył się do posterunku.

Do jego ruin.

Z budynku pozostały dwie boczne ściany. Dymiące kamienne bloki. Zgruchotane kawałki drewna trzaskające w ogniu. Osmalona dziura w głębi, z której bił jeszcze czarniejszy dym. Woń przypominająca naftę. Woń przypominająca smażone mięso.

Skłębiona masa cząsteczek, które szumiały i promieniowały stałym światłem, aż całe miasto wypełniło się jakby blaskiem świtu. Miasto odpowiedziało zwierzęcym rykiem setki gardeł.

Finch podbiegł do skraju tej zniszczonej przestrzeni. Stał jak wryty. Zobaczył rozrzucone fragmenty ciał. Nogawkę. Stopę. Tułów wytatuowany brudem i krwią. Stertę czegoś, czego nie potrafił rozpoznać. Zdał sobie sprawę, że część szczątków pochodzi od ludzi, których Heretyk zabił i zostawił w celi.

Niektóre rury pamięciodziur, porozrywane i krwawiące, lśniły i chłostały ziemię. Inne leżały pośród gruzów, nieruchome i zakurzone.

Dwaj nieznajomi mężczyźni chwiejnie przemierzali ruiny. Szukali ocalałych, mimo że sami krwawili. Obu naznaczyły płomienie. Chyba wciąż liczyli, że znajdą kogoś żywego.

Finch zrobił krok do przodu. Potem kolejny. Szedł przez rumowisko, cały czas trzymając szablę. Usłyszał głuchy, dudniący ryk wydobywający się z głębi czarnej dziury tłącej się w głębi budynku. Odgłos przebijał się przez szum unoszącego się dymu.

Usłyszał także czyjś śmiech, który dobiegał zza zburzonej ściany po jego lewej stronie. Ceglana ściana wznosiła się na około dwanaście stóp, po czym gwałtownie się urywała. Osłaniała stolik z maszyną do pisania, która ocalała nienaruszona, zupełnie jakby była niezniszczalna. Obok niej oparty o ścianę siedział Blakely, tak ciężko ranny, że nie mógł mu pomóc żaden lekarz. Ale wciąż był żywy.

To gorsze niż wojna. Gorsze niż rany klute.

Blakely'ego już nie da się poskładać do kupy.

- Maszyna do pisania - wysapało to, co pozostało z Blakely'ego, pomiędzy spazmami śmiechu. - Maszyna do pisania. Wciąż jest na swoim miejscu. Wciąż jest na swoim miejscu.

Finch przyklęknął. Im bardziej się zbliżał, tym mniejsze miał opory przed sprawdzeniem, co się stało z Blakelym. Na twarzy mężczyzny nie było ani jednego zadrapania. Jednak w jego oczach Finch zobaczył śmierć.

- Co tu się wydarzyło?

- Albin - odpowiedział Blakely. - Albin się wydarzył. - Ponownie się roześmiał. - Rozwalił wszystko na kawałki. Twierdził, że przyszedł porozmawiać. Był obwiązany materiałami wybuchowymi. Stał obok zasłony, powiedział coś, czego nie dosłyszałem. Wszedł do środka. Wysadził się w powietrze. Wybuch rzucił mnie przez całe pomieszczenie. Albin. Dasz wiarę? Dasz wiarę? Dasz wiarę? Dasz wiarę? Dasz wiarę? Dasz...?

Finch schował pistolet do kabury. Twarz Blakely'ego upodabniała się do jego ciała. Trudno o większą łaskę. Świat stawał się coraz mniejszy, mimo że się rozszerzał.

Finch wstał chwiejnie, czując w nogach skutki wstrząsu. Pomachał do ludzi przeszukujących gruzowisko.

- Wynoście się stąd.

Gdy zobaczyli jego pistolet i szablę, otrząsnęli się z transu. Zaczęli kluczyć pomiędzy gruzami oraz porozrywwanymi ciałami i po chwili zniknęli, jakby nigdy ich tutaj nie było.

W niebo wzbijały się kolejne kłęby dymu. Wszędzie dookoła. Zamachy na innych posterunkach. W Finchu ścierały się ze sobą poczucie straty i wolności. Umierali ludzie, którzy starali się zarobić na chleb. Którzy pragnęli jedynie przeżyć.

Błękitna Dama zapewniła go, że już zaniechali samobójczych zamachów. Najwyraźniej kłamała.

Stronnicy z pewnością już zmierzali na posterunek. Szare kapelusze. Z trudem wygrzebywały się z ruin swej podziemnej siedziby. Może odgłos, który słyszał Finch, to po prostu podziemny pożar, a może jakiś *fanaarcensitii* wygrzebuje się na powierzchnię. Finch wiedział, że jego wyobraźnia nie może się równać z rzeczywistością.

Czy to tylko zbieg okoliczności, że nie było go tutaj, gdy to się stało? Oddalił się, pozostawiając posterunek i demona, który walczył, by wydostać się spod cegieł i kamieni.

* * *

Szaleniec tańczył na schodach przed swoim ulubionym posągami, jakby w jego życiu nigdy nie wydarzyło się nic złego. Mimo że czarny dym nadal unosił się nad miastem. W hotelowym holu zebrał się tłum nieznanym, którzy wyglądali jak ludzie szukający schronienia przed burzą. Rozstąpili się przed nim i jego szablą. Niemal nie zwrócił na nich uwagi.

Niedokończone sprawy. nierozwiązane problemy. Musiał się upewnić, że nic mu nie grozi.

* * *

Stał w ciemnej piwnicy przed drzwiami mieszkania Rathven. Ogarnęła go nagła tęsknota za ojcem, który, gdyby żył, mógłby mu służyć radą. Miał ochotę wyważyć drzwi albo tłuc w nie aż do poranienia pięści, ale zwalczył tę pokusę.

Spróbował zetrzeć zaschniętą krew z twarzy. Schował broń za plecami. Ostrze bezpiecznie tkwiło w pochwie przy boku. Delikatnie zapukał.

Żadnej odpowiedzi.

Zapukał ponownie. Uśmiechnął się do wczoraj, ale wiedział, że jego mina bardziej przypomina szalony grymas. W końcu zza drzwi dobiegł stłumiony głos.

- Czego chcesz?

- Porozmawiać. - Po prostu spokojnie porozmawiać. Za pomocą ostrza i pistoletu, jeśli to się okaże konieczne. - Wyte nie żyje.

Postarał się, by w jego głosie zabrzmiał smutek, którego nie czuł. Był teraz jedynie odrętwiały. Wyte szarżujący na Stronników jak jakiś nieśmiertelny bohater. Wyte skulony w kącie pokoju, śmiertelnie przerażony. Prawda leżała gdzieś pośrodku.

Drzwi się uchyliły. Finch powstrzymał chęć otwarcia ich na oścież. Chęć uderzenia Rathven. Uderzenia kogokolwiek.

Rathven była bledsza niż kiedykolwiek. Celowała w niego ze swojego ciężkiego rewolweru. Usiłowała utrzymać broń w poziomie obiema rękami, ale ta opadała i kołysała się na boki. Finch doznał nagłego, niczym nieuzasadnionego olśnienia: ujrzał Rath jako dziewczynkę, niezdarną chłopczycę z dużym poczuciem humoru, ale niepotrafiącą śmiać się z samej siebie. Nie czuła się pewnie w sukience. Była bystra. Pełna optymizmu. Łatwo ją było zawieść.

- To twój „brat” sprzedał ci ten starość? - Minął ją z pogardą, chociaż gdy wyobraził ją sobie jako dziewczynkę, jego złość trochę osłabła. Wyjął broń zza pleców, zasłonił ją ciałem, po czym schował do kabury. Usiadł przy stole, twarzą do drzwi. Nie podobał mu się tunel, który miał za plecami, ale poczuł się pewniej, słysząc odgłos wody. Uznał, że nawet jeśli ktoś stamtąd nadejdzie, to on dużo wcześniej go usłyszy.

Rathven odwróciła się w jego stronę; cały czas trzymała pistolet. Padało na nią migoczące światło. Jaskinię rozświetlały kaskady bladej zieleni. Finch przypomniał sobie Błękitną Damę. W łodzi. Płynącą przez podziemne morze. Eteryczną. Dalekie królestwo, zbyt

delikatne, by zaistniało w prawdziwym świecie.

- Wyte nie żyje - powiedział Finch. Za każdym razem, gdy to powtarzał, miał wrażenie, że ten fakt mu obojętnieje. Jednakże już po chwili świadomość straty powracała do niego z nieznośną siłą. Jak coś zarazem przyjacielskiego i wrogiego, co niespodziewanie wynurza się z ciemności.

- Już mówiłeś. - Rathven знаła Wyte'a tylko z nielicznych opowieści Fincha. Nie miała do niego dostępu. Dlaczego? - Co ci się stało? Jesteś cały we krwi.

- Usiądź, Rathven - poprosił Finch. - Spróbuj się odprężyć - mówił do siebie.

- Co się stało?

- Stark dał Wyte'owi grzyb, który dopełnił przemiany. Musiałem zająć się Wyte'em. - Powiedział to najspokojniej jak potrafił.

Daj jej do myślenia.

Zdziwił się, gdy opuściła broń. W głębi duszy spodziewał się, że go zastrzeli.

Rathven usiadła naprzeciwko Fincha. Położyła pistolet na kolanie.

- Przykro mi - powiedziała.

- Dlaczego? Przecież nie miałaś z tym nic wspólnego, prawda?

W jej oczach zapłonął ogień.

- Nie, oczywiście, że nie.

Finch poczuł się zraniony. Zdradzony. To uczucie go zafascynowało. Badał je jak kawałek chrząstki, który utknął między zębami.

- Powinnaś być detektywem - rzekł. - Masz tyle książek. Tunel jako drogę ucieczki.

- Powinnam - przyznała. - Czego ode mnie chcesz, Finch? Miasto się rozpada. Zlikwidowali obozy. - Powiedziała to z mieszanką żalu i zachwytu. - Może będę zmuszona...

- Co zrobić? Odejść? Jak twój „brat”?

Miała na tyle wyczucia, by odwrócić wzrok.

- Jestem w innej sytuacji niż ty. Nigdy nie zamknęli cię w obozie. Tak naprawdę nie wiesz, jak tam było. To było usprawiedliwione kłamstwo. W przeciwnym razie nigdy byś mu nie pomógł. Ale był moim przyjacielem.

- Nie pomógłbym mu, gdybym się dowiedział, że pracuje dla buntowników?

- Każdy dla nich pracuje - odburknęła.

- Nawet Sintra? - Nawet ja?

- O Sintrze nic nie wiem - odparła Rathven. - Nic. Poza tym, co już ci powiedziałam.

- Dla kogo jeszcze pracujesz?

- Dla nikogo. Dla każdego. Ciebie. Siebie. - Wiła się w pułapce. Mówiła

łagodniejszym głosem. Spróbowała zmienić temat. - Sprawdziłam dla ciebie kryptonimy, których używał Bliss.

- Dowiedziałaś się czegoś?

- Tylko tego, że „Dar Sardice” może wcale nie być kryptonimem.

- Co przez to rozumiesz?

- Jeśli zajrzesz do niektórych księzek opowiadających o wojnach, zwłaszcza z perspektywy Morrow i Frankwrithe'a, to zobaczysz, że nazwisko Ethan Bliss pojawia się dopiero przy okazji pierwszej wzmianki o człowieku zwanym „Dar Sardice”.

- Chcesz powiedzieć, że Dar Sardice to jego prawdziwe nazwisko?

- Możliwe. Albo zabił Sardice'a i przejął jego nazwisko. A skoro tak, to nie nazywa się ani Bliss, ani Sardice. Chyba że moje źródła są niekompletne.

Bliss nakierował go na Starka. Przeniósł go w czasie, podczas gdy Stark demolował jego mieszkanie. Zmylił go.

- A co ze Starkiem?

Wydawało mu się, że Rathven się zawahała, nim zaprzeczyła.

- To dziwne, bo kiedy wcześniej o nim wspomniałem, nawet mnie nie spytałaś, kim jest. Jakbyś wiedziała.

- Myślałam, że wkrótce sam mi powiesz - odparła. - Na Truffa, przecież zginął twój przyjaciel!

- Wielu ludzi przychodzi do twojej piwnicy, prawda?

- Już wcześniej o tym wiedziałaś. Nie rób tego, Finch - Niemal go przekonała. Ból jednak był zbyt silny.

- Wielu ludzi, którzy nie spodobaliby się szarym kapeluszm - drażył.

- Jesteś zmęczony, w żałobie - odparła.

- Ludzi, którzy chcą od ciebie różnych rzeczy...

Zmieniła taktykę.

- Jestem aresztowana? - Finch nie wiedział, czy na jej twarzy maluje się pogarda, czy echo bólu. Czy obrażali się lub ranili nawzajem?

- Nie. Dokąd miałbym cię zabrać? Posterunek dzisiaj wyleciał w powietrze. Już go nie ma, zostały patyki i kamienie. Wszyscy odeszli.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Domyślała się, że słowa „przykro mi” tylko by go sprowokowały.

- Wyte nie żyje, ponieważ Stark pchnął go w przepaść. Wcześniej wszedł w posiadanie pewnych informacji, które miały mnie nakłonić do współpracy. Skąd je wziął?

Wyte na chwilę usiadł obok niego i spytał: „Do czego zamierzasz się posunąć?”.

- Finch - odrzekła błagalnie. Ale właściwie o co go prosiła? Żeby jej zaufała? Przestał zadawać pytania? Żeby wrócili do dawnego układu?

Pochylił się, wyciągnął rękę i uniosł jej podbródek, gdy próbowała odwrócić wzrok. Pozwoliła mu to zrobić.

- Posłuchaj uważnie. Stark wiedział o Sintrze. To ty mu powiedziałaś. Dowiedział się o tobie od swoich poprzedników, agentów ze Stockton, których zlikwidował, gdy tutaj trafił. Przyszedł osobiście albo posłał Bosuna. Grozili ci lub zapłacili, może jedno i drugie. A ty powiedziałaś im o Sintrze. O mnie. Nie wykluczam, że próbowałaś mnie chronić i nie zdradziłaś im niczego więcej. Może nawet uważasz, że mi pomogłaś. Ale coś im dałaś. Wiem, że tak było. Tylko ty mogłaś to zrobić. Jeśli się mylę, wyprowadź mnie z błędu. Proszę, zrób to. Teraz. Ale nie okłamuj mnie.

Jej dolna warga zadrżała. Odepchnęła jego dłoń.

- Musisz stanąć po którejś ze stron, Finch. W końcu będziesz musiał to zrobić, nawet jeśli udajesz neutralność. Nawet jeśli uważasz, że przekazywanie informacji przypomina handlowanie papierosami albo paczkami z żywnością.

- A ty wybrałaś stronę Starka? - spytał z niedowierzaniem.

- Nie! Ale Stark by mnie zabił, gdybym czegoś mu nie dała. On nienawidzi szarych kapeluszy tak samo jak ja. Uznałam, że nie zrobię nic złego, jeśli powiem mu to, czego i tak mógłby się o tobie dowiedzieć w ciągu kilku dni. - Rathven wydawała się mała, smutna i całkowicie opuszczona. Ale Finch już się tym nie przejmował.

- Stark to psychopata - odparł Finch. - Dbaj tylko o siebie. - Powtórzył to, co usłyszał od Blissa.

- Może tak. Może nie. Może po prostu stwierdziłam, że nie robię nic złego, bo nie chciałam umrzeć.

- Czy twój „brat” i jego przyjaciele nie mogli ci pomóc?

Rathven pokręciła głową.

- Wszyscy przychodzą do mnie po informacje. Wszyscy uznają mnie za neutralną, ponieważ coś im daję.

- I nie znasz Blissa?

- Słyszałam o nim. Kilka razy odwiedził Fotografę, ale ode mnie nigdy niczego nie chciał.

Bliss. Fotograf. Co ich połączyło? I dlaczego?

- Finch? - odezwała się, a on zrozumiał, że na chwilę zatopił się w myślach. - Co

zamierzasz?

To wymagało od niego silnej woli. I wiedział, że musi to zrobić. Dla siebie i dla niej. Nie miał nikogo innego. To ona dostarczyła mu Duncana Shrieka. Pomogła, kiedy bulwy pamięci dały mu się we znaki. Nigdy wcześniej go nie okłamała. Nie masz nikogo innego. Absolutnie nikogo.

- Stark już jest trupem - powiedział Finch. - Zapomnę o całej reszcie, jeśli wyświadcysz mi pewną przysługę. Bardzo mi na tym zależy.

- Jakiego rodzaju przysługę? - W jej głosie było słychać pokorną ulgę.

Położył na stole zapasowy klucz do swojego mieszkania.

- Zaopiekuj się Dzikusem. Zajmij się rzeczami w moim mieszkaniu. Jeśli nie wrócę. - Nie miał ochoty żegnać się z Dzikusem. Obawiał się, że ten drobiazg ostatecznie go załamie.

- Dokąd się wybierasz?

Finch się uśmiechnął.

- Donikąd. Wszędzie.

7

Nie dotarł daleko. Bliss czekał na niego na podwórzu. Wyłonił się z cienia i stanął w późnopołudniowym słońcu. Jedną rękę trzymał w kieszeni krótkiej brązowej kurtki. Oprócz tego miał na sobie spodnie w tym samym kolorze, kapelusz o szerokim rondzie oraz ciemnozielony szal. Rumieńce na twarzy niemal maskowały wąską ciemnoczerwoną kreskę przecinającą jego prawy policzek. Druga rana zaczynała się obok linii włosów i znikła pod rondem kapelusza. Kolejne niezwykle ozdrowienie.

Buty Blissa pokrywał szybko topniejący szron. Mężczyzna roztaczał wokół siebie wilgotną woń. Gdzie się podziewał? Na pewno nie tutaj.

- Schowaj broń, Finch. I nawet nie myśl o dobytciu świętej stali Kalifa.

Finch nie miał złudzeń co do dłoni trzymanej w kieszeni. Widział zgrubienie pod kurtką. Schował pistolet do kabury. Stanął w mroku obok Blissa.

Obok Dara Sardice'a.

- Co teraz? - Starał się odrzucić od siebie myśl, że Rathven go wystawiła.

- Teraz pójdziemy do mieszkania Fotografą.

- Nie do mojego? Chyba wiesz, gdzie ono jest.

- Tam nie będę się czuł bezpiecznie. - Bliss poruszył bronią w kieszeni. - Idź przodem.

- Miał ściągniętą, kościstą, poważną twarz.

Finch przeszedł obok szpiega, przygotowując się na cios. Ale Bliss go nie uderzył. Trzymał się o krok z tyłu. Finch zastanawiał się nad stawieniem oporu, ale nie miał wątpliwości, co by wtedy zrobił Bliss.

„Zobaczymy się ponownie, kiedy ja będę tego chciał” - odrzekł szpieg lodowatym, potępiającym tonem. „Nie wcześniej”.

Weszli na piąte piętro i dotarli do końca korytarza. Mieszkanie numer 521. Częściowo ukryte za długimi nóżkami smukłych żółtawozielonych grzybów. Bliss rzucił klucz na podłogę.

- Otwórz.

Finch ostrożnie schylił się po klucz i otworzył zamek. Wszedł do mieszkania, Bliss podążył za nim.

Pokój był pusty, nie licząc solidnego stołu na środku. Na blacie stały butelka whisky

oraz dwie szklanki.

Do ścian poprzybijano zdjęcia. Pół tuzina kolejnych, oprawionych w ramy, stało pod oknem naprzeciwko drzwi. Szybę zamalowano na czarno. Niektóre ze zdjęć były większe od Fincha, składały się z wielu kawałków papieru fotograficznego. Wszystkie ukazywały wodę. Kałuże. Fale. W zbliżeniach. Z daleka. Finch zauważył, że na wielu z nich w tle znajdują się wieże. Znaczną część wykonano w strefach, do których szare kapelusze nikogo nie dopuszczwały.

- A teraz zamknij drzwi.

Finch wykonał polecenie, po czym się odwrócił.

Bliss zdjął kapelusz i zapalił cygaro, krótkim ruchem pocierając zapalką o stół. Nalał whisky do dwóch szklanek. Stanął za stołem. Odstawił swoją szklankę. Ponownie włożył lewą rękę do kieszeni.

Pyknął cygarem.

- Może whisky? - spytał.

Finch niepewnie zbliżył się do stołu.

- Ostatni drink dla skazańca? - Wziął szklankę.

Alkohol był z najwyższej półki. Whisky Bombowego Todda, dwudziestoletnia. Wlana do beczek pod koniec jednego z najgorszych okresów walk pomiędzy F&L a H&S. Lepsza niż zapasy, które trzymał w swoim pokoju. Tak delikatna, że tylko odrobinę paliła w gardło. Smakowała torfowiskami Morrow. Rzeką Moth.

- Nie, Finch - odparł Bliss. - Toast. Może nawet coś w rodzaju chrztu.

- Czego chcesz? - burknął Finch. Stracił cierpliwość.

- „Bellum omnium contra omnes” - rzekł Bliss piskliwym głosem. - To ty jesteś moim kontaktem? - „Wszyscy pracują dla buntowników”, powiedziała Rathven.

- Powinieneś odpowiedzieć „Nie zaginie”, a wtedy ja mam ci dać to, czego potrzebujesz.

- Myślałem, że jesteś na usługach Morrow.

Bliss posłał mu kpiące spojrzenie.

- Czyżby? Czy kiedykolwiek tak powiedziałem? Morrow nie ma już czego szukać w tym mieście. Wszystko tutaj obraca się wokół interesów Ambergris.

- Jak się naprawdę nazywasz, Bliss? Graansvoort? A może Dar Sardice?

- Widzę, że wierzysz we wszystko, co usłyszysz.

- Dlaczego pojawiłeś się w moim mieszkaniu?

Bliss przechylił głowę. Uważnie przypatrywał się Finchowi.

- Sprawdzalem cie. Znalazlem na twoich polkach wiele znajomych ksiazek. Przynajmniej znajomych dla mnie. Zdziwil mnie brak jakichkolwiek zdjec. Wlasnie to cie wydal.

- Nie zakladales, ze cie przylapie.

- Nie. Ale nigdy nie zdradze ci swoich planow.

- Zatem czego sie dowiedziales?

W oczach Blissa pojawil sie blysk.

- Znajome ksiazki. Zadeny zdej. Powiedzialem jej: „Zmienił wygląd. Zgolił brode. Rozjasnil włosy. Postarzal sie, ale to nadal on. James. Syn, ktorego John pomagal ukryc”.

- Skad znalés mojego ojca?

Bliss zignorowal to pytanie.

- Twój ojciec potrafil dotrzymac tajemnicy. Zawsze go za to podziwialem. Mial glowe na karku. Wiedzial, co jest wazne, a co nieistotne. Mysle, ze ty takze to wiesz. Twój ojciec zgodzilby sie podjac tej misji bez chwili wahania.

- Mój ojciec nie zyje - odparl przez zaciśnięte zęby Finch. Odstawil szklanke. Nie zaszokowala go wiedza Blissa. Raczej cala reszta. - Wciaz nie odpowiedzialés na moje pytanie.

- Ufałem twojemu ojcu - odrzekl Bliss. - On takze mi ufal. Gdyby tak nie bylo, zaproponowalbym kogos innego. Blakely'ego. Moze nawet Wyte'a. Ale twój szef postawil cie na czele dochodzenia. To znacznie ulatwilo ci dostep.

- Dar Sardice - rzekl Finch. Nie byl pewien, czy drazy ten temat dlatego, ze rzeczywiscie uwaza go za istotny.

Bliss pokival glowa. Nie sprawial wrazenia zaskoczzonego.

- Poznałem twojego ojca, gdy nosilem to nazwisko. Na pustyni. To byly skomplikowane czasy. Zawierano wiele sprzecznych sojuszy... - Wydawalo sie, ze ma ochote powiedziec wiecej, ale sie powstrzymal. Pochylik glowe, nie spuszczajac oczu z Fincha. - Snuje stare opowiesci, a tymczasem musimy sie spieszyc. Powinienes sie skupic na terazniejszosci.

Ostroznie odlozyl cygaro na krawedz stołu. Druga dlon caly czas trzymal na pistolecie. Wyjal cos z kieszeni w podszewce kurtki i polozyl na blacie po stronie Fincha.

Kawalek metalu o dlugosci okolo dziesieciu cali. Podzielony na czesci, jakby rozkladal sie w cos wiekszego. Przypominal jedna z linijek geodezyjnych, ktore ojciec zawsze nosil przy sobie. Tylko ze byl wykonany z dziwnego stopu o ciemnoniebieskim, niemal szarym kolorze. Padajace swiatlo wydobywalo z niego teczowe odcienie, ktore swiadczily o tym, ze

jest bardzo stary. Na całej długości wytrawiono osobliwe symbole. Żaden nie wyglądał znajomo. Nie przypominały nawet pisma szarych kapeluszy. Metal wydawał się ciężki, masywny. Jednakże Bliss wyjął przedmiot z kieszeni tak łatwo, jakby nic nie ważył.

- Co to jest? - spytał Finch. - Nie wygląda jak coś wykonanego przez nas albo przez szare kapelusze.

- Zgadza się.

- Och. - Świat ponownie otworzył się przed Finchem. Stał się większy, szerszy, głębszy niż dotychczas.

Pozwól, by to przepłynęło ponad tobą i przez ciebie, w przeciwnym razie się zagubisz.

- A teraz daj mi bulwę pamięci, którą dostałeś od Fotografą.

- Po co? - spytał z sarkazmem Finch. - Jak się bez niej zabiję?

- Po prostu to zrób. Zaufaj mi - odrzekł poirytowanym tonem Bliss. Jakby chciał dać Finchowi do zrozumienia, że powinien wiedzieć, co jest dla niego dobre.

Finch położył woreczek na stole.

Bliss wyjął z kieszeni małą szklaną fiolkę z niebieską kryształową zatyczką.

- Patrz i ucz się. - Dopił whisky i kilka razy wściekle zaciągnął się cygarem.

Wyjął bulwę pamięci z woreczka. Połamał ją na kawałki w szklance po whisky. Wypełnił szklankę po brzegi kolorowym pyłem. Ponownie pyknął cygarem. Zdmuchnął kolumnę popiołu, pozostawiając rozpaloną końcówkę.

- Nazywają ją psim fiutem - powiedział ze śmiechem.

- Tutaj mówimy na nią kutas Kalifa - odparł Finch.

Bliss przestał się śmiać. Przyłożył końcówkę cygara do pyłu z bulwy.

- A to nazywają... no cóż, nijak tego nie nazywają, bo żaden normalny człowiek tego nie robi...

Pył zaczął dymić, a następnie się roztapiać. Po jakiejś minucie szklanka była pełna bladoniebieskiego płynu. Bliss ostrożnie przelał go do fiolki. Zakorkował. Położył na stole przed Finchem. Trudno się wycofać w obliczu czegoś tak konkretnego. W obliczu tak rzeczowej procedury.

- W tej postaci ma zupełnie inne działanie - wyjaśnił Bliss. - Kiedy dostaniesz się do mieszkania, posadź Shrieka i wlej mu to do gardła, uważając, żeby się nie zakrztusił. Oczywiście nie będzie miał odruchu wymiotnego. To potrwa około minuty i zakończy proces regeneracji.

Zakończy proces regeneracji. Rozbudzi Shrieka. Finch w myślach zobaczył, jak wszystko toczy się w przeciwnym kierunku. Trupy wstają, idą tyłem do miejsc, z których

przyszły. Cofają swoje życie. Stają się dziećmi. Zapominają, jak się chodzi. Powracają i powracają i powracają, aż w końcu znikają. Nigdy nie zobaczy Shrieka ani martwego szarego kapelusza. Nigdy nie będzie musiał nikogo zabić, z żadnego powodu.

- Co potem? - spytał.

- Dasz mu ten kawałek metalu. Będzie wiedział, co z nim zrobić. Kiedy go zostawi, zabierz metal ze sobą. Zjawię się u ciebie, żeby go odebrać. Tylko pamiętaj, że musisz działać szybko. Nie będziesz miał wiele czasu. Dostaniesz się do środka, ponieważ dla nich pracujesz, a to nadał coś znaczy. Przynajmniej przez kolejny dzień albo dwa. Od rana odwracamy ich uwagę. Rozprasza ich. Ale w tym przypadku nie możesz na to liczyć. Nie mamy oczu i uszu wewnątrz tamtego bloku. To zbyt ryzykowne. Po naszych śladach dotarliby do Damy.

- A co mam robić dalej? Wszystko wyznać? Zdać się na łaskę szarych kapeluszy?

Bliss wzruszył ramionami.

- Jeśli koniecznie musisz, to oddaj się w ich ręce. Jak wszystko dobrze pójdzie, nie będziesz musiał długo czekać. Będziemy cię obserwować. Ale ryzyko zawsze istnieje.

To, co na pierwszy rzut oka wydawało się nieskazitelne w wyglądzie Blissa, z bliska okazało się wybrakowane i podniszczone. Spodnie. Buty. Kurtka, której brakowało guzika. Czy to szlachetne, czy raczej żalosne, że Bliss nadal działa w terenie, prowadzi gry, organizuje siatki, knuje plany?

- Kim ty naprawdę jesteś? - spytał Finch.

Stare oczy spoglądały na niego z dobrze zachowanej twarzy.

- Każdy szpieg godzien tego miana już dawno by się tego domyślił. Każdy. W przypadku każdego obiektu.

Bliss błyskawicznie okrążył stół, zaskakując Fincha. Potem się zatrzymał, uważnie mu się przyglądając.

- Czasami trzeba zrobić krok w nieznaną, John. Czasami trzeba uwierzyć, że niezależnie od tego, czy masz plan, możesz w pewnym stopniu kontrolować sytuację. Już prawie zmierzcha. Wyjdź, kiedy zrobi się ciemno. Wybierz trasę, która według ciebie da ci najlepszą osłonę. Mam na myśli ludzi, Finch. Mnóstwo zagubionych, wystraszonych ludzi. Nie boczne uliczki. Oni potrafią wypatrzeć samotnego człowieka. Tłum sprawia im więcej kłopotów. Ale trzymaj się z daleka od punktów kontrolnych Stronników. Są rozdrażnieni, więc bardziej niebezpieczni i nieprzewidywalni. Odznaka ci nie pomoże.

Bliss z każdym słowem stawał się potężniejszy, z kolei Finch czuł, że jego sytuacja przerasta. Nie wiedział, co odpowiedzieć. Bliss wyjął coś z kieszeni i położył na stole.

- Jeszcze jedno. Kanapki. Zjedz przed wyjściem. Nie wracaj do swojego mieszkania. Nie będziesz tam bezpieczny.

- Przecież muszę się przebrać. Jestem cały zakrwawiony. Bliss popatrzył na niego z ponurą miną.

- Dzięki temu lepiej wmiszasz się w tłum.

Podszedł do drzwi. Tam się odwrócił, otoczony zdjęciami wody. Zasalutował Finchowi.

- Powodzenia. Posłuchaj mojej rady: bądź gotowy zabijać. Powiedział to swobodnie. Zupełnie jakby powtarzał te słowa już wielokrotnie.

8

Ponownie stanął przed drzwiami mieszkania numer 525. Tutaj to się zaczęło. Zaledwie pięć dni wcześniej. Od tamtej pory wszystko się zmieniło. Wszystko pozostało takie samo.

Przedarł się przez ulice pogrążone w chaosie. Posępni mężczyźni i kobiety przemykający w zakazanych pojazdach mechanicznych. Uzbrojeni we wszystko, co wpadło im w ręce, od wideł i kuchennych noży po karabiny i broń półautomatyczną. Potem wszedł przez podwójne drzwi. Ludzie rozciągnięci na schodach przed budynkiem. Drgający ni to w agonii, ni w ekstazie. Ostra woń tego, czym ich otruto.

W środku puste korytarze. Podłoga, która już nie była śliska. Nikogo na półpiętrach.

Ani śladu po Stronnikach. Odgłosy walk docierały z zewnątrz pod postacią głuchego dudnienia oraz echa dalekich grzmotów. Finch słyszał bicie swojego serca. W okolicznych mieszkaniach panowała cisza. Oburącz uniósł pistolet, ale większą pewność dawał mu ciężar szabli przy boku.

Znajomy symbol szarych kapeluszy lśnił na drzwiach.

Finch poczuł takie samo wahanie jak wcześniej, lecz podszyte silniejszym bólem. Światła w korytarzu szaleńczo migotały.

Wreszcie zapanował nad strachem. Chwycił pistolet jedną ręką, a drugą przekreślił gałkę i pchnął drzwi. Nie były zamknięte na klucz. Poczuł na plecach dreszcz niepewności.

Wszedł do ciemnego przedpokoju, widząc przed sobą pustą sypialnię. Żółte, sztuczne światło sączyło się do przedpokoju przez drzwi po lewej stronie.

Słyszał tylko własne kroki na drewnianej podłodze. Ciszę pełną wyczekiwania. Zdał sobie sprawę, że wstrzymuje oddech. Wypuścił powietrze. Z nosa wydostał się absurdalny gwizdzący dźwięk.

Stanął w progu salonu. Oświetlała go latarenka stojąca na krześle obok balkonowego okna. Wypełniała pomieszczenie miękkimi cieniami.

Sofa. Fotele. Pusta kuchnia w głębi. Jakiś kształt na dywaniku. Gdy jego oczy przywykły do ciemności, dostrzegł znajomą sylwetkę Shrieka przykrytego kocem. Wielką nadzieję buntowników. Broń. Drogowskaz. Człowieka.

Wszedł do salonu.

Usłyszał za sobą jakiś ruch. Zanim zdołał się odwrócić, ktoś wepchnął mu w plecy lufę

broni. Finch się wzdrygnął. Miał wrażenie, że z lufy wypełza na niego coś żywego.

- Rzuć broń, Finch. Torbę też. - Znajomy głos. Stronnik. - Jestem tutaj w związku ze śledztwem - odburknął Finch.

- Obaj wiemy, że to kłamstwo. Rzuć broń.

Rozległ się trzask bezpiecznika.

Finch upuścił pistolet.

- A teraz szabla. Rozepnij pas. Upuść ją na podłogę.

Finch wykonał polecenie, starając się oddychać powoli i nie ulegać panice. Którą chwilę powinien wybrać? Tę? Następną?

Bułat upadł na podłogę z głuchym brzękiem i trzaskiem skórzanego paska.

Stronnik oderwał lufę od pleców Fincha.

- Teraz się odwróć.

Finch usłuchał. Okręcił się błyskawicznie, chcąc zaatakować Stronnika z zaskoczenia. Nie zdążył. Zobaczył opadający pistolet i chudy biały nadgarstek. Jego czoło eksplodowało bólem. Miękkie światło stało się trupio blade, intensywne. Stracił przytomność.

* * *

Ocknął się przywiązany do krzesła naprzeciwko okna i latarenki, na lewo od kanapy. Nadgarstki i kostki piekły go od mocno zaciśniętego sznura. Bolały go wykręcone do tyłu ramiona. Głowa pulsowała. W ustach czuł smak krwi. Kurtka z kawałkiem metalu i fiolką leżała gdzieś z boku.

Na balkonie było pusto. Podobnie w kuchni. Przynajmniej w tej jej części, którą widział. Na blacie ułożono zestaw noży. Na kuchence gotowała się woda w garnku. Na kanapie leżał młotek.

Finch napiął sznur, ale ten jedynie wbił mu się głębiej w skórę. Spróbował rozbijać krzesło, ale wiedział, że nie zdoła wstać, najwyżej się przewróci.

Usłyszał kroki. Skrzywił się. Spodziewał się Heretyka i *strasza*, jednak w polu widzenia pojawił się tylko Stronnik. Finch zaczął powtarzać w myślach swoją rolę.

- Witaj, Finch - rzekł Stronnik. Przyniósł drugą latarenkę i postawił ją z boku.

Ten sam kpiący uśmiech. To samo rejestrujące oko. Ta sama brzydota. Chudy i blade jak trup.

- Wyłączyłem kamery - poinformował Fincha. - Poprosiłem pozostałych Stronników, by zapewnili nam trochę prywatności.

- Dlaczego? Pracujemy nad tym samym dochodzeniem - odparł Finch. - Rozwiąż mnie

i rozejdziemy się w zgodzie, każdy w swoją stronę.

Oko nie przestawało robić zdjęć. Stronnik przesunął się w swoje lewo, a wtedy Finch zobaczył pistolet w jego prawej dłoni. Paskudną hybrydę. Stary rewolwer Hoegbottona przystosowany do strzelania grzybowymi pociskami, których czerwono-zielone czubki były widoczne w lufie. Rozszerzały się i kurczyły, jakby oddychały.

- Trzeba było najpierw zajrzeć do sypialni, Finch. Tam byś mnie znalazł - rzekł Stronnik. - Ale nie jestem zaskoczony. Jesteś wyjątkowo niedbały. Na przykład, tamta strzelanina w świątyni. Zginęło wielu moich ludzi.

- To Heretyk nas tam posłał. Śledztwo wciąż jest otwarte, a ja nim kieruję. Rozwiąż mnie, a o niczym nie powiem Heretykowi.

- Ależ nie jest otwarte - odparł Stronnik. - Sam je zamknąłeś. Mam twój końcowy raport, a raczej jego fragmenty. Brakuje w nim wielu informacji. Na przykład, o śmierci Wyte'a.

O zmuszeniu Starka do zjedzenia bulwy pamięci.

- Wyte był umierający - odrzekł Finch. - To był akt łaski.

- To wygodne, że nie było cię na posterunku, gdy wybuchła bomba.

- Nie nazwałbym tego wygodnym. - Finch szarpnął liny, ale znów bezskutecznie. Musiał się uwolnić. Dosięgnąć woreczka. Pomóc Shriekowi.

- Kiedy Heretyk się tutaj pojawi?

- Ciekawe pytanie, Finch. Kiedy pojawi się Heretyk? Już tutaj był. Razem ze swoim pieprzonym *straszem*. Zabiłem ich obu.

- Co takiego? - Finch poczuł się jak człowiek zagubiony na pełnym morzu. W obcym kraju, w którym obowiązywały nieznane zasady.

- Może jesteś głupi, Finch, ale nie głuchy.

- Nie wierzę ci. - Rzeczywiście nie wierzył.

Stronnik odłożył pistolet. Wziął do ręki młotek. Pochylił się, po czym uderzył Fincha w lewe kolano. Finch wrzasnął pod wpływem przeszywającego bólu. Zaklął. Podskoczył na krześle.

- Kurwa! No dobra! Wierzę ci. Wierzę. - Zmagał się z szokiem.

- Wcale nie jest trudno zabić szarego kapelusza. Wystarczy znaleźć sposób na zepchnięcie go z balkonu na piątym piętrze. Wszystko sprowadza się do tego, żeby popsuć to, co ma w środku. Wyobraź sobie, że jest workiem pełnym mięsa i kieliszków do wina. A potem wyobraź sobie, że coś takiego spada z piątego piętra. Uderza o schody przeciwpożarowe. Rozbija się na chodniku. Po czymś takim już raczej nie wstanie. To ten

przeklęty *strasz* sprawił mi prawdziwe kłopoty.

Stronnik wskazał róg salonu obok drzwi do kuchni. Finch zauważył tam coś długiego i czarnego, na wpół ukrytego za odsuniętą zasłoną. Wciąż drgało. Poczul ulgę, że *strasz* nie żyje. Potem znów ogarnęła go panika. Nie ma czasu. Musi się śpieszyć.

- Tylko pomyśl, Finch. Coś takiego chciało nas zastąpić.

- Rozwiąż mnie. Rozwiąż mnie, a sobie pójdę. Będzie tak, jakbym nigdy się tu nie zjawił.

Stronnik spoliczkował Fincha. Uderzenie zabolalo, ale bez porównania słabiej niż cios w kolano.

- To zły pomysł, Finch - odparł Stronnik. Poszedł do kuchni. Zdjął garnek z wodą z gazu. - Chyba jest już dostatecznie gorąca.

- Dlaczego to robisz? Po co zabiłeś Heretyka?

- Widzisz, Finch, jesteśmy niemal po tej samej stronie - odrzekł Stronnik wesoło. Przysunął stolik i postawił na nim garnek. Rozległo się syczenie.

- Nie rozumiem - rzekł Finch. Wciąż był w szoku.

- Heretyk okazał się rozczarowaniem. Tak jak reszta jego rasy. To zdrajcy naszej sprawy. Brakuje im zaangażowania. - Wrócił po noże. - Potrafią podróżować w niezwykle sposób, ale nie zdradzą nam, jak to robią. Potrafią skłonić spory do zrobienia wszystkiego, czego zapragną, ale również nie zdradzą nam, jak to robią. Mamy być tylko chodzącymi i gadającymi aparatami fotograficznymi. Nie taka była umowa. A teraz zamierzają nas porzucić, choć sami nas stworzyli. Heretyk tak mi powiedział. A ja nie mam zamiaru na to pozwolić.

- Nadal nie rozumiem.

Przez chwilę wydawało się, że Stronnik ponownie spoliczkuje Fincha. Zamiast tego ułożył noże na stole obok garnka z wodą.

- Sprowadzą tutaj więcej swoich pobratymców. Już nas opuszczają. Nie przekazali nam żadnych rozkazów. Musimy sami znaleźć sobie cel, ponieważ im już na nas nie zależy. Nie potrzebują nas, podobnie jak nie potrzebują takich Niepowstańców jak ty.

- Właśnie tak nas nazywacie? - Finch starał się nie patrzeć na wrzątek. Na noże. Na młotek.

Stronnik rozparł się na krześle.

- Powinieneś mi podziękować. Heretyk zabiłby cię od razu. Ale mnie przydasz się żywy. Chcę, żebyś mi przekazał, co tak naprawdę wiesz. Wszystko to, co ukrywał przede mną Heretyk. Czego się dowiadywałeś za każdym razem, gdy znikales mi z oczu w tym tygodniu.

- Nie wiem nic, co mogłoby ci pomóc.

Stronnik zmarszczył brwi.

- Nieprawda. Myślę, że próbujesz zyskać na czasie. Może nadal nie wierzysz, że zabiłem Heretyka. Może spodziewasz się, że lada chwila wejdzie przez te drzwi.

- Ależ wierzę ci! - Finch spodziewał się ciosu młotkiem.

Stronnik wstał. Stał za Finchem i obrócił jego krzesło tak, że znalazło się naprzeciwko ciała Shrieka. Pochylił się i ściągnął koc.

Pod spodem leżał Heretyk w otoczeniu kilku poduszek. Nie miał kapelusza. Jego głowę pokrywały malutkie jasnofioletowe grzybki. Miał skręconą szyję. Zgniecioną i poszarpaną twarz. Zamknięte oczy. Jedna z jego stóp była skierowana w niewłaściwą stronę. Jakby spadł z dużej wysokości.

Z oddali dobiegł stłumiony głos Stronnika.

- Widzisz? Jest tak, jak ci mówiłem.

- Gdzie jest ciało? - zapytał ktoś. - Gdzie zwłoki mężczyzny?

Przez szum krwi w uszach Finch usłyszał odpowiedź:

- Zniszczyliśmy je wczoraj. Stanowiło zbytne zagrożenie dla ich planów. Na rozkaz Heretyka, gdy jeszcze wydawał rozkazy. Rozsypaliśmy prochy u podnóża wież.

Potem, na szczęście, Stronnik zadał kolejny cios młotkiem.

Finch ponownie stracił wątek.

Wpadł pod powierzchnię.

Głęboko.

SOBOTA

P: Postaraj się na to spojrzeć z mojego punktu widzenia. Ponieważ ja staram się postawić na ich miejscu. Realizują niezwykle dogłębną i rozległą wizję. Długoterminowy plan.

F: Pewnie jesteś pod dużym wrażeniem.

P: Czy mrówka opłakuje śmierć innej mrówki?

F: Być może. Nie wiem.

P: Oni postrzegają wszystko, wszędzie, z perspektywy tysięcy lat. Wykorzystują spory oraz coś jeszcze mniejszego, co pozwala im działać w mikroskopijnej skali. Cóż dla nich znaczy zredukowanie życia z poziomu makro do mikro. Rozłożenie go na części składowe. Po prostu otrzymują życie w innej formie. Niczego nie zabijają. Nic się nie kończy, ponieważ coś innego się zaczyna. To wyzwalająca perspektywa. Gdyby tylko dotrzymali słowa.

F: Czy to ich usprawiedliwia?

P: Czy po tym wszystkim, co zrobiłeś w ciągu ostatniego tygodnia, naprawdę uważasz, że potrzebują usprawiedliwienia? Uwierz mi, Finch, to nic osobistego. Teraz będę musiał ponownie zadać ci ból.

1

Ocknął się z workiem na głowie. Ocknął się i stwierdził, że Stronnik wyrzyna mu tatuaż na nodze. Ocknął się i usłyszał własne wrzaski. Zastanawiał się, czy Błękitna Dama go uratowała. Obudziła go, po czym nafaszerowała narkotykami. Obudziła i nafaszerowała narkotykami. Nie zaginie.

Stronnik cały czas zadawał pytania. Kim jest Ethan Bliss? Jak działają drzwi? Jak poznał Błękitną Damę? Finch odpowiadał wymijająco, ale po chwili już nie pamiętał, co mówił. Albo czego nie mówił.

Minęła północ. Być może. Było ciemno, nie licząc blasku latarenek. Nie licząc bladej twarzy Stronnika.

Część ust Fincha nie była w pełni sprawna. Wybrzuszona. Opuchnięta. Niewyraźnie wymawiał samogłoski. Nie czuł stóp ani dłoni. Dziękował za to losowi, ponieważ już na początku Stronnik odciął mu jeden z palców u nogi. Ponownie rozbił kolano. Rozciął prawy policzek, tak że krew wpływała Finchowi do ust.

- Przyznaj się - powtarzał Stronnik. - Przyznaj się.

Czy był gotowy się przyznać? Do czego? Duncan Shriek był martwy. Misja umarła wraz z nim. Zmiana nazwiska, odcięcie się od Crossleya teraz wydawały się równie żałosne jak plan wskrzeszenia Shrieka. Czy robił coś poza wykorzystywaniem obu stron konfliktu? Graniem na czas, pracowaniem raz dla jednej, raz dla drugiej strony. W jakim celu? Żeby dalej żyć tak jak teraz? Może nawet gorzej. Czy jeśli się do tego przyzna, to zrobi wrażenie na Stronniku? Przesłuchującemu zależało tylko na dwóch rzeczach: chciał zdobyć informacje i zadać mu ból.

- Mam na imię Thomas - rzekł Stronnik. - Powinieneś tak mnie nazywać. To moje imię.

Z krtani Fincha wydobył się śmiech wywołany absurdalnością sytuacji. Nie potrafił go powstrzymać.

- Przyznaję się - powiedział. Wykrzyczał te słowa, gdy Stronnik ponownie zabrał się do dzieła.

Krzesło powoli bujało się w tył i w przód.

* * *

Bujanie. Bujanie. W tył i w przód.

Finch siedział na górnym pokładzie jednej z mieszkalnych łodzi na Kosie. Na wieżach po drugiej stronie zatoki zgromadził się zielony ogień. Nagle wystrzelił w ich stronę. Rozrósł się do olbrzymich rozmiarów i zamigotał nad ich głowami. Palił okoliczne łodzie. Rozłupywał drewno. Posyłał w górę fale płomieni. Wydawało się, że ogień ich nie dosięga. A jednak płonął w jego wnętrzu.

Wyte i ojciec Fincha siedzieli naprzeciwko niego na białej ławce. Ojciec miał postać przygarbionego widma, w jakie zmienił się w ostatnich dniach pobytu w klinice. Kaszłał krwią. Wyte na szczęście wyglądał jak przed przemianą w kaplicy.

- Już niedługo - rzekł ojciec.

- Już niedługo - rzekł Wyte.

- Trzymaj się - dodał ojciec.

- Wkrótce przyjdzie pora na ciebie - powiedział Wyte. - Będziesz gotowy?

- Gotowy na co? - spytał Finch.

- Nie zaginie. - Teraz obok ojca już nie siedział Wyte, ale Finch jako James Crossley. Młody. Z elegancko przystrzyżoną brodą. Z błyskiem pewności siebie w oczach. James Crossley, który pracował jako goniec dla Wyte'a.

Finch się uśmiechnął.

- Dawno się nie widzieliśmy. Przydałbyś mi się wcześniej, Jamesie.

Ojciec zniknął. Teraz obok Jamesa siedział Duncan Shriek. Migotał jak popsuta żarówka.

Finch wpatrywał się w nich obu. Dookoła płonęła Kosa.

- Dłużej tak nie wytrzymasz - rzekł Shriek. - Musisz znaleźć wyjście.

Finch wyszczerzył się w bolesnym uśmiechu. Z każdym kolejnym błyskiem zielonego światła część jego ciała zniknęła. Odpadała.

- Łatwo powiedzieć, gdy jest się trupem. Ja nadal tkwię w świecie.

Coś go wołało. W głowie słyszał eksplozje hałasu.

- Wrócisz - obiecał Shriek, rozplywając się w ciemności.

* * *

Wreszcie się obudził i usłyszał odgłosy walki. Rakiety. Wystrzały. Huk luf czołgów?

Przez okno i krew zalewającą mu oczy Finch zobaczył silne błyski światła. Nie

przypominały obłoków spór ani grzybowych pokazów szarych kapeluszy. Tamto światło bardziej przypominało mgłę. To było ostre i gwałtowne. Bezlitosne.

Krew łaskotała gardło Fincha. Stronnik wybił mu kilka zębów. W każdym z tych miejsc Finch czuł wściekły ból.

Stronnik siedział na kanapie i postukiwał stopą. Odwrócił krzesło, by Finch patrzył prosto na niego.

Finch się roześmiał. To był niezrównoważony śmiech, który zakończył się zbyt wysoką nutą. Czyżby ten skurwiel miał już dosyć przesłuchania? - pomyślał, ale nie powiedział tego na głos. Stronnik podkradł się do niego od tyłu. Finch poczuł delikatne piłowanie w okolicy zdrętwiałej dłoni. Coś z niej wypłynęło.

Rakiety wciąż wybuchały. Zatem muszą być prawdziwe. Nie są halucynacjami.

Nikt po mnie nie przyjdzie. Nikt.

Stronnik położył na stole zakrwawiony mały palec Fincha. Przypominał białego robaka.

- Nigdy więcej mną nie pogardzaj - rzekł Stronnik. Ciężko dyszał. Przełykał ślinę w niemal erotyczny sposób. Przygryzał koniuszek języka. - Zostało ci ich jeszcze sporo.

Chichot. A może tylko niski jęk?

- Tylko osiem albo dziewięć. Ale nie będę. Nie będę. Nie będę. Tylko mnie rozwiąż. Nie czuję rąk. Nie czuję nóg.

Stronnik go zignorował. Czyli wymierzył mu kilka policzków.

Nic z tego, co Finch powiedział, nie powstrzymało Stronnika. Nic. Ani w jednym przypadku. Tak jak prośby Starka nie powstrzymały Fincha. Zobaczył Blissę stojącego przy stole w mieszkaniu Fotografą, z uwagą przyrządzającego fiolkę płynu. Zobaczył twarz Sintry pod ścianą, gdy się kochali. Niepewny uśmiech Rathven, gdy żartowali na temat bycia detektywami. To wszystko już nie miało znaczenia.

Zaczął płakać. Szlochać. Skulił się, opierając głowę o kolana.

- Ależ nie ma powodu do płaczu, Finch. Żadnego powodu - rzekł Stronnik. - Po prostu sobie rozmawiamy. Wymieniamy myśli. Jeśli to cię pocieszy, mogę ci zdradzić, że dźwięki, które słyszysz, to twoi buntownicy. Opuścili cię. Atakują wieżę. Nie uda im się, choć niemal tego żałuję. Niestety, w ich nowym świecie również nie ma dla mnie miejsca.

- Przykro mi, że szare kapelusze. Cię zdradziły. - Finch kaleczył słowa. Miał wyschnięte usta. Czuł, że mógłby pić bez końca i się nie nasycić. Jednak Stronnik dawał mu tylko wrzątek.

- Czyżby? - spytał Stronnik. - Mówisz poważnie? Ponieważ jak dotąd okazywałeś mi

tylko pogardę. Wręcz nią promieniowałeś.

- To nie była pogarda, tylko ignorancja.

- Ignorancja? - spytał z niedowierzaniem Stronnik.

- Nie wiedziałem. Co musiałeś znieść. By stać się Stronnikiem. Finch przypominał sobie, że na pewnym etapie przesłuchania, jeśli nadal można to było nazwać przesłuchaniem, pocieszał Stronnika. Nie potrafił trzeźwo myśleć. Miał wrażenie, że jego mózg znajduje się poza ciałem. Obnażony i wystawiony na atak.

- Miło z twojej strony, że udajesz - rzekł Stronnik.

Jeśli się uwolnię, wyrwę ci to oko gołymi rękami.

Kolejny błysk. Huk wystrzału. Jednakże wydawało się, że ataki osłabły. Eksplozje światła stały się rzadsze. W półmroku Finch widział poważną, bladą twarz Stronnika.

- Powiedziałem ci wszystko, co wiem. Wszystko, czego potrzebujesz. - Ale nie o Sintrze. Nie o Rathven. Nie o Błękitnej Damie. Ich nie wydał. Chociaż już nie mógł mieć pewności.

Obiecała, że ktoś będzie mnie obserwował. Kłamała. Stronnik go zignorował.

- Nie martw się, Finch. Już prawie skończyliśmy. Już prawie świta. Jeszcze tylko dwie godziny. Może dotrwasz.

Finch nie potrafił dłużej się powstrzymać.

- Pierdol się. Pierdol się, ty kutasie. Ty jebany psycholu. Pieprzony tchórze!

Zaczął się miotać na krześle, aż przewróciło się na bok. Wtedy umilkł. Czekał.

Stronnik pochylił się nad podłogą obok Fincha. Popatrzył mu w oczy.

- Będziemy kontynuowali, dopóki nie zobaczę cię całego. Całego.

Finch próbował splunąć mu w twarz, ale z jego ust tylko pociekła krew. Czy umieram? Czy właśnie tak wygląda śmierć? Cała reszta rozplynęła się w odległym piekącym bólu. Rozpaczliwym, wściekłym cierpieniu.

* * *

Z powrotem na Kosie. Na dachu mieszkalnej łodzi. Zapadał zmierzch, słońce już niemal zniknęło.

Kosa płonęła. Tonęła w ogniu i gęstym dymie. Wieże milczały. Z tej perspektywy Finch nie widział, co znajduje się pomiędzy nimi. Wyfruwały stamtąd nieznanome ptaki, które przypominały papugi, lecz nieco się od nich różniły. Błyskało zielono-niebieskie światło. Dalej rozciągało się miasto, przybrązowane bolesną poświatą.

Na ławce naprzeciwko Fincha siedział Duncan Shriek. Tym razem miał długą siwą

brodę i białe włosy do ramion. Broda wiła się jak żywa. Był ubrany w płaszcz, którego nie uszyto z materiału. Pod nim kryło się zwaliste ciało, które kojarzyło się Finchowi z Wyte'em. Nie miał butów. Wydawało się, że jego stopy połączyły się z drewnianymi deskami, zapuściły korzenie. Jego sylwetka migotała, jakby nie mogła się zdecydować na pozostanie w pełnokrwistej postaci.

- Witaj ponownie, Finch - odezwał się Shriek.

- Spalili twoje ciało - odrzekł z goryczą Finch. - Rozsypali prochy nad wieżami. Nie żyjesz. Zawiodłeś nas. Tysiące ludzi przez ciebie zginą. - Był wściekły na siebie.

- Twoje ciało przestaje działać, Finch - odparł Shriek. - Nie możesz znieść kolejnych tortur. Musisz coś zrobić. W tej chwili mogę jedynie łagodzić ból.

Nogi Fincha płonęły. Nie potrafił ugasić tych płomieni.

- Nic nie mogę zrobić.

Shriek przyciągnął go bliżej, tak że ich twarze dzieliło zaledwie kilka cali. Fincha wabiła moc jego spojrzenia. Wpatrywał się w coś, co było czymś więcej, a zarazem mniej od oczu. Wciągała go władcza siła płynąca z doświadczenia i bólu.

- Znajdź sposób. A kiedy już to zrobisz, wypij zawartość fiołki, którą przyniosłeś ze sobą. W przeciwnym razie umrzesz, nawet jeśli zabijesz Stronnika.

- Fotograf powiedział, że w fiołce jest trucizna.

- Zgadza się. Ale jest w niej także życie. Umrzesz, a ja sprowadzę cię z powrotem.

- Nic nie możesz zrobić - odparł Finch. - Istniejesz tylko w mojej głowie.

- Tak samo jak ty - rzekł Shriek.

Podniósł Fincha za ramiona. Uniósł go wysoko, a następnie jednym ruchem pchnął i wypuścił. Tak silnie, że Finch poleciał ponad miastem. W miejscu, w którym dotknęły go dłonie Shrieka, poczuł ozdrowiające odrętwienie. Rozprzestrzeniało się.

W dole zgasły trzaskające płomienie trawiące Kosę. Czarny dym stał się biały, po czym się rozwiął. Finch frunął nad migoczącą zielenią Dzielnicy Religijnej, ponad niewyraźnymi białymi pozostałościami obozów, ponad wszystkim.

A więc tak to się kończy. Naprawdę się kończy. Ale przynajmniej się kończy.

* * *

Ocknął się w ciemności. Oczy zalepiała mu zaschnięta krew. Miał złamany nos. Czuł, że opróżnił jelita. Zasikał spodnie. Gorący mocz spływał po udach, drażniąc odrętwiałą skórę. Zdołał lekko poruszyć nogami. Jakaś zasłona odgradzała go od bólu, który otaczał go równomiernym blaskiem. Żadna część ciała nie bolała go bardziej od innych. Dzięki temu

mógł się skupić. Odnaleźć w sobie siłę.

- Jeszcze z tobą nie skończyłem. Nie udzieliłeś właściwych odpowiedzi. - Słowa wymamrotane jak modlitwa, gdzieś z przodu.

Prawe oko Fincha zasłaniała opuchlizna. Lekko unióś lewą powiekę.

Twarz Stronnika znajdowała się tuż przed nim. Otchłań grzybowego oka. Pomarańczowe porosty w drugim oczodole. Surowy biały krajobraz twarzy. Stronnik wpatrywał się w Fincha. Potrząsał nim. Sprawdzał, czy ofiara wciąż żyje.

Za blisko.

Pistolet leżał na stole. Noże również.

Finch gwałtownie się poderwał. Uderzył Stronnika w podbródek czubkiem głowy. Mężczyzna stęknął pod wpływem zaskoczenia i bólu. Finch przewrócił się na niego. Nogi wciąż miał jak z gumy. Z całej siły uderzył czołem w grzybowe oko. Poczł, że ustąpiło pod jego ciosem.

Stronnik krzyknął. Próbował zepchnąć Fincha. Tłukł go po bokach pięściami. Jednakże Finch niczego nie czuł. Wbił zęby w lewy policzek przeciwnika. Szarpnął. Wypluł kawałek ciała. Stronnik wrzeszczał. Finch nie przestawał uderzać go głową w prawą część twarzy. Dopóki oczodół się nie zapadł, a Stronnik nie zaczął jęczeć. Ręce okładające Fincha teraz przypominały trzepoczące skrzydła ptaka.

W końcu Stronnik znieruchomiał. Może coś mówił albo krzyczał. Finch tego nie wiedział i nic go to nie obchodziło. Ciepły blask otaczający jego ciało tłumiał dźwięki. Tłumił wszystko.

Czy Stronnik umarł? Jeśli nie, to tylko kwestia czasu. Finch zdjął ustami nóż ze stołu. Przytrzymał go między zębami. Uklęknął. Przekrzywił głowę na bok. Mocno uderzył. Wbił ostrze aż po rękojeść w gardło Stronnika. Odsunął się, gdy krew obficie trysnęła z rany. Stronnik dwukrotnie się wzdrygnął, wygiął plecy. Wreszcie przestał się ruszać.

Ból powracał. W całym ciele. Zasłona opadała. Finch cofnął się do stołu. Chwycił nóż i przechylił go w dół. Uwolnił się w ciągu minuty. Nie obchodziło go, co musi przeciąć, by tego dokonać.

Chwiejnie ominął Stronnika. Potem Heretyka. Dotarł do swojej kurtki. Znalazł fiolkę. Otworzył ją. Stał w miejscu, dygocząc.

Fotograf powiedział, że to trucizna. Bliss twierdził, że w płynnej postaci ożywi Shrieka. Shriek już odszedł. Jednak widmo, które pojawiło się w umyśle Fincha, miało rację co do jednej sprawy: Finch umrze, jeśli nie otrzyma pomocy.

Wychylił fiolkę jednym łykiem. Zawartość smakowała jak błoto z czekoladą.

Posypane intensywnymi, ale znajomymi ziołami.

Ciężko usiadł na podłodze. Czuł, jak opuszcza go energia. W końcu rany powaliły go na plecy. Głośno łapał powietrze, a każdy cal jego ciała krzyczał w niekończącej się agonii.

2

Finch i Shriek stali w jaskini nad brzegiem podziemnego morza. Przed jednoizbowym schronieniem Samuela Tonsure'a.

- Jesteś halucynacją - rzekł Finch. Nie patrzył na Shrieka. - Umieram i rozmawiam sam ze sobą.

- Pamiętasz, że Wyte nosił w sobie Otta? - odrzekł Shriek. - Teraz ty nosisz mnie w swoim wnętrzu, oczywiście w inny sposób. Wszedłem do twojego umysłu, gdy zjadłeś moją bulwę pamięci.

Coś żyło wewnątrz Wyte'a. Kiedy się wydostało, Finch to postrzelił, a potem rozplątał szablą przy wtórze głośnego kwiczenia.

- To niemożliwe.

- Wciąż potrafisz ocenić, co jest niemożliwe? - spytał Shriek. - Nadal jesteś zdolny do wygłaszania znaczących opinii? Skonasz tam na podłodze, jeśli we mnie nie uwierzysz. - Finch poczuł w głowie silny ucisk, jakby pulsowanie. - To ja - rzekł Shriek. - Próbuję się wydostać. - Oczy Fincha trawił nieugaszony ogień. - Wtedy jeszcze odzyskiwałem siły. Wracalem do zdrowia. Ale zdołałem zmienić bulwę pamięci. Zapisałem w niej kopię samego siebie. Kiedy ją zjadłeś, przedostałem się do twojego mózgu. Gdyby moje ciało przeżyło, gdyby przetrwał prawdziwy Duncan Shriek, w końcu stałbym się czymś słabszym od echa. Zagubioną myślą. Impulsem, który skłania cię do napicia się herbaty zamiast kawy. Nieoczekiwanym przyływem smutku bądź radości. Do końca życia nosiłbyś w sobie moje rozkładające się szczątki. Ale tak się nie stało. Zabili moje ciało, więc pozostałem tylko ja. Teraz na tym polega moja misja.

Herbata zamiast kawy. Dziwny przyływ energii podczas strzelaniny. Smutek albo radość. Emocje, które nie należały do niego. Ani do Crossleya.

- Już nie ma żadnej misji.

- Mylisz się, Finch. Bardzo się mylisz.

- To jak z Wyte'em i Ottem - rzekł z obrzydzeniem Finch. - Umrę, a wtedy ty ze mnie wyjdiesz. Jak jakiś pierdolony pasożyt.

Shriek zmarszczył brwi.

- Nie, to nie jest jak z Wyte'em i Ottem. Nic z tych rzeczy. Otto pożerał Wyte'a od

środku. Ja jestem tylko pasażerem, który wkrótce odejdzie. Jeśli mi pomożesz.

- W czym?

- Jeśli pomożesz mi się pojawić w prawdziwym świecie. Stać się człowiekiem z krwi i kości. Zakończyć misję, dopóki wciąż mamy czas.

- Ale jesteś tylko... imitacją.

- To nie jest najlepsze wyjście. Ale w tej chwili jedyne.

- Umysł płata mi figle.

- Posłuchaj mnie, Finch. To Bliss znalazł mnie w tej jaskini. Zabrał mnie do buntowników. Wtedy już nie byłem człowiekiem. Nie byłem żywy w żadnym rozsądnym znaczeniu tego słowa. Dowiedziałem się tak wiele o świecie, że postanowiłem się z niego wycofać. Skoro udało mi się obudzić z tak długiej hibernacji, to moja kopia też może powrócić do świata żywych.

Ponownie Bliss. Na murach Zamilonu. Odnajduje Duncana Shrieka. Zyskuje przychylną Błękitnej Damy.

- Kiedy się obudzę, będziesz tylko wspomnieniem snu.

- Nie słuchasz, co do ciebie mówię. Nie obudzisz się. Twoje ciało przestaje działać.

- Zatem przejmij nad nim kontrolę. To słaba maszyna - odparł Finch, czując pogardę dla samego siebie. - Jak mógłbym cię powstrzymać?

Shriek machnął ręką. Znaleźli się na blankach Zamilonu. Zupełnie sami. Było zimno i wietrznie. Na pustyni gromadziły się cienie.

- Nie mogę cię zmusić. To zajęłoby zbyt dużo czasu. Nie możemy sobie na to pozwolić. Prędzej byś umarł. W tej chwili Błękitna Dama stara się powstrzymać najeźdźców w Zamilonie. Czeka na cud. Ja jestem tym cudem.

- A jeśli odmówię? Wtedy rozpułniesz się i wszystko się skończy?

- Tak.

Finch znów sięgnął myślami do Wyte'a. Do Starka pod wpływem bulwy pamięci Wyte'a. Za jaką cenę? A potem: przecież wiedziałeś, że możesz umrzeć. Dlaczego nie chcesz tego zrobić?

Ponieważ to nie jest prawdziwe.

Popatrzył na zielone światła, które zaczęły się pojawiać na pustyni. Ponad nimi dostrzegł rozmyty blask gwiazd przesłoniętych pyłem.

- Wybór należy do ciebie, Finch - rzekł Shriek.

- Jak to zrobimy? - spytał Finch. - Rozetnę sobie głowę, a ty z niej wyskoczysz? - A co się wtedy stanie ze mną?

- Nic z tych rzeczy - odparł Shriek. - Nic z tych rzeczy. Otworzysz się przede mną, a wtedy ja otworzę się przed tobą. Potem trochę się prześpisz. Kiedy się obudzisz, już mnie w tobie nie będzie. Mogę się karmić wilgocią. Powietrzem. To, co ci zabiorę, nie będzie ważyło więcej od noworodka. Ja się zajmę resztą. Potem rozejdziemy się każdy w swoją stronę. Nigdy więcej mnie nie zobaczysz. - Nie licząc chwil, gdy będę patrzył w lustro. - Wiem, że się boisz. Ale to, co przytrafiło się Wyte'owi, miało charakter inwazyjny. Wrogi. Nosił w sobie pasożyta. Umożliwiły to szare kapelusze.

A to nie ma inwazyjnego charakteru?

Zielone światła się przybliżyły. Finch niemal dostrzegał sylwetki stworów, które zgromadziły się na pustyni i czekały, by zdobyć Zamilon dla siebie. Któż mógłby zaryzykować stwierdzenie, że ich sprawa nie jest słuszna? Błękitna Dama nawet nie wiedziała, kim są.

- Skąd mam wiedzieć, że nie masz wrogich zamiarów. „Otworzę się”, a ty przejmiesz nade mną kontrolę.

- Nie zrobię tego. Obiecuję. Nawet nie jestem w stanie. To nie trwałoby długo.

- Jeśli się zgodzę, co mi grozi?

Shriek się zawahał.

- Nie będę cię okłamywał. To jest ofiara. Będę musiał zrobić różne rzeczy z twoim ciałem, by sporządzić ciało dla siebie. Ukraść ci trochę tkanki. Obrabować cię, mimo że już jesteś słaby. Już nigdy nie będziesz taki sam. Nawet jeśli dojdiesz do siebie po torturach. Będziesz miewał zawroty i bóle głowy. Problemy ze snem. A kiedy już zaśniesz, będą cię męczyły koszmary, gdy twój umysł będzie usuwał moje wspomnienia. Ale mnie uwolnisz. Niczego ci nie odbiorę, jeśli sam mi na to nie pozwolisz.

- Więc prawie mnie to zabije?

- Również uzdrowi - odparł Shriek. - Na początek mogę sprawić, by twoje ciało szybciej się goiło. Mogę cię ochronić przed szokiem wywołanym przez to, co ci zrobił Stronnik. Część ciebie zawsze będzie przy mnie obecna. Nawet gdy umrzesz, pozostaniesz przy życiu, ponieważ ja wciąż będę żywy. - Shriek szeroko się uśmiechnął, ukazując zęby. - Trudno mnie zabić.

Zaginiony czas. Zaginione światy. Człowiek, który żył ponad sto lat tylko po to, by umrzeć w jakimś nędznym mieszkanku, wplątany w rozgrywkę prowadzoną przez istoty, które przybyły z miejsca tak odległego, że od stuleci poszukiwały drogi powrotnej.

Poddanie się. Uległość. Oto, co mu proponował Shriek. Kusząca perspektywa. Finchowi nic nie pozostało. Nic wartościowego. Żadnego planu działania. Żadnego lepszego

życia. Tylko śmierć. Czuł, że to zbyt wiele, a zarazem zbyt mało, gdy stał na blankach budowli odtworzonej przez pasażera w jego mózgu.

Przyjrzał się twarzy martwego mężczyzny, wypatrując na niej szczeroci bądź oszustwa. Zobaczył tylko swoje odbicie.

- Jak zaczniemy? - spytał.

- Dla ciebie to proste - odrzekł Shriek. - Zwykła mentalna sztuczka. Cofnij się myślą do czasów, gdy z Crossleya przekształciłeś się w Fincha. Wyobraź sobie tamtą chwilę jak najdokładniej potrafisz. Przypomnij sobie wszystkie szczegóły. Gdy będziesz się na tym skupiał, wejść do twojego umysłu przez powstałą „szczelinę”. Prościej nie potrafię tego wyjaśnić... Potem już nic nie poczujesz.

Shriek patrzył na Fincha z nadzieją.

Finch pomyślał, że być może to wszystko rozgrywa się w ostatnich sekundach przed jego śmiercią. Że ostatni tydzień to tak naprawdę pojedyncza chwila w jego głowie. Że nic z tego nie jest prawdziwe. Nawet te elementy, które takie się wydają. Może właśnie one są najmniej realne.

Finch zadrżał. Zamknął oczy.

- Miejmy to już za sobą.

* * *

Stworzenie Johna Fincha odbyło się nocą. Wyjątkowo zimną. Na ciemnym niebie płonęły bitewne race i smugacze. Rozlegał się ryk czołgów. Strzały atakującej piechoty. Bębniąca muzyka rozbrzmiewała nad całym południowo-wschodnim Ambergris. W pobliżu Dzielnicy Religijnej. Ciężkie straty po stronie Hoegbottona spowodowane serią taktycznych błędów.

Stali razem z ojcem na ulicy na tyłach kliniki. Obok płonącego pojemnika na śmieci. Ojciec garbił się i kaszlał krwią. Był już wtedy bardzo chory.

John Crossley przyniósł synowi teczkę pełną dokumentów. James trzymał walizkę wypchaną dowodami tożsamości, zaświadczeniami, obciążającymi zdjęciami. Zarejestrował Johna Crossleya w klinice pod nazwiskiem „Stephen Mormeck”. Znaleźli je w książce telefonicznej.

Wybrali klinikę na terytorium Frankwithe'a. Ze względu na wysyp uciekinierów, a także dlatego, że F&L mieli mniej powodów, by nienawidzić Johna Crossleya.

- Chcesz, żebym się z kimś skontaktował? - spytał Finch ojca.

John potrząsnął potężną siwą grzywą.

- Nie, z nikim. Zaczynj od nowa. Dla nas obu. - Szorstki śmiech. Wtedy już samodzielnie leczył się porannymi dawkami whisky. Gdy spotkali się obok śmietnika, John Crossley był pijany od dwóch dni.

A jednak miał trzeźwe spojrzenie. Nie zadrżała mu ręka, gdy podawał synowi teczkę.

- Oto wszystko, czego będziesz potrzebował. Dla Johna Fincha. Wliczając sposób na ponowne dołączenie do nieregularnych wojsk Hoegbottona.

To było dwa lata przed Powstaniem. Pół roku po tym, jak Hoegbotton i Frankwithe połączyli siły przeciwko szarym kapelusom. Pięć miesięcy wcześniej ojciec został zdemaskowany jako szpieg Kalifa. Musieli uciekać. Wszędzie zawisły plakaty z jego podobizną. Został zaliczony w poczet zdrajców.

„Nie zrobiłem tego, co mi zarzucają. Nie w taki sposób. Nikt przeze mnie nie zginął. Nigdy...”.

Ojciec nie powiedział Jamesowi, jak doszło do tego, że został wydany. Kto z wielu ludzi, którzy przez lata odwiedzali ich dom w dolinie, okazał się zdrajcą. James nawet się nie domyślał, gdyż ojciec zawsze starał się trzymać go jak najdalej od tej sfery swojego życia.

James otworzył walizkę. Klamerki z trzaskiem ustąpiły pod jego palcami.

- Wszystko jest tutaj. Każdy dokument. Każde zdjęcie. - Przyniesione z ich dawnego domu z dolinie. James pojechał tam wcześniej tego wieczoru i wślizgnął się do środka. Wrócił do kliniki wojskową ciężarówką razem z kilkorgiem innych cywilów powiązanych z branżą handlową Hoegbottona. Wyte stał na czatach, po czym ulotnił się tylnym wyjściem i rozplynał w ciemności. Znał każdą ulicę w mieście. Przed północą z pewnością znalazł się w domu u boku żony. Teraz była druga w nocy.

- Na co czekasz? Zaczynj to ładować w ogień - rzekł ojciec.

A jednak się wahał. Patrzył, jak kopcące płomienie wzbijają się w ciemność, a iskry naśladują race w oddali.

- Jeśli spalimy wszystkie zdjęcia, zapomnę, jak wyglądasz.

Ojciec nie dał się zbić z tropu.

- Ale nie zapomnisz, kim jestem. A jeśli tego nie zrobisz, synu, nie będziesz mógł zacząć od nowa.

Wziął garść dokumentów i wepchnął je w ogień. Płomienie mocniej buchnęły w górę.

- To najlepszy sposób. - John Crossley powtarzał to już wielokrotnie tego dnia.

Wszystkie wartościowe przedmioty, na podstawie których nie można było powiązać syna z ojcem, umieścili w magazynie na skraju dzielnicy kupieckiej. W neutralnej strefie. James mógł je odzyskać w każdej chwili. Whisky. Cygara. Książki. Mapę. Ceremonialny

bułat, który ojciec zdobył, gdy walczył przeciwko Kalifowi. „Trzymaj go w ukryciu, synu, ale używaj, gdy będziesz musiał”.

Po chwili James do niego dołączył. Zaczął garściami wrzucać przedmioty w ogień. Zdjęcia zrobione podczas ofensywy na terytorium Kalifa. John Crossley na czołgu. W oknie. Idący przez pustynię. Stare zapiski z dziennika. Nawet fajeczka, którą pokazywał małemu Jamesowi.

„Oni nigdy nie zapomną, nigdy nie wybaczą, niezależnie od tego, kto będzie wrogiem, synu. Lepiej zacząć nowe życie. Stać się kimś innym”.

Nigdy nie rozmawiali o jego zdradzie. Syn czuł, że gdyby o to spytał, jednocześnie przyznałby, że ojciec zrobił coś bardzo złego. Nie chciał zburzyć spokoju ich świata.

„Chcesz, żebym się z kimś skontaktował?” - spytał ojca.

„Nie, z nikim” - upierał się starszy.

Kiedy walizka była pusta, James cofnął się o krok. Stał obok ojca. Patrzył, jak ogień dogasa. Potem przytulił Johna. Kwaśny oddech. Drżące ramiona. Drapanie w gardle. Wiedział, że wkrótce go straci.

- Witaj w Ambergris, Johnie Finchu - wyszeptał mu do ucha ojciec.

3

Gdy się obudził, wciąż było ciemno, nie licząc latarenek. Nie licząc słabego szarego blasku bijącego od okna. Leżał na podłodze. Był głodny i spragniony. Jak jeszcze nigdy w życiu. Czuł się pusty. Jakby był zbudowany ze spór. Jakby miał go rozwiać wiatr. Jego układ nerwowy bez przerwy donosił o bólu w całym ciele.

Stronnik leżał twarzą do ziemi obok szarego kapelusza. Ręce wzdłuż boków. Na stole zakrwawione noże i garnek z wodą. Pusta fiolka.

Finch usiadł i zobaczył samego siebie, nagiego, podpartego na łokciach. Ich stopy niemal się stykały. Szok. Nagłe przerażenie. Nawet w słabym świetle dostrzegał te same ciemne włosy. Zawadiacką, choć coraz bardziej masywną twarz. Silnie zbudowane ciało na granicy otyłości. Jednakże z jego własnego oblicza wyrastały rysy twarzy Shrieka. Kości policzkowe znajdowały się nieco wyżej. Oczy wyglądały inaczej. U tego drugiego Fincha były zielone. Ten drugi Finch był dziwnie gładki i mało wyrazisty. Nie miał żadnych blizn. Prawie nie miał zmarszczek. Finch zadrżał. Shriek-Finch wyglądał jak człowiek, który osiągnął wiek średni, ale czas nie pozostawił na nim żadnych śladów.

- Podobieństwo z czasem zaniknie - rzekł Shriek. - Wkrótce będę w stanie przybrać dowolną formę. - Szorstki głos. Jakby dopiero przyzwyczajał się do swoich strun głosowych.

Shriek wstał, a Finch poszedł w jego ślady. Niedoskonałe odbicie. Shriek miał inną sylwetkę. Garbił się pod jakimś niewidzialnym ciężarem. Miał mniej podejrzliwe spojrzenie. Bardziej ekspresyjne dłonie. Światło gromadziło się wokół niego w nienaturalny sposób. Po jego ciele przepływały delikatne opalizujące fale. Finchowi kojarzył się z rozgwiadzą w jaskini nad brzegiem podziemnego morza.

- Jak się czujesz? - spytał Shriek.

- Lekko... a zarazem ciężko - odrzekł Finch. Czuł, że nakładka z myśli Shrieka opuściła jego umysł. Dopiero jej nieobecność dowodziła, że kiedyś była faktem. Teraz wszystkie sprawy, które pozornie mu zubożniały, powracały do niego z niemal śmiertelnością intensywnością. Sintra. Wyte.

Chwiał się na krawędzi otchłani.

Głos Shrieka przywrócił go do rzeczywistości.

- Pozwól, by to cię obmyło. Żeby z ciebie wypłynęło. To nie jest prawdziwe.

Przypomina pęknięcie tamy.

Finch pokiwał głową, ale poczuł lekką niechęć: skąd Shriek może wiedzieć, jakie to uczucie?

Shriek owinął nagie ciało kocem. To stłumiło migotanie. Jego twarz i ręce lśniły.

- Co teraz? - Finch nie potrafił przestać na siebie patrzeć.

- Daj mi to, co dostałeś od Bliss. Nic więcej.

Kawałek metalu wciąż tkwił w kieszeni jego kurtki. Podał go Shriekowi.

Shriek pokiwał głową.

- Idealny.

Idealny do czego? Finch się zaniepokoił. Przestraszył się, że nie wszystko dokładnie przemyślał. Poczuł pokusę, by chwycić pistolet i zastrzelić Shrieka.

W oczach Duncana zabłysła iskra. Nie było to odbite światło.

- Czym ty jesteś? - spytał Finch.

Z ust Shrieka dobiegł niski, świszczący śmiech. Jakby jego płuca były wypełnione sporami.

- Kimś, kto zbyt dużo wie.

* * *

Finch patrzył, jak Shriek składa metalowy pasek. Wśród symboli zapewne krył się jakiś przycisk lub inny mechanizm, ponieważ w dłoniach Duncana metal trzasnął i Shriek niczym magik zaczął wyciągać z niego kolejne paski, aż otrzymał metalowy obiekt, który długością dorównywał wzrostowi dorosłego człowieka. Wzrostowi Shrieka.

- Ktokolwiek to stworzył, zbudował także drzwi - rzekł Shriek podczas pracy nad przedmiotem. - Ale nigdy tego kogoś nie odnalazłem. Racja, bardziej interesowały mnie szare kapelusze.

- Gdzie to znalazłeś?

- To nie ja, tylko Bliss. Gdzieś bardzo daleko.

Znowu Bliss. Finch nie posiadał się ze zdumienia.

- Do czego to służy?

Shriek szarpnął przedmiot, zupełnie jakby rozrywał coś miękkiego i kruchego, na przykład kawałek chleba albo ciastko. Pojawił się zarys ramy.

- To skupia moje zdolności. Jak soczewka.

Nadał obiektowi prostokątny kształt, trochę przypominający drzwi, po czym uklęknął. Uniósł ramę w powietrze, jakby wieszał obraz. Puścił ją.

Przedmiot nie spadł. Trzasnął i pozostał w powietrzu, mniej więcej dwie stopy nad ziemią. Nie migotał ani nie drgał. Był twardy. Nieruchomy. Wzdłuż jego krawędzi pojawił się wąski pasek intensywnego złocisto-zielonego blasku. Symbole rozbłysły. Przez ramę było widać znajdujące się za nią okno.

- Musi minąć minuta albo dwie, zanim będę mógł odejść - powiedział Shriek. Powiedział Finch. Miał wrażenie, że patrzy na samego siebie. Jak duch, który obserwuje swoje ciało przemieszczające się po mieszkaniu.

- Co się stanie potem? - spytał.

- Ukończę swoją misję. Czas nie płynie tak, jak nam się wydaje. Nic z tych rzeczy. Wejdę do SHF, żeby złapać trop. Następnie ruszę w podróż przez lata i światy, by wreszcie powrócić z armią. Stanę się drogowskazem, światłem, które ją poprowadzi.

Z ust Fincha popłynęły słowa, które zaskoczyły jego samego.

- Po co? Po co to robić? Jakie to ma znaczenie dla kogoś - czegoś - tak starego? Dlaczego to takie... inne - obce - od całej reszty?

Zaszokowało go, jak bardzo pragnie poznać odpowiedź.

Na twarzy Shrieka pojawił się smutny uśmiech samotnego człowieka.

- Szczerze? Żadna z moich książek nigdy niczego nie zmieniła. Żadne moje działanie niczego nie zmieniło. Zawsze próbowałem i zawodziłem. Ale Bliss pomógł mi zrozumieć, że nawet sto porażek nie oznacza, że zawsze się przegra.

- A ty ufasz Blissowi?

- W tej sprawie tak. Nawet jeśli jestem tylko echem, to moja ostatnia szansa.

- Już za późno, żeby to wszystko naprawić - odparł Finch. - Zbyt wiele się popsuło. - Zniszczone dzielnice. Puste spojrzenia ludzi z obozów. Walki na ulicach. Skutki dziesięcioleci niekończącej się wojny.

- Zatem trzeba naprawić to, co się da - odrzekł Shriek.

- A potem? Co dalej?

Mroczne spojrzenie pochodzące z mrocznego miejsca. Prostokąt wiszący w powietrzu jak rekwizyt magika. Straszliwa moc. Coś pomiędzy.

- Potem? Potem odejdę. Dokądś. Wszędzie. Donikąd. Stanę się kupką popiołu u podnóża wież...

- A ja wciąż tutaj będę - odparł Finch. Zabrzmiało to jak skarga.

- Zrobiłeś tyle, ile mogłeś, w beznadziejnych okolicznościach - rzekł z naciskiem Shriek. - To wszystko.

Kiedy Shriek odejdzie, Finch zostanie sam. Straszliwie okaleczony. W mieszkaniu z

dwoma trupami. W strefie wojny. Drzwi rozbłysły światłem. Zmieniły się w lustro.

- Odchodzę, Finch.

- Zaczekaj! - Ostatni przypływ ciekawości. - Powiedz mi, co się stało. Jak trafiłeś do tego mieszkania?

Twarz Shrieka złagodniała.

- Spróbowałem czegoś niebezpiecznego. Czegoś niemożliwego. Chciałem wykorzystać oś znajdującą się w Zamilonie, by cofnąć się w czasie. Starłem się zmienić przeszłość, by nie zmieniać przyszłości. Ale tego nie da się zrobić. Przeszłość mnie dopadła. Ta próba niemal kosztowała mnie życie.

Drzwi zaczęły buczeć. Wystrzeliło z nich intensywne białe światło, które obrysowało sylwetkę Shrieka. Buczenie zmieniło się w niezemską muzykę.

- A szary kapelusz?

- Wpadł w drzwi, które stworzyłem.

- Co to znaczy? Nie wiem, o czym mówisz - odparł Finch.

- Zastanów się, kim tak naprawdę był Samuel Tonsure - rzekł Shriek. Potem skinął głową i przeszedł przez drzwi. Zniknął w świetle.

Światło zgasło.

Prostokąt z brzękiem spadł na podłogę. Konstrukcja się złożyła.

Pozostał tylko metalowy pręt, identyczny jak wcześniej. Finch wiedział, że nigdy nie uda mu się użyć go w taki sam sposób. Wiedział, że nigdy więcej nie zobaczy Shrieka.

4

Światło słońca rozgrzewało jego poobijaną twarz. Leżał zwinięty w kłębek na kanapie. Kostki i nadgarstki miał jak z potłuczonego szkła. Kruche kości poruszały się, przemieszczając kawałki szkła do rąk i nóg. Bolało go całe ciało. Miał nadwerżoną szczękę. Nie czuł nosa.

Przez okno wlewała się potężna bezkształtna fala dźwięków miasta. Sporadyczne wystrzały. Huk oraz odgłosy przemieszczania się czegoś ciężkiego. Jakby przez Ambergris wędrował olbrzym. Jednakże to wszystko działo się daleko. Bardzo daleko.

Ktoś opatrzył kikuty jego palców za pomocą podartego materiału.

Finch spróbował wstać. Przytrzymała go czyjaś dłoń.

- Jeszcze nie wstawaj - usłyszał znajomy głos. Obcy akcent zabrzmiał wyraźniej niż zwykle. Jakby już nie musiała udawać.

Przytrzymała mu głowę, żeby napił się wody z kubka. Woda smakowała znakomicie. Mimo że miał problemy z przełknięciem jej. Mimo że mieszała się z krwią w jego ustach.

Zobaczył twarz Sintry. Popatrzył na nią z głupią, dziecinną ufnością. Wszystko mu odebrano. Nawet nie mógł unieść ręki, by otrzeć oczy.

- Poleż sobie - powiedziała. W jej głosie zabrzmiała dziwnie beznamiętna troska. Miała na sobie ubranie w kolorze leśnej zieleni. Spodnie i koszulę w maskujących barwach. Brązowe buty uszyte z jakiegoś miękkiego materiału. Długi nóż w pochwie przy pasku. W zgięciu lewej ręki trzymała karabin wycelowany w podłogę.

- Sintro. - Skręcił zeszywniałą szyję, podążając za nią wzrokiem, gdy poszła po więcej wody. Zobaczył ciała na podłodze. Chwilowa dezorientacja. Człowiek i szary kapelusz. Wyglądali, jakby spadli z dużej wysokości. Stronnik leżał twarzą do ziemi, otoczony resztkami swojego - grzybowego oka. Armia przypominających paprocie malutkich czarnych grzybków o złotych ogonkach przemieściła się z oczodołu i skolonizowała tył jego głowy.

Finch zareagował na ten nieoczekiwany widok skrzeczącym śmiechem, który przypominał krakanie kruka. Zdał sobie sprawę, że w głębi tej miazgi wciąż kryją się wykonane zdjęcia.

- Jak mnie znalazłaś? - spróbował spytać Sintrę. Nie był pewien, jak to zabrzmiało.

Sintra dała mu więcej wody. Przysiadła obok niego na poręczu kanapy.

- Dziś rano miasto łąpie oddech. W budynku nie ma nikogo poza nami. Ani jednego

Stronnika. Mieszkania nikt nie obserwuje. Skupiają się na czymś innym.

- Skąd wiedziałaś, gdzie mnie szukać?
- Kiedyś przyszłam tutaj za tobą - odparła.
- Kiedy?

Poczuł, że wzruszyła ramionami.

- Chodziłam za tobą wszędzie. Zwłaszcza w ostatnich miesiącach, zanim wieże rozpoczęły ostrzał Kosy. Tak często cię śledziłam, że wiem o tobie więcej niż ty sam. - Wcale nie żartowała. Raczej była tym znużona. Zmęczona rolą cienia.

Jej słowa leżały obnażone w blasku słońca. Finch długo się im przyglądał, ale nie znalazł tego, czego szukał.

- Zabiłeś ich? - spytała, wskazując zwłoki.
- Jednego.

- Ale najpierw zdążył cię dopaść. - Powiedziała to tak, jakby chodziło o problem wymagający rozwiązania. O groźbę.

Finch po raz pierwszy pomyślał o szabli leżącej na podłodze. Zerknął w jej stronę.

W dłoni Sintry pojawił się jego pistolet. Ponownie.

- Finch...

- Przyszłaś mnie wykończyć?

- Nie, tylko powstrzymać przed zrobieniem jakiegoś głupstwa. - Podała mu tabletkę. - Poczujesz się lepiej, kiedy ją zażyjesz. Może nawet zdązysz wrócić do swojego mieszkania.

Chętnie ją przyjął. To był test dla nich obojga. Połknął tabletkę. Poczuł delikatne ciepło rozlewające się po kończynach.

Razem z ciepłem pojawiła się znajoma absurdalna myśl. Wciąż nie jest za późno. Możemy się wydostać z Ambergris. Przekroczyć rzekę. Dotrzeć do Stockton albo Morrow... Przygotowywał się, by ponownie spróbować ją przekonać. Gdyby odeszli razem, mogliby porzucić swoją dawną tożsamość. Ale nie mógł wykrztusić ani słowa. Zupełnie jakby miał język pokryty pyłem. Gdyby to powiedział, okazałby się szaleńcem, który ugania się za duchami.

- Co się stało z mężczyzną, który był tutaj wcześniej? Tym, w sprawie którego prowadziłeś śledztwo?

Finch głęboko odetchnął.

- Najpierw powiedz mi prawdę - odrzekł. Nie miał już sił na podchody i oszustwa. - Jakakolwiek ona jest.

Przez chwilę to rozważała.

- Czasami współpracujemy z buntownikami w zamian za inne przysługi. Kim był mężczyzna, którego znaleziono w mieszkaniu? Czy to był Duncan Shriek?

- Kogo masz na myśli, mówiąc „współpracujemy”?

- Dogghów. Mój lud. Kim był mężczyzna w mieszkaniu?

Dogghowie. Dzielnica Religijna. W Sintrze płynęła krew Dogghów i Nimblytodów. Nie znał jej miejsca zamieszkania. Przychodziła do niego nocami. Wydawało się, że swobodnie porusza się po mieście. To oczywiste, że pracuje dla Dogghów.

- Tak, to Duncan Shriek - przyznał, ponieważ nie miało to już żadnego znaczenia. - Specjalista od... drzwi. Dlaczego ja? Dlaczego nie Blakely albo Dapple? Albo nawet Wyte?

Wciąż mówił powoli. Kaleczył słowa. Potrzebowała czasu, by je rozpoznać i odpowiedzieć.

- Twoje nazwisko pojawiło się po raz pierwszy dopiero dwa lata przed Powstaniem. To nas zaciekawiło... Na czym polegała misja Duncana Shrieka?

- Na powstrzymaniu kolejnych szarych kapeluszy przed dostaniem się do miasta. Jakie dostałaś rozkazy odnośnie do mojej osoby?

- Przedostaniem się w jaki sposób?

- Za pomocą wież. Czy to, co było między nami, zawsze tak wyglądało? - Od samego początku? Poczul ból, którego nie wywołały rany. Powolna zdrada. Utajone życie.

- Finch, co możesz mi powiedzieć o Ethanie Blissie?

- Kochałem cię. - Uwolnił się od tych słów, korzystając z tego, że Sintra nie widzi jego twarzy. To już było bez znaczenia. Nie miał jej nic do powiedzenia na temat Blissy.

- Ja też cię polubiłam, John - odparła powoli. - Naprawdę. W przeciwnym razie nie sypiałabym z tobą. Niezależnie od mojej misji.

Ogarnęło go dziecinne rozgoryczenie; był za słaby, by pozbyć się tej trucizny.

- Kiedyś zostawiłaś część swoich notatek. Wtedy zacząłem coś podejrzewać, ale nigdy nie pokazałem ich szarym kapeluszą. Nigdy nikomu nie powiedziałem.

Błąd. Wyczuł, że Sintra się wycofuje.

- Mogłeś nigdy się nie dowiedzieć. Mogliśmy kontynuować naszą zabawę. Naszą tajemnicę. Wiem, że bardzo ci się to podobało. Ale normalne życie? Jak zwykli ludzie? Nie jesteśmy zwykłymi ludźmi. Odgrywaliśmy role.

- Jakie role?

W jej głosie pojawiła się szorstkość. Wiedział, że w ten sposób Sintra stara się chronić ich oboje.

- Ty byłeś obrońcą. Ja egzotyczną dziewczyną, z którą lubiłeś się pieprzyć.

- To nieprawda. - Finch nie chciał mieć nic wspólnego z tym, czym zajmowała się Sintra.

- Czyżby? Nikt z was tak naprawdę nas nie dostrzega. Widzicie tylko to, co chcecie zobaczyć.

- A czego chcą Dogghowie? Czego szukają w Ambergris?

W jej głosie usłyszał gniew. A także potrzebę i pragnienie, które jednak nie były nakierowane na niego.

- To był nasz dom, John. Zanim przyszli twoi ludzie. Przed szarymi kapeluszami. I może kiedyś znów będzie do nas należał.

- Buntownicy nigdy na to nie pozwolą, niezależnie od tego, jak bardzo im pomożecie - odparł Finch. - Podobnie szare kapelusze.

- Może nie będą mieli wyboru. Może tym razem sami sięgniemy po swoją własność.

Teraz zrozumiał. W chaotycznym konflikcie pomiędzy szarymi kapeluszami, buntownikami i Stronnikami Dogghowie mogą utrzymać Dzielnicę Religijną. Jeśli tylko dopisze im szczęście. Jeśli innym go zabraknie.

- Nie będę dalej odpowiadał na twoje pytania - odrzekł. - Myślę, że już znasz odpowiedzi.

Usiadł. Przyjrzał się jej, dopóki jeszcze mógł. Piękna chociaż zmęczona kobieta po trzydziestce. Rozczochrane włosy, smutna twarz ściągnięta od stresu.

- Czy twój ojciec wrócił do pełni sił? - spytał.

- Słucham? - Po wcześniejszej rozmowie to pytanie najwyraźniej zbiło ją z tropu.

- Po przeżytej traumie. Czy wrócił do sił? Opuściła wzrok, uciekając przed jego spojrzeniem.

- Owszem, wrócił. - Czyżby drżał jej głos? - Już odszedł, ale miał udane życie.

Finch dotknął jej ramienia. Miała ciepłą skórę. Taką, jaką zapamiętał. Chwyciła jego dłoń. Popatrzyła na niego z błyskiem w oku.

- Umyj się. Znajdź jakieś bezpieczne schronienie. Kiedy znów się zobaczymy, może będę musiała wydobyć z ciebie odpowiedzi siłą. Naprawdę wolałabym tego uniknąć.

Pokiwał głową.

Błysk zielonych oczu. Odłożyła pistolet na stół.

- Zostawiam ci go, ale to zabieram. - Wzięła do ręki pasek metalu, którego użył Shriek. Finch nie miał wątpliwości, że właśnie po to tutaj przyszła.

- Nie powinnaś - rzucił obojętnie. - Będzie z tego więcej szkody niż pożytku. - Dla mnie.

- John, obawiam się, że nie dostrzegasz między nimi różnicy. - Wyszła z mieszkania i zniknęła w głębi korytarza. Odeszła na dobre.

Przez chwilę patrzył na drzwi. Potem pokuśtykał do okna. Wyjrzał.

Wieże zostały ukończone. W świetle dnia lśniły zielonym ogniem. Pomiędzy nimi pojawiały się nieprawdopodobne obrazy, które zmieniały się tak szybko, że ledwie je dostrzegał. Potężna niebieska kopuła kojarząca się z obserwatorium. Następnie góra zwieńczona wieżą. Miasto lśniących budynków, wyższych niż najwyższe budowle, jakie kiedykolwiek widział. Las drzew przypominających pnącza. Kłębiące się morze, nad którym unosiły się jajowate balony ciągnące za sobą migoczące sznury. I tak dalej. Sceny niemal wymykające się pojmovaniu.

Wkrótce przestaną się zmieniać. Między wieżami pojawi się pojedynczy obraz. Ojczyzna szarych kapeluszy.

Czy wtedy Finch już będzie wiedział, czy postąpił właściwie?

5

Droga do domu. Był tak ociężały, a zarazem tak lekki, że niemal nie czuł chodnika. Szedł w jednym bucie. Na drugiej stopie miał tylko skarpetę; ból był zbyt silny. Z jakiegoś powodu łatwiej mu było trzymać szablę. Pistolet wepchnął za pasek. Jego głowa przypominała balon wypchany szmatami. Odczuwał eksplozje bólu w całym ciele, zwłaszcza w miejscach, z którymi najsurowiej obszedł się Stronnik.

Przez mgłę zobaczył:

Czarny szwadron Stronników maszerujących w stronę barykady, która składała się między innymi z ciężarówki obciążonej co najmniej stuletnim działem. Dwa anemiczne muły o wystających żebrach spokojnie stojące za barykadą. Błede, niepewne oblicza obrońców.

Zbliżały się szare kapelusze, a za ich plecami sunęła olbrzymia zmiennokształtna chmura spór w niezliczonych odcieniach zieleni. Czerwieni. Błękitu. Dławiła ulicę. Kilku ostatnich maruderów biegło przodem, kryjąc twarze pod gazowymi maskami.

Potężne narkotyczne grzyby ulegały przemianie. Ich kapelusze opuściły się do ziemi, a niegdyś miękka czerwona powierzchnia stała się twarda jak kamień. Na szczytach przypominających minarety iskrzyły falujące linie zielonej energii, która strzelała w kierunku zielonych wież. Szare kapelusze stały na czatach w malutkich okrągłych oknach. Na bokach grzybów widniały niekończące się powtórzenia symbolu, który miał przy sobie Shriek. Raz za razem, prawdziwe szaleństwo. Dopływ pożywienia i narkotyków ustał. Nikt już nie udawał troski. W powietrzu wyczuwało się tylko atmosferę wyczekiwania. Na co?

Finch powędrował boczną uliczką, a następnie skręcił w szerszą aleję. Przemknął dziedzińcem, po czym przeszedł na skróty przez jeden z bloków mieszkalnych. Wbijał wzrok w ścianę. Gdyby ktoś postanowił go zabić, nie miałby trudnego zadania.

Wreszcie dotarł do schodów prowadzących do hotelu. Leżał na nich znajomy szaleniec. Ktoś poderznął mu gardło. Trup miał rozrzucone ręce, jakby w geście powitania. Ot, kolejne ciało. Jego krawędzie już zaczynały pokrywać się zielono-białymi grzybami, które wyrastały spod nogawek spodni, koszuli, twarzy. Jeszcze dzień, a zmarły zmieni się w pieprzoną rabatkę.

Obok lewej dłoni szaleńca Finch zauważył małą okrągłą rzeźbę. Podniósł ją. Była prymitywnie wykonana, ale bez wątpliwości przedstawiała twarz Starka o charakterystycznych

ostrych rysach i głęboko osadzonych oczach.

Słowa Rathven: „Musisz stanąć po którejś ze stron, Finch. W końcu będziesz musiał to zrobić, nawet jeśli udajesz neutralność. Nawet jeśli uważasz, że przekazywanie informacji przypomina handlowanie papierosami albo paczkami z żywnością”.

Przez otępienie przebiła się straszliwa myśl.

Upuścił rzeźbę. Szybko pokuśtykał w górę schodów.

* * *

Przed drzwiami Rathven. Po raz kolejny. Jednak tym razem były otwarte. Wcisnął pistolet w lewą dłoń, przytrzymując go zabandażowanym palcem. Prawą ręką ujął szablę.

Wszedł do mieszkania, starając się skupić rozproszoną uwagę. Przez przedpokój dotarł do pomieszczenia otoczonego regałami z książkami. Na fotelu naprzeciwko wejścia siedział Bosun. Najwyraźniej zrezygnował z rewolwerów robionych na zamówienie na rzecz grzybowej broni, z której teraz celował do Rathven. Kobieta stała tyłem do drzwi, ale Finch widział, że trzyma przed sobą własny ogromny rewolwer. Sytuacja patowa.

- Trochę się, kurwa, spóźniłeś - powiedział Bosun. - Czekamy na ciebie.

Finch nie odpowiedział. Wszedł do pomieszczenia i stanął po ich prawej stronie. Łysą czaszkę Bosuna pokrywała krew. Czyja? Na ramieniu, w które Finch go postrzelił, olbrzym miał pożółkły bandaż. Kącik jego lewego oka drgał pod wpływem nerwowego tik. Bosun miał na sobie ciemną koszulę i jeszcze ciemniejsze spodnie wpuszczone w buty. Czyżby zabrał je Stronnikowi? Może to jakiś chory kamuflaż?

Rathven była blada, ale spokojna. Nie spuszczała wzroku z Bosuna. Wysłużony pistolet lekko drżał jej w dłoniach. Od obojga było czuć woń potu i strachu.

- Finch! - zawołała z ulgą, że już nie jest sama z szaleńcem. - Nie wpuściłam go. Zaskoczył mnie. - Jakby się bała, że Finch nawet w takiej sytuacji może ją oskarżyć. Jej głos łamał się pod wpływem napięcia. - Ale nie wiedział, że mam pistolet... - Zerknęła na niego i umilkła, zaskoczona jego wyglądem.

- To moja wina, Rathven - rzekł Finch. - Przepraszam.

- Twoja wina? - wtrącił się Bosun. - Dlatego że mnie nie zabiłeś, kiedy miałeś okazję?
- Na jego twarzy malowała się osobliwa mieszanka smutku i pogardy.

Na pewno się starałem.

- Nie, dlatego że w ogóle zacząłem cię prześladować. Powinienem był zostawić cię w spokoju.

Bosun parsknął.

- Nie wierzę ci. Sam sobie nie wierzę.

Grzybowa broń komplikowała sprawy. Nawet gdyby Finch strzelił jako pierwszy, pistolet Bosuna mógłby wypalić w niekontrolowany sposób. Zainfekować ich oboje.

- Gdzie jest Stark? - spytał Finch. Znał odpowiedź, ale musiał od czegoś zacząć.

- Odszedł, przecież wiesz - beznamiętnie odparł Bosun. - Niedostatecznie dobrze go ukryłeś. Znalazłem go skulonego w uliczce. Myślał, że jest kimś innym. Potem umarł. Nie mogłem mu pomóc... Jest w bezpiecznym miejscu. Na razie.

Fincha ogarnęła fala zawrotów głowy. Ugiął kolana, żeby nie upaść. Poczul się jak na łódce z Wyte'em, gdy płynęli na Kosę, by po raz pierwszy spotkać się ze Starkiem i Bosunem.

- Nie próbowałem go ukryć - odparł. - Nie chciałem zrobić mu krzywdy. Ale wy nie dawaliście mi spokoju.

Bosun zignorował jego słowa.

- Przyszedłem tutaj, żeby cię zabić. Ją być może też. Nadal mogę to zrobić - odezwał się refleksyjnym tonem. Jakby się zastanawiał, czy wykorzystać gładkie kamienie do puszczania kaczek, czy może zatrzymać je w kieszeni.

- Nie przyprowadziłeś swoich ludzi. - Finch przypomniał mu o dwukrotnej przewadze liczebnej.

Bosun szorstko się roześmiał.

- Nikt mi nie pozostał. Nie chcieli za mną podążać, gdy zniknął Stark. Teraz jest tak jak za dawnych czasów. A raczej mogłoby być.

- Dlaczego po prostu nie odejdziesz? - spytał spokojnie Finch. - Nikomu nie stanie się krzywda. Bo chyba wiesz, że nie wyjdiesz z tego cały, nawet jeśli uda ci się wyeliminować jedno z nas.

Widział, że Rathven z coraz większym trudem trzyma rewolwer. Nie chciał, by go opuściła. Nie miał pojęcia, co wtedy zrobi Bosun, nawet jeśli Finch będzie gotowy, by wpakować mu kulę w głowę.

Bosun na chwilę podniósł na niego wzrok. W jego spojrzeniu nie było niczego poza zwierzęcym sprytem. A jednak coś go niepokoiło. Wydawało się, że jego oczy się postarzały.

- Oto moja propozycja: daj mi proszek z bulwy pamięci, a ja odejdę.

Finch wyczuł zamiary Bosuna i coś się w nim zbuntowało. Wyte wskrzeszony, nawet jako cień. Razem ze Starkiem i Ottem. Każdy z nich dręczący pozostałych wewnątrz umysłu Bosuna. Martwi, ale pozbawieni spokoju.

- To może doprowadzić cię do szaleństwa. Mogą się wydarzyć najróżniejsze rzeczy.

- On jest moim bratem! - Wrzask. Krzyk. W Bosunie wzbierało coś strasznego. Jego

palec drżał na spuście. Finch zrozumiał, jak wiele kosztuje Bosuna panowanie nad sobą. Nad żądzą mordy. Ataku. Na drugiej szali znajdowała się szansa na ponowne ujście brata. Niezależnie od tego, jak dziwaczne byłoby to spotkanie.

Usłyszał, jak Rathven gwałtownie wciąga powietrze. Pokiwał głową.

- Dam ci go. - Wyjął ostatni woreczek z proszkiem z kieszeni kurtki. Odwrócił się bokiem, cały czas celując w Bosuna. Rzucił woreczek w stronę otwartych drzwi. - Żeby go zdobyć, wystarczy wyjść.

Czuł suchość w ustach. Wciąż drżały mu nogi. Ale trzymał się ze względu na Rathven.

- Każ jej odłożyć broń - polecił Bosun. - I rzuć szablę.

- Rathven, odłóż pistolet - poprosił Finch. Wypuścił szablę, która z brzękiem wylądowała na podłodze. Nie mógł ryzykować przykucnięcia. Mógłby się przewrócić.

- Nie chcę go odkładać, Finch.

- Zrób to. Trzymam go na muszce.

Zawahała się, po czym drżącą ręką położyła pistolet na stole między nimi.

- Teraz wstanę, okrążę was i podejść do drzwi - rzekł Bosun.

- Uważaj, Finch - ostrzegła Rathven.

Bosun wstał. Obszedł stół, zbliżając się do Fincha. Przeszedł nad porzuconą szablę.

Pistolet przeciwko pistoletowi. Dzielilo ich zaledwie kilka cali.

- Mam nadzieję, że więcej się nie spotkamy - odezwał się Finch.

Twarz Bosuna przypominała mapę gniewu i frustracji.

- Niczego nie obiecuję - syknął.

Gdy Bosun go mijał, Finch kątem oka zauważył jakiś ruch. Potem poczuł przybierający na sile ból, którego początkowo nie potrafił zlokalizować ze względu na pozostałe dolegliwości. W końcu zrozumiał, że boli go bok.

Zatoczył się, stracił równowagę.

Gdy Bosun schylił się, by podnieść woreczek leżący przy drzwiach, Finch poczuł, że krwawi. Rathven skoczyła po swój rewolwer. Obróciła się, by strzelić do Bosuna, ale on już wybiegał z mieszkania. Chybiła, robiąc dziurę w suficie. Szybko zamknęła drzwi na klucz.

Finch popatrzył w dół i zobaczył jaskrawoczerwoną krew wypływającą z rozcięcia na jego boku. Na podłodze leżał długi, wąski nóż Bosuna. To był najłżejszy dotyk. Nawet nie dotyk. Szept.

Finch niejasno zdawał sobie sprawę, że Rathven jest przy nim. Gdy osuwał się na podłogę, poczuł dotyk swojej szabli na obnażonej stopie oraz obejmujące go ramiona.

- Finch! Finch! - Jej głos nie pozwalał mu zasnąć, chociaż on bardzo tego pragnął.

Przyciągnęła go do siebie. Jej ciało było ciepłe, namacalne, rzeczywiste. Miał wrażenie, że Rathven drży. Płakała. Po chwili zadarła mu koszulę. Przyłożyła coś do jego boku. Poczł coś wilgotnego i lepkiego obok lewej ręki.

- Co się stało? - chyba zapytał.

- Pchnął cię nożem - chyba odpowiedziała. Twarz Rathven znajdowała się gdzieś pod sufitem, spoglądała na niego z wysoka. Kobieta miała nieprawdopodobnie długie ręce.

Z ust Fincha wydobył się śmiech przypominający kaszel.

- Naprawdę? - Poczł gwałtowny wstrząs.

Rathven owijała mu czymś bok. Gazą? Próbowwała postawić go na nogi.

- Jesteś w szoku. Muszę cię zabrać gdzieś, gdzie będę ci mogła pomóc.

- Zasluguję na coś lepszego. - Oschły śmiech. Wszyscy zasłużyli na coś lepszego.

Poderwał się na nogi i niemal runął na twarz. Wsparł się na Rathven.

* * *

Błyski i migotanie w mrocznym zbiorniku. Minęli zniszczone półki z książkami. Minęli niewielką kuchnię. Minęli sypialnię. Finch kątem oka złowił zieleń i fiolet. Pojedyncza żarówka jaśniała jak wartownik.

Prymitywnie wyrąbane przejście. Woda na posadzce. Zakrzywione ściany. Wilgoć. Łódź niczym łupinka. Dziwne bladoniebieskie oczy skoczków murowych na płyciźnie. Lśniące w blasku latarenki.

Powiedziała coś, czego nie zrozumiał. Wzięła go za rękę. Ułożyła na plecach tyłem do dziobu, z nogami wyciągniętymi jak bezużyteczne zapalki. Zaczęła wiosłować.

Na stropie widział korzenie, cegły i drewno. Jego okaleczona dłoń zanurzała się w wodzie. Rana w boku przypominała rozdarcie na pluszowym zwierzaku. Wylatywały z niej trociny. Ogarniała go senność. Zamknął oczy, ale natychmiast obudziła go szarpnięciem. Pokiwał głową, jakby zgadzał się z czymś, co powiedziała. Ale nie pozostało już nic do dodania.

Rozległo się głucho uderzenie, gdy łódź z czymś się zderzyła.

- Jesteśmy na miejscu - powiedziała Rathven.

Otworzył oczy. Zobaczył, jak kobieta przywiązuje linę do obręczy osadzonej w starych kamiennych schodach. Dalej dostrzegł nadgryzione zębem czasu łukowato sklepione przejście.

Zmusiła go do wyjścia z łodzi. Pomogła wspiąć się na schody.

Na szczycie znajdowało się duże pomieszczenie pogrążone w mroku. W świetle

rozbujałej latarenki mignęły mu książki i stół.

Poprowadziła go do łóżka polowego stojącego w głębi. Ciężko na nie opadł. Zadała mu pytanie. Nie dosłyszał. Słowa były rozmyte. Dryfował. Zastanawiała go suchość, którą czuł w ustach. Rozmazany obraz przed oczami.

- Wieże się zmieniają - powiedział. - Muszę się dostać na dach.

- Nie - odparła, siłą ponownie kładąc go na pościeli.

Przeblyski światła i czasu.

Gasły i powracały.

* * *

Kilka godzin później. Obudził się na pościeli. Rozejrzył się zdrowym okiem. Rathven rozcięła i zabrała jego ubranie. Umyła go. Zabandażowała mu bok. Okryła biodra ręcznikiem. Wyczuwał krawędź rany przypominającej usta.

Leżał w głębi dużego pomieszczenia, skąd spoglądał w stronę drzwi. Łukowate przejście. Kosztowny dywan w kolorze czerwonego wina oraz mniejsze dywaniki, wytarte, ale czyste. Ściany zastawione regałami. Na każdej półce pełno książek. Idealnie zachowanych, poustawianych w równe rzędy. Na podłodze kolejne tomy w skrupulatnie ułożonych stertach. Obok pudeł z czarnorynkowymi zapasami.

Obok niego: lekarstwo i jedzenie. Kolejne dwa łóżka polowe i jeszcze jeden stół. Na nim przenośna jednopalnikowa kuchenka naftowa oraz garnek. A także karabin i kilka pudełek z amunicją. Jego szablą. Jego pistolet.

Pomiędzy nim a drzwiami stał palisandrowy stolik z globusem przedstawiającym cały znany świat. Cztery ozdobne drewniane krzesła. Na jednym z nich siedziała Rathven. Obserwowała go.

- Przyniosłam twoje mapy - powiedziała, wskazując stół. - Laskę, żeby było ci łatwiej chodzić. Nocnik. Butelkę twojej whisky. Musisz tutaj zostać. W ukryciu. Powinieneś wypocząć.

„Umyj się. Znajdź jakieś bezpieczne schronienie”.

- Co z Dzikusem? Gdzie on jest?

- Przywiozę go później, jeśli nie przestraszy się łódki.

Na zewnątrz Finch mógłby zatracić się w walce. Przyłączyć się do buntowników. Przyłączyć się do milicji. Mógłby coś zrobić. Ale w ciągu jednej nocy zmienił się w stłamszonego starca. Emeryta dawno pozbawionego emerytury. Czekającego na lepsze dni.

Nie jestem detektywem.

- A wieże? Czy cokolwiek się zmieniło?

- Nic. Nie martw się... Dam ci znać, jeśli coś się wydarzy.

- Co to za miejsce?

- Dawna biblioteka. Na górze to tylko kupa gruzu pozbawiona wejścia. Ale ta jedna sala pozostała nienaruszona. Chociaż początkowo nie miałam tutaj zbyt wielu książek.

- Znalazłaś resztę? - wykrztusił.

- Tak. Znosiłam je tutaj z całego miasta.

- Po co?

Wyglądała na prawdziwą entuzjastkę, która nadal nie straciła nadziei.

- Finch, znajdziesz tutaj każdą książkę, jaką udało mi się znaleźć w mieście. Wszystkie dzieła ambergriańskich autorów. Wszystkie książki o historii i polityce. Biografie. Powieści. Zbiory poezji. Większość zawiera wiedzę, którą utracono podczas wojen, z winy Domów. Z winy szarych kapeluszy. Jednak pewnego dnia, Finch, kiedy to wszystko dobiegnie końca...

Finch odwrócił wzrok. Jej pasja go zawstydziła, sam bowiem dawno stracił zapal.

- Nie boisz się, że ktoś to odkryje?

- Cały czas się boję.

- Skąd te łóżka?

- Zanim rozwiązano obozy, dawałam tutaj schronienie uciekinierom. Oraz ludziom, którzy zostali zwolnieni, ale byli ranni.

- A teraz?

- Najwyraźniej teraz jest to azyl dla cynicznych detektywów.

To go rozbawiło. Odrobinę.

Rathven wstała.

- Straciłeś dużo krwi, ale zatamowałam krwawienie. Teraz muszę się zająć twoimi pozostałymi obrażeniami. Nie jestem wystarczająco silna, żeby cię odwrócić. Będę potrzebowała twojej współpracy.

Przyniosła gazę, bandażę i inne niezbędne przedmioty. Wodę z podziemnego kanału. Ustawiała to wszystko na stole z rytualnym namaszczeniem. Widząc to, Finch zadrżał. Przypomniał sobie Stronnika z nożami i wrzątkiem.

Zobaczyła jego minę, gdy postawiła garnek z wodą na małej kuchence.

- Muszę oczyścić rany - wyjaśniła.

Pokiwał głową.

- Wiem.

Zaczęła wycierać pozostałe ślady krwi. Nie zwracała uwagi na to, że się krzywił.

Przerywała tylko wtedy, gdy krzyczał.

W tym świetle wyglądała inaczej. Na starszą. Silniejszą. Bardziej doświadczoną.

- Chyba mam złamane dwa żebra.

- Albo stłuczone - odparła. - Może miałeś szczęście.

Próbował nie wrzeszczeć, gdy obmywała kikuty po palcach u nogi i ręki. Zastąpiła prowizoryczne opatrunki Sintry prawdziwymi bandażami. Oczyszczyła opuchnięte oko. Złamany nos.

Finch wbił wzrok w sufit, gdy zabrała ręcznik i zaczęła delikatnie myć jego uda. Zapomniał o wstydzie.

- Och, Finch - odezwała się, zdradzając czułość, którą wcześniej zagłuszała działaniem. - Kto ci to zrobił?

- Stronnik.

- Jak mu uciekłeś?

- Zabiłem go... Przeżyję?

Nie odpowiedziała, tylko ponownie nakryła go ręcznikiem.

- Masz głębokie rany cięte na rękach i nogach. - Zaczęła je obmywać i opatrywać. Ciepły dotyk drażnił go, a zarazem uspokajał. Smród szczyn zelżał. W powietrzu unosiła się woń środków odkażających.

- Odwróć się na brzuch - poprosiła. - Muszę zobaczyć twoje plecy. Z jękiem udało mu się wykonać ten delikatny manewr. Czuł się stary i słaby jak piórko, trzeszczały mu kości.

- Masz tutaj więcej skaleczeń - oznajmiła po chwili. Głos lekko jej drżał. Już tak dobrze nad sobą nie panowała. Przerwała pracę. Finch wiedział, że się w niego wpatruje.

- Wyglądają aż tak źle?

- Widywałam gorsze - wykrztusiła.

- Nawet ich nie czuję - odrzekł Finch. Szok? Zakażenie? Ostatnie dobrodziejstwo Shrieka?

Zajmowała się nim przez wiele minut. W końcu go posadziła i zaczęła bandażować żebra. Ich głowy prawie się stykały. Otaczała go wyciągniętymi rękami.

Powoli sięgnął w jej stronę. Objął ją, chociaż sprawiło mu to ból. Rathven go przytuliła. Mocno. Jak przyjaciela. Dodając mu otuchy.

- Dlaczego to dla mnie robisz, Rathven?

- Ocaliłeś mi życie.

- Naraziłem cię na niebezpieczeństwo.

- Oboje to zrobiliśmy.

- Muszę ci coś powiedzieć.
- Skoro czujesz, że to konieczne.

Zrozumiał, że ona może dać mu więcej niż miał prawo oczekiwać.

* * *

Mówił z trudem. Rwącym się głosem. Ale kiedy zaczął, nie potrafił przerwać. Opowiedział jej wszystko. Bez wyjątku. Niczego nie przemilczał. Nikogo nie oszczędził, zwłaszcza siebie. Jakby się spowiadał. Musiał to z siebie wyrzucić.

Powiedział jej o Błękitnej Damie. O tym, w jakim stanie zostawił Starka. O śmierci Wyte'a. O Blissie. O Stronniku. O tym, jak Shriek z niego wyszedł. O Sintrze. Słuchał swojego głosu, który wydawał mu się nieobecny, normalny. Zastanawiał się, co Rathven myśli o jego opowieści. Czy uznaje ją za sensowną? A może za szaloną?

Milczała. Po prostu go obejmowała i słuchała. Kiedy skończył, napiła go wodą. Nakłoniła, by trochę zjadł. Potem delikatnie pchnęła go na łóżko. Szeptem obiecała, że niedługo przyniesie mu czyste ubranie.

Zasnął, gdy tylko dotknął głową poduszki.

NIEDZIELA

Odzyskiwał i tracił przytomność. Niespokojny i wyczerpany. Miał wysuszoną skórę. Czuł się osłabiony. Miał wrażenie, że mógłby go zmieść byle podmuch wiatru. Czy to przez Shrieka? Czy to dlatego, że oddał część siebie? Nie wiedział.

Niezależnie od tego, czy leżał na łóżku, czy siedział na krześle, nie mógł znieść beczynności. Dręczyła go tęsknota, częściowo za Sintrą, a częściowo, nieoczekiwanie, za tym, co mu pokazała Błękitna Dama. Było mu przykro, że nie miał okazji opowiedzieć o tym Wyte'owi.

Kiedy zamknął oczy, ku swemu zaskoczeniu zobaczył hotel, który znajdował się ponad nimi, ale przywrócony do dawnej świetności. Z konsjerżem i portierem w holu. Recepcjonista czekał, by odebrać od niego klucz. Sintra była ubrana w wieczorową suknię. Za chwilę wybiorą się pojazdem mechanicznym do opery. Na ulicach zaroi się od kupców i ludzi wracających z pracy. Budynki i witryny sklepów rozblyszą wesołymi światłami. Jak podczas ulotnych chwil pomiędzy wojnami, przed Powstaniem.

Czekał, aż bomba wpadnie przez sufit. Czekał, aż Stronnicy wyłonią się z tunelu, by go zabić albo aresztować. Czekał na wybawienie albo katastrofę, które nadejdą spomiędzy wież.

Miał już dosyć tych myśli. Otrząsnął się z cieni wypełniających jego umysł. Podeszedł do mapy Ambergris przykrytej nakładką. Zdjął globus oraz mapę gwiazd i umieścił je na głównym stole. Nie pamiętał, kto lubił pracować nad tym projektem: Finch czy Crossley. A może obaj.

Rathven wyszła po nowe zapasy. Powiedziała mu, że jest niedzielny poranek, i kazała wrócić na posłanie.

Cokolwiek wyłoni się spomiędzy wież, świat ponownie się zmieni.

Na razie jednak zmienił się tylko nieznacznie. Finch używał miękkiej szmatki do wycierania z mapy tego, co zostało zniszczone. Teraz, powoli i z żalem, usunął Kosę. Wiedział, że nawet jeśli częściowo ocalała, to nikt już tam nie mieszka. Stał posterunek. Usunął słowa „Mieszkanie Wyte'a". Usunął słowo „Dzwonnica". Wątpił, by detektywi jeszcze kiedyś zechcieli tam wrócić. Każdy z czerwonych grzybów na mapie zmienił w symbol oznaczający fortyfikacje. Dodał grzybowy dom Starka, chociaż nie wiedział, czy ktoś

w nim pozostał. Dodał wieże w zatoce, przed czym się wzbraniał, dopóki nie miał pewności, że zostały ukończone. Czyżby się bał? Nie wiedział.

Pytanie: Skąd mam wiedzieć, czy rzeczywiście spalili ciało?

Odpowiedź: Ponieważ byliby głupcami, gdyby tego nie zrobili.

Bulwy pamięci, które zjadł. Dotyk ciała Sintry leżącej obok niego w łóżku. Straszliwa moc spojrzenia Heretyka. Kpiny Stronnika z jego słabości. Oczy Błękitnej Damy, gdy próbowała go przekonać. Zburzona forteca.

Potem błysk złoto-zielonego światła zamącił mu w głowie. Usłyszał syk i trzaski. Kroki na schodach.

Stanął obok mapy i chwycił pistolet.

Na krawędzi dywanu pojawił się Bliss. Na jego twarzy widniały ciemne smugi. Postrzępione brzegi jego kurtki wyglądały na spalone. Ciemne spodnie miały na sobie jeszcze ciemniejsze plamy.

- Powinienem bardziej się zdziwić - rzekł Finch. Ale nie był zdziwiony. Tylko wystraszony. Kolejna próba.

Na twarzy Blissa malowała się dziwna mieszanka dumy i pokory.

- Rathven ma mniej tajemnic niż jej się wydaje, a ja mam ich więcej. Dobrze wyglądasz.

Z jego oczu nie dało się odczytać zamiarów.

- Wyglądam jak gówno. Tak samo się czuję.

- Przynajmniej żyjesz, to już coś - odparł Bliss, wchodząc do pomieszczenia. - A skoro żyjesz, to zakładam, że misja zakończyła się powodzeniem.

- Chyba powinniście już o tym wiedzieć?

- Wieże wkrótce będą gotowe do działania. Wtedy się dowiemy. Gdzie jest kawałek metalu, którego użył Shriek?

- Widzę, że wszystko ładnie się zagoiło - odrzekł Finch, ignorując pytanie. - Zupełnie jakbym nigdy cię nie uderzył. Bliss przystawił krzesło do stołu z mapą.

- Wybrałem się na wakacje w dalekie miejsce. Chociaż spodziewałem się, że będzie tam mniej... ciekawie. - Zagadkowy uśmiech. - Widzę, że jesteś zajęty przerabianiem mapy. Nie sądzisz, że trochę na to za wcześnie? - Twarz Blissa stężała. - Misja zakończona?

- Tak - przyznał Finch. - Pojawiły się pewne komplikacje, ale już po wszystkim. - Nie miał ochoty mówić, jak poważne były to komplikacje.

Bliss pokiwał głową.

- Nic nigdy nie toczy się zgodnie z naszymi oczekiwaniami. No to gdzie ten kawałek

metalu?

- Najpierw mam kilka pytań.

- Pytań?

- Dużo myślałem - odrzekł Finch. - Między kolejnymi utratami przytomności. Kiedy akurat nie sikałem krwią. Zastanawiałem się na przykład, czy rzeczywiście pracujesz dla buntowników. Może Ethan Bliss to robi, ale nie Dar Sardice.

Bliss przez chwilę milczał, jakby nie wiedział, czy podjąć grę.

- W porządku - odparł w końcu. - Mów dalej.

- Owszem, dzielisz się informacjami z buntownikami, ale dla nich nie pracujesz. Nawet jeśli tak im się wydaje.

- Znakomicie, Finch! - W głosie Blissa pobrzmiwała wymuszona wesołość. - A więc dla kogo pracuję?

- Byłeś Darem Sardice'em zanim stałeś się Ethanem Blissem. To najstarsze nazwisko, pod którym cię znają. Znałeś mojego ojca. Twierdzisz, że z nim pracowałeś. Mój ojciec większą część kampanii spędził daleko na terytorium Kalifa. Realizował projekty inżynieryjne dla armii Ambergris. Często przerzucano go pomiędzy liniami frontu. Myślę, że spotkałeś go właśnie wtedy, a nie po jego powrocie do Ambergris.

Bliss popatrzył na Fincha z mieszaniną żalu i triumfu.

- Oczywiście masz rację. Tak się składa, że ja mu to dałem. - Wskazał głową bułat leżący wraz z pochwą na stole za Finchem. - Jako nagrodę za dobrą służbę. Potem byłem przełożonym twojego ojca w Ambergris. Nadzorowałem jego i innych informatorów. Ale on był najlepszy.

- W czyim imieniu go nadzorowałeś? - Chciał to usłyszeć z ust Blissa.

- Kalifa, oczywiście. Zawsze Kalifa. On ma dobrą pamięć, Finch, nigdy niczego nie zapomina. Zwerbowałem twojego ojca na pustyni i tak już zostało. Ale przecież o tym wiesz.

Finch wreszcie wyrzucił z siebie pytanie, którego nigdy nie zdołał zadać ojcu:

- Dlaczego to zrobił?

- Nie powiedział ci? A dlaczego ludzie cokolwiek robią? Dla pieniędzy. Dla miłości. Dla swoich dzieci. Ponieważ uważają coś za słuszne. Twój ojciec poznał kobietę. Wtedy już miał poważne wątpliwości co do wojny. Widział ekscesy ambergriańskich żołnierzy, poza tym nigdy nie był zachwycony potęgą Hoegbottonów przed wojną. Spędził dwa lata na pustyni, żyjąc zgodnie z tradycją powstałą przed wieloma tysiącami lat. Był gotów się zakochać... w tym wszystkim.

- Co było potem?

Bliss posłał mu beznamiętne spojrzenie.

- Jego kobieta umarła. Prawdopodobnie zakatowali ją na śmierć ambergriańscy żołnierze. Spalili jej ciało. - Uśmiechnął się triumfalnie. - Ale ty, Finch, uniknąłeś tego ognia. Miałeś wtedy niecały roczek.

Finch poczuł łaskotanie w żołądku. Niewyraźne uczucie zagubienia. Popatrzył na Blissa ponad mapami.

- To kłamstwo. Moja matka umarła podczas porodu. Pochodziła ze Stockton. Nie miała żadnej innej rodziny.

Bliss wzruszył ramionami.

- Możesz wierzyć, w co chcesz. Hoegbotton, Frankwrithe... obaj mają rację. Obaj się mylą. Czy na dłuższą metę ma to jakieś znaczenie? Twój ojciec pracował dla Kalifa. Jeśli chcesz wiedzieć dlaczego, rozejrzyj się dookoła. To miasto zbudowano na próbie ludobójstwa i na tym wszystkim, co z niej wynikło. Cisza. Wojna Domów. Powstanie. To niebezpieczne miejsce, Finch. Jego mieszkańcy są niebezpieczni. Ambergris zawsze będzie potrzebowało przeciwwagi. Najpierw w postaci Morrow oraz Frankwrithe'a i Lewdena. Teraz za sprawą buntowników, ponieważ to szare kapelusze rządzą miastem. W przeciwnym razie Ambergris spróbuje zawładnąć światem. W taki czy inny sposób. Właśnie tego nauczył się Kalif, gdy odpierał waszą ofensywę.

- Czy mój ojciec w to wierzył?

- Myślę, że tak. Twój ojciec uważał, że napuszczając na siebie obie strony konfliktu, przysłuży się większemu dobru. Ja nigdy nie uległem temu złudzeniu.

Finch przyglądał się dyskretnemu obliczu Blissa, starając się odkryć, czy mówi prawdę. Usiłował odrzucić myśl o kolejnym oszustwie.

- Dlatego go opuściłeś. Pozwoliłeś mu zostać kozłem ofiarnym, gdy Hoegbotton i Frankwrithe połączyli siły. Byłem tam. Umierał samotnie. Nie było przy nim nikogo oprócz mnie.

Bliss wzruszył ramionami.

- Nie mogłem zapobiec zdemaskowaniu go. Nagle zbyt wielu ludziom po obu stronach rozwiązały się języki. Ale on nie pozwolił sobie pomóc. Nie chciał, żebym go zabrał z Ambergris. Ze względu na ciebie. Oraz dlatego, że umierał.

- A ty nikogo do niego nie dopuściłeś, żeby przypadkiem nie zaczął mówić.

- Zrobiłem, co mogłem.

Kolejny element układanki wskoczył na swoje miejsce. Nawet gdy uciekali, gdy ojciec

był umierający, nie chciał, by Finch z kimkolwiek się kontaktował. Nie szukał niczyjej pomocy. Ponieważ nikomu nie ufał.

- Nie chciał, żebyś się do mnie zbliżył - rzekł Finch.

- Mogłem cię odnaleźć, kiedy tylko miałem na to ochotę, Johnie Crossleyu - odparł Bliss, odchylając się do tyłu.

- I tak nie zacząłbym dla ciebie pracować. Nie udałoby ci się mnie zwerbować.

- Czy już tego nie zrobiłem? - Bliss wzruszył ramionami. - Ale to nieistotne. Gdzie jest tamten kawałek metalu?

W ręku Blissa pojawiła się broń. Jego smutne oczy mówiły: „To na wszelki wypadek”.

- Może zostawiłem go w mieszkaniu. Może tam go poszukaj.

- A może po prostu mi go dasz - odrzekł Bliss. - Takiej rzeczy lepiej nie zostawiać byle gdzie - dodał zjadliwym tonem. W jego oczach pojawił się surowy błysk, który przyprawił Fincha o dreszcze. Ale go nie powstrzymał.

- Właśnie rozmyślałam o tym, jak dobrze sobie radzisz ze znajdowaniem różnych rzeczy. Nigdy mi nie powiedziałeś, że to ty odnalazłeś Shrieka i przekazałeś go buntownikom. Chciałbyś mi to wyjaśnić?

Bliss rozparł się na krześle, stukając stopą w posadzkę.

- Chcesz poznać prawdę? Shrieka znalazłem fartem. To był mój as w rękawie. Kiedy już nakłoniłem go do wyjścia ze skorupy, nie mógł przestać mówić. Jak człowiek, który przez sto lat był uwięziony na bezludnej wyspie. Otworzyłby się przed każdym.

- Tak się złożyło, że znalazłeś go obok szkieletu Samuela Tonsure'a. A potem „znalazłeś” tamten czarodziejski kawałek metalu, którego nie wyprodukowaliśmy my ani szare kapelusze. Nawet odnalazłeś drzwi, jeszcze przed buntownikami. Czy powiedziałeś im, że żołnierze w SHF nie umarli, tylko zaginęli?

Chytry uśmiech.

- To talent, Finch. Znajdowanie rzeczy. Wydobywanie ich. Moje cele pokrywają się z celami buntowników. Przynajmniej na razie. Chociaż gramy w wyjątkowo długoterminową grę. - W jego oczach nie było ani odrobiny wesołości.

- Gdzie znalazłeś metal?

Z ust Blissa wydobył się zniecierpliwiony syk.

- Rozumiem, Finch, naprawdę. Nie będziesz dla mnie pracował. Nie obchodzi cię, kim jest twoja matka. Twój ojciec jest bohaterem, a nie zdrajcą. A teraz po prostu daj mi ten pieprzony kawałek metalu, albo przestanę być miły. Stanę się wręcz bardzo niemiły.

Finch odrzucił od siebie myśl, która napęłniała go prawdziwym przerażeniem. Że Bliss

wcale nie pracuje dla Kalifa. Że Dar Sardice jest tylko pierwszą z wielu masek. Że zasady „długoterminowej gry” są niezrozumiałe.

Zza otwartych drzwi dobiegł odgłos wiosłowania. Łódź uderzyła o stopnie.

- To pewnie Rathven - rzekł Bliss. - Naprawdę chcesz ją w to angażować?

Nie chciał.

- Nie mam go. Sintra zabrała mi go w mieszkaniu - odparł Finch. Niemal triumfował. Był prawie dumny z Sintry. - Nie mogłem nic zrobić. Teraz mają go Dogghowie. Nie byłem w stanie jej powstrzymać.

Bliss zerwał się z krzesła. Wydawało się, że nagle dwukrotnie urósł. Pod wpływem wściekłości karykaturalnie rozdziawił usta.

Finch się wzdrygnął. Wcisnął się głębiej w krzesło. Czekał na cios, ale nie potrafił odwrócić wzroku.

Oczy Blissa były martwe. Pojawił się w nich dziwny błysk. Wrogi. Nieznajomy. Jakby z jego twarzy opadła maska. Zza oblicza tego eleganckiego człowieka wyzierało coś obcego.

Po chwili zniknęło. Bliss znów był tylko Blissem.

- Nieważne - rzekł z uśmiechem ostrym jak nóż. - To się da szybko załatwić. - Ale Finch wątpił, by to było takie łatwe. Miał nadzieję, że nie jest.

Odgłos kroków na schodach. Gadzi uśmiech Blissa.

- Teraz jesteś tylko widzem, Finch. Kolejnym pionkiem. Ale zostawię cię z pewnym pytaniem: czy kiedykolwiek przyszło ci do głowy, że Wyte jest przyszłością tego miasta? A ty jesteś jego przeszłością. Wciąż żywą, ale przeszłością. Pewnego dnia przypomnisz sobie tę rozmowę w zupełnie innym świetle.

Ruszył do regału z książkami, który nagle zmienił się w drzwi otoczone zielenią i złotem. Przeszedł przez nie. Zniknął.

Rathven weszła do pomieszczenia, niosąc broń i niezadowolonego Dzikusa.

- Ktoś tu z tobą był? - spytała, stawiając kota na ziemi. Dzikus podbiegł do Fincha i otarł mu się o nogi.

Finch pokręcił głową.

- Mówiłem sam do siebie. - Pochylił się, żeby pogłaskać Dzikusa. Czuł się tak, jakby uciekł przed jakimś wielkim zagrożeniem. Jakby zbliżył się do skraju, zarysu czegoś, czego nie obejmowała jego mapa. Czego ani Finch, ani Crossley nie byli w stanie zrozumieć.

Gdzieś daleko Błękitna Dama przygotowywała się do inwazji. Sintra przekazywała dziwny kawałek metalu swoim przełożonym. Shriek próbował wrócić do domu.

A on był w sekretnym pokoju, otoczony książkami, i głaskał kota.

Wysoko w górze usłyszał pomruk potężnych silników budzących się do życia. Jęczący i rozdzierający ryk. W tle przybierające na sile dudnienie. Metaliczny wrzask niczym okrzyk drapieżnego ptaka.

Sufit zaczął wibrować. Posadzka zadrżała. W powietrze wzbił się pióropusz pyłu. Dzikus podniósł wzrok.

- Przyszłam, żeby ci powiedzieć, John - odezwała się Rathven. - Wieże się zmieniają. Wsiadł prąd. Wszędzie.

Panika i nagły przyływ energii.

- Muszę się dostać na dach, żeby to zobaczyć.

Pokręciła głową.

- Nic z tego. Jesteś za słaby. Możemy popłynąć łódką. Tunel prowadzi do zatoki.

* * *

Krzywiąc się z bólu, usadowił się w łódce naprzeciwko Rathven. Czuł się dziwnie, płynąc łodzią, której nie zbudowały szare kapelusze. Drewno było takie sztywne. Pokład nie uginał się pod nogami. Rathven skoczyła na siedzenie po przeciwnej stronie. Postawiła latarenkę obok swoich stóp. Leżały tam także dwie maski gazowe i lornetka. Dzikus spacerował po stopniach, patrząc jak odpływają. Na wszelki wypadek Rathven zostawiła mu jedzenie.

Patrząc na paski światła z latarenki padające na strop, mieli wrażenie, że płyną gardzielą jakiejś potężnej bestii. Pod ziemią panował chłód. Na powierzchni mogło być niespokojnie. Być może szalały tam tłumy. Stronnicy patrolowali ulice. Unosiły się trujące obłoki grzybów. Wszystko było możliwe. Lecz tu, na dole, czuli jedynie drżenie wywoływane przez wieże.

Czyżby wkraczali w nowe życie? Czy będzie lepsze niż poprzednie? Nie wiedział.

- Jeśli Shriek przyprowadzi ich z powrotem, będą śpiewali na twoją cześć. - Popatrzyła na niego tak, jakby wreszcie uświadomiła sobie skalę rozgrywających się wydarzeń.

Czy zrobiłem to co najlepsze? Postąpiłem dobrze czy źle?

- Nawet nie zapamiętają mojego nazwiska, Rath.

- Ale ja je zapamiętam.

Wezbrało w nim uczucie, na które nie zasłużył. Siedzieli naprzeciwko siebie. Dwoje ocalałych. Sunęli mrocznym tunelem w stronę światła.

* * *

Teraz Finch widzi kruchość, którą nadała im śmierć. Dostrzega słabość. Widzi, że światło wykorzystuje ich w taki sam sposób jak jego... Spogląda na zniszczone oblicze Ambergris.

Przed łodzią rozciąga się rozległa zatoka. Zrywa się ostry, gorący wiatr. W miejscu Kosy ślad czarnego dymu. Po lewej pogrążone w chaosie zielone wieże. Drżą i dygoczą jakby były żywe. Kawalki gruzu odrywają się od nich i spadają do wody. Po prawej północny brzeg i długie ramię Strefy Hoegbottona i Frankwrithe'a. Panuje w niej ożywienie. Zakrzywiona ręka sięga poprzez wodę ku wieżom. Fala pomarańczowo-zielono-czerwonych spór, poroździerana i poszarpana na obrzeżach, zaczyna się cofać i rozplýwać.

Od strony wież dobiega nieludzki ryk i kakofonia. Świetliste linie wystrzeliwują z ich szczytów w stronę miasta, ku krwistoczerwonym grzybowym posterunkom. Jakby pomagały je podtrzymywać. Przed wieżami malutkie cienie szarych kapeluszy stoją ustawione w rzędy na moście. Jakby oddawały komuś cześć.

W przestrzeni pomiędzy wieżami brama - drzwi - wreszcie odnalazła poszukiwane miejsce.

Biały dysk na bladym porowatym niebie, kiepska kopia słońca świecącego za wieżami. Gigantyczne żywe cytadele otoczone szarością wznoszą się wśród obłoków lśniących drobinek kurzu, tak gęstych, że muszą być sporami. Sięgają w niebo na dwieście, trzysta stóp. Okrągłe. Usiane malutkimi oczami okien. Łączy je setka krętych grobli. W dole wyrasta gęsty las bezustannie falujących kosmyków. Obmywają je fale zmieniających się barw. Zieleń przechodzi w czerwień, potem w błękit i z powrotem. Pośród tego krajobrazu w mroku wędrują olbrzymie stwory. Przygarbione. Na wpół niewidoczne, na wpół niesłyszalne. Na ich grzbietach rosną grzybowe miasta.

Na dole tej sceny pojawia się rozdarcie. Jak trójkątny płomień pożerający zdjęcie. Zmieniający je w popiół.

Wznoszą się stamtąd zielono-złociste drzwi.

Finch i Rathven patrzą z łodzi, jak drzwi wydłużają się i rosną. Przesłaniają las kosmyków. Rozlega się wycie. Przykre dla uszu trzaski i skwierczenie. Nie słyhać żadnych innych dźwięków nad zatoką ani nad miastem za ich plecami. Jakby wszyscy wstrzymali oddech, czekając na nadejście nowego.

Obraz w tle staje się szklisty. Niewyraźny. Rozmazany. Zielono-złociste drzwi przestają rosnać.

Finch traci, po czym odzyskuje oddech. Jakby był martwy, a teraz powracał do życia.

Przybywają licznie. Całymi legionami. Wlewają się przez drzwi na most, pochłaniając stanowiska szarych kapeluszy jak niepowstrzymana rzeka, a następnie do miasta. Finch widzi ich przez lornetkę. Zabawkowe żołnierzyki. Niekończący się strumień płynący po powierzchni zatoki. Niektórzy mają na sobie dziwne stroje. Trzymają dziwne bronie emanujące fioletowym światłem. Jedni w maskach gazowych. Inni ubrani w potężne zbroje zbudowane z metalowych ściągien. Niektórzy konno. Część wygląda jak ludzie. Część jak Wyte w najgorszym okresie. Niektórzy w pojazdach mechanicznych. Inni pieszo. Kilkoro prowadzi stworzenia, jakich Finch nigdy nie widział.

Hałas przybiera na sile. Wibruje w uszach.

Finch jest jak zahipnotyzowany. Ludzie będą go pytać, gdzie był tego dnia. Odpowie: „Na małej łodzi w zatoce. Z przyjaciółką”.

Wieżę się trzęsą, ale nie upadają. Mężczyźni, kobiety i istoty wychodzą przez drzwi, ani na chwilę nie zwalniając tempa. Wylewają się na zewnątrz, podczas gdy sceneria za ich plecami staje się coraz bardziej szara. Jak rozmazana smuga. Promienie mocy łączące szczyty wież z miastem zaczynają słabnąć. Wreszcie kolejno znikają. Najpierw powoli. Potem coraz szybciej.

Po zatoce rozchodzą się fale. Rozbijają się o łódź. Finch mocno przytula Rathven, przytłoczony tym straszliwym cudem. Trzyma się jej kurczowo jak czegoś znajomego.

Buntownicy wciąż przybywają; tło zaczyna blaknąć. Nagle coś z tamtej strony dotyka powierzchni drzwi. Leci do przodu. Przecina powietrze. Kształty, które w tamtym miejscu były przejrzyste i pełne wdzięku, tutaj stają się pomarszczone i mroczne. Spadają. Gasną w zatoce.

Buntownicy wciąż przybywają. Przemienieni bądź zwyczajni. Przez zielono-złociste drzwi.

Coś wzbiera w Finchu. Coś na kształt dumy, ale bliskiej przerażenia. Ponieważ oboje wiedzą, że świat się zmienił. A Finch pomógł go przemienić.

Może nie będzie lepszy. Może będzie gorszy. Ale na pewno inny. Zakończył swoją podróż jako Finch. Jako Crossley. Dotarł do końca i nie ma pojęcia, kim albo czym teraz będzie.

Siedzi obok niej w łodzi i obserwuje kres oraz początek historii. Wszystko zapamiętuje. Wszystko zapomina.

PODZIĘKOWANIA

Cztery osoby przeczytały *Fincha* w postaci maszynopisu i podzieliły się ze mną cennymi, a nierzadko genialnymi uwagami. Dziękuję zwłaszcza mojej żonie Ann, za komentarze dotyczące tempa i logiczności akcji (najpierw w przypadku wstępnej wersji książki, a następnie niemal gotowego tekstu); Tessie Kum, za konkretne wskazówki odnośnie do bohaterów i fabuły; Howardowi Morhaimowi, za przemyślenia na temat Starka i Ambergris, a także Victorii Blake, za analizę fragmentów zdań i zapoznanie mnie z metodologią ich tworzenia (oraz za wiele innych rzeczy).

Dziękuję Sonyi Taaffe, za łacińskie frazy. Johnowi Coulthartowi, za wybitną okładkę i symbole szarych kapeluszy. Dave'owi Larsenowi, za porady w temacie broni. Mattowi Staggsowi, za wiele przejawów serdeczności oraz niezmierną energię i kreatywność. J. K. Stephensowi i Edwardowi Duffowi, za sprawdzenie chronologii powieści. Heidi Whitcomb i Rachel Miller, za korektę i pomoc przy projektowaniu.

Chociaż miałem pomysł na tę powieść już w 1998 roku, uległ on znacznej zmianie, gdy w 2006 roku próbowałem napisać historię osadzoną w Ambergris dla potrzeb antologii *Logorrhea* Johna Klimy. Dziękuję Ci za to, Johnie. Dziękuję także uczestnikom warsztatów Turkey City Workshop, którym pokazałem wstępną wersję pierwszych pięćdziesięciu stron powieści. Otrzymane komentarze w istotny sposób wpłynęły na moje podejście do tworzonego tekstu.

Dziękuję wszystkim czytelnikom, którzy śledzili losy Ambergris opisane na kartach książek *Miasto szaleńców i świętych* oraz *Shriek: Posłowie*. Cenię każdego i każdą z Was.

O AUTORZE

Jeff VanderMeer ma czterdzieści dwa lata. Jest wielokrotnie nagradzany pisarzem mieszkającym w Tallahassee na Florydzie. Do jego najważniejszych dzieł należą poprzednie dwie książki należące do Cyklu o Ambergris: *Miasto szaleńców i świętych* oraz *Shriek: Posłowie*, a także *Podziemia Veniss*. Najnowszą książką Jeffa jest zbiór opowiadań *The Third Bear*, niebeletrystyczny zbiór *Monstrous Creatures*, napisana wspólnie z żoną Ann humorystyczna książka *The Kosher Guide to Imaginary Animals* oraz *The Situation*, powieść komiksowa z rysunkami Erica Orcharda. Na podstawie tekstów VanderMeera powstało kilka krótkich filmów nakręconych przez PlayStation Europe oraz innych twórców. Jeff pisuje recenzje książek dla „New York Times Book Review”, „Washington Post Book World”, „The Believer” i „Barnes and Noble Review”, jak również felietony na Omnivoracious, literackim blogu Amazon. Razem z żoną Ann, redaktorką magazynu „Weird Tales”, zredagował kilka beletrystycznych antologii, a także prowadzi warsztaty literackie na całym świecie. Więcej informacji na temat jego pracy można znaleźć na stronie www.jeffvandermeer.com.

O KSIĄŻCE

Oprócz *Fincha* jeszcze dwie powieści Jeffa VanderMeera opowiadają o świecie Ambergris. Są to *Miasto szaleńców i świętych* oraz *Shriek: Posłowie*. Chociaż każda z tych książek stanowi odrębne dzieło, razem tworzą *Cykl o Ambergris*, obszerną opowieść rozpisaną na prawie dwa tysiące stron, w której przewijają się te same postacie i motywy. *Finch* odpowiada na pytania postawione w *Mieście szaleńców i świętych*, dotyczące szarych kapeluszy oraz natury samego miasta.

„Pewnej nocy miałem bardzo wyrazisty sen. Kiedy się obudziłem, miasto było już w mojej głowie” - tłumaczy VanderMeer. „Od razu pobiegłem do komputera i napisałem kilka pierwszych stron opowieści rozgrywającej się w Ambergris. Wkrótce w moim umyśle powstało całe fantastyczne miasto. Ukończenie wszystkich trzech powieści zajęło mi piętnaście lat. Nigdy nie przypuszczałem, że tamta pojedyncza chwila inspiracji doprowadzi mnie do zostania pisarzem i że pochłonie to tak dużą część mojego życia”.

Choć wymienione powieści przedstawiają kolejne odsłony historii Ambergris, w każdej z nich VanderMeer wykorzystuje odmienne podejście i styl, dopasowując je do bohaterów i fabuł. Pierwsza książka, *Miasto szaleńców i świętych*, jest mozaiką złożoną z wielu opowieści splecionych w postmodernistyczny sposób, mieszanką eksperymentów formalnych i dziwacznych historii, napisaną stylizowanym, barokowym językiem. Stanowi realizację idei książki jako artefaktu.

Druga powieść, *Shriek: Posłowie*, to rodzinna kronika widziana oczami siostry i dysfunkcyjnego brata, których zmagające się głosy tworzą serce książki. Chociaż w fabule *Shrieka* nie brakuje wojny, intryg i dziwnych wydarzeń, bliżej jej do literackiej dziedziny Vladimira Nabokova czy Marcela Prousta - przypomina sen, a zarazem jest precyzyjna, opisując perypetie nieszczęśliwych dziwaków.

Z kolei *Finch* łączy elementy czarnego kryminału, thrillera, opowieści szpiegowskiej i fantastyki, w ten sposób docierając do szorstkiego sedna Ambergris. Po raz pierwszy czytelnicy mają okazję dokładnie spenetrować miasto - w czasie okupacji, kryzysu i zmiany - widząc je oczami głównego bohatera.

Ambergris weszło do klasyki fantastycznych scenerii. *Miasto szaleńców i świętych* oraz *Shriek: Posłowie* zostały przetłumaczone na piętnaście języków, wielokrotnie były

uznawane za najlepsze książki roku i zdobyły liczne nagrody, wliczając World Fantasy Award (za jedną z nowel pochodzących z *Miasta...*) oraz nagrody w Finlandii i Francji. Na podstawie książek stworzono musicale i filmy, wykorzystując muzykę między innymi zespołów The Church i Murder by Death. Podobnie jak *House of Leaves* Marka Danielewskiego i *Dworzec Perdido* Chiny Mielville'a, *Cykl o Ambergris* Jeffa VanderMeera na nowo zdefiniował możliwości stojące przed literaturą fantastyczną.

ŚCIEŻKA DŹWIĘKOWA
DO „FINCHA”
AUTORSTWA
MURDER BY DEATH

Przyczyniając się do unikatowego spotkania dwóch artystycznych światów, zespół Murder by Death nagrał płytę z muzyką inspirowaną powieścią *Finch*. Album, który zawiera piosenki zbudowane wokół konkretnych scen z powieści, można kupić na oficjalnej stronie zespołu www.murderbydeath.com. VanderMeer potwierdził, że muzyka Murder by Death w istotny sposób wpłynęła na klimat jego powieści.